O ANGLJI I ANGLIKACH

ROMAN DYBOSKI

O ANGLJI I ANGLIKACH

WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM F. HOESICKA

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

P R Z E D M O W A

W tomie niniejszym zebrałem z moich powojennych odczytów i artykułów o rzeczach angielskich te, które zdawały mi się zasługiwać na takie utrwalenie. Czterokrotny w ostatnich latach pobyt w Anglji dał mi sposobność do bezpośredniego kontaktu z jej życiem bieżącem nietylko naukowem i literackiem, ale także społecznem i politycznem. To też zebrane tu rzeczy apelują do zainteresowań szerszych niż fachowe, historyczne czy literackie. O ile jednak nawet do zjawisk historycznych zastosowałem tu w pewnym stopniu kryterja dzisiejszej aktualności, o tyle z drugiej strony starałem się w traktowaniu zjawisk współczesnych zawsze szukać ich podstaw historycznych i dbać o perspektywę krytyczno-porównawczą.

Mnożą się u nas, jak wszędzie na kontynencie europejskim, w ostatnich czasach zastępy miłośników kultury anglosaskiej, rozrasta się i literatura o tematach angielskich. Czy obok takich publikacyj jak R. Dmowskiego „Anglja powojenna i jej polityka“ (Warszawa 1926), W. Tarnawskiego „Z Anglji współczesnej“ (Lwów 1927), A. Tretiaka „Anglja“ (Warszawa 1928), jak wreszcie moje własne „Anglja po wojnie“ (Kraków 1924) i „Czego nas uczy Anglja?“ (Lwów 1924), książka niniejsza także jeszcze spełni pożyteczną funkcję na naszym rynku literackim, o tem rozstrzygnie krytyk i czytelnik. Ja tylko pozwolę sobie zaznaczyć, że dążeniem mojem było i jest, przedstawiając najwyższe walory literackie i społeczne kultury angielskiej, przyczynić się do zastosowania niektórych przynajmniej z nich w pracy twórczej nad coraz dal-

szą budową naszej własnej cywilizacji narodowej. Zarazem zaś pragnę gorąco, by przez takie rozszerzenie widnokręgu naszego społeczeństwa budziło się w nas także żywsze poczucie wspólnoty z całym wielkim światem kultury współczesnej. Tylko takie poczucie bowiem i wynikająca zeń czynna współpraca we wielkich dziełach zbiorowych ducha ludzkiego da nam dopiero prawdziwą i pełną godność wolnego narodu. Dziesięciolecie Polski odrodzonej, którego danem nam było się doczekać, zastaje Rzeczpospolitą naszą dostatecznie skrzepłą i skonsolidowaną, by o tych zagadnieniach i zadaniach twórczości kulturalnej swobodnie w niej myśleć i rozprawiać można. Do takich refleksyj i dyskusyj u progu drugiego *decennium* naszych nowych dziejów może i ta książka nieco przydatnego materjału dostarczy.

Kraków, wrzesień r. 1928.

R. D.

Artykuły, zawarte w niniejszym tomie, drukowane były przeważnie w krakowskim *Przeglądzie współczesnym*, ponadto głównie w *Przeglądzie politycznym* i w *Czasie*. Tu pojawiają się w postaci nieco przejrzanej, poprawionej i uzupełnionej.

Za przeprowadzenie korekty (przypadające już na czas mojego pobytu w Ameryce) zobowiązany jestem mojemu asystentowi p. H. T i t z o w i.

TREŚĆ

I.

WPŁYWY WŁOSKIE W LITERATURZE ANGIELSKIEJ

(Odczyt wygłoszony na dorocznem walnem zgromadzeniu „Società Dante Alighieri“ w Krakowie, dnia 5 marca 1924 r.).

Stając przed Towarzystwem Dantejskiem, by hołdem anglisty przyłączyć się do tego kultu wielkich dzieł genjuszu włoskiego, który ono w Krakowie wskrzesić usiłuje i w Polsce szerzyć pragnie, — mam podobne uczucie jak gdy przed laty przemawiałem o wpływach greckich w poezji angielskiej [1]. Mówić mianowicie o takich wpływach, jak wpływy klasyczne lub jak wpływy włoskie w którejkolwiek z wielkich nowszych literatur europejskich, to tak jak mówić o tlenie w atmosferze: są wszędzie i zawsze są pierwiastkiem ożywczym. W literaturze angielskiej w szczególności zauważymy, że wpływy włoskie niemniej, a właściwie nawet i więcej, niż w okresach o charakterze wybitnie klasycznym, w którym się ich potężnego działania z natury rzeczy spodziewamy, czynne i twórcze są w okresach i w osobistościach, w których przeważa pierwiastek romantyczny, a więc typowemu włoskiemu poglądowi na świat biegunowo przeciwny. Już to samo jest uderzającem świadectwem tej ciągłości i tej siły, z jaką genjusz włoski oddziałuje na anglosaski.

Włochy w dziejach ludzkości stanowią ogromny kompleks najróżnorodniejszych genjalnych poczynań i wielkich dokonań: ich wszakże synem jest najwszechstronniejszy z genjuszów nowoczesnej ludzkości — Leonardo da Vinci. Z przeróżnych bogactw ducha włoskiego głównie trzy źródła użyźniły niwy kultury angielskiej strugami swoich „wpływów“: l i t e r a t u r a, m a l a r s t w o i ż y c i e polityczne i społeczne narodu włoskiego. Te trojakie wpływy zarazem w dziejach literatury an-

[1] „Wpływy greckie w poezji angielskiej“ (*Eos*, tom XVII, r. 1911, str. 57—75).

gielskiej następują po sobie w takim chronologicznym porządku, że najpierw z tych trzech czynników działa literatura. Od niej więc zaczniemy.

1.

Wpływy literatury włoskiej na literaturę angielską zaczynają się, gdy się zaczyna i literatura włoska i literatura angielska w nowoczesnem słowa znaczeniu. Dante, Petrarka i Boccaccio świecą na horyzoncie poczynającej się twórczości w języku literackim włoskim: te same trzy gwiazdy jaśnieją nad kolebką nowej literatury angielskiej. Czem dla nas Rej, tem dla Anglików jest Geoffrey Chaucer (1340—1400), ta „jutrzenka pieśni angielskiej", jak go nazywa Tennyson, to „źródło mowy angielskiej nieskalanej", jak go zwano zdawna. Chaucer — prawdziwy Anglik — w zetknięcie z kulturami europejskiemi wchodzi przez podróże. Dostawszy się w młodości do niewoli francuskiej na wojnie, podlega w początkach swego pieśniarstwa przemożnym w ówczesnej literaturze europejskiej wpływom poezji francuskiej: tłumaczy tę encyklopedję natchnień poetyckich średniowiecza francuskiego, zarówno wcześniejszego, rycerskiego, jak późniejszego, mieszczańskiego, jaką jest „Romans o Róży". Później dopiero podpadł pod działanie wpływów włoskich, gdy w misjach handlowo-politycznych kilkakrotnie jeździł do Genui i dalej: może nawet osobiście się spotkał z Petrarką w ostatnich latach jego życia.

Chaucer jest głównie humorystą, — to pierwszy w długim szeregu świetnych humorystów literatury angielskiej. Jego arcydzieło, *Canterbury Tales*, to zbiór opowieści wierszem, częścią poważnych, ale w znaczniejszej części żartobliwych treścią, a przeważnie żartobliwych duchem i nastrojem. Sposobem w średnich wiekach częstym ujął je poeta we wspólną ramę, każąc je wygłaszać trzydziestu osobom różnej kondycji, razem odbywającym konno pielgrzymkę z Londynu do grobu męczennika, św. Tomasza à Becket, w Canterbury. Pomysł na pierwszy rzut oka odrazu przypomina *Decamerone* Boccaccia, choć panorama średniowiecznego angielskiego świata społecznego, roztoczona przez Chaucera w opisie osób, w świetnym „Prologu", obejmuje daleko szersze demokratyczne kręgi, niż to grono dam i kawalerów z elity towarzyskiej, których Boccacio gromadzi w parku podmiejskim, by opowiadali jego no-

wele. Ale niezaprzeczone podobieństwo między ideą poetycką Chaucera i Boccaccia jest i rozciąga się nawet na drobny a znamienny szczegół podrzędny: jak osoby kółka boccacciowego uciekły od dżumy we Florencji — od pamiętnej „czarnej śmierci", co pustoszyła Europę w r. 1349 — tak pielgrzymi chaucerowscy jadą dziękować świętemu za wyleczenie od zarazy, gdy grasowała w kraju.

Niewątpliwie zresztą cały genjusz Chaucera — humorystyczno-realistyczny — najbliżej jest spokrewniony z genjuszem Boccaccia. Wobec tego dziwić nas musi, że Chaucer nigdzie Boccaccia w swych dziełach po nazwisku nie wymienia, gdy Dante i Petrarca są ze czcią wspominani. Co jeszcze więcej daje materjału do refleksyj nad różnicą w ocenie tych samych autorów przez różne epoki, to okoliczność, że nigdzie udowodnić się nie da, by Chaucer bezpośrednio korzystał z nowel w *Decamerone:* gdzie napotykamy u niego te same tematy, tam źródłami okazują się te same starofrancuskie *fabliaux*, z których przypuszczalnie czerpał i Boccaccio. Natomiast zagłębia się Chaucer w zapomniane dziś, a w jego epoce wysoko cenione, romanse wierszowane Boccaccia w stylu poważnym, i dwa z nich parafrazuje tak wiernie i szczegółowo, że przejmuje z oryginału nawet charakterystyczne zwroty, pojedyncze słowa i rymy. W „Opowieści rycerza", pierwszej w cyklu pielgrzymim, zużytkował w ten sposób „Tezeidę" Boccaccia i dał czytelnikowi angielskiemu ten anachroniczny, nawpół starożytny a więcej niż nawpół średniowieczny i feudalny dwór ateński Tezeusza i Hippolity, który później nieśmiertelnym po wszystkie wieki uczynił Shakespeare, przejmując go od Chaucera i opromieniając blaskami swej romantycznej fantazji w „Śnie Nocy Letniej". Romantycznym również kolorytem zabarwił na sposób średniowieczny już Boccaccio, a w ślad za nim Chaucer, tę bajkę miłosną na tle oblężenia Troji, którą z rąk do rąk sobie podawało tylu poetów średniowiecza: historję „Troilusa i Kressydy". Tu stosunek Chaucera do oryginału włoskiego jest bardziej niezależny, i właściwy mu dar humoru pełniejszy znajduje wyraz: opowieść Boccaccia utrzymana jest w tonie sentymentalno-tragicznym; zaś Chaucer, rozsnuwając szeroko dobrodusznie żartobliwe i łagodnie ironiczne maksymy i refleksje Pandara, powiernika obojga kochanków i pośrednika w ich miłości, stworzył w ten sposób arcydzieło wczesnego humoru angielskiego. I tutaj poszedł za nim Shakespeare: ale u niego zajęcie się tematem Trilusa i Kressydy

przypadło na ponury okres pesymizmu tragicznego, więc Shakespeare w historji chaucerowskiej różne kropki nad *i* postawił piórem, umaczanem w żółci, i uśmiechnięty realizm starego angielskiego humorysty w najbardziej zagadkowym ze wszystkich schakespearowskich dramatów przeszedł w jad cynizmu i goryczy.

Ciekawszy niż do Boccaccia jest stosunek Chaucera do Dantego[1]. Cóż surowy i zadumany wieszcz zaziemskich światów może mieć do powiedzenia humoryście? Oto Chaucer zdobył się pod wpływem Dantego na jedyny w literaturze eksperyment: jego poemat allegoryczny „Dom Sławy", to dantejska wizja humorysty, transpozycja kompozycji dantejskiej w tonację humorystyczną, słowem, *Dante repris par un humoriste*, jak to doskonale określił profesor Legouis w swej francuskiej monografji o Chaucerze. Już we wcześniejszym utworze Chaucera „Parlament ptaków" był podobny śmiały pomysł: nieśmiertelny dantejski napis na wrotach piekieł napotykamy tam w pogodnej trawestji jako napis na bramie rajskiego ogrodu Natury ze świątynią Wenery. W „Domu Sławy" zaś poeta, przedstawiając w widzeniu fantastycznem działanie Famy, niemniej kapryśne od ślepych humorów Fortuny, zmaga się z faustowskim dylematem we własnej duszy między życiem a książką, używaniem a sławą, radością a twórczością[2]; zaprawia zaś ten cały swój dramat psychiczny subtelną ironją nad samym sobą. Obce mu jest wszelkie prorocze namaszczenie i nie drapuje się, jak Dante, w togę wieszcza, — raczej w wytarty płaszcz dobrotliwie drwiącego Sokratesa.

Po Dantem i Boccacciu — Petrarca. Kto się nim zajmował historycznie, ten wie, że dla swej epoki Petrarca nie był nadewszystko tym piewcą sonetów miłosnych, jakiego głównie w nim uwielbia późniejsza potomność, lecz działał, jak to słusznie określono, jako „Voltaire swego wieku", walcząc z różnemi przestarzałemi przesądami i rzucając pierwszy posiew kultury humanistycznej. To też Chaucer pełną czci o nim wzmiankę wkłada w usta wychudzonego idealisty — mola książkowego pośród swych pielgrzymów, studenta oks-

---

[1] Wpływem Dantego na wszystkich znakomitszych pisarzy angielskich zajął się szczegółowo Michele Renzulli w pracy: *Dante nella letteratura inglese* (Florencja, *La Via*, 1925).

[2] Tak pojął poemat — mojem zdaniem słusznie — znakomity niemiecki historyk średniowiecznej literatury angielskiej Bernard ten Brink.

fordzkiego — i jemu każe opowiadać przejętą z Petrarki budującą historję o cnotliwej Gryzeldzie. Chwałą wprowadzenia s o n e t u do literatury angielskiej, mimo całego swego mistrzostwa w tylu innych formach wiersza, Chaucer się nie otoczył: raz w „Troilusie", parafrazując jeden z sonetów Petrarki, czyni to w trzech zwrotkach siedmiowierszowych. Sonet wprowadzili do Anglji dopiero w XVI w. pieśniarze Odrodzenia na dworze Henryka VIII, Sir Tomasz W y a t t i Henryk Howard hrabia S u r r e y [1], a w ślad za nimi już zaroiło się w Anglji renesansowej od sonecistów, naśladujących formę Petrarki niezupełnie ściśle [2], a jego osobliwe przenośnie, porównania i słowne *concetti* aż do ostatecznych krańców maniery i afektacji. Należy wprost do dobrego tonu, by każdy szanujący się literat napisał między innemi także cykl sonetów: najświetniejsze nazwiska ówczesnej poezji angielskiej spotykamy wśród sonecistów obok najlichszych. Ogółem ogromna ta masa twórczości, wzorowana przeważnie nie na Petrarce samym, lecz na jego włoskich i szczególnie — na francuskich naśladowcach [3], nie należy do najwspanialszych gałęzi drzewa poetyckiego Anglji. Górujące nad wszystkiemi sonety Shakespeara górują przedewszystkiem swą potężną treścią osobistą — namiętnym trójkątnym dramatem pomiędzy poetą, jego ubóstwianym przyjacielem a demoniczną czarną kochanką — nie celują zaś harmonją formy godną włoskiego wzoru: bo sonety Shakespeara są także wielce nierówne pod względem artystycznym i skażone obfitością dziwactw stylistycznych.

2.

Wogóle spotykamy się teraz ze zjawiskiem dziwnem: w miarę jak różnorodność i potęga literackich wpływów włoskich rośnie, wartość ich bezpośrednich owoców maleje. Wiek

---

[1] R. D y b o s k i: „Pieśniarze Odrodzenia na dworze angielskim" („Przegląd Polski", Kraków 1907).

[2] W typowym sonecie włoskim rymy jego czternastu wierszy układają się w dwa czterowiersze i jeden sześciowiersz, w typowym angielskim — na sposób francuski, według wzoru Ronsarda i Plejady, który i u nas naśladują Kochanowski i Szarzyński — w trzy czterowiersze i jeden dwuwiersz, co nadaje sonetowi epigramatyczne zaostrzenie na końcu.

[3] Z tego punktu widzenia po mistrzowsku rozpatrzył całą masę sonetów ery shakespearowskiej Sir S i d n e y L e e w swem znakomitem dziele *The French Renaissance in England* (Oxford, *Clarendon Press*, 1910), księga IV: *French Influence on the Elizabethan Lyric.*

XVI z rozwojem ruchu humanistycznego po wszystkich krajach na północ od Alp przyniósł wzmożenie i ożywienie stosunków umysłowych i osobistych między Anglją a Włochami. Odwiedzają Anglję Włosi tak wybitni jak Giordano Bruno, który dłuższy czas na ziemi angielskiej przebywał. Na odwrót, każdy wykształcony lub kształcący się wyżej Anglik za część tego wykształcenia uważa podróż po Włoszech: powstaje tradycja, co odtąd nie wygasła. Sypią się jak z rogu obfitości tłumaczenia wszystkich głośnych dzieł literatury włoskiej od „Dworzanina", którego Sir Thomas Hoby podobnie przestroił w narodową szatę angielską jak nasz Górnicki, do „Orlanda", którego epigramatysta Harington tłumaczył, a Robert Greene nawet parafrazował dramatycznie. Mimo to właściwie Chaucer pozostaje jedynym z pierwszorzędnych poetów angielskich, u którego wpływ literatury włoskiej był czynnikiem decydującym przy powstawaniu własnych jego wielkich dzieł. Na przestrzeniach stulecia renesansowego tak potężna wizja dantejska jak obraz podziemia w sławnym prologu *(Induction)* do opowieści poetyckiej o tragicznym upadku księcia Buckingham (faworyta Ryszarda III) przez Tomasza Sackville, hrabiego Dorset, pozostaje epizodem odosobnionym w dziejach poezji angielskiej: Sackville później poświęcił się karjerze politycznej, i jego talent poetycki nic więcej znakomitego nie wydał. Na tę dziedzinę angielskiej literatury Odrodzenia, którą dziś najbardziej podziwiamy — na dramat i komedję epoki shakespearowskiej — tak bogata już wtedy twórczość dramatyczna włoska niewątpliwie ważny wpływ wywarła — od przekładów tragedyj Dolcego i komedyj Ariosta przez Jerzego Gascoigne do występów samych komedjantów włoskich w Anglji z improwizowaną *commedia dell'arte;* ale wpływ to raczej na techniczne ukształtowanie rodzaju niż na twórcze natchnienie, a w każdym razie wpływ działający na równi z innemi, szczególnie z klasycznemi Seneki i Plauta.

Większe jest znaczenie wzorów włoskich dla epopei, ale i w tej dziedzinie wpływ jest raczej znamienny niż potężny. Dwóch jeszcze było wielkich poetów epickich w Anglji po Chaucerze: Edmund Spenser i Jan Milton. Jak Chaucer z bezprzykładną śmiałością stworzył humorystyczne *pendant* do Dantego, tak Spenser znowuż powziął osobliwy zamiar poetycki stworzenia poważnego *pendant* do Ariosta. Jego wielka epopeja rycersko-fantastyczna *The Faerie Queene* („Kró-

lowa wieszczek") jest takim samym lasem dziewiczym nieprawdopodobnych przygód, nadludzkich bohaterstw, dziwnych postaci i urojonych scenerji jak *Orlando;* tak samo mogłaby zapowiadać treść swą w słowach:

Le donne, i cavalier, l'arme, gl'amori...

Roi się u Spensera od figur wzorowanych na Arioście: wystarczy wspomnieć dziewicę-rycerza, Bradamantę, w angielskim poemacie nazwaną Britomart. Wreszcie i ogromna długość epopei Spensera (zresztą niedokończonej) tak samo Ariosta przypomina, jak go przypominają bezustanne przeskoki z jednej sfery akcji w drugą, od których aż się mieni w oczach czytelnikowi. Ale otchłanną zaiste różnicę między obu dziełami wytwarza moralizujący plan poematu Spensera. Zamiarem jego było w jednej programowej syntezie połączyć najszlachetniejsze elementy ginącego świata rycersko-feudalnego ze wszystkiem najlepszem, co rosło wokoło niego w nowem społeczeństwie renesansowem, i w ten sposób w jednym systemie nowej etyki połączyć kwintesencję chrześcijaństwa ze świecką moralnością klasyczną. To była utopja: świat rycerski zamierał bezpowrotnie, do świeckiej etyki obywatelskiej całkowicie należało jutro. I dlatego poezja Spensera, choć pełna uroczej fantazji i czarownej melodji, dziś jest martwa i nieczytelna: z pięciu czy sześciu największych mistrzów poezji angielskiej on najmniej jest popularny. Jak obciążył lotną włoską oktawę, dodając do niej dłuższy, dobitny dziewiąty wiersz, tak i treść natchnień ariostowych obciążył swą niezachwianą powagą moralną. Brak mu tego odświeżającego żywiołu humoru, który przecież jak wszechobecny „eter przestrzeni" przenika literaturę angielską w innych jej arcydziełach.

Niema go po Spenserze także drugi jeszcze wielki epik nowszych czasów — M i l t o n, ten Dante protestanckiej północy. Fizjognomja jego, jak fizjognomja Dantego, ustalona jest w wyobraźni potomnych: niemniej surowy i cierpiący wyraz, jak posągowa twarz tamtego, nosi pociągłe, blade oblicze ślepego wieszcza upadłej sprawy purytańskiej. Ale ten działacz i poeta purytańskiej rewolucji, napawając niegdyś młodą duszę pięknością Włoch, pisał pełne uniesienia sonety po włosku do włoskiej śpiewaczki (Leonory Baroni); na całe życie z renesansowej kultury młodych lat wyniósł ukochanie muzyki, co nieraz mu potem osładzała ślepą i posępną starość; a same tytuły dwóch jego nieśmiertelnych młodocianych poe-

matów lirycznych — portretu poetyckiego natury pogodnej i natury melancholijnej — *L'Allegro* i *Il Penseroso* — świadczą o tem jak wibrowały w duszy artystycznej rozkoszne wspomnienia o pięknie włoskiem. W arcydziele epickiem Miltona „Raj utracony" walki aniołów i szatanów żywo przypominają heroiczne zapasy w *Gerusalemme Liberata* Tassa (już od pół wieku wtedy znanej ogółowi angielskiemu w tłumaczeniu Fairfaxa, a Miltonowi niewątpliwie w oryginale). Zaś potężne w swych mglistych konturach postacie Nocy i Chaosu, rozprawiające z szatanem w drugiej księdze poematu, godne są i Dantego i Michała Anioła. Ale niemniej od wielkich Włochów na koncepcję utworu wpłynęły i epopeje homeryckie i ta księga nad księgami dla świata purytańskiego, o której pokolenie Miltona mówiło poprostu jako o „książce" *(the Book)* — Biblja. O górujących wpływach literatury włoskiej zatem tutaj już zgoła mówić nie można.

3.

Traktując po Spenserze zaraz o Miltonie, pominąłem Shakespeara i jego wiek, ale to dlatego, że on i inni późniejsi wielcy poeci angielscy już podpadają pod drugą kategorję wpływów włoskich, o których mówić zamierzam — mianowicie pod wpływy samego życia włoskiego na literaturę angielską.

Shakespeare niewątpliwie znał z literatury włoskiej to, co znał każdy czytający Anglik jego wieku: nieraz czerpie przedmioty dramatów i komedyj z nowel włoskich, które w tłumaczeniach angielskich miał pod ręką w zbiorze Payntera „Pałac rozkoszy". Ale najważniejszy związek między nim a Włochami, to jednak jego entuzjazm dla renesansowego życia włoskiego, pozwalający mu w pięciu dziełach oddać środowisko włoskie z taką siłą fantazji, że wielu komentatorom narzucało się przypuszczenie, iż musiał sam być we Włoszech. *Venezia, Venezia! chi non ti vide, non ti prezia* — woła Shakespeare przez usta jednej ze swoich figur już w młodocianych „Straconych zachodach miłosnych", i nasłuchawszy się po karczmach londyńskich opowiadań różnych podróżników, z których snobizmu sam później podrwiwa [1], — zapewne marzył o zwiedze-

[1] „Jak się wam podoba", akt IV, sc. 1 (Rozalinda do Jakóba — melancholika): „Szczęśliwej drogi, panie wojażerze! Nie zapomnij tylko z cudzoziemska szczebiotać i z cudzoziemska się ubierać; spotwarzaj, co do-

niu Włoch. Czy istotnie je widział, niewiadomo; ale wszakże i Schiller, nie widziawszy nigdy Szwajcarji, odtworzył jej duszę i krajobraz w „Tellu,". Werona „Romea i Julji", Wenecja w „Kupcu weneckim" i w I akcie „Otella" stoją nam przed oczyma od pierwszych słów z ich pałacami i ich ruchem ulicznym we dnie i w nocy. Poeta, co nie operował kulisami i dekoracjami, musi działać na wyobraźnię słowem, i działa zaiste magicznie. Wystarczy, by dwóch obojętnych statystów w „Kupcu" wymieniło zapytanie i odpowiedź: „Co słychać na Rialto?" — „Mówią, że okręt Antonja zatonął" (akt III, sc. 1), — byśmy się czuli żywcem przeniesieni na ten wielki rynek handlowy dla połowy świata, którym jeszcze za Shakespeara była dumna stolica republiki adrjatyckiej. Uchwycił Shakespeare puls życia włoskiego i w drobnych, codziennych szczegółach takich podrzędnych swych komedyj, jak „Poskromienie złośnicy" lub „Dwaj panowie z Werony". Pomaga mu w tej magji poetyckiej jedno nadewszystko: ten wspólny wszystkim narodom owej epoki bujny, krewki, namiętny temperament renesansowy, pełny potężnego, nieokiełzanego indywidualizmu, tak zasadniczo podobny do natury włoskiej, jaką zawsze była i na zawsze pozostała, — a tak głęboko odmienny od dzisiejszego charakteru narodowego angielskiego, na którym purytanizm XVII wieku wycisnął piętno swej surowej wstrzemięźliwości i chłodnej powagi [1].

4.

Pomijając późniejsze stulecie XVII i całe XVIII, w którem w literaturze angielskiej, tak samo, jak i w całej europejskiej, przeważa autorytet klasycyzmu francuskiego [2], przechodzimy

bre w twojej ziemi; brzydź się swojem pochodzeniem i gniewaj się z Panem Bogiem, że cię, jak jesteś, stworzył, bo nie uwierzę inaczej, że w gondoli pływałeś" (Tłumaczenie L. Ulricha).

[1] Dla krótkości pominąłem rozległą dziedzinę tematów i wpływów włoskich u całej plejady znakomitych autorów dramatycznych, otaczających Shakespeara. Tematowi temu poświęcił monografję Piero Rébora: *L'Italia nel Dramma inglese, 1558—1642* (Medjolan, *Modernissima*, 1925).

[2] W ostatnich czasach, jak wiadomo, w całej Europie historycy literatury zajmują się ze szczególną uwagą okresem baroku, i dopiero przy tej sposobności rozmiary i głębokość wpływów włoskich na piśmiennictwa północno-europejskie XVII wieku w całej pełni poznano. W odniesieniu do Anglji opracował ten przedmiot niedawno w sposób iście rewelacyjny Mario Praz w książce *Secentismo e Marinismo in Inghilterra* (Florencja, *La Voce*, 1925).

odrazu do tego poety, który dla obcych (choć nie dla Anglików!) jest najpotężniejszem po Shakespearze zjawiskiem w dziejach pieśni angielskiej. Byron jest zarazem najbardziej włoskim ze wszystkich poetów angielskich. Jak Shakespeare, podlega on raczej głębokiemu wpływowi życia włoskiego niż literatury włoskiej; jak Shakespeare też, ma w temperamencie dużo wrodzonego podobieństwa do charakteru narodowego włoskiego; i na gruncie włoskim temperament ten tak wyładowuje, że staje się najżywszem potwierdzeniem starego renesansowego przysłowia *Un Inglese italianato è un diavolo incarnato*.

Wygnany z Anglji przez ostracyzm towarzyski swej faryzeuszowskiej klasy po skandalicznej sprawie rozwodowej, spędza szereg lat na ziemi włoskiej, mieszka w pięknych włoskich miastach od Wenecji i Rzymu do Rawenny, Pizy, Liworno i Genui; pogrąża się w nurt szalonej zabawy w tym karnawale weneckim, który z brawurową werwą opisał w swej humoresce poetyckiej *Beppo;* konspiruje z karbonarjuszami i jest śledzony przez rząd austrjacki, z którego sobie kpi w otwieranych przez cenzurę listach; snuje się przez te jego lata malowniczy korowód kochanek włoskich od śniadej i krewkiej piekarzowej weneckiej do łagodnej bladolicej hrabiny Guiccioli, tej najwierniejszej z wszystkich, co mu stworzyła illuzję szczęścia domowego. Byron nietylko — rzecz niezwykła u Anglika! — owładnął w zupełności, jak ojczystym, tym cudnym językiem, „słodkiem dziecięciem miłosnem łaciny“, jak go nazywa [1]; ale, jak się słusznie chwali, żył z całym ludem, od pana do chłopa — *from Conte to Contadino,* — poznał jego domy i jego dusze: wnika całą swą płomienną naturą w namiętną naturę włoską.

Z Włochami łączy Byrona główna jego cecha jako poety: jest nią realizm, umiłowanie życia. Jeżeli pod wpływem pesymistycznych nastrojów i melancholijnej pozy licznych byronistów we wszystkich literaturach europejskich przywykliśmy patrzeć na Byrona jako na wielkiego mizantropa w poezji, to nie należy zapominać, że stał się mizantropem tylko z nieszczęśliwej miłości do ludzkości — tak samo jak samobójcą według Schopenhauera, staje się człowiek tylko z nieszczęśliwej miłości do życia. Zawiedzione niejednokrotnie i gorzko, zawsze bezgranicznem pozostaje uwielbienie Byrona dla wiel-

[1] *I love the language, that soft bastard Latin... (Beppo,* XLIV, 1).

kości człowieka. Dla klasyka człowiek jest koroną stworzenia, romantyk lubi roztapiać osobistość ludzką w panteistycznym wszechbycie: gdy zastosujemy to kryterjum, Byron jest klasykiem, jak jest klasykiem każdy typowy Włoch. Wielka epopeja satyryczna Byrona „Don Juan“ pełna jest ironji; — tak samo pełny jej jest pierwowzór „Don Juana“ — „Orlando“ Ariosta. Ale też taksamo jak „Orlando“, jest i „Don Juan“ pomnikiem zachwytu nad bogactwem i rozmaitością życia i natury ludzkiej. Słusznie o tem arcydziele Byrona powiedział Goethe, że o ile w niem nie brak szalonych wybuchów nienawiści do ludzi, o tyle też nie brak miłości do człowieka, dochodzącej do zapamiętania [1]. W potoczystej włoskiej oktawie, płynącej i mieniącej się jak nieskończone fale oceanu, znalazł Byron najdogodniejsze narzędzie do tych pobieżnych, wpół drwiących a wpół uczuciowych rozpraw o wszech rzeczach ludzkich, co stanowią właściwą treść „Don Juana“. Nietylko formę wierszowania, ale i styl właściwy dla tej poetyckiej encyklopedji swych poglądów na życie i na człowieka znalazł Byron we Włoszech. Obok Ariosta pociągają go zdawna pomniejsi i późniejsi mistrze żartobliwego rodzaju heroicznokomicznej epopei: Pulci (którego *Morgante Maggiore* zaczął tłumaczyć na język angielski), Berni i Casti. Uwagę czytającego ogółu angielskiego zwrócił na nich wykwintny literat-dyplomata, tłumacz Arystofanesa John Hookham Frere, pisząc w ich rodzaju humorystyczną epopeję o królu Arturze i jego rycerzach p. t. „Mnichy i olbrzymy“ *(The Monks and the Giants)* — wydaną pod pseudonimem Whistlecraft. Jak dalece Byron zagłębiał się w te wzory epiki bohatersko-drwiącej, najlepszym dowodem fakt, że jak wykazano niedawno [2] nawet do partji „Don Juana“ tak odległej treścią od Włoch, jak pieśń o udziale bohatera w wojnie rosyjsko-tureckiej i jego przygodach na dworze Katarzyny (VII—X) poeta szczegóły zaczerpnął z żartobliwej epopei autobiograficznej *Il Poema Tartaro*, w której Casti pod przejrzystą maską awanturnika opowiedział własne swoje przeżycia z czasów kilkoletniego pobytu na dworze rosyjskim.

[1] R. Dybowski: „O Don Juanie Byrona“ („Przegląd Warszawski“, lipiec 1922).

[2] Fuess, C. M., *Lord Byron as a Satirist in Verse (Columbia University Studies in English and Comparative Literature).* Nowy York, 1912. Por. rozdział o Byronie przez F. W. Mormana w XII tomie zbiorowego dzieła *The Cambridge History of English Literature* (ed. A. W. Ward, A. R. Waller), 1915, 2 wyd. 1921.

W porównaniu z tym gigantycznym pomnikiem życiowych i literackich, psychicznych i stylistycznych elementów włoskich w genjuszu Byrona, jakim jest „Don Juan", — na drugi plan ustępują liczne inne ślady wpływów włoskich w całej jego późniejszej twórczości. Byron, choć zawsze gorączkowo rozczytany, zawsze jednak zarazem wrażliwszy jest na to, co daje życie, niż na to, co daje sztuka. Sam przyznaje, że w sztuce działa na niego głównie to, co się treścią swą tak czy owak kojarzy z jego osobistemi przeżyciami. Homer — mówi — nie zajmowałby go tak potężnie, gdyby sam nie był zwiedził miejsca, gdzie stała Troja. Będąc w Rzymie, jak sam w listach opowiada, Byron wolał jeździć konno po Kampanji i łowić ryby w potokach znanych mu jeszcze z rzymskich pisarzy, niż ciągnąć swą kulawą nogę po muzeach i galerjach. Czyż nie znamienne i to, że najmniej ścisłe są jego węzły z najbardziej muzealnem i najwyłączniej artystycznem z miast włoskich — Florencją? Unika jej jakby instynktownie.

Jednak i w stosunku do sztuki i literatury włoskiej Byron zrobił to, czego od poety angielskiego, tak zadomowionego we Włoszech, wymagała kulturalna przyzwoitość, i zrobił w każdym razie więcej niż ktokolwiek przed nim prócz Goethego. Więc dał najdoskonalszego w świecie poetyckiego B a e d e k e r a do pomników sztuki, grobów genjuszów i ruin historji we Włoszech w czwartej pieśni „Pielgrzymki Childe-Harolda". Pokłonił się wszystkim po kolei wielkim pisarzom włoskim w tym wierszowanym katalogu historyczno-literackim, jakim jest jego poemat „Proroctwo Dantego". A jednego z największych, z głębokiem współczuciem za wzorem Goethego, wskrzesił w jego cierpiącej postaci ludzkiej w monologicznym utworze „Żale Tassa". Naśladował dalej modne klasycystyczne tragedje Alfierego — któremi się w teatrze weneckim „Feniks" aż do histerji zachwycał — w swych własnych deklamacyjnych dramatach z dziejów weneckich „Marino Faliero" i „Dwaj Foscari". Wreszcie w ostatniem, niedokończonem swem dziele dramatycznem „Niekształtny przekształcony", postawił nam przed oczy potężny, żywy obraz pamiętnego *sacco di Roma* z r. 1527.

5.

Wobec bogactwa elementów włoskich w życiu i twórczości Byrona znikome w porównaniu są pierwiastki włoskie w twórczości innych wielkich romantyków angielskich.

S h e l l e y niemniej ściśle niż Byron losami życia skojarzony jest z Włochami. Tak samo jak on skazany na banicję towarzyską, na ziemi włoskiej całe późniejsze lata swego meteorycznego, krótkiego żywota spędził, we Włoszech nawet utwory swe angielskie drukował, wreszcie we włoskiem morzu utonął, na włoskiem wybrzeżu spalono jego ciało, i we włoskim grobie — koło piramidy Cestiusa na rzymskiej ulicy grobów, Via Appia — spoczywają jego popioły. Włoski przedmiot, straszliwą tragedję rodziny C e n c i, uczynił nieśmiertelnym w literaturze, obierając go za przedmiot poetyckiego dramatu. Cała zaś jego liryka pełna jest ekstazy nad przyrodą włoską nadewszystko: wystarczy przytoczyć same tytuły takich jego hymnów o jej piękności jak „Wiersze pisane wśród wzgórz euganejskich", „Wieczór na Ponte al Mare w Pizie", „Łódź na Serchio", „Las pinjowy Cascine koło Pizy", „W zatoce Lerici". Nie brak i reminiscencyj historycznych, jak A l b e r t o M a r e n g h i (opowieść z dziejów wojen między Florencją a Pizą); nie brak i płomiennych apostrof politycznych do bojowników o wyzwolenie Włoch, jak „Oda do Neapolu".

Ale cała atmosfera duchowa, w której się w poezji Shelleya bezustannie poruszamy, to nie atmosfera włoska. Oddychamy przerzedzonem powietrzem wyżyn nadziemskich, obracamy się w świecie idej platońskich, od którego kryształowej czystości i archanielskiego blasku wieje nieludzkim chłodem abstrakcji. Takich uczuć doznaje czytelnik tej osobliwej ody miłosnej *Epipsychidion*, z którą Shelley zwrócił się do młodej Włoszki Emilji Viviani, zamkniętej przez rodzinę w klasztorze. Sam w przedmowie[1] do tego poematu mówi, że błędem tego, co go wyśpiewał, było *thnetos on me thneta fronein* — „śmiertelnym będąc, o nieśmiertelnych myśleć rzeczach". Istotnie tak głęboko to wszystko odmienne od namiętnego i wiecznie naiwnego ukochania życia przez duszę włoską, a także przez duszę Byrona, jak biegunowo się różnić musi od realizmu filozoficzny idealizm. Odczuwał tę swą odrębność sam Shelley, gdy porównywał siebie z Byronem w poemacie *Julian and Maddalo*, a głębiej jeszcze, gdy popadał w wielu ze swych najczarowniejszych wierszy lirycznych w bezbrzeżny smutek osamotnienia: tak w „zwrotkach pisanych w przygnębieniu koło Neapolu" lub w cudownej piosence „Rzadko, rzadko mnie nachodzisz, duchu upojenia..."

[1] Właściwie w odrzuconym bruljonie przedmowy (w wydaniu oksfordzkiem T. Hutchinsona, 1904, str. 467).

Żył jednak właśnie wtedy, prawie jako rówieśnik Shelleya, nieznany mu wielki poeta włoski, którego pienia tchną tymsamym romantycznym smutkiem, co te pieśni shelleyowskie: Giacomo Leopardi. Na poezję angielską, tak samo jak na poezję wszystkich narodów na północ od Alp, potężnie oddziałał ten klasyk pesymizmu, przy całym klasycyźmie formy tak nawskroś niewłoski duchem: z jego natchnień James Thomson (pseudonim „Bysshe Vanolis") wysnuł swą ponurą wizję „Miasto straszliwej nocy" (*The City of Dreadful Night*, 1870—1874). Leopardiemu, którego nazywa „młodszym bratem Dantego", poświęcił pesymista angielski pierwszy zbiór swych poezyj, a później jeszcze wydał tomik przekładów jego „Dialogów" z zarysem biograficzno-krytycznym.

Oprócz Shelleya także i drugi młodo zmarły kochanek bogów, Jan Keats, spoczął w ukochanej gorąco ziemi włoskiej. Odkąd ujrzał marmury Partenonu w Muzeum Brytyjskiem, rozmiłowany z całą zmysłową namiętnością suchotnika w klasycznem pięknie formy, Keats jest największym poprzednikiem prerafaelitów w poezji angielskiej: jego twórczość, pełna natchnień czerpanych z wielkich dzieł sztuki i literatury, stanowi ogniwo łączące epokę romantyczną z tym późniejszym okresem wieku XIX, gdy malarstwo włoskie staje się czynnikiem górującym wśród włoskich elementów literatury angielskiej. Wyobraźnia Keatsa także już niewątpliwie przez wielkie stare malarstwo jest zapłodniona. Jego „Izabella" — to szereg malowideł poetyckich w stylu prerafaelickim według scen z tragicznej opowieści Boccaccia. Tak samo wiersze jak „Wigilja świętej Agnieszki" lub „Wigilja świętego Marka", to obrazki życia średniowiecznego w klasztorze i w mieście, w cieniu katedry.

6.

Po Byronie jeszcze jeden poeta angielski tak ściśle, jak on, zżył się z Włochami: Robert Browning. Przykrą a błogosławioną przyczyną tego pożycia, prawdziwą *felix culpa!* — znowu tu, jak u Byrona i u Shelleya, jest ostracyzm towarzyski, jako skutek skandalu małżeńskiego: jak Shelley córkę filozofa Godwina, tak Browning sensacyjnie uprowadził do Włoch starszą od siebie i schorzałą poetkę Elżbietę Barrett, która w słońcu italskiem wyzdrowiała i odżyła.

Ale pożycie tej pary poetów z Włochami, w których wiek

życia spędzili, zgoła innej jest natury niż niespokojne wędrówki Byrona: tu nad życiem i użyciem przeważa refleksja i sztuka, tłem niezmienionem a znamiennem długich i spokojnych lat jest właśnie ta kontemplatywna Florencja, w której Byron nigdy dłużej nie zamieszkał. Twórczość Browninga pełna jest wierszy o malarzach włoskich dawnych czasów. Obok takich znakomitości jak Fra Lippo Lippi lub Andrea del Sarto prawią monologi i opowiadają o swych przeżyciach wewnętrznych w jego wierszach takie drugorzędne, zapomniane figury jak Pacchiarotto z Sieny, malarz, reformator i spiskowiec XV wieku, albo Francesco Furini, malarz wieku XVII, pokutujący jako ksiądz za zmysłową nagość swych postaci. Nietylko malarzy zresztą spotykamy wśród tej galerji nieznanych osobliwości włoskich, co przemawiają do nas z kart poezyj Browninga: jest i lekarz z XIV wieku, Pietro di Albano, oskarżany o czarną magję; jest historyk sztuki z XVII stulecia Filippo Baldinucci; jest głośny matkobójca Paolo Santa Croce; jakiś anonimowy biskup w Rzymie XVI wieku zamawia sobie u artysty wspaniały grób; Romanelli, malarz zakochany w malarce, porzuca dla niej wierną żonę. Takie „rozmowy z ludźmi, co byli ważni w swoim czasie" — *Parleyings with Certain People of Importance in their Day*, jak nazwał Browning jeden ze swych zbiorów — wysnute są z olbrzymiego oczytania poety w anegdotycznych kurjozach literackich, rozciągającego się zresztą na wiele innych jeszcze krajów poza Włochami — od Rosji i Niemiec do Hiszpanji i Arabji.

Ogromnym monumentem przeczytanej anegdoty włoskiej stało się najrozleglejsze dzieło Browninga — epopeja „Pierścień i książka" *(The Ring and the Book).* W antykwarjacie florenckim znalazł poeta pożółkłą broszurkę o sensacyjnym procesie w Rzymie pod koniec wieku XVII: hrabia Guido Franceschini z wyroku trybunału papieskiego dał gardło za to, że kazał zamordować młodą swą żonę, która uciekła od jego tyranji do swych ubogich rodziców pod opieką rycerskiego młodego księdza. Poeta ma niebywały w dziejach literatury pomysł: oto przedstawia całą psychologiczną głębię tej kolporterskiej historji kryminalnej, opowiadając nam ją — dziesięć razy, w dziesięciu księgach po kolei, z punktu widzenia każdej z zainteresowanych osób — nie wyjmując konającej w szpitalu żony, nie wyjmując i papieża, który w monologu rozważa sobie całą sprawę przed wydaniem wyroku.

Obok epopei, której całą treścią jest refleksja, mamy taki nawskróś refleksyjny dramat, również o temacie włoskim, jak „Luria": szlachetny murzyn, w rycerskiej służbie jednej z republik włoskich — coś w rodzaju Otella — poznaje całą podłość, kryjącą się pod pokostem tej kultury europejskiej, którą tak uwielbiał, — i to tragiczne rozczarowanie go łamie.

Refleksja — w przeciwieństwie do Byrona, o którym Goethe słusznie powiedział: *Sobald er reflektiert, ist er ein Kind* — stanowi *aër vitalis* poezji Browninga. Ona jest główną cechą licznych jego drobnych obrazków poetyckich z otaczającego życia włoskiego. Wszystkie możnaby je tak nazwać, jak zatytułowany jest jeden z nich: „Na górze w willi — na dole w mieście" *(Up at a Villa — Down in the City):* ktoś z ciszy samotnej willi na wzgórzu tęsknie i ciekawie patrzy na mrowisko życia na rynku miasta włoskiego i stawia je nam przed oczy swemi słowy. Wielką, istotną wartość dla tych wybrańców, co tego nader trudnego poetę pokochali, nadają twórczości jego właśnie te bogate, zawiłe rozmyślania, któremi oplata obserwowane sceny. Drobna kompozycja zapomnianego muzyka — *A Toccata of Galuppi's* — wskrzesza w wyobraźni poety omdlewający rytm życia towarzyskiego wśród przygasłego splendoru Wenecji w XVIII wieku — i płyną refleksje historjozofa nad „wielkością i upadkiem"... Scena miłosna „W gondoli" *(In a Gondola)*, zakończona nagłą śmiercią kochanka od sztyletu najemnego zabójcy — daje sposobność do tego filozoficznego zestawienia miłości ze śmiercią, które nigdy poetów nęcić nie przestanie. „Stare obrazy we Florencji" *(Old Pictures in Florence)* nasuwają rozmyślania nad związkiem pomiędzy sztuką a życiem narodu, i medytacje kończą się proroctwem nowej chwały sztuki włoskiej w słońcu odzyskanej wolności. „Włoch w Anglji" *(The Italian in England)* mściwie wspomina Austrjaków, co go ścigali, miłośnie kraj, a tęsknie — poświęconą dla sprawy kochankę. Znowuż „Anglik we Włoszech" *(The Englishman in Italy)* nad zatoką Sorrento śni cudny sen miłosny z Włoszką, upaja się przyrodą i życiem włoskiem. Bogatą treść myślową tych głęboko refleksyjnych obrazków włoskich niezdolne byłoby wyczerpać nawet takie streszczenie, na jakie tu miejsca niema; zaś dla charakterystyki tego stosunku do Włoch i kultury włoskiej, który je wszystkie przenika, wystarczy przytoczyć westchnienie poety we wierszu *De Gustibus*. Przypomina sobie Browning, jak to angielska królowa Marja katolicka, utraciw-

szy najważniejszą placówkę dawnej potęgi Anglji na ziemi francuskiej — Calais, — nigdy tej straty przeboleć nie mogła i nawet umierając miała powiedzieć, że gdy jej serce otworzą, znajdą w niem wypisane słowo *Calais*. Tak samo w jego sercu wyryte jest słowo *Włochy*. On i Włochy — to para starych kochanków; tak było i będzie — na wieki i Amen!

Italy, my Italy!
Queen Mary's saying serves for me —
(When fortune's malice
Lost her — Calais) —
Open my heart and you will see
Graved inside of it, „Italy".
Such lovers old are I and she;
So it always was, so shall ever be!

Poezję jego żony, Elżbiety Barrett Browning, włoski poeta Tommaseo w napisie na jej florenckim nagrobku nazwał *aureo anello fra Italia e Inghilterra*. Główny jej poemat poświęcony przedmiotowi włoskiemu, to „Okna w Casa Guidi" (florenckim domu obojga poetów): z okien tych poetka, refleksyjna jak jej małżonek, ogląda dokonywujący się na jej oczach wielki akt dziejowy wyzwolenia i zjednoczenia Włoch. Wspominając wielką przeszłość, wierzy we wielką przyszłość, i w głębokich słowach stwierdza ożywczą wartość przeszłości kulturalnej dla przyszłości politycznej narodu. Gorąco przemawia za interwencją Anglji, choćby naruszyć miała pacyfistyczną zasadę, że „polityka brytyjska, to handel brytyjski". Wspomina przytem i o innych w Europie krzywdach — także o naszej Polsce. Jesteśmy w r. 1851 — w przededniu wojny krymskiej. Poetka doczekała się triumfalnego wjazdu Wiktora Emanuela do Florencji w r. 1860 i powitała go hymnem jako „króla nas wszystkich" *(King of us all):* w tej wielkiej chwili całkiem się poczuła Włoszką i Florentynką.

7.

Te dwa tony, w które uderzyli Browning i jego żona — akcent zachwytu nad wielką sztuką Włoch dawnych i akcent gorącej sympatji dla sprawy wyzwolenia Włoch nowych, — to nuty rozbrzmiewające odtąd stale w literaturze angielskiej.

Poezja i proza italofilska w Anglji w okresie *Risorgimento* ozdobione są największemi nazwiskami epoki. Swinburne,

ten płomienny piewca wszystkich rewolucyj i buntów swej epoki, najwięcej i z największem uniesieniem śpiewa na cześć powstających Włoch, najgwałtowniej uderza bronią swego potężnego słowa na metternichowską i po-metternichowską Austrję. Jerzy Meredith, największy mistrz psychologji w nowszej powieści angielskiej, z upodobaniem czerpiący przedmioty z aktualnej kroniki towarzyskiej współczesnej Anglji, dwukrotnie — w powieściach *Sandra Belloni* i *Vittoria* — osnową opowiadania robi związki osobiste między włoskim ruchem wolnościowym a Anglją.

Związki to były żywe bardzo: Cavour w Anglji się kształcił, Mazzini miał tam najserdeczniejszych przyjaciół wśród wybitnych pisarzy epoki wiktorjańskiej.

Z natury rzeczy, gdy nowe Włochy rozpoczęły normalne życie państwowe, głosy italofilskie w literaturze angielskiej nieco przycichły. Ale nigdy nie ucichły zupełnie: jeszcze za naszych dni Trevelyan napisał najpiękniejszą książkę o Garibaldim i jego tysiącu bohaterach, a dziś profesor literatury włoskiej w Uniwersytecie londyńskim, p. Edmund Gardner, niemniej gorliwie i gorąco przemawia w swoich dziełach do rodaków o wielkości Włoch, jak jego siostra Monika o wieszczach i wodzach polskich. Skojarzeniem natchnień brata i siostry był odczyt profesora Gardnera w Londynie jesienią r. 1923 p. t. „Mazzini a sprawa polska".

Ale nas tu interesują nietyle objawy politycznej sympatji Anglików dla Włoch, ile wpływy wielkich rzeczy w literaturze, sztuce i historji włoskiej na umysłowość angielską. Ta strona stosunków włosko-angielskich rozrasta się w XIX wieku przedewszystkiem pod względem naukowym.

A więc rozwija się i sięga wysokiego poziomu dantologja angielska. Klasycznego przekładu „Boskiej Komedji" na prawdziwie pomnikową prozę dokonał H. F. Cary, (wierszem białym przełożył ją później najpopularniejszy z poetów amerykańskich, Longfellow). *All'onorevole Guglielmo Warren Vernon* dedykował swoje wydanie „Komedji" Scartazzini, nazywając go przytem nietylko *mecenate degli studii danteschi*, ale zarazem słusznie chwaląc jako *dotto traduttore e commentatore*. A Paget Toynbee na międzynarodowem polu badań dantejskich niepoślednie zajmuje stanowisko obok uczonych innych krajów. Zainteresowanie i miłość dla Dantego poetów angielskich, począwszy jeszcze od klasycystów XVIII wieku, jak Tomasz Gray, śledzi w szeregu studjów

oksfordzki „profesor poezji“ [1]. *Poeta laureatus* Anglji wiktorjańskiej, lord Tennyson w 600-ną rocznicę urodzin Dantego na wezwanie gminy florenckiej majestatycznym gestem składa u stóp wielkiego wieszcza „kwiat, co za dzień zwiędnie“, hołdując w swych wierszach „królowi, co od sześciu wieków coraz potężniej panuje“.

Hołd głębokich studjów historyczno-kulturalnych złożyła miastu rodzinnemu Dantego inna pierwszorzędna wielkość literacka epoki Tennysona, pani George Eliot, dając w swej powieści historycznej *Romola* bogaty i wszechstronny obraz życia Florencji w dobie Savonaroli.

Ale najpotężniej oddziałały i najpamiętniejsze owoce literackie wydały w Anglji późniejszego wieku XIX studja nad malarstwem i sztukami plastycznemi dawnych Włoch, ożywiające się w miarę rozrostu tego niezrównanego zbioru arcydzieł włoskich, który do użytku każdego Anglika gromadzi się stopniowo w wielkiej Galerji Narodowej londyńskiej w ciągu jej stuletniego dotąd istnienia (1824—1924). Crowe i Cavalcaselle (których na nowo wydał Borenius), a w XX wieku błyskotliwy dziwak stylistyczny Haldane Macfall dali czytelnikowi angielskiemu obszerne dzieła o dziejach malarstwa włoskiego. Wcześniej, i w sposób prawdziwie epokowy w swem działaniu na psychikę całego pokolenia, Ruskin w długim szeregu dzieł otwierał ogółowi angielskiemu oczy na piękno sztuki i natury, przyczem często, w „Kamieniach weneckich“, w „Nowoczesnych malarzach“ i gdzieindziej — za przedmiot i przykład dla swych hymnicznych zachwytów brał arcydzieła zarówno malarstwa włoskiego jak architektury i rzeźby włoskiej. Wykwintny stylista oksfordzki John Addington Symonds w sześciu tomach (1875—1886) złożył swe świetne spostrzeżenia nad różnemi fazami i postaciami Odrodzenia włoskiego, a większy jeszcze od niego mistrz stylu w tym samym klasycznym Oksfordzie, nauczyciel Oskara Wilde, Walter Pater, w jednym niewielkim, nieśmiertelnym tomiku studjów historycznych i szkiców krytycznych o Renesansie włoskim (1876) rzucił garść klejnotów literackich, których blasku żadne późniejsze badania już nie zaćmią. Jego nieporównana charakterystyka Mony

[1] T. Herbert Warren, D. C. L., *Essays of Poets and Poetry Ancient and Modern.* Londyn, John Murray, 1909. (Rozdział IV: *Dante and the Art of Poetry.* — VI: *Gray and Dante.* — VII: *Tennyson and Dante*).

L i z y jest może najlepszym przykładem tego, jak romantyczy duch północy przenika największe dzieła genjuszu południowego swym sentymentem i osnuwa je atmosferą swej poezji. Elementy romantyczne, tkwiące w klasycznem dziele Leonarda, wydobywa i czarownym korowodem przed nami roztacza Pater, gdy tak tłumaczy jej niezgłębiony uśmiech i straszliwą moc jej uroku:

„Starsza jest niż te skały, pośród których siedzi; jak wampir, umarłą już była razy wiele, i poznała tajniki grobu; nurkiem była w głębokich morzach, i ich upadły dzień ma w koło siebie; kupczyła o dziwne tkaniny z handlarzami Wschodu; jako Leda, matką była Heleny trojańskiej, jako święta Anna, matką Marji; a wszystko to dla niej było tylko jakby dźwięk liry i głos fletni, wszystko żyje tylko w tej subtelności, z jaką ukształtowało zmienne rysy oblicza i ubarwiło powieki i ręce“ [1].

Na tle takich samych intuicyjnych studjów nad wcześniejszą jeszcze, przedrenesansową sztuką włoską, i na podstawie takiego samego zasadniczo romantycznego usposobienia u całej grupy genjalnych młodych entuzjastów zakwita ten czarodziejski ogród malowniczej poezji i poetyckiego malarstwa, jakim jest p r e r a f a e l i t y z m angielski. Najpiękniejszym kwiatem w tym ogrodzie jest wielki malarz i poeta D a n t e G a b r i e l R o s s e t t i. Jego ojciec, emigrant polityczny włoski, był pierwszym profesorem literatury włoskiej w Uniwersytecie londyńskim. Syn tego ambasadora kultury włoskiej wychowany wśród mgieł londyńskich, w najdoskonalszy, jaki dotąd w dziejach widziano, sposób łączy romantyczną tęsknicę człowieka północy ze zmysłowem ubóstwieniem cielesnego piękna przed południowca, — tak, jak łączy idealny wdzięk romantycznej poezji ze zmysłowym urokiem klasycznej piękności jego modelka, Muza i młodo zmarła żona Elżbieta Eleonora S i d d a l.

W malarstwie i poezji Rossettiego wciąż prawie poruszamy się w kręgu natchnień włoskich: wystarczy wspomnieć taki

---

[1] *„She is older than the rocks among which she sits; like the vampire, she has been dead many times, and learned the secrets of the grave; and has been a diver in deep seas, and keeps their fallen day about her; and trafficked for strange webs with Eastern merchants; and, as Leda, was the mother of Helen of Troy, and, as Saint Anne, the mother of Mary; and all this has been to her but as the sound of lyres and flutes, and lives only in the delicacy with which it has moulded the changing lineaments, and tinged the eyelids and the hands“* (1869).

jego obraz jak „Sen Dantego", albo taki dłuższy poemat jak „Dante w Weronie". Najlepszą może kwintesencją jego malarsko-poetyckiego ducha są sonety o wielkich obrazach włoskich. Jako godny porównania ze słowami Patera o Monie Lizie przytoczę tu jego sonet o dostojnej sąsiadce Mony Lizy w Luwrze — „Madonnie wśród skał". Każdy, kto widział ten obraz, niezatartą chowa pamięć o tem, jak już w nim samym dane jest połączenie pierwiastka romantycznego z klasycznym: klasycznej piękności postacie Matki i Dzieciecia na tle romantycznego pejzażu tajemniczych jakichś, niesamowitych skał, wód i drzew. Tę fascynację perspektyw zaświatowych, którą tchnie ów oddalony i zagadkowy krajobraz, wyśpiewał w głęboko przejmujący sposób Rossetti:

„Matko, czy to już ciemność ostateczna i cienie śmierci? Czy ten przestwór morza hen w oddali, to Wieczność nieskończona, nadchodząca? Czy ból śmierci, co w każdej czasu chwili przenika jakieś serce ludzkie, sprawia, że lico schylasz nad Synem w modlitwie milczącej, gdy On milcząco zmarłych błogosławi na ten dzień długi, dzień Jego, dzień godzinami już niezakłócony?"

„Matko łaski, ciężka ta ciasna droga, ostra jak te skały; oszalałe dusze tłoczą się po niej jak echa, ślepo, z dreszczem przechodząc".

„Twoje imię zaś, o Panie, głos ducha wielbi, boć Twój pokój mieszka w oddali tego ciemnego chodnika, pośród goryczy rzeczy ukrytych" [1].

Na tych wysokich akcentach mistycznych, wydobytych z duszy angielskiej przez wielkie dzieło genjuszu włoskiego, zakończymy tę wędrówkę wśród świetnych rzeczy w piśmiennictwie angielskiem, natchnionych przez Włochy.

*

---

[1] *Mother, is this the darkness of the end,*
The Shadow of Death? and is that outer sea
Infinite imminent Eternity?
And does the death-pang by man's seed sustained
In Time's each instant, cause thy face to bend
Its silent prayer upon the Son, while He
Blesses the dead with His hand silently
To His long day which hours no more offend?

Mother of grace, the pass is difficult,
Keen as the rocks, and the bewildered souls,
Throng it like echoes, blindly shuddering through.
Thy name, o Lord, each spirit's voice extols,
Whose peace abides in the dark avenue
Amid the bitterness of things occult.

Wobec tak wspaniałych owoców natchnień włoskich w literaturze angielskiej, dziwić się nie można, że dla Anglika, tak samo jak i dla narodów mniej bogatych we własny wielki dorobek kulturalny, Włochy są ziemią obiecaną ducha i piękna, — i że zmarła niedawno poetka angielska Alicja Meynell niegdyś pisała na wyżynie przełęczy, zjeżdżając z Alp do tej słonecznej drugiej ojczyzny każdego z nas: „O roztoczone przed okiem Południe! O płomienne lato! O ty, potoczku, pierwszy z tysiąca, co ku południowi dążą! Serce pątnika wyzwalają te nieskończone rzeki; niemasz już walki, niemasz niepokoju; tysiącem dolin spadam, spływam ku Tobie, Italjo!“ [1].

---

[1] *But o the unfolding South! the burst*
Of summer! O to see
Of all the southward brooks the first!
The travelling heart went free
With endless streams; that strife was stopped;
And down a thousand vales I dropped,
I flowed to Italy.

(*Poems*, Londyn, Burns, Oates & Washbourne, 1923, str. 55).

II.

„JULJUSZ CEZAR" SHAKESPEARA A DZIEŃ DZISIEJSZY

1.

Wśród utworów Shakespeara, w których pulsuje tak potężnie duch romantyczny, pierwszy jego dramat rzymski jest najbardziej klasycznym nietylko przez swój przedmiot, ale i przez formę. Prawie cały pisany jest uroczystym, retorycznym wierszem; występujący w nim wybitni obywatele rzymscy przemawiają zawsze z majestatyczną powagą, jakby przejęci doniosłością dziejową swych słów i czynów; mowa jest ciągle o ważnych sprawach państwowych, prawie nigdy o osobistych; niemal ciągle jest na scenie jakiś tłum słuchaczy — sprzysiężeni, lud, wojsko — i przemówienia głównych aktorów mają wskutek tego charakter deklamatorski; brak prawie zupełnie ustępów prozą, w innych dramatach Shakespeara przeplatających sceny wierszowane, i brak tych epizodów realistyczno-komicznych, które arcydziełom tragicznej Muzy poety nadają tak odrębną i swoistą cechę.

Cała ta koturnowość tonu sprawiała, że „Juljusz Cezar" cieszył się względną popularnością u klasycystów XVIII wieku, którzy zresztą na twórczość Shakespeara patrzyli z wyżyny swych odmiennych dogmatów. Uwielbia „Cezara", tłumaczy go i naśladuje w dramatach własnych Voltaire, a Goethe nietylko kilkakrotnie w życiu nosi się z planem własnego dzieła o podobnym temacie, ale utwór Shakespeara wystawia z honorami na scenie teatru weimarskiego w okresie, w którym sam najwierniej hołduje ideałom klasycznym.

Z tych samych jednak powodów właśnie, dla których „Juljusz Cezar" zalecał się wyznawcom estetyki klasycystycznej, utwór przedstawiać się musiał jako jedno z mniej ponętnych dzieł Shakespeara ludziom XIX wieku, wykarmionym na ideologji romantycznej. Pompatyczność deklamacyj, brak urozmaicenia indywidualnego i brak upstrzenia akcji przez komikę —

wszystko to wywoływało wrażenie posągowej monotonji w przeciwieństwie do malowniczej barwności innych dzieł poety. Z dramatów rzymskich nie pociągał generacyj romantycznych ani „Juljusz Cezar" ani „Korjolan" — utwory nazbyt wyłącznie polityczne w treści, a w stylu nazbyt wiernie odtwarzające surową prostotę starego republikańskiego Rzymu. Zachwycał te pokolenia raczej trzeci dramat rzymski, „Antonjusz i Kleopatra", ze swą płomienną akcją miłosną, bogactwem charakterystyki indywidualnej w rysunku bohaterki i fantastycznym egzotyzmem i przepychem tła wschodniego.

2.

W „Cezarze" oprócz poważnej jednostajności stylu, analizujące umysły wieku XIX drażnił widoczny brak ideowej jednolitości w koncepcji artystycznej poety. Zdawało się poprostu, że Shakespeare, po raz pierwszy w swej twórczości otwarłszy magiczne karty Plutarcha, olśniony bogactwami „Żywotów sławnych Greków i Rzymian", znalazł się w prawdziwym *embarras de richesse* i jął pełnemi garściami czerpać swe złoto z trzech życiorysów naraz: Cezara, Brutusa i Antonjusza, bez dbałości o jedność planu dramatycznego. W rezultacie, jak surowo orzekł jeden z największych pisarzy dramatycznych XIX wieku, Franciszek Grillparzer, „jakkolwiek rzecz weźmiemy, „Juljusz Cezar" nie jest sztuką dobrą. Pierwsze trzy akty dramatycznie doskonałe, potem wątek się rwie i interes staje się ściśle historyczny... Ostatecznie — wydarzenia, nie akcja." Istotnie — bohaterem sztuki nie jest ani sam Cezar, którego oglądamy tylko w okresie starczego uwiądu jego wielkości (uwiądu, przez poetę drażniąco uwydatnionego), ani Antonjusz, który jest sprężyną akcji raczej niż pierwszoplanowym charakterem, ani wreszcie Brutus; bo choć ten poetę najgłębiej interesuje psychologicznie i jako „najszlachetniejszy Rzymianin z nich wszystkich" pokłon w ostatnich słowach sztuki otrzymuje, jednak właśnie w tych partjach, gdzie mógłby się już definitywnie na pierwszy plan wybić, jak słusznie zauważył cytowany już Grillparzer, „kontrast między bezinteresownością Brutusa a osobistą ambicją i zawiścią innych nie jest wyzyskany konsekwentnie". Nie można też, jak chciał inny, entuzjastyczniejszy krytyk-poeta, Swinburne, pojmować tragedji Brutusa jako hołdu poety dla historycznego ideału republikańskiego, którego Brutus jest ostatnim w Rzymie rycerzem.

Przeciwnie — co właśnie głównie odstręczało ludzi XIX wieku od tego dzieła Shakespeara, to szczególnie widoczny tutaj wrogi jego stosunek do idei demokratycznej, brak wszelkiego zmysłu dla tych doktryn socjalnych, które od Rewolucji francuskiej poczynały się stawać atmosferą duchową całego cywilizowanego świata. *L'avvenire è muto nelle sue pagine, l'entusiasmo pei grandi principii ignorato!* tym głosem skargi odezwał się niegdyś o Shakespearze wielki idealista republikański, Mazzini. A najznakomitszy w naszych czasach historyk dramatu, zmarły krakowski profesor Wilhelm Creizenach, przytaczając te słowa i wspominając o napaściach Lwa Tołstoja na Shakespeara za jego anty-demokratyzm, przyznaje sam, że Shakespeare nie należy do genjuszów wieszczych, których ideje wyprzedzają epokę i jak zorza zwiastują nowy dzień historji.

3.

Trzy razy w swej twórczości Shakespeare z odrazą i pogardą przedstawił tłum jako cuchnącą i ordynarną, bezmyślną i dziką „wielogłową bestję", biernie poruszaną każdym powiewem zręcznej demagogji, niezdolną do idealizmu i poświęcenia, a za to zdolną w stanie podrażnienia do największych okrucieństw. Bunt motłochu pod wodzą Jacka Cade w „Henryku VI" (część II, akt IV, sc. 2—10) ma wszystkie typowe cechy rewolty bolszewickiej, począwszy od naiwnego pojmowania komunizmu [1], a skończywszy na tępieniu inteligencji [2]. W „Korjolanie" wybitna jednostka zgubą przypłaca swą niezdolność do upokorzenia się przed tłumem obywateli-wyborców przy staraniach o ich „szanowne głosy". Zaś w „Cezarze" mamy w klasycznej formie najbardziej typowe ze wszystkich widowisk politycznych: kalejdoskopijną zmianę w usposobieniu tłuszczy, która najpierw z szacunkiem potakuje szlachetnemu doktrynerowi, a zaraz potem daje się porwać wy-

---

[1] „Odtąd będzie można w Anglji siedem półgroszowych kukiełek dostać za grosz; garniec trzyobręczowy będzie odtąd mierzył tyle co faska z dziesięciu obręczami; a za zdradę stanu poczytam picie półpiwków; całe państwo ma być wspólną własnością... pieniędzy u nas nie będzie, wszyscy będą jedli i pili na mój rachunek, wszystkich też ubiorę w jedną liberję, ażeby wyglądali jak bracia i czcili mnie, swojego pana...".

[2] Pisarza z Chatham wieszają z piórem i kałamarzem na szyji, za to, że umiał pisać i innych uczył. Lordowi Say każe Cade ściąć głowę, bo umie po francusku i po łacinie, więc jest oczywistym zdrajcą, a w dodatku zaprowadził druk i wystawił papiernię.

mowie demagoga. Wreszcie w „Burzy“, tym epilogu całej twórczości poety, jakby kwintesencja jego sądów o demokracji, ukazuje nam się potworny Kaliban, uosobienie szarej masy przeciętnych jednostek, „zjadaczy chleba“, przenigdy zdaniem poety niezdolnych do tego, by się moralnie czy umysłowo zbliżyć do aniołów.

Wszystko to było gorzką pigułką dla zdecydowanych postępowców ery liberalnej, co pełną siłą pary po falach demokratyzacji zdążali w wymarzoną, zbawczą, promienną przyszłość. Jeszcze Renan w swej fantazji na temat dalszego ciągu „Burzy“ (*Caliban*, 1878), aczkolwiek używa sobie na subtelnej, satyrycznej krytyce swej mieszczańskiej, trzeciej republiki, jednak uważał za obowiązek uczciwości kulturalnej w zasadzie burżuazyjną demokrację usprawiedliwić, ukazując nam Kalibana rządzącego Medjolanem nie gorzej, a pod niektóremi względami nawet lepiej, niż jego dawny pan, sędziwy filozof Prospero.

4.

Dziś nadeszły czasy, w których zgoła odmiennemi oczyma patrzymy na shakespearowski obraz demokracji. Nietylko, że ochłonąwszy z gorączki wojennej, otrzeźwiała i zbiedzona ludzkość mądrą się stała bezbrzeżnie smutną mądrością rozczarowania. Ale przedewszystkiem demokratyzacja w zawrotnym swym pędzie doprowadziła większość społeczeństw do kresu zdobyczy politycznych, od którego dalsza droga wiedzie już tylko *ad absurdum* rządów analfabeckich. A jedno wielkie społeczeństwo, doktryną oszalałe, na naszych oczach powaliło się w ruinę ekonomiczną pod gruzami ostatecznych zdobyczy gospodarczych proletarjatu. Krzyk o przesileniu parlamentaryzmu idzie przez wszystkie cywilizowane narody, nie wyłączając tych, co jeszcze sześć lat temu, gdy powstały do nowego życia, przyobleczenie najjaskrawszej i najmodniejszej szaty parlamentarnej uznawały za *ça-va-sans-dire* etykiety kulturalnopolitycznej.

W tej „dziwnie osobliwej“ chwili dziejów „Juljusz Cezar“ nabiera — w Polsce zaiste niemniej niż gdzieindziej! — potężnej aktualności, potężniejszej, niż ją dziś mieć może którekolwiek inne z arcydzieł Shakespeara.

Mówiono: jeżeli bohaterem „Juljusza Cezara“ nie jest ośmieszony w pierwszych dwóch aktach, a zabity w trzecim

Cezar, to jest w nim w każdym razie cezaryzm, jako siła dziejowa okazujący swą żywotność: on w dalszych aktach staje na miejscu zabitej osoby Cezara i w niwecz obraca dzieło sprzysiężonych, on nawet w wyobraźni poety widome przybiera kształty jako złowróżbny duch Cezara, dwukrotnie pojawiający się Brutusowi przed klęską.

Nie! Genjusz Shakespeara jest zbyt wybitnie dramatyczny, by operować taką historjozoficzną abstrakcją jako osnową dzieła, na sposób średniowiecznych moralitetów. Przedmiotem jego sztuki, jak przedmiotem natchnień jego ukochanego Plutarcha, są zawsze żywe osobistości ludzkie.

I jest jeszcze drugi, głębszy powód, dla którego tę ideową interpretację odrzucić trzeba. Wszakże owe irytujące śmiesznostki shakespearowskiego Juljusza wyraźnie chyba o tem świadczą, że Shakespeare bałwochwalcą cezaryzmu nie jest, że i jego organiczne słabości widzi. „Juljusz Cezar" nie jest poprostu dramatyczną demonstacją koniecznego triumfu absolutyzmu w momencie historycznej dojrzałości.

Nie jest też tragedją osobistą Brutusa, jak chcieli inni. Prawda, że postać nieszczęsnego idealisty — tak blisko pokrewnego Hamletowi, jego bezpośredniemu następcy w chronologicznej galerji wielkich figur shakespearowskich — ze szczególnem zamiłowaniem i wnikliwą szczegółowością analizy psychologicznej jest przedstawiona. Ale już fakt, że postacie, jak Kassjusz i Marek Antonjusz z tą samą niemal plastyką obok niego i naprzeciw niego są postawione na pierwszym planie — fakt ten wymownie dowodzi, że nie o samego Brutusa jedynie, nie o jego ludzką tragedję tylko chodziło poecie. Fatalizm tragiczny sprawy dramatycznej w „Juljuszu Cezarze" tkwi nie w charakterze Brutusa jedynie — tkwi w tej sprawie samej. „Juljusz Cezar" jest nietylko tragedją samych jego złudzeń demokratycznych, jest nietylko tragedją jakiegoś nad-Kiereńskiego, lecz jest tragedją kiereńszczyzny jako ideologji — bardzo wzniosłej, szlachetnej i poetyckiej, ale kiereńszczyzny.

Cóż więc mogłoby w spuściźnie wielkiego poety głośniej do nas wołać *de te fabula narratur*, niż ten właśnie dramat, gdy nań dziś patrzy pokolenie, co samo tragedję swych iluzyj demokratycznych tak boleśnie przeżyło i na tak rozmaite — większe i mniejsze — sposoby w różnych dziedzinach społecznych i duchowych codziennie jeszcze przeżywa?

5.

Z jednego jeszcze innego, już bardziej literackiego względu „Juljusz Cezar“, wznowioną dziś posiada aktualność. Przeżywamy w XX wieku nietylko rozczarowanie po iluzjach demokratycznych wieku XIX, przeżywamy także reakcję przeciw bałwochwalczej wierze tamtego stulecia w wyższość rewolucyjnego romantyzmu nad dogmatem i tradycją klasyczną. Od sensacyjnej przedwojennej książki Lassera o romantyzmie francuskim na wszystkie tony i we wszystkich językach, odnawia się pojęcie *le mal romantique.* W okresie o takim nastroju z konieczności na front wśród arcydzieł Shakespeara w uwadze społeczeństwa wysuwać się musi utwór, w którym zasadniczo romantyczny jego genjusz do klasycznego tematu przez klasyczny styl zastosować się umiał i w granicach tego stylu coś prawdziwie pomnikowego stworzył. Z głębszem zrozumieniem dla żywotności wiekuistego pierwiastka klasycznego w sztuce, z bardziej zrównoważoną, niż w erze romantycznej i po-romantycznej oceną płodów artystycznych klasycyzmu wskrzesnąć musi coś z zapału XVIII wieku dla tej właśnie wśród shakespearowskich tragedyj.

Nieśmiertelność Shakespeara i wieczność jego sławy w tem właśnie najwidomiej się przejawia, że każda epoka ma swojego Shakespeara, każdej ukazuje on to oblicze, którego w nim dopatrywać się jest skłonna, każda ceni wśród jego wielorakich i nieprzejrzanych doskonałości twórczych te zalety i te dokonania, które jej własnym potrzebom duchowym i ideom panującym najbardziej odpowiadają. Wśród tych nieskończonych przemian w poglądach na Shakespeara i w akcentach zachwytu nad nim, niezmiennym tylko pozostał od trzech stuleci i niezmienionym już pozostanie na zawsze ten zachwyt sam, coraz inne narody, coraz nowe pokolenia, coraz szersze warstwy społeczne biorący w swą czarodziejską władzę.

III.

BEN JONSON

1.

W ostatnich dziesięcioleciach wielkiego wieku XVI-go Londyn, świetny przepychem renesansowego dworu Tudorów, dumny ze świeżego zwycięstwa nad Armadą hiszpańską, sycony złotem z nowych światów zamorskich przez śmiałych żeglarzy, karmiony nowinami duchowemi z całej Europy przez roje powracających podróżników angielskich, zakipiał naprawdę nowoczesnem życiem umysłowem. Zabłysła na horyzoncie literackim naraz cała gromada gwiazd pierwszej wielkości. Prawie wszystkie zaś one krążą wokoło teatru, bo teatr, wciągając w swą służbę wszystkie niemal sztuki piękne, od architektury i dekoratorstwa do deklamacji, muzyki i poezji, najpełniejszy daje artystyczny wyraz rozbujałemu temperamentowi Odrodzenia. Dla teatru przedewszystkiem — jak dziś dla gazety — pisze każdy z tych młodych, co przybywają, czy to z uniwersytetów czy z głębokiej prowincji, by na bruku londyńskim ubiegać się o laury literackie i sukcesy życiowe. Tę cygańską brać pisarzy gości wieczorami w swych ścianach sławetna karczma „pod nimfą“ — *the Mermaid Tavern* — rychło znana całej stolicy jako giełda pomysłów poetyckich i arena dowcipów. Tutaj wśród kłębów nowego wówczas dymu tytoniowego, do pełnych puharów zaprawnego korzeniami wina kanaryjskiego, zasiada jako równy wśród równych, młody aktor i dramaturg rodem z sielskiego Stratfordu nad Avonem, pan Shakespeare, znany w gronie kolegów pod swem chrzestnem imieniem Will, i lubiany powszechnie za swą szczerą i serdeczną, a przytem szlachetną i łagodną naturę. Tutaj też swym „brzuchem jak góra i twarzą jak skała“ uwydatnia się w gronie i rychło najwyższą wśród młodych powagę sobie zdobywa znakomity Williama współzawodnik „Ben“ (czyli Benjamin) J o n s o n, o dziewięć lat od niego młodszy. Oto jak w kil-

kadziesiąt lat później gawędziarz Fuller, czerpiąc z żywej jeszcze tradycji, opisuje te spotkania poetów:

„Niejedno było starcie na dowcipy między Shakespearem a Ben Jonsonem — jakby między wielkim hiszpańskim okrętem wojennym a mniejszym angielskim. Ben Jonson, nakształt okrętu hiszpańskiego, wyższej był budowy w swej uczoności: potężny, ale powolny we wszystkiem, czego dokazał. Shakespeare, jak lżejsze statki angielskie, mniejszy rozmiarami, ale obrotniejszy w ruchach, umiał zastosować się do każdego prądu, skorzystać z każdego wiatru, przez chyżość swojego dowcipu i swej pomysłowości".

Nietylko fizyczna postać i duchowa fizjonomja obu ludzi, ale także ich natury poetyckie stają nam jak żywe przed oczyma w tych słowach anegdocisty. Istotnie Ben Jonson, górujący nad rywalem solidnością swego klasycznego wykształcenia, zarazem jednak obciążony balastem klasycystycznych doktryn literackich, nie posiada przedziwnej obrotności i spontaniczności genjuszu shakespearowskiego i tworzy znacznie wolniej i z niemałym wysiłkiem; nie potrafi — jak Shakespeare — przerzucać się z jednego do drugiego wśród licznych rodzajów, panujących w ówczesnej literaturze dramatycznej, i ostatecznie wszystkie najznakomitsze utwory w niezbyt obfitym jego dorobku należą do jednego tylko gatunku — komedji charakterów.

2.

W życiu i doświadczeniach Ben Jonsona, taksamo jak w jego dziełach, w dziwny i jedyny sposób łączą się pierwiastki klasyczne kultury humanistycznej z romantycznemi, których pełne jest codzienne życie owej bujnej i barwnej epoki. Potomek ziemiańskich przodków wzrasta jako pasierb majstra murarskiego w sercu Londynu; kształcony w doskonałej szkole westminsterskiej, ucieka do Niderlandów i przystaje do wojującej tam armji angielskiej. Później jako aktor i autor wiedzie burzliwe, cygańskie życie w stolicy: zabija w pojedynku kolegę teatralnego, to znowu dostaje się do więzienia za zbyt swobodne żarty polityczne w komedji. Zdobywa wreszcie poparcie możnych panów i łaski dworu; nabywa dom w Londynie, wydaje swe dzieła z dedykacjami na cześć starych uniwersytetów, które mu nadają honorowe stopnie akademickie; otrzymuje od króla tytuł poety laureata Anglji. Ale nigdy snać się nie ustatkował jak Shakespeare, co umarł w zacisznym do-

statku prowincjonalnego żywota. Jonson i z żoną na długie lata się rozchodzi, i jeszcze w latach dojrzałych, jako guwerner młodego arystokraty, wyprawia ze swym pupilem brewerje po ulicach Paryża; nakoniec w smutnej i samotnej starości, znów jak za młodu, przesiaduje w ulubionej gospodzie i po śmierci wszystkich prawie dawnych druhów, szuka pociechy w biesiadach wśród grona młodzieży literackiej, co z dumą zwie się jego „synami" i „plemieniem Benjamina". Zmarłych swych rówieśników, których romantyczne natchnienia niegdyś z wyżyny swej klasycznej uczoności zgryźliwie krytykował, wspomina teraz z żałosnem rozrzewnieniem. Shakespearowi ze źle tajoną zazdrością w prologach swych komedyj wypominał jego „Powieści zimowe, Burze i podobne błazeństwa", — teraz składa mu wspaniały hołd wierszowany u wstępu do pośmiertnego wydania jego dzieł. Sam w kilkanaście lat po Shakespearze zstępuje do grobu, — w roku 1637, gdy publiczność dawno już nowym bogom się kłania, i gdy nawet niepowodzenia jego ostatnich dzieł już są zapomnianemi epizodami minionych sezonów teatralnych.

3.

Gdy Jonson około r. 1597, jako młody, dwudziestokilkoletni aktor, rozpoczynał zarazem karjerę autorską, produkcja „tragedyj, historyj i komedyj" dla rosnących jak grzyby po deszczu teatrów londyńskich nie była w opinji publicznej otoczona godnością literatury w wyższem tego słowa znaczeniu: traktowano je jako jednodniową zabawę — jak dziś operetkę lub zgoła rewję czy kabaret — i mało dbano o jej uwiecznienie w druku. To też niejeden zapewne z młodocianych utworów Jonsona przepadł na zawsze. Zachowała się nam jedna tylko próba jego nowicjuszowskiej twórczości — komedja „Sprawa się zmieniła".

Jak przed nim młody Shakespeare, tak tutaj Jonson uczy się komedjopisarstwa u wielbionego przez całe Odrodzenie mistrza Plauta: jak Shakespeare w „Komedji omyłek" parafrazował „Menechmów", tak Ben Jonson w tem zachowanem nam dziele kombinuje w jedną całość motywy z dwóch sztuk plautyńskich, *Captivi* i *Aulularia.* Komedję rzewną o rozłączonej i odnajdującej się rodzinie łączy z komedją rodzajową o skąpcu i o zalotach różnych, zgoła nie bezinteresownych kawalerów do jego pięknej córki. I już tutaj wyraźnie zapowiada się wła-

ściwy talent Jonsona: komedja charakterów udaje mu się daleko lepiej od melodramatu rodzinnego, figura skąpca niejednym rysem zwiastuje doskonałość późniejszych komedjowych portretów chciwców i szalbierzy.

Ale do indywidualnej samodzielności dochodzi i właściwy swój rodzaj znajduje Jonson dopiero w następnej komedji „Każdy w swoim humorze". Oryginalnością akcji coprawda utwór się nie odznacza: panują w nim charakterystyczne motywy komedji starożytnej — zaloty przy pomocy sprytnego służącego, różne *qui pro quo*, — ale prawdziwa siła twórcza objawia się w galerji dziwactw ludzkich czyli „h u m o r ó w", które w karykaturalnych uosobieniach długą procesją przesuwają się nam przed oczyma w scenach komedji, a na końcu w efektownym obrazie zbiorowym grupują się wokoło sędziego pokoju, jowjalnie rozstrzygającego wszystkie zawikłania. Niektóre z tych typów służą tylko jako pretekst do roztaczania szczegółów obyczajowych — jak woziwoda Cob i jego żona Tib, stanowiący do spółki żywą kronikę nowości ulicznych londyńskich; niektóre inne figury są zbyt proste i jednostronne w swej osobliwości, jak weredyk Downright; ale niektóre, choć ze starego lamusu figur komicznych wyciągnięte, udało się Jonsonowi scharakteryzować w nowy i zajmujący sposób. A więc rzuca się w oczy przedewszystkiem oryginalna odmiana prastarej postaci żołnierza-samochwała — kapitan Bobadil, który tem nas bawi, że potworne łgarstwa o swych czynach bohaterskich wypowiada z dostojną powagą i spokojną rezerwą, nie widzianą dotąd w tej roli na scenie. W całości zresztą komedja o tym układzie była czemś nowem w teatrze angielskim; to też jest dowodem zdrowego zmysłu krytycznoliterackiego, który snać szedł w parze z genjuszem twórczym u Shakespeara, że sam dochodząc właśnie wtedy do zenitu swej działalności, przyjęcie komedji Jonsona przez trupę, do której należał, wbrew opinji kolegów przeforsował. Kilka jeszcze innych dzieł Jonsona przesunęło się potem przez scenę teatru shakespearowskiego, i we wszystkich prawie występował także sam Shakespeare jako aktor.

Tak było z następną komedją Jonsona „Każdy w nieswoim humorze". Przedstawiając w niej znowu korowód dziwaków na tle nader luźnie skomponowanej akcji, Jonson stara się już teraz nadać swemu nowemu typowi komedji wyższe dostojeństwo literackie: wkracza sam do fabuły pod postacią uczonego odludka Macilente, który jako mentor i sędzia kieruje losami

osób utworu, a ponadto w usta dwóch innych jeszcze figur wkłada ciągłe komentatorskie uwagi. Ta pretensjonalność zaszkodziła tylko scenicznemu powodzeniu sztuki, a nie pomogła też komedji jaskrawość i szarża w karykaturalnej charakterystyce postaci, wreszcie nadmierny ich natłok, częsta odtąd wada dzieł Jonsona.

Nowej jakiejś drogi szuka Jonson w następnej swej komedji „Zabawy Cyntji". Ale i tutaj do mitologicznej historji o Narcyzie i Echu z Owidjusza sama mu się wplątała procesja głupców i egoistów, gromadzących się nad magicznem „źródłem samolubstwa", a że środowisko legendy starożytnej służy jako allegorja dworu królowej Elżbiety, więc otrzymujemy oczywiście także korowód karykatur z życia dworskiego. Nad rozwlekłą i przeładowaną szczegółami całością znowu, jak w poprzedniej komedji, niemile góruje literacka zarozumiałość autora, który tu występuje i mentoruje pod nazwą Krytesa.

Już w „Zabawach Cyntji" Jonson, zerwawszy w swej tetryczności z trupą shakespearowską, załatwiał ze sceny swe obrachunki polemiczne z kolegami po piórze. Całkowicie polemice literackiej poświęcił najbliższy swój utwór p. t. „Wierszokleta", gdzie drwiąco przedstawia wybrane ofiary z otaczającej go cyganerji literackiej Londynu pod maską cyganerji literackiej rzymskiej z epoki cesarza Augusta. On sam naturalnie jest Horacym i doznaje szczególniejszych łask cesarza. Roi się i w tej sztuce zwyczajem Jonsona od różnorodnych dziwaków, z których najciekawszym jest nowy po Bobadilu warjant żołnierza-samochwała, kapitan Tucca, wzorowany podobno na rzeczywistej postaci w ówczesnym Londynie. Sztuka pociągnęła za sobą cały ogon polemiki dramatycznej, należy może do niej nawet zagadkowy dramat Shakespeara „Troilus i Kressyda".

4.

Nie brał w tej dalszej polemice już udziału sam Jonson. Postanawia teraz raczej zdruzgotać swych przeciwników jakimś wielkim czynem artystycznym: nie dają mu spać laury Shakespeara, a szczególnie świeży sukces „Juljusza Cezara". W poczuciu wyższego wykształcenia klasycznego szczególnie na tem polu czuje się powołanym przewyższyć rywala, i całe swoje oczytanie w autorach łacińskich wkłada w pierwszą swą tragedję rzymską, „Upadek Sejana". Grę intryg na dworze cesarza Tyberjusza udało się istotnie Jonsonowi przedstawić

z całą tą intuicją dla fałszu i podłości ludzkiej, jaką i w swych największych komedjach niebawem miał okazać. Nie brak też w tragedji ani ciekawych scen rodzajowych ani potężnych efektów deklamatorskich ani też znakomitych portretów osobistości historycznych; ale całość, pisana monotonnie uroczystym wierszem, przeładowana erudycją, skrępowana zbytnią wiernością wobec faktów historji, wreszcie pozbawiona urozmaicenia przez humor, nie ma tego czarownego życia, które Shakespeare w swe plutarchowskie tematy z dziejów Rzymu tchnąć potrafił.

Dopiero z następnem dziełem Jonsona wstępujemy w krąg tych jego utworów, które i w oczach dzisiejszego człowieka zachowują żywotność i stanowią o wielkości autora. W tymsamym pamiętnym roku teatralnym 1605, w którym Shakespeare dał wszystkim wiekom swego „Króla Lira", Ben Jonson sięga szczytów swej twórczości w komedji *Volpone*, albo „Lis".

Jak zwykle u Jonsona, fabuła bynajmniej nie jest główną zaletą dzieła. Po różnych znanych poecie pisarzach starożytnych — u Petronjusza, Lukjana, Horacego — pozbierać można jej motywy: więc zabiegi zgraji pochlebców o majątek samotnego bogacza; samo życie tego starego egoisty i rozpustnika; dary, składane mu przez kandydatów do spadku dla zjednania sobie jego względów; ohydny gest jednego z nich, co własną żonę dobrowolnie gotów jest przynieść w ofierze jego starczym chuciom; wreszcie udaną chorobę i inne fortele, niestrudzenie wymyślane przez przebiegłego parazyta Moskę. Operując temi i podobnemi gotowemi motywami, umiał Jonson po mistrzowsku wytworzyć wysokie napięcie dramatyczne, szczególnie w aktach ostatnich, gdy miecz karzącej sprawiedliwości już wisi nad obu nędznikami, panem i parazytem, i gdy raz jeszcze świetna obrona adwokacka i chytry wybieg ich ratuje, aż nakoniec druga rozprawa sądowa i wybuchająca między obu wspólnikami waśń ostatecznie ich gubi. Perypetje te działają potężnie mimo oszałamiającego natłoku figur epizodycznych: rzecz rozgrywa się w Wenecji, ale nawet na podróżującego angielskiego szlachcica, politykomana, i jego snobistyczną żonę znalazło się miejsce w zaprezentowanej nam kolekcji typów. Że ten tłum nie stał się znowu, jak w poprzednich komedjach Jonsona, poprostu nużącą procesją groteskowych dziwaków, to zawdzięczamy nader umiejętnemu użyciu figury parazyta,

który jest sprężyną coraz nowych intryg wśród tej rzeszy osób i nadaje akcji bieg prawdziwie zawrotny.

Volpone pogodną komedją nie jest: od rozpoczynającej akcję modlitwy starego bogacza do ubóstwianego złota aż do okrutnego ukarania obu niegodziwców na końcu panuje nad tym cyklem obrazów chciwości i podłości ludzkiej ponura surowość i nieubłagana przenikliwość wejrzenia, właściwa naturze duchowej autora. Z wyżyn jego sardonicznej srogości spoglądamy w dół na to kotłowisko — istne *pandaemonium* wszelakich odmian jednej i tej samej, po wszystkie czasy przez Wergilego przeklętej *auri sacra fames,* i z Wergilim na widok coraz nowych nikczemności zdumieni wołamy: *Quid non mortalia pectora cogis!* Jeżeli we współczesnym shakespearowskim „Królu Lirze" zdają się występować już nie ludzie, ale jakieś gigantyczne uosobienia potęg dobrych i złych w procesie światowym, to i u Jonsona, w tym zenicie jego sztuki, widzimy w jego ludziach jakby jakieś nieludzkie symbole potworności moralnych. W „Królu Lirze" zauważono szczególniejszą obfitość nazw zwierzęcych, rzucanych przez jedne osoby tragedji drugim, gdy niemi targają rozszalałe namiętności; u Jonsona prawie wszystkie osoby komedji już w scenarjuszu, jak etykiety, noszą charakterystyczne włoskie nazwy zwierząt; a więc obok samej głównej figury starego lisa *(Volpone)* jest tu drapieżny sęp (adwokat *Voltore),* jest stary i młody kruk *(Corbaccio* i *Corvino),* a nawet nikczemny parazyt niedarmo nosi nazwę muchy, co krwią się tuczy *(Mosca).*

Ale jeżeli symbolika, dodając obrazowi wyrazistości, zarazem wynosi przedmiot poniekąd poza sferę rzeczywistości ludzkiej, w sferę abstrakcyj moralnych, to z drugiej strony właśnie w *Volpone* bardziej niż kiedykolwiek dotąd podziwiać musimy to realne życie, które Jonson w okresie dojrzałości umie nadawać swym jednostronnie wymyślonym typom pewnych wieczystych przymiotów natury ludzkiej. O ile w dawniejszych jego komedjach śmieszne aż do zupełnej niedorzeczności sylwetki dziwaków zdają się nam czasem zapowiadać karykaturalne figury D i c k e n s a, o tyle *Volpone* budzi w nas, ludziach dzisiejszych, raczej myśl o porównaniu z innym wielkim mistrzem powieści nowoczesnej: przypomina się nam żywo B a l z a c. A że nas w chaosie moralnym Europy powojennej gęściej niż kiedykolwiek otoczyły w życiu samem potworne widowiska tejsamej zbrodniczej chciwości, której ciemne tajniki i Jonson i Balzac jednakowo przeszywająco

przejrzeć i nieśmiertelnie przedstawić umieli, więc też właśnie w chwili dzisiejszej chylimy czoła w szczególnie kornym hołdzie dla wieszczego jasnowidzenia obu tych genjuszów.

5.

Jakby dla wytchnienia po dziele tego kalibru, co *Volpone,* pisze Jonson z kolei farsę. Ale i farsa w tym dojrzałym okresie jego sztuki w coś doskonalszego przeradzać się musi. „Epicene, czyli milcząca niewiasta", to nietylko utwór prawdziwie zabawny, jak mało które dzieło Jonsona, ale nie pozbawiony cech wysokiej komedji. Do dziedziny farsy należy historja starego neurastenika, nienawidzącego hałasów, co „dla świętego spokoju" w domu poślubia rzekomą niemowę, a potem już na uczcie weselnej poznaje w niej samej i jej orszaku ślubnym najgadatliwsze i najgłośniejsze towarzystwo, jakie w życiu spotkał. Ale z dziedziny komedji psychologicznej, z tej samej sfery co *Volpone,* pochodzi podłoże całej akcji: intryga synowca, któremu stary w końcu ofiarą znacznej części swojego majątku okupić się musi, by zyskać wybawienie z nieszczęsnej matni.

Ale w całości było to tylko interludjum. Na poziom, osiągnięty w *Volpone,* wzniósł się niebawem Jonson naprawdę ponownie w drugiem swem arcydziele — w komedji „Alchemik". Tematem znowu jest chciwość ludzka, i głównym motywem oszustwo: korzystając z wyjazdu pana z domu, niewierny służący do spółki z chytrym obieżyświatem i wspólną obydwóch kochanką grają z powodzeniem na łatwowierności ludzkiej: ściągają tłumy klientów pod pretekstem, że posiadają kamień filozoficzny, który zmienia podlejsze żywioły na złoto. Przedmiot i tym razem ostatecznie wywodzi się ze starożytności (z komedji Plauta *Mostellaria),* ale był nawskróś aktualny w owych czasach, gdy alchemją — taksamo jak astrologją — zajmowały się nawet jeszcze głowy ukoronowane. Komedja, zamknięta w klasycznych ramach jedności miejsca i czasu, przedstawia nam ostatni dzień oszukańczych praktyk niegodziwej trójki: pojawienie się powracającego pana domu jest naturalnem zakończeniem. W tych granicach znowu zwyczajem jonsonowskim, jako klientela oszustów, przesuwa się nam przed oczyma procesja figur mniej lub więcej dziwacznych. Najbardziej ze wszystkich tych postaci w pamięć się wbija wspaniale sportretowana para duchownych sekciarskich, co

powierzone im pieniądze sieroce z chciwości składają na ołtarzu alchemji. Ta szlachetna dwójka purytańskich Tartufów potężnie oddziałała na wyobraźnię potomnych pisarzy angielskich: jeszcze u Dickensa fizjognomje różnych Stigginsów i Chadbandów, żerujących na dyssydenckiej pobożności prostodusznych mieszczek, noszą wyraźne rysy pokrewieństwa z jonsonowskiemi pierwowzorami.

Poza tym pamiętnym pierwszym atakiem na obłudę purytanizmu, szerzącego się wśród mieszczaństwa londyńskiego, „Alchemik" jako całość nieco ustępuje w doskonałości temu najwyższemu dziełu energji twórczej Jonsona, jakiem jest *Volpone*. Choć trzeba przyznać, że powiązanie losów całej gromady figur jest znowu nader kunsztowne, i szczerze zabawnych sytuacyj wynika może więcej niż w tamtej komedji, jednak żałować można, że autor znów, jak często przedtem, rozdrobnił swoje natchnienie na zbyt wielką ilość charakterów, i widz nieraz bliski jest zawrotu głowy od tej obfitości. Ponadto zaś zakończenie, dziwnie pobłażliwe i łagodne, nie licuje z satyryczną dosadnością całego utworu i nie zadowalnia zmysłu moralnego, do którego przecież sztuka Jonsona tak silnie apeluje.

6.

Podobnie jak „Alchemik" po „Lisie", tak na drugie miejsce po „Sejanie" schodzi druga w twórczości Jonsona tragedja rzymska „Katylina". Tylko, że tu osłabienie jest znacznie widoczniejsze, niż w „Alchemiku". W wyższym jeszcze stopniu, niż w „Sejanie", jest Jonson znowu w niewoli u autorów starożytnych, z których czerpie: każe nam nawet słuchać wierszowanej parafrazy całej sławnej pierwszej mowy Cycerona przeciwko Katylinie! Ponadto ambicja współzawodniczenia z Shakespearem objawia się tu już przez nazbyt wyraźne podobieństwa do „Juljusza Cezara": jak tam duch Cezara, tak tu pojawia się duch Sulli; jak tam, tak i tutaj jesteśmy świadkami nastrojowej sceny nocnego zebrania spiskowców. Chcąc tym razem, również za wzorem Shakespeara, urozmaicić tragedję polityczną scenami rodzajowemi, Ben Jonson daje nam je w obrazie kobiecej strony spisku: wykrycie sprzysiężenia jest dziełem zazdrości między kochanką jednego ze spiskowców a inną Rzymianką. Z tych scen kobiecych bije cała werwa satyryczna i cała okrutna stanowczość moralna dawnego Jonsona, autora „Lisa" i „Alchemika".

Na ogół atoli „Katylina“ nie może dziś — nie mógł pono i u współczesnych — budzić zachwytu. Natomiast w najszczęśliwszej swej wenie jest Ben Jonson raz jeszcze w trzeciem, po „Lisie“ i „Alchemiku“, arcydziele swej komicznej Muzy: w „Jarmarku św. Bartłomieja“. Odmienna i typem i planem od obu tamtych, komedja ta osobne wśród jego twórczości zajmuje miejsce. Przygody dwóch mieszczańskich rodzin londyńskich na ludnym jarmarku dorocznym w dzień św. Bartłomieja w treści swej są raczej farsą niż komedją wyższego rodzaju; za to wybór środowiska pozwala autorowi dać nam nie, jak dawniej, nużącą nieco defiladę dziwaków, lecz roztoczyć wkoło nas panoramę całego rojowiska jarmarcznego z jego nieprzebranem bogactwem szczegółów folklorystycznych. Od drugiego aktu począwszy, krążymy wśród tłumu publiczności drobnomieszczańskiej, przekupniów, komedjantów ulicznych, rzezimieszków i awanturników; w akcie piątym jesteśmy na przedstawieniu w teatrze marjonetek; a w całej komedji słuchamy barwnej i soczystej gwary ulicznej, często już dziś niezrozumiałej. Przeładowanie akcji epizodami jest większe niż kiedykolwiek, i niektóre z nich są zgoła niewybredne w swej popularnej, realistycznej komice. Ale tempem scen i bujnością pomysłów komedja bezsprzecznie przewyższa wszystkie inne, nawet najambitniejsze dzieła Jonsona; a z pośród masy przewijających się zabawnych figur wyróżnia się kapitalna kreacja duchownego purytańskiego, a zarazem przedniego pieczeniarza, o biblijnym przydomku „Gorliwy o dobro kraju“ *(Zeal-of-the-Land Busy):* jest to spotęgowana replika postaci z „Alchemika“. Tamten nosił równie ironiczną nazwę „Utrapienie zbawienne“ *(Tribulation Wholesome)*, i pod temi przysłowiowemi odtąd pseudonimami obaj ci godni protestanccy poprzednicy molierowskiego świętoszka wędrują ręka w rękę po łąkach asfodelskich literatury, pośród nieśmiertelnych tworów genjuszu komicznego.

7.

Co pozostaje po tym ostatnim wspaniałym rozbłysku słońca jonsonowskiej komedji to już tylko mglisty zachód i smętny zmierzch.

Jako uznany i honorowany poeta dworski pisze Jonson przez długi szereg lat urocze libretta do modnych wtedy widowisk feeryjnych allegoryczno-mitologicznej treści, zwanych

„maskami“, i sławny architekt i dekorator Inigo Jones daje im godną oprawę sceniczną. Maski Jonsona są najpiękniejszemi z niezliczonych utworów tego rodzaju, pisanych przez wszystkich prawie poematów dramatycznych epoki; szczególnie rozsiane po jonsonowskich maskach pieśni odznaczają się często zdumiewającą przy jego ociężałej naturze świeżością tonu i melodją wiersza. Ale maska, to rodzaj literacki dawno i bezpowrotnie zamarły, i dziś tylko archeolog, szperający po rumowiskach piśmiennictwa dawnych wieków za początkami nowoczesnej opery, tą częścią twórczości Jonsona poważnie zajmować się może.

Na scenie teatru popularnego starzejący się Jonson już tylko z długiemi przerwami na nowo szuka powodzenia, i zawsze bezskutecznie. Czy w „Głupim djable“ zapożyczy motyw z Macchiavella i ukaże nam djabła na jednodniowym urlopie na ziemi, kompromitującego piekło swą głupotą; — czy w „Składzie nowin“, modernizując temat z Arystofanesa, przedstawi nam coś w rodzaju redakcji, by zadrwić ze współczesnych początków dziennikarstwa; — czy w „Damie magnetycznej“ powróci do swego młodocianego stylu „komedji humorów“ i zechce nas raz jeszcze zabawić galerją dziwaków; — czy wreszcie w „Bajce o beczce“ raz jeszcze, jak w „Jarmarku św. Bartłomieja“, spróbuje odtworzyć zgiełk i rubaszną wesołość ulicznej zabawy londyńskiej: wszędzie jednakowe znać wyczerpanie i jednakowo brak dawnej krewkiej żywotności w charakterystyce figur. Nie danem było Jonsonowi rozstać się z Muzą dramatyczną tak czarownemi wytworami pogodnej rezygnacji i swobodnej romantycznej gry wyobraźni, jak dzieła ostatnich lat Shakespeara w rodzaju „Burzy“ lub „Powieści zimowej“. Sięgnął wprawdzie sędziwy Ben jeszcze i po te z kolei shakespearowskie laury, dając kalejdoskop fantastycznych losów rozłączonej i odnajdującej się rodziny w swej komedji „Nowa gospoda czyli lekkie serce“; ale z ciężkiem snać sercem powiedzieć sobie chyba musiał, że i w tej ostatniej fazie magji prosperowskiej zmarłego mistrza nie dorównał. To też choć po niepowodzeniu jednej z tych swych późniejszych komedyj pociesza się potworną w swem egoistycznem zapamiętaniu „Odą do samego siebie“, jednak w głębokiem i niepocieszonem przygnębieniu kreśli pod koniec życia urocze wiersze jednego z najpoetyczniejszych swych drobnych utworów — sielanki dramatycznej „Smutny pasterz“, w której legendę starych ballad o rycerskim zbójniku Robinie Hoodzie

oplata powojem różnych innych baśni ludowych angielskich i szkockich.

Z westchnieniem ulgi zwracamy się od tego, osnutego melancholją, zakończenia twórczości wielkiego pisarza napowrót ku promiennemu południu jego natchnień, w którem jaśnieją blaskiem niespożytym trzy z największych arcydzieł komedji: *Volpone*, „Alchemik" i „Jarmark św. Bartłomieja". I ze szczerym podziwem dla potęgi i różnorodności genjuszu angielskiego patrzymy poprzez trzy wieki wstecz na owe cudowne lata, w których te wielkie komedje współcześnie z najdostojniejszemi dziełami tragicznej Muzy shakespearowskiej na deskach jednej i tejsamej sceny londyńskiej światu się ukazały.

IV.

BYRON

(Odczyt wygłoszony w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w 100-ną rocznicę śmierci poety).

1.

Gdy w poniedziałek Wielkanocny, 19 kwietnia 1824 r., w Missolonghi, wśród przygotowań do zbrojnego wysiłku nad wyzwoleniem Grecji, zgasło światło życia lorda Byrona, światło jego sławy poetyckiej jaśniało pełnym blaskiem i nad ojczyzną, co go wygnała, i nad całym cywilizowanym światem. Hołdował mu arcymistrz i patrjarcha literatury europejskiej, sędziwy Goethe, uwieczniając go pod meteoryczną postacią Euforjona w drugiej części „Fausta"; a młodzież poetycka w całej Europie od Wiktora Hugo i Alfreda de Vigny na Zachodzie do Jerzego Herwegha, Augusta Platena i Wilhelma Müllera w Niemczech, do Mickiewicza i Słowackiego u nas, do Puszkina i Lermontowa w Rosji, opanowana była jego czarem, z jego natchnień wysnuwała dzieło za dziełem, jego przybierała pozy i w jego kostjumy poetyckie się drapowała. W Anglji kilkunastoletni Tennyson, chłopięcą dłonią na drzewie w ogrodzie wycinał słowa „Byron nie żyje", i w kilka lat później rozpoczynał swą długą i świetną karjerę poetycką od wydanego wspólnie z bratem tomiku oczywistych naśladowań Byrona. Pojawili się niebawem inni byroniści w Anglji — wystarczy wymienić najwytrwalszego z nich w dziedzinie powieści, Bulwer-Lyttona; — skorzystał z efektów gestu byrońskiego i w życiu i w literaturze genjalny dorobkiewicz a późniejszy wielki mąż stanu Disraeli; i wogóle przez dłuższy czas każdy początkujący pisarz przechodził fazę byronizmu, jakby nieuniknioną jakąś gorączkę młodocianą.

Ale właśnie w tej samej Anglji rychło na Byronie, jak na mało której postaci w dziejach kultury ludzkiej, sprawdziły się słowa Pisma, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczy-

żnie. Gdy z reformą wyborczą z r. 1832 mieszczaństwo stało się ostatecznie żywiołem panującym w systemie społecznym i politycznym Anglji, mieszczański kodeks moralności zarówno jak mieszczańska estetyka stanowczo odrzuciły poezję Byrona i ugruntowały wśród ogółu angielskiego tę ocenę, mocą której i dziś Anglik Byrona wśród największych poetów swego narodu nie wymieni. Walczyli mężnie o uznanie istotnych pierwiastków jego wielkości tacy wybitni mężowie w samych szeregach liberalizmu mieszczańskiego, jak wielki historyk Macaulay na początku, a światły publicysta i polityk Morley pod koniec epoki. Wielbił jego potęgę ten krytyk-poeta, który przed mieszczańską Anglją królej Wiktorji roztoczył najszersze międzynarodowe horyzonty literackie: Matthew Arnold. — Wreszcie zaszła głęboka przemiana w poglądach estetycznych narodu: Ruskin, William Morris i cała brać prerafaelicka stali się apostołami piękna w szarem życiu uprzemysłowionego kraju, i herold poetycki tej rewolucji, Swinburne, w płomiennych słowach hołdował tej „nieporównanej doskonałości“ Byrona, której elementy widzi w „szczerości i sile“.

Zarazem jednak ten sam Swinburne najostrzej sformułował zarzut, który Anglik zawsze nadewszystko czyni poezji Byrona: że Byron nie jest mistrzem formy, że jego poezja — to wcale nie poezja w znaczeniu sztuki literackiej, że mamy w niej raczej tylko „surowy materjał poezji“.

Dziś, gdy z odległości stu lat spoglądamy wstecz na byronizm europejski jako zjawisko dziejowe i na samą spuściznę poety jako kartę w historji literatury, gdy na widnokręgu czytelnika poza Anglją także już coraz wyraźniej jaśnieją te inne wielkie światła, co wspólnie z Byronem tworzą olśniewającą konstelację romantyzmu angielskiego,— więc Burns i Blake, Coleridge i Wordsworth, Shelley i Keats [1]: dziś trudno odmówić krytycznemu poglądowi angielskiemu sporej dozy słuszności. Istotnie, w pełnych uniesienia a pozbawionych ogłady artystycznej rytmach Byrona widzimy jakby potok płomiennej, ale nieczystej lawy; złoto poezji tu nie jest wytopione z rudy, co je zawiera. Byron z jednej strony, jak mu to słusznie zarzucał francuski krytyk Edmund Scherer, jest najbardziej może pozującym i rozdeklamowanym ze znakomitych poetów literatury powszechnej; z drugiej jednym z tych,

[1] R. Dyboski: „Romantyzm a krytyka dzisiejsza w Anglji“, Lwów 1911 (Odbitka z „Pamiętnika literackiego“).

co najbardziej bezpośrednio przelewają w swe wiersze całą treść życia osobistego.

2.

To połączenie aktorskiej pozy z głęboko osobistym tonem całej twórczości, podyktowane jest przez osobliwość samego życia poety. Życie lorda Byrona samo się układa w jakiś nieprawdopodobnie poetycki dramat, dla którego tłem są najwspanialsze i najcudowniejsze miejsca na całym Zachodzie i Wschodzie starego świata, a tłumem statystów — całe wielkie narody poruszone wiosennym powiewem nastrojów przedrewolucyjnych.

Przebiegnijmy w myśli sceny tego świetnego widowiska, które zaiste w królewskiej obfitości i królewskim blasku dostarczało „surowego materjału poezji".

Akt pierwszy: ekspozycja. Sceną po kolei jest stara romantyczna Hiszpanja i modre Morze Śródziemne, dzikie góry albańskie i feudalny dwór jej tajemniczego władcy Ali Paszy w Janinie, rojowisko ludzkie Konstantynopola i roześmiane w słońcu wyspy korsarskie Morza Egejskiego, ruiny Akropolis i miejsce, gdzie stał gród trojański. Wśród tego wszystkiego młody lord w pielgrzymim stroju Childe Harolda, pogrążony w melancholijną zadumę, w której miesza się modny romantyczny Weltschmerz z akcentowanym przesadnie przesytem po studenckich hulankach angielskich.

Akt drugi: dekoracja. Błyszczące salony arystokratycznego Londynu i wir hucznych zabaw sezonowych pod berłem rozpustnego księcia-Regenta. Olśniewający sukces *Childe Harolda,* łatwe laury pierwszych powieści poetyckich, flirty z lwicami wielkiego świata, kokietowanie z cyganerją artystyczną za kulisami teatru *Drury Lane.* Pierwszy potężny grzmot akcji tragicznej: skandal rozwodowy i ostracyzm towarzyski — wyjazd z Anglji powtórnie i już na zawsze.

Akt trzeci: zamki i winnice Renu, potem hale i wodospady, śnieżne szczyty i lodowce Alp szwajcarskich. Byron w łodzi na jeziorze genewskiem, zamyślony nad wielkiemi tajemnicami Boga w naturze i iskry Bożej w człowieku, przybiera postawę duchową Manfreda.

Akt czwarty: słoneczna Italja. Karnawał wenecki, zabytki Rzymu, pałace Rawenny i Pizy, morski widnokrąg Liworna, amfiteatralna panorama Genui. Wkoło lorda przewija się korowód śniadych, kruczowłosych włoskich kochanek, to znów

otacza go chór sprzysiężonych węglarzy. Wkońcu pozostaje jedna, łagodna, bladolica i złotowłosa postać: la Guiccioli, wierna jak anioł stróż — i wyczarowuje dlań złudę cichego szczęścia domowego. Byron, rozbawiony do szaleństwa w swej weneckiej gondoli, zżyty rychło z ludem włoskim we wszystkich jego warstwach, jak z rodakami, — zczasem się skupia coraz bardziej: rozczytany zawsze gorączkowo, pisze z jakąś furją bezustannej czynności, smaga zdaleka biczem swej satyry to naród własny, co go wygnał, to potentatów Świętego Przymierza, ten trust uspokoicieli budzących się ludów europejskich. Od niechcenia rzuca garści złota to konspiratorom włoskim, to głodującym rewolucyjnym literatom jak Leigh Hunt, to wreszcie zgrai żebraków miejskich, co się tłoczy wkoło kopyt jego konia.

Akt piąty: najpotężniejsza z wszystkich zmiana scenerji. Puste, malaryczne wybrzeże greckie. Byron, wysłannik Komitetu Bałkańskiego w Londynie, wylądował z worami złota; nie jedząc i nie śpiąc, blady, wycieńczony, posiwiały, usiłuje zrobić żołnierzy z tej pstrej i niesfornej hałastry, co go otacza. Gardzi niemi: „jestem tego zdania, co święty Paweł, że niema różnicy między żydami a Grekami, bo jedni i drudzy są jednakowo nikczemni“. Ale niezłomnie wierzy w nieśmiertelność Grecji. Z całym męskim genjuszem organizatorskim typowego Anglika, pokonywa jednę po drugiej praktyczne trudności i stara się wychować niewolników na obywateli. We mgle oddali widnieje dlań korona królewska — jak dla naszego księcia Józefa dziesięć lat przedtem. Jak on, ginie na posterunku żołnierza, choć nie od miecza; a jak trzydzieści lat później nad Bosforem nasz Mickiewicz, żołnierz-poeta, powalony chorobą, jest zaiste „kamieniem przez Boga rzuconym na szaniec“ sprawy wolnościowej, której się oddał. Nad zwłokami Byrona wstaje świt niepodległości greckiej.

3.

Kogóż nie ogarnie zachwyt wobec poematu tego życia? Bohater tylko wciąż na nowo poznać nam daje, że zachwycony nim nie jest. On przejrzał świat i ludzi, on wychylił czaszę do dna. Wyraz rozczarowania nie schodzi z oblicza duchowego Byrona, cokolwiek nowego przeżywa, cokolwiek wielkiego tworzy.

Należał do pokolenia rozczarowanych. Narodził się za późno, by dzielić pierwsze zachwyty nad Rewolucją francuską, a próg wieku męskiego przekroczył i boskiego ognia pierwszej młodości już w sobie nie miał, gdy nad Europą po Kongresie wiedeńskim zawisła chmura reakcji monarchicznej. Napoleona ubóstwia naprzemian i przeklina, jak niejeden ze współczesnych; ku gwieździe Wolności oczy wznosząc, wciąż opuszczać je musi na motłoch wokoło swych stóp.

Ale to rozczarowanie nigdy ostatecznie zbilansowane nie jest w formule bezwzględnego pesymizmu, zdeterminowanej mizantropji, pustelniczego *taedium vitae.* Do ostatka, w tem wielkiem dziele, co wreszcie uwieńcza całą twórczość Byrona, w „Don Juanie", według słusznego spostrzeżenia Goethego, wybuchy bezgranicznego oburzenia na ludzkość i bezgranicznej do niej miłości, wzajemnie po sobie następują; Byron zawsze jest *himmelhoch jauchzend* i *zu Tode betrübt* naprzemian, a nigdy nie przestaje być do głębi zajętym tem życiem ludzkiem, którego tak wiele różnorodnych obrazów danem mu było zobaczyć na wędrówkach własnego żywota. „Gdy reflektuje, staje się dzieckiem", jak równie słusznie powiedział ten sam Goethe, ale obserwować ciekawie nigdy nie przestaje. Krąg żywych, bieżących spraw ludzkich, to dla niego alfa i omega egzystencji i myśli. Nawet o sztuce naiwnie powiada, że zajmować go w niej mogą tylko takie dzieła, które przedstawiają coś, co widział albo może jeszcze zobaczyć. „Umrzeć dla świata" nigdy nie był zdolny, i przedśmiertne jego słowa: „Zasnąć teraz muszę" — są jakby melancholijnem pożegnaniem z tą miłością najwyższą, którą dlań była pełnia życia ziemskiego. Jeżeli najważniejszą cechą romantyzmu ma być metafizyczna tęsknica za nieskończonością, to krzty romantyka niema w tym Angliku, „koniec końców bardzo angielskim", jak o nim powiedział jego biograf Moore. Jeżeli kiedy kto z obcych, to on do gruntu utożsamił się z rdzennym realizmem starej pogańskiej natury tego narodu włoskiego, który tak serdecznie pokochał. Jeżeli w co nigdy wierzyć nie przestaje, to w człowieka jako króla stworzenia: do jego na świat poglądu zaiste zastosować można tę nazwę, którą po nim wynalazł Comte — *religion de l'humanité,* — a nad jego dziełami, zwłaszcza zaś nad „Don Juanem", wypisać tę drugą, którą, również po nim, objął bogactwo swej twórczości Balzac: *la Comédie humaine.*

4.

Ale obok tego Byrona, co jak latający Holender bez ustanku i z wiecznie nową żądzą poznania żegluje po oceanie życia, jest Byron drugi, ten pierwowzór wszystkich byronistów, — Byron ponuro i szczelnie zamykający w sobie jakąś straszliwą tajemnicę, — Byron przez jakieś niewyjaśnione a wstrząsające przejścia odcięty na zawsze od normalnego życia swych bliźnich, ten Byron posępny, któremu na imię w poezji: i Korsarz i Lara i Manfred i Kain. „Tajemnica byronowska" nigdy nie przestanie zajmować komentatorów łaknących niewykrytych sensacyj biograficznych, tak samo jak nie przestaną ich intrygować demoniczna „czarna dama" i bezimienny złotowłosy przyjaciel sonetów shakespearowskich.

Tajemnic może było więcej. Żyła i umarła tajemniczo ta ubóstwiana *Thyrza,* do której i o której Byron śpiewa tak smętnie i rzewnie w kilku z najpiękniejszych swych wczesnych pieśni. A co się działo z poetą na wyspach Morza Egejskiego między ostatniem pożegnaniem Aten (1810) a powrotem do Anglji (1811), tego nie wiemy, i Byron sam tego domyślać się nam zabrania.

Jeżeli zaś jeden niedyskretny biograf wykrył, że w czasie największych powodzeń londyńskich Byron był kochankiem zamężnej już wtedy damy, którą niegdyś jako pannę kochał pierwszą miłością pacholęcą i której wzgarda wtedy pierwszy, bardzo głęboki i bardzo bolesny cios zadała jego młodemu sercu, — to w któremże życiu, a w którem życiu artysty nadewszystko, nie doszukalibyśmy się więcej takich ironicznych, gorzko zdumiewających tajemnic?

Ale jedna była tajemnica największa, i zaprzeczać jej istnieniu dziś ponoś już niepodobna. Nie dla wrażenia tylko, jak dziś wiemy, powiedział Byron, że „było coś oprócz wodospadu Staubbach i szczytu Jungfrau i „Fausta" Goethego, z czego powstał *Manfred*". Przebrzmiały dzisiaj namiętne do niedawna spory o to, czy Byron kokietuje tylko według panującej romantycznej mody z motywem incestu, jak nim igrali po literacku Chateaubriand i Shelley i inni, — czy też należy wziąć dosłownie to, co w r. 1869 odważyła się powiedzieć wyraźnie amerykańska autorka pani Beecher-Stowe o stosunku do ukochanej tak gorąco, opiewanej tak entuzjastycznie przyrodniej siostry poety, Augusty Leigh. Wolno nam dziś powiedzieć, że czy bardziej czy mniej wyidealizowanemi okażą się i sprawa i osoba

w nieubłaganem świetle prawdy historycznej, to może pozostać dla nas rzeczą obojętną, bo wiekuistą rzeczywistością jest ten wizerunek Augusty, jaki żyje w poezji, tak samo jak nieśmiertelnie prawdziwą jest Beatrice w poezji Dantego, a nie ta historyczna Włoszka, której kości od wieków próchnieją w zapomnianym grobie. Szczery miłośnik poezji nad takiemi rozdziałami w życiorysach poetów z ulgą wypisuje głęboko mądre słowa rzymskiego wieszcza *Premat nox alta*. Niech tajniki życia osobistego nadal otacza ta dobroczynna, niczego nie profanująca noc, wśród której światło twórczości i piękna tem jaśniejszym, niezamąconym świeci blaskiem.

Nie wzgardzi za to i ten miłośnik, do drobiazgów rozkochany w spuściźnie duchowej wielkiego człowieka, szczegółową znajomością takich zewnętrznych już raczej momentów życiowych, które dodatkowo tłumaczą zagadkę stałego rozgoryczenia i dozgonnej melancholji Byrona. Piękny z oblicza jak bóg helleński, otrzymał od zawistnego losu w darze niekształtną i kulawą nogę. Namiętny jak Włoch, jak ptak rozmiłowany w swobodzie, nieobliczalnie popędliwy jak każdy prawdziwy artysta, zrządzeniem tegoż złego losu skojarzony jest związkiem małżeńskim z mądrą, sztywną i chłodną Angielką: sam ją nazywa „matematyczną Meduzą", a ona musiała go mieć za obłąkanego, co też podała za główny powód rozwodu. Po królewsku hojny w swej prawdziwie szlacheckiej naturze, nie jest nawet w późniejszych latach, jako najpoczytniejszy poeta swego wieku, tak bogatym, by go wiecznie nie trapiły kłopoty pieniężne i wiecznie nie dręczyły długi: sam pod koniec lat włoskich z uśmiechem powiada, że z wiekiem poczyna się w nim rozwijać „ta gentlemańska wada — skąpstwo". Lubuje się jako prawdziwy Anglik w takich ćwiczeniach jak jazda konna i pływanie: przepłynął ujście Tagu pod Lizboną i Hellespont z Europy do Azji, a szalone swe galopy wierzchem uwiecznił w „Mazepie". Tego fanatyka sportów nęka, jak widmo, rodowa skłonność do tycia: walczy z nią przez bezlitosne, prawdziwie pustelnicze posty, które rozstrajały nerwy, podkopywały organizm i wkońcu skróciły mu życie.

Ale ponad to wszystko jedna jeszcze może przyczyna natury psychologicznej u samego korzenia podgryza i zatruwa jadem smutku jego naturę. Jest nią skryte niezadowolenie z samego siebie jako poety. Romantyk z programu i stylu, z treści i szaty swych utworów, klasycystą jest w swych stałych rozumowych przekonaniach teoretycznych. Bałwochwalczo

uwielbia wykwintność arcymistrza XVIII wieku, Aleksandra Pope, i w listach otwartych do swego nakładcy zapalczywie broni jego stylu jako wzoru, gdy szkoła Popa już bezpowrotnie wymiera. We własnych satyrach i powieściach poetyckich nietylko powtarza formy wiersza, ale często widocznie usiłuje odtworzyć także epigramatyczną, zrównoważoną dykcję poetów klasycznych. Romantyczny sposób pisania swych braci na Parnasie angielskim od Scotta i Tomasza Moore do Shelleya i Keatsa w czambuł potępia jako fatalną omyłkę. W poetyce wierszowanej na sposób Horacego *(Hints from Horace)* wiernie parafrazuje to samo, co z Mikołaja Boileau sto lat temu przejął był Pope w swym poemacie dydaktycznym „O krytyce". Być więc może, iż Byron całą świadomą i rozważną duszą tęsknił za stylem klasycystycznym jako przeciwwagą artystyczną nieokiełznanych porywów swego temperamentu. Ale zasada *Le style c'est l'homme* jest wyrazem prawa natury: Byron musiał tak pisać, jak żył. Skończonem arcydziełem sztuki życia nie potrafił zrobić swego wulkanicznego żywota, skończonem arcydziełem kunsztu poetyckiego nie mógł zrobić swej zawsze improwizowanej poezji. I gorycz tej świadomości może jest jednem z głównych źródeł melancholji byronowskiej.

Ale jeżeli ten rozdźwięk między temperamentem osobistym a refleksją artystyczną ponosi winę i smętnego niezadowolenia z siebie i wielu niedostatków twórczości, to nie zamąca on w każdym razie tej całej ogromnej połaci dzieł Byrona, która zajmuje połowę największego ze zbiorowych wydań: tą mianowicie są jego l i s t y, należące do najżywszych, najbarwniejszych, najsilniej bezpośrednich i osobistych w literaturze epistolarnej nowoczesnego świata. Tu skrupuły stylistyczne, które dyktowała klasycystyczna poetyka, pola do działania nie miały, tu Byron bez estetycznych wyrzutów sumienia mógł być w całej pełni sobą, wolny od sztucznych ograniczeń i tradycyjnych konwenansów stylistycznych. To też mało które jego dzieło w mowie wiązanej tak obficie tryska i dowcipem i uczuciem, bogactwem realnych szczegółów i błyskawicami bystrych spostrzeżeń. Kto nie zna listów, nie zna jednej z najznakomitszych części spuścizny literackiej Byrona [1].

---

[1] Wielką ich ilość poznaliśmy dopiero w XX wieku, w monumentalnem wydaniu *The Works of Lord Byron*, edited by E. H. C o l e r i d g e and R. E. P r o t h e r o (Londyn, John Murray, 1898—1904, 13 tomów,

5.

Ale światowa sława Byrona stoi i upada z jego poezją. Co z tej poezji po stu latach pozostało żywem?

Jak pokrewny mu duchem nasz Słowacki, Byron przez całe swe krótkie życie trawiony jest nieustanną gorączką wypowiadania się w poezji, i twórczość poetycka od lat szkolnych jest dla niego stałą i normalną funkcją życia duchowego. Wśród tego mnóstwa utworów, które w ten sposób natłoczyły się gęstym rojem na przestrzeni lat kilkunastu, łatwo, bardzo łatwo, wskazać palcem te dość liczne dzieła, które dziś są nieodwołalnie martwe. Ale i między temi, co życie zachowały, wiele spłowiało, wyblakło, spowszedniało, uległo spospolitowaniu przez nieudolne naśladowania we wszystkich językach i dawno już nie wabi oka świeżością swych jaskrawych pierwotnych kolorów. Nie jest przesadą powiedzieć, że wody letejskie podmyły już takie nawet filary europejskiego byronizmu, jak „Childe Harold" i „Manfred", „Korsarz" i „Więzień Chillonu".

Zacznijmy jednak od początku! Gdyby Byron był się doczekał rzeczy tak niezgodnej z jego temperamentem, jak honory jubilata i testament literacki w postaci ostatecznego zbiorowego wydania dzieł poetyckich, niechybnie byłby z pośród nich wykluczył swój pierwszy zbiorek poezyj, „Wczasy poetyckie", — tak samo, jak wykluczył w późniejszym wieku Tennyson ze zbiorowych wydań pierwszy tomik swych młodocianych rymów. Byron i Tennyson, podobni do siebie w tem, że obaj od ławy szkolnej zachłannie się rozczytują we wszelakiej literaturze dawnej i nowej, naukowej i belletrystycznej, zapełnili pierwsze swe drukowane zbiory nawskróś naśladowczemi owocami tego rozległego oczytania. Byron w szczególności do zupełnego znużenia czytelnika powtarza utarte pseudo-anakreonckie motywy i monotonnym truchtem podskakujące anapestyczne rymy recytowanego wtedy po wszystkich salonach zmysłowo-czułostkowego Tomasza Moore. Jeden tylko powiew dzikiej swobody gór szkockich w kilku poetyckich wspomnieniach z najwcześniejszych lat chłopięcych daje trochę niewygasłej świeżości tym popisom rymotwórczym „małoletniego"

---

z tego 6 tomów *Letters and Journals).* W ostatnich czasach przybyły jeszcze dwa tomy listów do Lady Melbourne (Londyn, John Murray, 1922).

(*a minor*, jak lord Byron nie omieszkał sam się określić na tytule).

Małoletniość nie ocaliła go od srogiego sądu wszechpotężnej wówczas edynburskiej krytyki. Odpowiedział zuchwałoswywolnym przeglądem wierszowanym nietylko „recenzentów szkockich“, ale i „bardów angielskich“ — *English Bards and Scotch Reviewers,* — przyczem nawet wielbionemu powszechnie Walter Scottowi się dostało. Satyra ta słusznie dziś spoczywa na wieki wśród makulatury literackiej, nietylko dla swej zgoła niesamodzielnej formy, wiernie kopjującej jednostajnie-regularne rymy XVIII wieku, ale przedewszystkiem ze względu na znikomą marność dawno zapomnianych pismaków, których Byron z całym ferworem młodości piętnuje, a którzy nic a nic nas dziś obchodzić nie mogą.

Sławnym człowiekiem obudził się Byron (jak to sam wyraził) pewnego poranku po wydaniu pierwszych dwóch pieśni „Childe Harolda“, opisujących Hiszpanję i bliski Wschód. Bez gwałtownych wzruszeń przeglądamy dziś po raz setny to album widokówek poetyckich z podróży, tylokrotnie przez sto lat przeróżną techniką odbijanych, że stały się w naszych oczach banalnemi szablonami. Ale jakże to wszystko wtedy czarowało nowością i urokiem egzotycznych kolorów! I strój pielgrzymi, i staroświeckie strofy z renesansowego Spensera, a nadewszystko same te sceny, od walki byków do śnieżnego Parnasu, od gwarnych ulic Stambułu do tańców górali albańskich, od zielonych wysp egejskich do nieśmiertelnych marmurów Partenonu! O dziwaku angielskim Beckfordzie, co mieszkał w odludnym pałacu nad morzem w Hiszpanji i we francuskiej powieści „Kalif Vathek“ przedstawił fascynację Wschodu, mało kto z jego rodaków wiedział; ale od czasów Byrona zaroiło się od mniej i więcej osobliwych podróżników angielskich po Wschodzie i ich niezliczonych książek: poczynając od dyplomaty J. Moriera, co w stuletnim już dziś „Hadżi Babie z Ispahanu“ dał literaturze angielskiej klasyczny w swym humorze zbiór anegdot i przypowieści wschodnich, a skończywszy na dziwaku R. F. Burtonie, co jako derwisz pieszo cały Wschód przemierzył, olbrzymi zbiór „Tysiąca i jednej nocy“ pierwszy raz w całości przełożył i bezprzykładnie śmiałemi autobiograficznemi adnotacjami wzbogacił. A raczej nie skończywszy nawet na nim, bo zjawiska te i dziś jak z rogu obfitości wciąż się sypią i na widownię życia i na rynek literacki an-

gielski, a wszystkie liczą Byrona do swych duchowych protoplastów.

Sam Byron kuł żelazo póki gorące, i w nocach po hucznych wieczornych zabawach kilku świetnych londyńskich sezonów, z niedbałą wielkopańską łatwością rzucał na papier jednę po drugiej te wierszowane powieści wschodnie, co tak nieprzejrzaną falangę potomstwa literackiego we wszystkich językach Europy ciągną za sobą w historji, jak wielki ogon komety. Dziś trudno się nie zgodzić na stanowczy sąd rosyjskiego krytyka Rozanowa, że to „chyba najbardziej przestarzała część Byronowej spuścizny". Oddawna dość już mamy powtarzanego raz po razu jednakowego bohatera byrońskiego z jego złowrogą pięknością, ponurem milczeniem i stygmatem tajemniczej zbrodni na wyniosłem czole. Ukochaliśmy nad inne powieści „Giaura", bo zrobił zeń arcydzieło piśmiennictwa naszego Mickiewicz. Zresztą już w oryginale „Giaur" ze swym urywkowym, niepowiązanym, dramatycznym na sposób starych ballad sposobem opowiadania o straszliwych, ciemnych i gwałtownych czynach, jak był pierwszym, tak jest może i najdoskonalszym z tych utworów. Ale już i to dzieło zepsuł sam Byron, wypełniając luki jego fabuły systematycznie w wydaniach późniejszych, aż objętość w dwójnasób rozszerzył, a siłę opowieści rozwodnił. Systematyczny w samem założeniu „Korsarz" interesuje dziś tylko historyka literatury, bo jako dzieło na największą skalę w całej tej galerji, najrozleglejszy też wywarł wpływ literacki. „Narzeczona z Abydos" jest nie więcej, jak anegdotą poetycką, „Lara" nie więcej jak epilogiem do „Korsarza": wena poety widocznie słabnie. W „Oblężeniu Koryntu" bohater-renegat — „renegat do ostatka", nie Wallenrod! — moralnie od dotychczasowych marniejszy, okropności za to dla wzmocnienia efektu zgęszczone i wyjaskrawione. „Paryzyna" znowu anegdota tylko, na temat dobrze znany z „Don Carlosa". Ale końcowe słowa powiastki, pełne bezbrzeżnej goryczy słowa o tych łzach najboleśniejszych, łzach niewypłakanych, — te słowa świadczą, że wszedł w lekkomyślne życie modnego poety nowy i potężny czynnik rozwoju artystycznego, — wszedł ten najsroższy a najgłębiej kształcący ze wszystkich mistrzów i wychowawców: wielki ból osobisty. Dramatyczna detronizacja króla salonów londyńskich i bezapelacyjne wygnanie towarzyskie, na które go skazuje kodeks moralności brytyjskiej — to nietylko zwrot na nowe drogi życia, ale i ku nowym, dojrzalszym stadjom twórczości.

6.

Zwrot ku nowym fazom, nie ku nowym formom. Byron, podróżując po kontynencie europejskim, dalej snuje wątek „Childe Harolda", dalej pisze powieści poetyckie, nieraz jeszcze powraca do satyry.

Ale jakże innym staje się Childe Harold w tej trzeciej i najwspanialszej swej pieśni, która roztacza przed nami panoramę śnieżnych Alp i uroczych brzegów jeziora genewskiego! Majestat gór i majestat wielkich duchów, których pamięć uświęca miejsca nad szwajcarskiem jeziorem, uczą Byrona pokory, jak boleść nauczyła go skupienia. Pierwszy raz w życiu pojmuje i śpiewa panteizm: on, dumny, jak szatan, w chwilach ekstazy roztapia swą jaźń we wszechbycie. Z dreszczem czci i intuicyjnego odczucia przejmuje się pulsowaniem wielkich, twórczych umysłów. Shelley pogłębia jego kulturę literacką: zaznajamia go z tragikami greckimi, w łódce na jeziorze czyta mu „Fausta". Byron w nowej pieśni „Childe Harolda" hołduje cieniom wielkiego Genewczyka, Jana Jakóba Rousseau, cieniom Voltaira i znakomitego angielskiego historyka upadku Rzymu, Gibbona, co wszyscy nad tem jeziorem tworzyli. Cień Dantego unosi się nad „Więźniem Chillonu": z dziejowej tradycji zamczyska nad jeziorem Byron wydobywa najpotężniejsze w poezji powszechnej echo epizodu Ugolina w „Boskiej komedji".

W tym samym okresie do najwyższej może potęgi wznoszą się samodzielne już zgoła i głęboko przeżyte wiersze liryczne poety: we „Śnie" otwiera się i krwią serdeczną opływa stara rana zawiedzionej pierwszej miłości; w straszliwem widzeniu „Ciemność" dantejską grozą nas przenika obraz rozpaczliwego końca ludzkości; w krótkiej odzie „Prometeusz" spiżowemi iście tony rozlega się wyznanie dojrzałej wiary Byrona we wielkość natury ludzkiej i potęgę człowieka nad losem i żywiołem.

Takiem samem prometejskiem wyznaniem wiary na większą skalę jest fantastyczny dramat „Manfred", w którym wrażenia z widoku olbrzymich gór szwajcarskich i z lektury „Fausta" Goethego spłynęły się w jedną oryginalną całość. Na zewnątrz „Manfred" przedstawia się istotnie poprostu jakby Prometeusz w innej szacie: tragedja nad-człowieka, co wolą — jak Faust rozumem — „tam sięga, gdzie wzrok nie sięga", wznosi się poza granice, przez wiekuisty rzeczy porządek ustanowione dla siły ducha ludzkiego, i załamuje się w tym wzlocie. Ale nawet w swym upadku Manfred pozostaje majestatycznym,

niezłomnym i niezwyciężonym, — a w świetle tego zakończenia całość ukazuje nam się nie jako apoteoza nad-człowieka, tytana genjuszu, lecz raczej właśnie jako hołd dla doskonałego „przedstawiciela ludzkości" (by zapożyczyć wyraz z tytułu znakomitej książki Amerykanina Emersona o wielkich ludziach). Manfred jest wcieleniem wszystkiego, do czego według zachwyconej wiary Byrona zdolny jest człowiek. Byron nigdy nie przestaje myśleć o człowieku jako o koronie świata, jako o istocie zdolnej wznieść się najbliżej Boga. Natchnienie „Manfreda", jak i niejednego jeszcze z najcharakterystyczniejszych utworów Byrona, streścić można w entuzjastycznych słowach shakespearowskiego królewicza duńskiego: „Co za arcydzieło człowiek! jak szlachetny rozumem! jak nieskończony w zdolnościach! w postaci i ruchu jak wyrazisty i cudowny! w czynach, jak do aniołów podobny! myślą, jak do bóstwa zbliżony!" („Hamlet", akt II, sc. 2; tł. L. Ulricha).

I winą tylko jest tragicznej skazy na duszy samego poety, jeżeli wiernego obrazu nastrojów Byrona dopełniają dalsze jeszcze słowa Hamleta: „A przecie, dla mnie czem jest ta kwintesencja prochu? Człowiek nie ma dla mnie uroku, nie — ani mąż ani niewiasta, choć wasz uśmiech wątpić się o tem zdaje".

7.

Z przeniesieniem od chłodu i martwej bieli śniegów alpejskich w słoneczną zieleń gajów i ogrodów italskich, zmieniają się i te nastroje. Byron pogrąża się z większą rozkoszą, niż kiedykolwiek, w wartką falę doczesnego bytu, i rozkochany do namiętności w życiu włoskiem, nie szybuje teraz myślą poza widnokręgi tych łatwych radości, które mu daje codzienna piękna rzeczywistość czarownej Wenecji. Najbardziej może skończone jego arcydzieło w małym rodzaju, jako dzieło sztuki niewątpliwie doskonalsze od wszystkich orjentalnych opowieści, to humoreska wierszowana *Beppo,* na temat anegdoty z karnawału weneckiego — anegdoty oczywiście o konturach trójkątu: żona, *cicisbeo* i powracający z podróży mąż. Obfite a dowcipne dygresje w przeróżnych kierunkach — nie bez satyrycznych wycieczek w stronę chłodnej, mrocznej północy ojczystej, — ponadto po raz pierwszy i odrazu z płynną, potoczystą maestrją użyta typowa strofa włoska — oktawa: wszystko razem stanowi lekkie a urocze preludjum do wielkiej kreacji „Don Juana", co miała się niebawem, jak Afrodyta

z pian morskich, wyłonić z lotnych przeżyć pierwszych włoskich lat.

Płyną zresztą narazie jeszcze dalej po zwyczaju także starsze i cięższe zwrotki „Childe Harolda“: po malowniczym opisie Hiszpanji, Wschodu, Renu, Szwajcarji, Byron snać uważa za obowiązek przyzwoitości kulturalnej dać również przewodnika rymowanego po cudach sztuki i wspomnieniach kultury włoskiej. Czyni to w pieśni czwartej i ostatniej, która jest najociężalszą z wszystkich i w swej encyklopedyczności nadto już Baedekerem trąci. Dobiła ją balastem uczonych annotacji przyjacielska dłoń Hobhousa i rzec można śmiało, że pielgrzym byronowski nie zawcześnie — raczej za późno — znika nam z oczu. Serce Byrona najwidoczniej nie jest przy skarbach sztuki i historji, które go otaczają, lecz w wirach tego życia, które kipi na ich tle.

Z podobnie ociężałym gestem spełnienia obowiązku, jak w ostatniej pieśni „Childe Harolda“, hołduje Byron jeszcze osobno wielkim pisarzom i artystom Włoch w „Proroctwie Dantego“, które jest niewiele więcej, jak rymowanym katalogiem znakomitych ludzi i ich arcydzieł. Tylko tam, gdzie zadrga struna osobista, przedmiot ze sławnej przeszłości włoskiej się ożywia: monologiczny poemat „Żale Tassa“ i dziś jeszcze ze wzruszeniem czytać można, bo tu z głębokiem współczuciem poeta, sam z boleścią znajomy, wżywa się całą duszą w ludzkie nieszczęście śpiewaka „Jerozolimy Wyzwolonej“.

Nietylko w czwartej pieśni „Childe Harolda“ nawiązał Byron w czasach włoskich do form twórczości swych lat poprzednich. Bujny puls jego życia włoskiego tak ożywia i podnieca tę produkcję pisarską, która już mu w zwyczaj weszła, że i do szeregu powieści poetyckich niebawem przybywa jedna jeszcze. „Mazepa“, to znowu anegdotka zaledwie, streszczająca się głównie w fantastycznym galopie poetyckim na nieosiodłanym grzbiecie rozhukanego tabuńca przez rojone mgliście stepy Ukrainy.

Ale do używanych dawniej form, przyłączają się teraz i nowe. Każdy znakomitszy poeta nowoczesny w pewnem stadjum dojrzałości i powodzenia wyciąga rękę po laury dramatyczne. Uczynił to i Byron, odurzony tym zachwytem egzaltowanym i bezkrytycznym, który w nim, jako zasadniczym zwolenniku stylu klasycystycznego, budziły widziane na scenie weneckiej deklamatorskie dramaty Alfierego. Na przedstawieniu jednego z nich, Byron w uniesieniu swego uwielbienia do-

stał nawet czegoś w rodzaju ataku histerycznego. Naśladuje gorliwie retorykę Alfierego w dwóch swoich dramatach z historji weneckiej: „Marino Faliero“ i „Dwaj Foscari“. W tym ostatnim obok Alfierego, wyraźniej poczyna działać na Byrona i Shakespeare : postać intryganta (Loredano) jest kopją Jaga z „Otella“, a w monologach słyszymy echa refleksyj Hamleta. Z tem wszystkiem oba te koturnowe produkty są martwe, jak sama chwała starej republiki weneckiej, i żaden teatr życia im dać nie potrafi. Znowu, jak zawsze, więcej życia zdołał tchnąć Byron dopiero w takie dzieło dramatyczne, w którem do tematu dał się domieszać pierwiastek osobisty i aktualny. „Sardanapal“, tragedja słabego króla, strąconego z tronu, przypomina i treścią i elegijnym tonem shakespearowskiego „Ryszarda II“, ale sama postać assyryjskiego bohatera, niewątpliwie jest autoportretem poety: od swego twórcy ta figura ma wrażliwą zmienność usposobienia i nonszalancko-dobroduszną wspaniałomyślność; od niego także ten osobliwy u orjentalnego despoty rys, jakim jest szeroki liberalizm poglądów. Sardanapal, który przez to traci władzę, że w pragnieniu szczęścia dla swych poddanych zbyt wiele im daje wolności, na każdym kroku wypowiada maksymy, jakby obliczone na to, by drażnić reakcyjnych monarchów i legitymistycznych ministrów Świętego Przymierza.

Tu już grał temperament satyryczny, dla którego porządki w Europie po kongresie wiedeńskim stały się lontem płonącym, co wywołuje raz po razu wybuchy potężnego talentu. Jako satyryk polityczny Byron i przez rodaków swoich bez zastrzeżeń uznany jest za mistrza. Włada i gromem gniewu burzliwego i błyskawicą oślepiającego dowcipu zarazem w takich fantazjach poetyckich jak „Wizja Sądu“ i „Wiek mosiężny“. W pierwszej nie waha się z Miltonem samym wstępować w szranki: by obnażyć całą nicość zmarłego w obłędzie monarchy brytyjskiego, aż do wrót niebios śmiało go prowadzi i Archaniołowi z Szatanem wspaniałą, drwiąco-rycerską rozmowę wieść każe. Zaś w drugiej satyrze w przerażone uszy policjantów Europy, zbierających się rok po roku na bezradne kongresy, grzmi jakby głosem surmy rewolucyjnej, imionami wielkich bojowników o wolność narodów, od Kościuszki w Europie do Washingtona w Ameryce północnej i Bolivara w południowej.

Ale mimo śmiałego rozmachu i finezji artystycznej „Wizji Sądu“, mimo nowej aktualności, jaką „Wiekowi mosiężnemu“

daje uderzające podobieństwo między sytuacją europejską po wojnach napoleońskich a dzisiejszą, — złudzeń i tu dziś po stu latach być nie może: ci reakcjoniści, na których satyra Byrona uderza, te machinacje, które piętnuje, to dziś zapomniane i obojętne, zardzewiałe rupiecie we wielkim lamusie historji. Satyra polityczna już ponoś z konieczności na to cierpieć musi, że zawsze ma coś dziennikarsko-jednodniowego w sobie, i to, że Byron *nemine contradicente* stoi w pierwszym rzędzie wielkich satyryków angielskich, samo jeszcze mu nie daje miejsca wśród największych poetów Anglji.

8.

Z ducha i z treści zuchwałych, jednodniowych satyr politycznych jednak coś się udzieliło temu dziełu o wyższym locie i szerszym rozmachu, które góruje nad drobniejszym dorobkiem pierwszych lat włoskich, jak „Manfred" góruje nad erą szwajcarską.

Tem dziełem jest dramat biblijny „Kain". Jak w „Manfredzie", daje w nim Byron wyraz swej wierze we wielkość człowieka i w nieskończone jego zdolności. Proklamując majestat człowieczeństwa przez usta pierwszego rewolucjonisty w dziejach rodu ludzkiego, Byron w postaci tego buntownika zapamiętale przeciwstawia tytanizm ludzkości tyrańskiej władzy tego orjentalnego despoty, którym jest antropomorficzny Bóg w naiwnych opowieściach Starego Testamentu. Narzuca się porównanie tego Jehowy z monarchami Świętego Przymierza, a zbuntowanego przeciw Jego wszechwładzy Kaina ze spiskowcami i powstańcami rewolucyjnej Europy. Sojusznik Kaina, Lucyfer, to także w pojęciu Byrona nie przeciwstawienie wiekuistego Zła wiekuistemu Dobru, jak ze zgorszeniem tłumaczyli pastorowie, co potępiali to dzieło, — lecz znowuż przeciwstawienie pierwiastka wolności pierwiastkowi samowładztwa: Lucyfer, to tylko powtórzenie i wzmocnienie tego symbolu, którym jest Kain. Prowadząc Kaina po przestworzach wszechświata, manifestuje prawo i moc rozumu ludzkiego do ogarnięcia wszech rzeczy swem widzeniem i swem działaniem.

Ale czyż Lucyfer w końcu nie podżega Kaina do bratobójstwa, do pierwszej w świecie zbrodni, czyż tu się nie objawia jako niszczycielski duch wiecznego przeczenia — *der Geist, der stets verneint* — jak Mefistofeles u Goethego? Nie tak, zdaniem mojem, należy pojmować zamordowanie Abla w byro-

nowskiej koncepcji dramatu. Nie ma ono być typem zbrodni *par excellence*, ale jedynym w warunkach Kaina możliwym wyrazem jego buntu przeciw uciskowi biblijnego Jehowy, — jest wybuchem, jak to Byron określa, jego wściekłości nad tą otchłanią, jaka zieje między zdolnościami ducha ludzkiego a ograniczeniami ludzkiego bytu.

Takie ujęcie fabuły biblijnej zaiste nazwać można jednym z najpotężniejszych w literaturze i sztuce powszechnej obrazów niestłumionych nigdy dążeń wolnościowych człowieka.

Ale to określenie już zawiera zarazem i nasuwającą się krytykę. W romantycznym entuzjazmie wolnościowym Byrona, jak w entuzjazmie wolnościowym romantyków wogóle, niema pierwiastka pozytywnego. Brak nam tego elementu konstruktywnego w całem poetyckiem posłannictwie Byrona. Jest najwspanialszym poetą buntu — nie jest czemś więcej. Jak słusznie powiedział znakomity niemiecki historyk etyki Fryderyk Jodl, potęgę pieśni byrońskiej porównać można z temi niewidomemi potęgami nadziemskiemi w pieśni zrozpaczonego harfiarza u Goethego, co wprowadzają nas w życie, pogrążają w błąd i winę, i pozostawiają potem katuszom [1]. Czyż nie jest znamiennem — dowodzi dalej Jodl, — że Byron, chcąc dać płomienny wyraz swej prometejskiej miłości dla człowieka, nie obiera za swego bohatera, jak to uczynił jego przyjaciel Shelley i tylu innych wielkich poetów, symbolicznej figury Prometeusza samego — dawcy ognia, twórcy kultury, budziciela myśli, tego, co nauczył ludzi własnemi siłami życie swe budować, — ale obiera jako swego Prometeusza postać Kaina, pierwszego zabójcy, błędnego wygnańca i bezdomnego tułacza, którego przeznaczeniem jest siać po świecie tylko bezpłodny protest, jałowe zwątpienie i niezniszczalne zapędy! Taki bohater nie dokona zbawczego wysiłku nad wybawieniem spętanej ludzkości od mąk, które ona jak Prometeusz cierpi przez to, że wie za wiele a zdoła za mało. Cała treść takiej poezji, to tylko jedno wielkie, gniewne zapytanie o przyczynę złego i cierpienia. Zapytanie, tylokrotnie już przez ludzkość rzucane niezbadanym rządom świata, raz jeszcze potężnie wypowiada Kain, i — pozostawia je bez odpowiedzi. Losy jego, jak losy

---

[1] *Ihr führt ins Leben uns hinein,*
Ihr lasst den Armen schuldig werden —
Dann überlasst ihr ihn der Pein:
Denn alle Schuld rächt sich auf Erden.

Manfreda, kończą się w dumnej i niepokonanej, ale beznadziejnie bezowocnej udręce.

9.

Jak gdyby chcąc podkreślić jeszcze ujemny wynik swych buntowniczych rozmyślań, Byron dał „Kainowi“ ciąg dalszy w misterjum „Niebo i ziemia“, przedstawiając tragedję jego równie buntowniczego potomstwa w przededniu potopu. Tradycję kainowską tu uosabia demoniczna bohaterka Aholibama, co równie zapamiętale w bezkresy dąży swym heroicznym duchem jak jej ubóstwiany przodek, i równą się czuje swemu anielskiemu kochankowi. Byron bowiem stanął tu na czele szeregu poetów, co tak pojęli wzmiankę w szóstym rozdziale Księgi Rodzajów o miłości między Synami Bożymi a Córami Ziemi [1]. Rewolucyjne uniesienie, którem i ten utwór jest natchniony, tu już widomie rozsadza formę poetycką i z chórów, któremi Byron mniemał ozdobić swój liryczny dramat, robi niepohamowane i nieujęte w karby potoki deklamacji.

Po raz ostatni w tem dziele natchnęła poetę Biblja. Jako prawdziwy Anglik Byron znał ją dobrze od dziecka, i już kilka lat przed „Kainem“, wzorując się na śpiewnych „Melodjach irlandzkich“ Tomasza Moore, wysnuł był z niej garść lirycznych „Melodyj hebrajskich“, to prostych i rzewnych, to elegijnie zadumanych, to znowu pełnych heroicznego impetu starej ballady. Jako jedno z doskonalszych formą pośród dzieł Byrona, może zasługiwałoby na wyciągnięcie z pyłu zapomnienia, który je pokrył. My zawdzięczamy mu różnodźwięczne „Melodje biblijne“ naszego Ujejskiego.

Po raz trzeci jeszcze po „Manfredzie“ i „Kainie“, podjął Byron pod koniec życia temat prometejski w dramacie „Niekształtny przekształcony“, którego już ukończyć nie zdołał. Sceną tu jedno z najdramatyczniejszych widowisk w dramatycznej historji świata renesansowego: zdobycie i splądrowanie Rzymu przez żołdactwo konetabla burbońskiego w r. 1527 *(Sacco di Roma).* Bohaterem garbus o ognistej duszy — ambitny i śmiały jak sam shakespearowski król-garbus Ryszard III — albo jak Byron, którego natura skrzywdziła, dając mu kulawą nogę. Bohaterowi, jak „Faustowi“ Goethego,

---

[1] Osnuli po nim na tym przedmiocie poematy Tomasz Moore w Anglji, Vigny, Lamartine i Leconte de Lisle we Francji; a prawie równocześnie z Byronem młody Lermontow w Rosji w utworze, który później dał temat do opery Rubinsteina *Demon.*

szatan daje piękną, młodzieńczą postać, i szyderstwami swemi towarzyszy jego bohaterskim czynom, a potem początkom dramatu miłosnego.

Szatan to już nie ten, co w „Kainie", nie symbol prometejskich aspiracyj, ale ten sam duch przeczenia, co u Goethego. Ten sam też ma djabelski humor: satyryczny genjusz Byrona rzuca swe blaski w żartach djabła na temat Wiecznego Miasta, które djabłu dobrze jest znane. Ale właśnie ta zupełna zależność koncepcji postaci od Mefistofelesa w „Fauście" nie pozwala nam podzielać entuzjazmu byronistów nad tym torsem i łączyć go w trójgwieździe z „Manfredem" i „Kainem", do których niedokończony utwór najbardziej się zbliża i formą i treścią. Raczej dziś objąć musimy wszystkie te trzy fantastyczne dramaty jednakową krytyką, że nie dostaje im samodzielności w ujęciu przedmiotu, artystycznego przemyślenia tematu i filozoficznego pogłębienia idei.

10.

Jakby chcąc i w twórczości poetyckiej sprawdzić swój żart, że z latami staje się skąpym, Byron w swym nieustającym ferworze pisarskim późniejszych lat włoskich zeskrobuje urywki i okruchy wszelakich dawnych i nowych pomysłów i pośpiesznie uzupełniając, rzuca na rynek. Najsłabsze chyba ze wszystkich jego dzieł, dramat „Werner", jest takiem dokończeniem młodocianego szkicu na temat pokrewny „Zbójcom" Schillera, ale wzięty z trzeciorzędnej powiastki angielskiej. Satyryczna bluetka dramatyczna „Literatki" *(The Blues),* wyraźnie wzorowana na *Les Précieuses ridicules* Moliera, niemile nas razi niedwuznacznym akcentem literackiej zemsty na uczonej żonie poety, tak samo jak starszy o kilka lat wiersz satyryczny przeciwko nowemu wtedy modnemu tańcowi — *Walc* — jest przykrym jako odwet kulawego poety na tych szczęśliwszych, co tańczyć mogą; a wysoki ton moralnego oburzenia mało licuje z szalonem życiem, jakie autor właśnie wtedy — w okresie największych swych londyńskich powodzeń — prowadził.

Wreszcie już na wylocie z Genui, na wojenną wyprawę grecką, Byron jakby zatęsknił za idyllicznemi wczasami nad jeziorem genewskiem z przed kilku lat, wskrzesił te wspomnienia Jana Jakóba Rousseau, które go tam owiewały, i z anegdoty marynarskiej wysnuł ostatnią swą powieść poetycką „Wyspa", romans rozbitków z okrętu angielskiego z córkami rozkosznej wyspy na oceanie Spokojnym. Ten moment sielankowego na-

tchnienia w przededniu ostatnich tragicznych scen burzliwego życia wzrusza nas znowu, jak wszystko prawie w twórczości Byrona, raczej jako ustęp w poemacie jego własnych losów ziemskich, niż jako objektywne dzieło sztuki. Ociężałe, jednostajne i nieraz chłodne i sztuczne są te regularne dwuwiersze rymowane, w które Byron sposobem uwielbianych klasycystów XVIII wieku przyoblekł rozciągniętą na cztery księgi opowieść, i więcej świeżego idyllicznego uroku, niż te przygody „Krystjana i jego towarzyszy" na dalekim Pacyfiku zawsze dla czytelnika mieć będzie przelotny, jak sen szczęścia, romansik Don Juana z Greczynką Haidée na wyspie egejskiej w pierwszych księgach największego z poematów Byrona.

Ten poemat — *Don Juan* — przy wszystkich innych bieżących zajęciach poetyckich pozostaje głównym wytworem i stałym towarzyszem późniejszych włoskich lat Byrona.

Pierwsze pieśni nie zapowiadają tej wszechobejmującej epopei satyrycznej, na jaką dzieło pod ręką poety urosło. Nastrojem i fabułą raczej przypominają znakomitą karnawałową humoreskę wenecką *Beppo.* Więc luźne przygody miłosne lekkomyślnego młodego człowieka, co nie filozofując zgoła, jak motyl przelatuje z kwiatka na kwiatek; więc dowcipne a cyniczne uwagi ogólne o kobietach i życiu, obyczajach i poglądach ludzkich; więc sporo wspomnień osobistych z Hiszpanji, Grecji, Stambułu... A nakryte to wszystko tradycyjnym tytułem „Don Juana", wybranym naprędce, i bez zamiaru wiernego trzymania się rysów starej legendy hiszpańskiej.

Zwrot nastąpił, gdy „żeński *censor morum*", jak ją nazywa żartobliwie poeta — wierna towarzyszka ostatnich jego lat włoskich, hrabina Guiccioli — założyła protest przeciw swywoli i zmysłowości utworu. Byron zrazu dzieło zarzucił, później podjąwszy je na nowo, na odmienną i szerszą wprowadził nas widownię. Niespodzianie znajdujemy się z bohaterem wśród okropności wojny rosyjsko-tureckiej, a potem pośród intryg na dworze Katarzyny II.

Już w tych rosyjskich partjach refleksje satyryczne poety daleko szersze zataczają kręgi i większą się mienią rozmaitością, niż w pierwszych, czysto miłosnych pieśniach. Ale najbardziej sobą staje się Byron, najhojniej rozsypuje królewskie dary swego dowcipu, gdy wreszcie w szeregu ksiąg najpóźniejszych — od XI do urywku XVII — kreśli stubarwny obraz tego towarzystwa angielskiego, które poznał tak dobrze w dniach swych salonowych triumfów, które tak okrutnie

go wygnało z pośród siebie, i na którem teraz wiekopomną i wspaniałą wywiera zemstę. Na tle starego zamku wiejskiego, który jest wierną kopją siedziby rodowej Byrona (sprzedanej dla wybawienia się z kłopotów finansowych), snują się figury jakby żywcem wzięte z jego wspomnień londyńskich, a wokoło tego wszystkiego jak rozległy krajobraz roztacza się w nieskończonych dygresjach i ekskursach nieprzejrzane bogactwo lotnych aforyzmów o polityce i literaturze, o religji i psychice ludzkiej, o miłości i przyjaźni, o pieniądzach i o śmierci, o humorze i o tragizmie życia, o mężczyznach i kobietach, — słowem o wszystkiem, co na drodze żywota zajmowało lub wzruszało, bawiło czy gniewało, odpychało i zapalało naprzemian tego nienasyconego, wiecznie ciekawego, wiecznie chciwego wrażeń miłośnika rzeczywistości życiowej i natury człowieczej. Uniesiony nieraz do krańców rozczarowania, wzgardy, oburzenia, znowu na rozkołysanej bez ustanku fali swej oktawy odpływa w sam środek wirów społecznych, znowu go ta fala z odmętów rozpaczy wynosi na wyżyny najszlachetniejszego nad człowiekiem zachwytu, najrzewniejszego dlań współczucia. Niedarmo Swinburne w swym entuzjazmie podróż czytelnika przez tysiące roztańczonych strof „Don Juana“ porównał z pływaniem po wodzie morskiej, co tak przedziwnie lżej nosi pływaka niż woda rzeki lub jeziora.

Ale pływakiem właśnie na przestworzach oceanu życiowego jest w tym poemacie sam twórca, nie nurkiem, co z przepastnych głębin perły dobywa. Głębię wciąż groźnie czujemy pod sobą, ale nigdy jej nie zmierzamy, ślizgając się wśród słonecznych błysków dowcipu satyrycznego po wiekuiście rozigranej powierzchni fal. Nie systemem poglądu na świat, nawet nie opisową encyklopedją spraw ludzkich jest „Don Juan“, lecz jedynie obfitym nieprzebranie indeksem spostrzeżeń i przeżyć, uczuć i myśli, zagadek i tajemnic. Byron to nie wieszcz jak Shakespeare, co dotknąwszy najdrobniejszej sprawy ludzkiej, magicznie rozświetla jej nieskończone perspektywy. Nie filozofję poetycką życia nam dał, lecz jego panoramę. Kto więcej od „Don Juana“ nie wymaga niż genjusz Byrona dać może, ten z rozkosznej wędrówki po obszarach tych tysięcznych stanc nigdy zawiedziony nie wróci.

II.

W ruchliwych latach włoskich, jakiekolwiek roje przyjaciół i kochanek, pochlebców i gawiedzi otaczały Byrona, zawsze

jeszcze mieszały się z niemi drugie roje powietrznych postaci jego poetyckiej wyobraźni.

Na greckiem wybrzeżu znikły i jedne tłumy i drugie — otacza poetę ta przerażająca pustka, która zawsze jest wkoło nas w chwilach najcięższych doświadczeń. Rozwiało się wszystko, jak złudne mary, co było słodyczą i bogactwem życia: otucha przyjaźni, szczęście miłości, zachwyt poezji, rozkosz sławy, uniesienie powodzeń. Pozostała jedyna ostoja: siła wiary w siebie i w wielką sprawę. *Nil boni praeter causam* — „nic tu dobrego prócz sprawy samej" — w tych cycerońskich słowach streścił przyjaciel poglądy Byrona na otaczający go obóz grecki. Zaś w sobie samym w tej największej życia chwili znalazł ten wielki Anglik tyle godności i dumy stoickiej jak nigdy, znalazł samobójczą odwagę statecznego patrzenia w oczy śmierci, determinację bezwzględnego poświęcenia dla idei. Wszyscy, co widzieli Byrona w Missolonghi, stwierdzili jednomyślnie, że okazał się tam urodzonym władcą i wodzem ludzi. Ale my sami stwierdzić możemy, że tu nareszcie okazał się także czemś większem jeszcze, bo władcą siebie. Prawdziwie po męsku potrafił oderwać się sercem od najświetniejszych i najdroższych wspomnień, potrafił postawić sobie walkę o wolność Grecji za cel i treść życia, a nawet za cel, dla którego bez wahania umrzeć warto. I sam zbudował pomnik tej najbardziej posągowej fazie swego życia w tym jednym wierszu, jaki jeszcze napisał — sam dla siebie, sam do siebie, na trzydzieste szóste urodziny, jakby czując, że to są ostatnie:

„...Dni moje w żółtych liści weszły porę, znikły miłości kwiaty i owoce; robak, co toczy, żal co nie wygasa, jedne mi zostały!...

. . . .

Lecz oto wkoło miecze i pawęże — i walki pole, chwała i Grecja! Zaiste Spartanin, na tarczy niesiony, nie był wolniejszym...

. . . .

Jeśli młodości żałujesz, czemu żyć? Tu chlubnej śmierci kraina: w pole, i oddaj twą duszę!..."[1]

. . . .

. . . .

[1] *My days are in the yellow leaf,*
The flowers and fruits of love are gone;
The worm, the canker, and the grief
Are mine alone!

Czyż nie jest największą chlubą dla Byrona, już nie jako poety, lecz jako człowieka, że właśnie w tym górnym momencie, gdy na wyżynie dumy osobistej i skupionej woli staje jak na ostatnim szańcu, odzywa się w nim jednak zarazem raz jeszcze głos tej niegasnącej miłości człowieka, co była głównem natchnieniem jego twórczości i jego działania, — że w tym poetyckim epilogu do poetyckiego dramatu życia, znalazły miejsce słowa:

„Choć już kochanym być nie mogę, kochać chcę zawsze!“ [1].

Zaiste, jak niema piękniejszego poematu Byrona, niż jego życie, tak niema wspanialszego dokumentu ludzkiego w jego poezji, jak ten jego testament.

. . . .

The sword, the banner, and the field,
Glory and Greece, around me see!
The Spartan, borne upon his shield,
Was not more free.

. . . .

If thou regrett'st thy youth, why live?
The land of honourable death
Is here: — up to the field, and give
Away thy breath!

[1] *Yet, though I cannot be beloved,*
Still let me love!

V.

JERZY MEREDITH

(1828—1909).

1.

Na dzień 12 lutego 1928 przypadała setna rocznica urodzin wielkiego powieściopisarza angielskiego, którego sława jest dziwną zaiste ilustracją tych perypetyj, jakim podlegać może ocena znakomitego artysty u współczesnych i potomnych.

Niemal że rówieśnik największych powieściopisarzy Anglji wiktorjańskiej — Dickensa, Thackeraya, pani George Eliot — Meredith wydaje kilka ze swych najwybitniejszych powieści jeszcze za ich życia, sam jednak przez długie dziesięciolecia nie może się doczekać ani powodzenia księgarskiego ani uznania przez krytykę literacką. Na grzbiet fali wynosi go dopiero pod koniec stulecia prąd reakcji przeciwko ideałom społecznym i estetycznym ery mieszczańskiej. Meredith przekracza próg XX wieku, otoczony chwałą arcymistrza powieści psychologicznej, i w promieniach tej chwały jako sędziwy starzec umiera. Na jego sławę pośmiertną rychło pada cień wojny światowej: z potężnego kataklizmu wychodzi pokolenie oswojone z najstraszliwszemi rzeczywistościami, gnębione niebywałą gorączką niepokojów społecznych, odnoszące się z cynizmem do subtelności indywidualnej analizy psychologicznej. To też krytyka, co kilkanaście lat temu nad świeżym grobem Meredditha wznosiła hymny zachwytu, wita stulecie jego urodzin sceptycznemi uwagami o jego przestarzałej drobiazgowości psychologizującej i pedantycznych skłonnościach moralizatorskich, o barokowych dziwactwach obrazowania i afektowanem niezrozumialstwie wyrażenia. Nie brak atoli już i teraz objawów świadczących, że i to zaćmienie chwały Meredditha z kolei przeminie, i że potomność czcić go będzie na równi z Dostojewskim i Ibsenem, jako genjalnie intuicyjnego krytyka dusz swego pokolenia i jako natchnionego zwiastuna nowych dróg jego myśli i woli.

2.

Meredith pochodził z rodziny krawieckiej w Portsmouth, której specjalnością było szycie mundurów dla oficerów marynarki wojennej angielskiej. Urodzony arystokrata ducha, od młodości wyrywał się z ciasnoty i szarzyzny małomieszczańskiego otoczenia rodzinnego do tej swobody ducha, subtelności myśli i wytworności słowa i gestu, jakie daje przynależność do uprzywilejowanych warstw społeczeństwa. Na tle tych swoich dążeń poróżnił się nawet i ostatecznie zerwał zupełnie ze swym ojcem, który wychowywał go i kształcił, jak umiał i rozumiał. Tęsknoty Mereditha się spełniły: stał się bywalcem klubów i ozdobą salonów londyńskich, w których błyszczał swym niepospolitym talentem konwersacyjnym. Ale dosięgała go i tragiczna *nemesis*, bo sam z kolei stał się obcym synowi, którego według swych pojęć najstaranniej wychować usiłował. Samo małżeństwo, z którego ten syn pochodził — małżeństwo z córką znakomitego literata T. L. Peacocka, — rozchwiało się wskutek niezgodności usposobień, wskutek niemożliwości pełnego zestrojenia dwu natur jednakowo wrażliwych, wykwintnych i delikatnych. Dopiero z papierów pośmiertnych po żonie, z którą się rozstał, dowiedział się Meredith o całej głębi jej uczucia dla niego; dopiero w drugiem małżeństwie i w otoczeniu dzieci, z niego pochodzących, znalazł prawdziwe szczęście rodzinne; dopiero długoletnie codzienne obcowanie z sielską i leśną przyrodą ojczystą w ukochanej siedzibie wiejskiej koło Box Hill, wśród uroczych wzgórz prowincji Surrey, na południe od Londynu, dało mu ukojenie i harmonję ducha po ciężkich przeżyciach osobistych.

3.

Te kilka zasadniczych momentów z biografji autora, to zarazem już spora część treści powieściowej jego dzieł. Odwieczna tragedja wychowania, odwieczny dramat konfliktu między starymi a młodymi, to osnowa pierwszej jego znakomitej powieści *The Ordeal of Richard Feverel* („Próba ogniowa Ryszarda Feverela“, 1859); i raz jeszcze do problemu wychowania powrócił pod koniec życia w powieści *Lord Ormont and his Aminta* („Lord Ormont i jego Aminta“). Bolesny proces wyrywania się z granic mieszczańskiego bytu odtworzył w powieści *Evan Harrington:* występuje tam pod nazwiskiem mar-

kizy Saldar jego ciotka, co zdołała wydostać się w inny świat, wychodząc za mąż za portugalskiego arystokratę. Głęboko smutne dzieje pierwszego małżeństwa poety, natchnęły go do cyklu sonetów *Modern Love* („Nowoczesna miłość"). Wreszcie tę równowagę ducha, jaką mu dało kojące zetknięcie z ziemią rodzinną w jej sielskiej krasie, wyśpiewał filozoficznie w kilkunastu tomikach swej liryki, zawsze grającej całą tęczą myśli, a czasem czarująco śpiewnej.

4.

Do przejść i doświadczeń własnych przybywały z latami z zewnątrz, z otaczającego życia innych, coraz nowe przedmioty do twórczych zastanowień. Z szumu sezonów londyńskich, z opowiadań, gazet, pamiętników, listów, czerpie Meredith tematy do wielu swych powieści, których atmosferą prawie zawsze jest salon, środowiskiem — wyższe towarzystwo angielskie. Przenosząc wprost do literatury fakty życiowe w niezmienionej postaci, jak mu je kronika towarzyska podawała, i maskując je tylko zlekka przez zmianę nazwisk, całą energję swej intuicji wkłada w ich psychologiczną interpretację, cały artyzm słowa w pajęczą tkaninę dialogów, całą gamę refleksyj w grę subtelnych aluzyj i znaczących niedomówień.

A więc *Emilia in England* (inaczej *Sandra Belloni),* oraz dalszy ciąg tej powieści *Emilia in Italy* (inaczej *Vittoria),* to owoce pobytu autora w charakterze korespondenta wojennego na polu walk niepodległościowych Włoch przeciwko Austrji w r. 1866. *Rhoda Fleming,* to obraz rzeczywistego dramatu w rodzinie chłopskiej, której jedną córkę unieszczęśliwia uwodziciel-ziemianin, a której córka druga jest jakby bohaterskiem wcieleniem tężyzny rasowej. W powieści *Harry Richmond* postaci fantastyczne i groteskowe na sposób karykatur Dickensa, nie inaczej niż u Dickensa samego mieszają się z portretami prawdziwych osób. Polityk, którego biografję opowiada *Beauchamp's Career,* to przyjaciel autora, admirał Maxe; a jego ironiczno-patetyczny mentor, radykał Dr Shrapnel, to sam autor. Bohater najdłuższej i najgłośniejszej powieści autora, *The Egoist,* to autentyczny syn starego rodu, wychowany przez rozkochaną rodzinę na wzór wszelkich doskonałości, i potem łamiący się o opór kilku z kolei wybranek przeciw bezwzględności jego samolubstwa. „Tragiczni komedjanci" *(The Tragic*

Comedians), to odbicie powieściowe głośnej sprawy miłosnej między Heleną Racowitza a teoretykiem socjalizmu Ferdynandem Lassalle, zakończonej śmiercią Lassalla w pojedynku. W powieści „Diana z rozstajnych dróg" *(Diana of the Crossways)* wzruszająca postać naczelna, prawie tak dostojna w swym wdzięku i swem cierpieniu jak Hermiona w shakespearowskiej *Powieści zimowej,* to znana współczesna literatka pani Norton. „Jeden z naszych zwycięzców" *(One of Our Conquerors)* — ten portret niezłomnie ambitnego polityka, co usiłuje stawić czoło konwenansom społecznym i nakoniec w samej chwili triumfu pada ich ofiarą, — wielu rysami przypomina tragiczną postać sławnego irlandzkiego parlamentarzysty Parnella. Konwenanse społeczne, uosobione jako „Jejmość Plotka" *(Dame Gossip),* jak chór tragedji greckiej towarzyszą wypadkom powieści „Zdumiewające małżeństwo" *(The Amazing Marriage)* — wypadkom znowuż z życia rzeczywistego zaczerpniętym. A kontrast między psychiką angielską a irlandzką, kontrast, którego *fortissimo* rozlegało się w Izbie gmin za czasów Parnella, jest samym tematem niedokończonej i wydanej pośmiertnie powieści *Celt and Saxon.*

5.

Meredith sam określił swe powieści jako owiane „duchem komicznym" i śpiewał ekstatyczne pochwały tego ducha w swej „Rozprawie o komedji". Ten jego duch komiczny, to w gruncie rzeczy nic innego, jak krytyka, dokonywana przez rozum życiowy i wyrobioną kulturę społeczną nad wszelką przesadą i egzaltacją, szczególnie nad przesadą uczuciową, którą Meredith pod nazwą „sentymentalizmu" przy każdej sposobności ironicznie piętnuje. Nie znaczy to, by sam pierwiastków uczuciowych i romantycznych w swej naturze nie miał: w arcydziele swej młodości „Ryszardzie Feverelu", wybucha raz po razu pełnemi uniesienia hymnami na cześć młodocianej miłości, które nadają całym rozdziałom tej powieści charakter poematów prozą i mogą iść w porównanie z najbardziej dytyrambicznemi monologami „Romea i Julji" Shakespeara. Nieraz i później umie nas Meredith głęboko wzruszać, apelując do uczucia litości w sposób godny wielkiego tragika. W każdym razie jednak zasadnicza jego postawa, owa wiara w zbawczą potęgę genjusza komedjowego, ma w sobie coś pokrewnego raczej wielkim duchom francuskim, niż angielskim. Meredith jest umysłem bliż-

szy mistrzom francuskiej komedji niż mistrzom powieści angielskiej, których pogląd na świat nacechowany jest raczej irracjonalnym pierwiastkiem humoru, niż rozumowym krytycyzmem ducha komicznego. Najbardziej typowe dzieło Mereditha, „Egoista“, pod wielu względami podobne jest do molierowskiego „Mizantropa“. I tu i tam bohater w przekonaniu o własnej wyższości moralnej, żąda od swej ukochanej bezwzględnego wyrzeczenia się własnego sądu i własnego stosunku do ludzkiego otoczenia; żąda nawet wierności poza grób. Tylko, że gdy Molière ze swym mizantropem moralnie się utożsamia i przez to z dziwaka czyni postać prawdziwie wzruszającą i głęboko sympatyczną, Meredith patrzy na swego bohatera nawskróś ironicznie: bierze przeciw niemu stronę kobiet, które się buntują przeciwko jego wyniosłym wymaganiom. Tak samo niemal wszystkie inne powieści Mereditha tchną konsekwentnym feminizmem: prawie w każdej podziwiamy jakąś wspaniałą postać niewieścią na heroiczną miarę, o strukturze moralnie czy intelektualnie wyższej od otaczających ją mężczyzn, i w swym zespole te bohaterki meredithowskie stanowią galerję niemniej świetną od shakespearowskich.

Ten niebywały przedtem w powieści angielskiej feminizm, to znowu rys nie-angielski w obliczu duchowem Mereditha, tak samo, jak jego komedjowe na świat wejrzenie. Inną jeszcze właściwością, głęboko go odróżniającą od zwykłego typu dawniejszych powieściopisarzy angielskich, jest dziwnie przenikliwa intuicja, z jaką umie przedstawiać ludzi różnych obcych narodowości. Czy to będzie idealna postać Mazziniego i inne figury włoskiego *risorgimento* w powieściach „Emilja w Anglji“ i „Emilja we Włoszech“, czy wprowadzona tamże kapitalna sylwetka typowego nowoczesnego Greka Peryklesa, czy doskonały portret Francuzki Renée w *Beauchamp's Career,* czy Żydzi i Niemcy w powieści o losach Lassalla, czy wreszcie Irlandczycy w *Celt and Saxon,* — zawsze otrzymujemy dowody daru spostrzegawczego i zrozumienia, dalekiego od tej ciasnoty wyspiarskiej, z jaką Anglicy zazwyczaj się odnoszą do narodów kontynentu europejskiego. Meredith lubiał się chwalić domieszką krwi celtyckiej w swych żyłach — walijskiej po ojcu, irlandzkiej po matce, — wdzięcznie wspominał kilka lat niemieckiego wychowania w szkole Braci Czeskich w Neuwied na Morawach, — ale przedewszystkiem podziwiać w nim musimy zjawisko całkiem nowe, niezwykłe i zdumiewające w dziejach samej kultury angielskiej.

6.

Nie-angielską po tylu innych właściwościach możnaby nazwać także i tę naczelną, którą przepojone są powieści Mereditha: mianowicie ich intelektualizm. Powieści to pełne dialektycznego rozumowania i zawiłych procesów myślowych, i wysiłek czysto rozumowy, jakiego każde niemal ich zdanie od czytelnika wymaga, stanowi główną trudność ich lektury. Meredith przez tę swoją cechę charakterystyczną staje obok Roberta Browninga, najzawilszego myślowo z poetów ery wiktorjańskiej.

Otóż Anglicy zdawna, i także jeszcze w tej wiktorjańskiej epoce, byli narodem raczej działającym niż rozumującym, i subtelności intelektu były im obce, a nawet niemiłe. Istotnie więc pisarz tak intelektualnego pokroju jak Meredith za typowego pisarza okresu wiktorjańskiego zgoła uchodzić nie może, choć chronologicznie doń należy.

Zarazem jednak przez to swoje naczelne znamię duchowe ilustruje, jak nikt inny, przejście od dawnego do nowego i odmiennego stadjum w rozwoju ducha angielskiego. Anglja z końcem XIX i początkiem XX wieku przez reakcję przeciwko mieszczańskiej prostoduszności epoki poprzedniej poczęła się rozumowo wysubtelniać, i dziś po doświadczeniach wojny światowej dalej się w szybkiem tempie intelektualizuje.

Wysubtelniła się także i wyzwoliła moralnie: po patrjarchalnym rygoryzmie epoki mieszczańskiej, który często przeradzał się w obłudę, wstąpiła Anglja jeszcze przed wojną w okres wolnomyślności moralnej, która u dzisiejszej młodzieży już często staje się zupełną swywolą.

Obu tych procesów przemiany — i intelektualnego wysubtelnienia i moralnego wyzwolenia — Meredith-intelektualista, Meredith-feminista jest najwybitniejszym w literaturze swego wieku rzecznikiem. I tu leży jego wielkie historyczne znaczenie. Jako genjusz proroczy był ćwierć wieku temu bożyszczem całej młodej inteligencji nowego okresu, jako genjusz proroczy zyska niewątpliwie po wszystkich fluktuacjach opinji ustaloną sławę w dziejach piśmiennictwa i umysłowości swego kraju.

VI.

TOMASZ HARDY

(1840—1928).

1.

W opactwie westminsterskiem, wśród największych swych synów, pochowała uroczyście Anglja zwłoki zgasłego w sędziwym wieku znakomitego pisarza, na którego już od wielu lat młodsze pokolenia literatów i czytelników spoglądały jako na uznanego króla i mistrza piśmiennictwa angielskiego w dobie współczesnej. Tylko serce Tomasza Hardy spoczęło w ziemi rodzinnego hrabstwa Dorset, gdzie się urodził i prawie całe życie spędził, gdzie rozgrywa się większość jego powieści.

Hrabstwo Dorsetshire, w południowo - zachodniej części rdzennej Anglji, szczególnie długo się opierało zwycięskiemu pochodowi nowoczesnego uprzemysłowienia kraju i zachowywało i w krajobrazie i w sposobie życia mieszkańców dawny sielski charakter. Tomasz Hardy, urodzony w r. 1840 w małej wiosce w pobliżu prastarego miasteczka Dorchester, w 15 roku życia widział budowę pierwszej kolei w swych stronach rodzinnych i jeszcze w późniejszych latach nieraz we wiejskiej gospodzie przysłuchiwał się rozhoworom wieśniaków dawnego, zanikającego typu. Oddał swemu hrabstwu i przyległym okolicom tę historyczną nazwę *Wessex* („kraj Sasów zachodnich"), którą ta część kraju tysiąc lat temu, jako ośrodek królewskich dzierżaw Alfreda Wielkiego już nosiła, i pod tą nazwą w szeregu powieści wciąż na nowo przedstawiał wiejską przyrodę tych stron i wiejską pierwotność ich natur ludzkich za niedawnych jeszcze lat. Ale koleje życia, rozszerzenie widnokręgów duchowych, a nadewszystko wrodzona wielkość własnego genjalnego umysłu zrobiły zeń daleko więcej, niż jednego z licznych, utalentowanych „literatów regjonalnych" Europy współczesnej: pola i łąki, pustkowia i lasy dawnego Wessex, i jego ludzie — wszystko to z twórczością Tomasza Hardy weszło

w krąg rzeczy największych, obchodzących cały naród własny i całą ludzkość, tak samo, jak ją obchodzić musi prowincjonalna Szkocja Burnsa lub staroświecki Londyn Dickensa.

2.

Hardy był synem budowniczego i sam się w młodości architektury uczył, najpierw przez praktykę w biurze miejscowego przedsiębiorcy w Dorchester, później w Londynie. Nie pozostały bez wpływu na kompozycję jego powieści te studja architektoniczne: Hardy nadał wszystkim swym dojrzałym dziełom strukturę zwartą, doskonale ześrodkowaną i zrównoważoną, i harmonijną w proporcjach. Ale głębsze jeszcze wrażenie na jego twórczym duchu pozostawiły wczesne zachwyty literackie: jeszcze w Dorchester poznał arcydzieła poezji angielskiej i poznał tragików greckich, do których przylgnął z całą siłą niewątpliwego pokrewieństwa duchowego. W Londynie, słuchając popularnych wykładów, zaznajamiał się ze zdobyczami współczesnej wiedzy przyrodniczej. Połączony wpływ myślenia przyrodniczego i arcydzieł tragicznych greckich ostatecznie urobiły ten filozoficzny pogląd na świat, któremu dają wyraz najdoskonalsze dzieła Tomasza Hardy. Ta filozofja, która jest właściwą atmosferą dojrzałej jego twórczości, to tragiczny pesymizm w wielkim stylu, który tego nowożytnego powieściopisarza czyni godnym sąsiadem Shakespeara i Sofoklesa. Największe powieści jego, to fatalistyczne tragedje w formie powieściowej. Hardy jest deterministą, ale nie tego płaskiego i mechanicznego typu, co pseudonaukowi materjaliści, wykarmieni na popularnej literaturze przyrodniczej XIX wieku; raczej na sposób Schopenhauera, ale z nieskończenie wyższą intuicją poetycką, przejęty jest poczuciem, że świat przenika jakaś tajemnicza Wola, która włada przyrodą i której poddana jest ludzkość. Ta Wola kosmiczna zaś człowiekowi nie objawia się bynajmniej — mówiąc jego marnemi ziemskiemi kategorjami — jako mądrość ani jako dobroć: przeciwnie jakby ślepa a okrutna potęga, bezwzględnie igra nami dla niezbadanych celów; co więcej, jakby z ironją jakiegoś wielkiego szydercy, wciąż w nas godzi niszczącemi grotami swej straszliwej broni — przypadku, co krzyżuje wszystkie nasze najsubtelniejsze rachuby i najrzetelniejsze zamiary. A wewnątrz nas Wola wszechświatowa działa przez budzące się na jej rozkaz ciemne, żywiołowe siły, które nie-

świadomie w sobie nosimy jako spadek po pokoleniach przodków i jako wynik wpływów otoczenia. Taki to ogromny smutek nad głębokim tragizmem świata, ale smutek nie elegijny, lecz nawskróś męski, śmiało i stanowczo patrzący w twarz strasznej prawdzie naszych niezgłębionych przeznaczeń, — stał się niezmiennem natchnieniem najwyższych dzieł Tomasza Hardy w prozie i poezji.

3.

Na pierwszą powieść Tomasza Hardy p. t. „Biedny człowiek i dama" *(The Poor Man and the Lady)*, wniesioną w r. 1868 w rękopisie do firmy Chapman i Hall, zwrócił uwagę referent literacki firmy, sam wielki powieściopisarz, Jerzy Meredith. Powieści wprawdzie do druku nie przyjęto, ale za radą Mereditha Hardy użył swego, oczywistego już wtedy talentu, by sobie zdobyć pozycję w literaturze przez powieść drugą, efektownie napisaną w popularnym, sensacyjnym rodzaju p. t. *Desperate Remedies* („Rozpaczliwe lekarstwa"); a potem już swobodnie i całkowicie się poświęcił twórczości literackiej we właściwszym dla siebie duchu. Architekturę rzucił i ożeniwszy się, po kilku zmianach miejsca pobytu osiadł w ukochanych stronach rodzinnych, w pobliżu Dorchester. Tam odtąd tworzył, tam po kilkudziesięciu latach pochował żonę, tam w podeszłym wieku ożenił się po raz drugi, tam wsłuchiwał się z zadumą w echa grzmotów wojny światowej i snuł gorzkie rozmyślania nad konwulsjami świata powojennego, tam wreszcie 12 stycznia r. 1928 życie zakończył.

Jak widzieliśmy, Tomasz Hardy po raz pierwszy wystąpił przed publiczność jako autor powieści sensacyjnej. Rodzaj ten, zawsze w Anglji poczytny, wtedy właśnie szczególną się cieszył popularnością dzięki zręczności literackiej Wilkie Collinsa, którego sukcesy i na Dickensa w ostatniej fazie jego twórczości silnie oddziałały. Hardy w szkole Collinsa nauczył się sztuki wywoływania napięcia dramatycznego, która przy wysoce tragicznym charakterze późniejszych jego koncepcyj, prawie zawsze ku katastrofom zdążających, niepospolite mu oddała artystyczne usługi. Ale sam rodzaj dla genjusza o tej staturze co Hardy był oczywiście za niski, i autor powraca doń już tylko przygodnie, jakby dla rekreacji po momentach większego wysiłku twórczego. A więc jako „powieści sensacyjne", polegające na intrydze, sklasyfikować jeszcze można dzieła Hardyego

„Ręka Etelberty“ *(The Hand of Ethelberta,* 1876) i „Laodycejczyk“ *(The Laodicean,* 1881). W obu motywem podstawowym jest mezaljans — temat podjęty później niejednokrotnie z tragicznem pogłębieniem w znakomitych dziełach pisarza. „Ręka Etelberty“, to historja małżeństwa między arystokratą a córką majordoma i dalsze tragikomiczne dzieje starć między bohaterką a jej nowem otoczeniem. W „Laodycejczyku“ odwrotnie bohaterem jest skromny młody architekt, a bohaterką arystokratka — dziedziczka zamku, który on ma odnawiać. Już przez zawód bohatera, a ponadto wskutek okoliczności, że była pisaną w czasie dłuższej choroby, powieść ta nacechowana jest szczególną szczerością autobiograficzną. Ponadto zaś obie powieści tej grupy wyodrębniają się z pośród całokształtu twórczości Hardyego dzięki elementowi dyskretnego humoru, który je nawskróś przenika. Humor, to wszakże żywioł w literaturze angielskiej powszechny i nawet z najpotężniejszych tragedyj Shakespeara nie wykluczony; u Hardyego w dziełach o najwyższym tonie tragicznym nie spotykamy go prawie wcale, i przez to ten czystej krwi Anglik zajmuje stanowisko odosobnione w piśmiennictwie swego narodu: staje w bliskiem sąsiedztwie wielkiego Polaka wśród pisarzy angielskich, Conrada, któremu także humor w pojęciu angielskiem jest prawie zupełnie obcy, a którego największe dzieła zasadniczym swym tragizmem blisko są pokrewne natchnieniom Hardyego.

4.

Na nieco wyższą płaszczyznę twórczości Hardyego, niż we wspomnianych dotąd dziełach, wznosimy się w innej grupie powieści, które sam wyróżnił, określając je zbiorowo jako *Romances and Phantasies.* Wątek tu już często wielce tragiczny, ale niema żelaznej konsekwencji czysto fatalistycznej konstrukcji: ruch wypadków ma epicką swobodę, związek motywów bywa luźny, gra wyobraźni daje urozmaicenie i ulgę. A więc „W lesie zielonym“ *(Under the Greenwood Tree)* już jesteśmy w sercu owego Wessex, gdzie mają szaleć burze tragiczne największych dzieł Hardyego, ale na razie rozgrywa się tu najpogodniejszy w świecie romansik między uroczą nauczycielką a młodzieńcem wiejskim, przy akompanjamencie całej galerji mniej lub więcej zabawnych, staroświeckich typów wieśniaczych. Zamętu zaledwie tyle, ile go sprawiają chwilowe sukcesy innych konkurentów, pośród których pojawia się nawet młody

proboszcz miejscowy. Ale całość kończy się, jak się zaczęła, w atmosferze czysto sielankowej z lekką domieszką figlarności. Z tą sielanką słoneczną bezpośrednio sąsiaduje sielanka tragiczna „Para niebieskich oczu“ *(A Pair of Blue Eyes):* tu już mnożą się, szczególnie pod koniec, cierpienia ludzkie i nieszczęścia: ale bohaterka wdziękiem swym okrasza smutną historję swych udręczeń, jak niewinnie prześladowane bohaterki Shakespeara w rodzaju Imogeny, i przez to wynosi całe dzieło poza sferę grozy tragicznej, „Tambur-major“ *(The Trumpet Major),* to znowu sielanka żałosna i rzewna, znowu rozgrywająca się w wiejskiej okolicy rodzinnej autora, ale tym razem na tle historycznem, wśród hałasu wojen napoleońskich i pod chmurą grożącego sielskiej Anglji najazdu francuskiego. „Dwoje na wieży“ *(Two on a Tower),* to pełna subtelności historja miłosna, której nastrojowym ośrodkiem jest wieża starej ruiny. Wreszcie „Ukochana“ *(The Well-Beloved),* to groteskowo-patetyczna aż do nieprawdopodobieństwa opowieść o człowieku, co w ciągu długiego życia kolejno — i zawsze nieszczęśliwie — stara się o rękę trzech niewiast, z których druga była córką, a trzecia wnuczką pierwszej. Nawet tak dziwaczny pomysł dojrzała sztuka Hardyego umiała podnieść na wyżyny powagi i piękna.

Jest to bowiem ostatnie z dłuższych jego dzieł powieściowych: wyliczone „romanse i fantazje“, rozrzucone są po całym dwudziestokilkoletnim najbogatszym okresie jego twórczości belletrystycznej (1872—1897), a tymczasem, w środkowych jego latach, zajaśniały ponad to wszystko już światła jego tragicznych arcydzieł.

5.

Głównym tytułem Hardyego do sławy jednego z największych pisarzy angielskich stało się sześć jego powieści, zwykle łączonych poprostu pod nazwą *Wessex Novels,* bo wszystkie za tło, mają jego strony rodzinne. Wszystkie też prawie za źródło tragicznych zaburzeń mają jeden i ten sam odwieczny kontrast między naturą a kulturą, czyli socjologicznie mówiąc, między wiejskim a miejskim typem cywilizacji. Hardy w tej stałej antytezie, ciągnącej się przez główny okres jego twórczości, daje obraz tej przemiany ewolucyjnej, którą sam oglądał i przeżywał, — przemiany starej Anglji sielskiej i rolniczej w Anglję mieszczańską i przemysłową. W *Wessex Novels* to przeciwieństwo zwykle uosobnione jest w dwóch postaciach

ludzkich, z których jedna — to typ wiejski, o psychice prostej i szczerej, z ziemią zrosłej i do pierwotnych warunków życia przywiązanej, a druga — typ miejski o wyrafinowanych już myślach i potrzebach, fatalną siłą, jak ćma do światła, ciągnięty do ośrodków wykwintu i zbytku. Zwykle te dwa typy, to mężczyzna i kobieta, i zwykle miłość między niemi prowadzi do nieszczęsnych zawikłań. Co więcej, zazwyczaj po dwie osoby różnej płci każdy z tych dwóch typów w powieści reprezentują, i pośród takiej czwórki krzyżują się nieszczęsne uczucia miłosne między biegunowo różnemi z usposobienia istotami. Czasem jednak, — i to właśnie w dziełach najwyższej miary,— w piersi jednego i tego samego człowieka tragiczną walkę ze sobą staczają pierwotność i wysubtelnienie, żywioł i duch.

6.

W pierwszej z *Wessex Novels*, „Zdala od szalejącego tłumu" *(Far from the Madding Crowd)*, ramy są jeszcze w ściślejszem słowa znaczeniu sielankowe, i obraz jest względnie prosty w układzie: typ wiejski reprezentuje biedny i skromny hodowca owiec, typ miejski ukochana przezeń siostrzenica sąsiada, w mieście wychowana. Źródłem tragicznych zawikłań staje się jej miłość do dorodnego utracjusza-żołnierza, zdegenerowanego syna rodziny szlacheckiej; i dopiero, gdy w pożyciu z tym lichym człowiekiem zmarnowała kilka najlepszych lat młodości i gdy beznadziejne współzawodnictwo z nim złamało życie drugiemu jej wielbicielowi, zamożnemu dzierżawcy z sąsiedztwa, bohaterka znajduje wreszcie prawdziwe, ciche szczęście w małżeństwie z wiernym owczarzem, który w ciężkich próbach i doświadczeniach żywota objawił tymczasem władczą dzielność swojego charakteru i wyższość zdrowego rozsądku. Zakończenie więc tym razem jest jeszcze łagodnie pojednawcze: liczne pogodne sceny z życia wiejskiego — jak opis strzyżenia owiec — nietylko barwnie urozmaica element folkloru, ale okrasza je rozkoszny humor, później w sielskich obrazach autora coraz rzadszy. Ale już w tej powieści pod koniec mnożą się sytuacje pełne najboleśniejszego naprężenia, mnożą się i potęgują akcenty głębokiego tragizmu, aż do grzmiącego *finale* morderczego wystrzału, kładącego kres życiu pierwszego, lekkomyślnego męża bohaterki.

W powieści następnej, „Powrót na rodzinną glebę" *(The Return of the Native)*, jesteśmy na szczytach twórczości Har-

dyego i stoimy wobec jednego z najpotężniejszych tragicznych jego dzieł. Problem tu już w założeniu zawilszy: typem wiejskim przez lata życia w Paryżu pozostał młody jubiler, co z rozkoszą wraca do wsi rodzinnej i pragnie wśród jej sielskiej prostoty resztę swych dni spędzić. Na typ miejski zaś, mimo młodości spędzonej na wsi, wyrosła bohaterka, co z tęsknotą wspomina dzieciństwo przeżyte w wytwornej miejscowości kąpielowej, i wita w Paryżaninie uosobienie wszystkich swych marzeń o wielkim świecie. Jej skomplikowana natura szerzy wkoło siebie nieszczęście w tym świecie ludzi prostych: staje się przyczyną niezgody bohatera z matką, a wreszcie — choć pośrednio i bez własnej winy — przyczyną śmierci tej matki. Sama, targana rozczarowaniem i porwana w odmęty wiarołomnego uczucia, ginie wreszcie śmiercią samobójczą i porywa w śmierć za sobą nieszczęsnego kochanka, którego bogactwa ją znęciły.

Jest jeszcze jeden, górujący nad resztą, aktor w tym dramacie. A tym aktorem jest pustynne, stepowe odludzie — *Egdon Heath* — otaczające siedzibę ofiar. Z nieporównaną siłą, odmalowując tę pustosz w coraz nowych porach dnia i roku, ożywia ją autor jakimś potężnym a ponurym pierwiastkiem osobowości: *Egdon Heath* patrzy ze straszliwym, majestatycznym spokojem — *terrible composure* — na rozpaczliwą szarpaninę tych lalek ludzkich na scenie żywota, i przemawia językiem swej niemej grozy do czytelnika, jakby rzecznik owej bezlitosnej i niezbadanej Woli wszechświatowej, co złośliwie plącze losy ludzkie i zabójczo nas łamie jednego po drugim. Jak burza na stepie w trzecim akcie Shakespearowskiego „Króla Lira", tak tutaj okrutny spokój posępnej przyrody jest godnym akompanjamentem beznadziejnych zmagań człowieka z ironją doli.

Tę ironję doli wyraża przedewszystkiem ślepy i okrutny przypadek, który w tej powieści szczególnie fatalne czyni spustoszenia. Przez przypadek, bo od ukąszenia węża w polu, gdzie ze znużenia usnęła, ginie matka bohatera: i łańcuch przypadków drobnych a zgubnych wiedzie także do ostatecznej katastrofy.

7.

Całkowicie na grze złego przypadku zbudowaną, i przez to może słabszą w swej strukturze, jest następna z wielkich powieści Hardyego „Burmistrz miasta Casterbridge" *(The*

Mayor of Casterbridge). Jak olbrzymia sieć pajęcza rozrasta się przed oczyma oszołomionego czytelnika plątanina tragicznych niespodzianek, wciągając coraz nowe ludzkie ofiary w swe pęta; ośrodkiem zaś jej i początkiem jest wpół-świadomy zły uczynek — sprzedaż żony, — motyw w oczach dzisiejszego człowieka fantastycznie nieprawdopodobny, a jednak oparty na rzeczywistych wypadkach, które się jeszcze z początkiem XIX wieku w ciemniejszych zakątkach Anglji dość często zdarzały.

Jeżeli w „Burmistrzu Casterbridge" autor może zbyt jednostronnie operował tym rekwizytem, którego już w poprzedniem swem arcydziele użył tak obficie — t. j. bezlitosnym przypadkiem, — to w następnej z *Wessex Novels,* p. t. „Mieszkańcy lasów" *(The Woodlanders)* góruje ten drugi środek artystyczny, którym Hardy w „Powrocie na rodzinną glebę" tak mistrzowsko się posługiwał, mianowicie udział przyrody w kształtowaniu dusz i losów ludzkich. Jak tam step, tak tu krajobraz leśny jest nietylko nastrojową ramą, ale czynnem narzędziem Woli, co kieruje kroki ludzi ku tragicznym przepaściom, a zarazem w swej ponurej tajemniczości jest wyrazicielem wyniosłej i nieczułej obojętności tej wszechwładnej Woli.

Zarówno w „Burmistrzu Casterbridge", jak i w „Mieszkańcach lasu" wysuwały się naprzód pewne akcesorja tragedyj ludzkich — tam zewnętrzny przypadek, tu otaczająca przyroda. Do centralnych zagadnień powracamy, i oko w oko z samym absolutem ludzkiego Fatum stajemy w dwóch następnych *Wessex Novels,* ostatnich w cyklu i zarazem jako wyraz właściwego Hardyemu tragizmu może największych. Obie mają osnowę biograficzną; jedna z nich jest tragedją kobiety, druga mężczyzny.

„Tess z d'Urbervillów" *(Tess of the d'Urbervilles),* ten, jak go autor w pod-tytule nazywa, „wierny wizerunek kobiety czystej", to dzieje życiowego męczeństwa biednej ofiary młodocianego błędu. Bohaterka Tess jest córką chłopa, ale w żyłach jej płynie jeszcze nieco gorącej krwi szlacheckich przodków: zostaje uwiedzioną przez bogatego młodego służbodawcę i pokutuje za to całem pasmem udręczeń. Walczy beznadziejnie z biedą gnębiącą rodzinę; traci dziecko; jest odtrącona w dniu ślubu przez człowieka, którego pokochała; wreszcie zabija swego uwodziciela i ginie na szubienicy. „Tak Fata skończyły swe igraszki z Tess", dodaje autor w epilogu po tej ostatniej

i najstraszliwszej scenie. Cały obraz losów biednej Tess skąpany jest w boskich promieniach głębokiej litości; tchnie nią godło powieści, którem są słowa: „Biedne, zranione imię, spocznij na mem sercu jak w bezpiecznym przytułku“. Hardy uderza tu w akcenty rzewności, niezwykłe w jego twardym i surowym stylu. I w sercu czytelnika budzi się tym razem nietyle groza tragiczna, co serdeczne współczucie z prześladowaną i skrzywdzoną bohaterką: zarówno wrażeniem jak treścią dzieło przypomina Polakowi „Dzieje grzechu“ Żeromskiego.

8.

Czystą grozą tragiczną znowu wieje ku nam od niejednej sceny w ostatniem wielkiem dziele powieściowem Tomasza Hardy, — od jego powieści biograficznej „Juda nieznany“ *(Jude the Obscure).* Bohaterem tu jest kamieniarz, który czuje nieprzeparty pociąg do wyższego wykształcenia i w tem dążeniu wciąż na nowo się załamuje. Spychają go z wymarzonych wyżyn duchowych przeciwności i nieszczęścia; strąca go chłodna odmowa dygnitarza akademickiego w Oxfordzie, do którego zwrócił się o poparcie; wreszcie ściągają go w dół własne niskie namiętności, z któremi bezskutecznie walczy. Dwie dusze, jak u Fausta, żyją w jego piersi, i dwa kolejne małżeństwa są jakby symbolami. Powrót do tej żony z ludu, co jakby uosabiała niższą, zmysłową jego naturę, jest równoznaczny z ostatecznym upadkiem. Symbolem także, i to straszliwie wyraźnym, jest niesamowite dziecko tej, co wciela niskie skłonności i nieszczęsne przeznaczenie bohatera. Oto dziecko to jest od najwcześniejszych lat smutne i stare: ludzie zwą je żartobliwie „małym ojcem Saturnem“ *(little Father Time).* Pewnego dnia, nasłuchawszy się skarg ojca na biedę rodziny, ten melancholijny chłopczyna zabija dwoje swego rodzeństwa, zrodzonego z tamtej drugiej, światlejszej i szlachetniejszej matki, i sam wślad za niemi w śmierć podąża, pozostawiając kartkę: „Zrobione, bo nas było za wiele“.

Ale nawet ta okropna scena nie jest może jeszcze tak wstrząsająca jak owa ostatnia, w której Juda, samotnie konając w swej izdebce, przypomnianemi z dawnych lat biblijnemi słowami Hioba wyrzeka na całą nędzę żywota i przeklina dzień, w którym się narodził.

Przez cały swój okres powieściopisarski Hardy tworzył także krótsze nowele i opowieści, które wydał w kilku tomach.

Mistrzowskie w swej skupionej budowie i zwięzłości, są boleśniejszą lekturą od wielkich powieści, bo ich treść, to już sama skoncentrowana, piołunowa gorycz ironji tragicznej. Wystarczy jako przykład przytoczyć powiastkę „Małe ironje życia“ *(Life's Little Ironies)* — o adwokacie, co poślubił służącą, której pani pisała dla niej piękne i poetyczne listy miłosne: tajemnica po ślubie się wyjawia, i bohater widzi przed sobą otchłań rozczarowania, głęboką jak całe życie.

Nic dziwnego, że tak silnych dawek gorzkiej ironji publiczność angielska, przywykła do „szczęśliwych zakończeń“ w powieściach i do humoru we wszystkiem, przyjmować nie chciała. Oburzano się na obrazy „mętów społecznych“ w „Tess“ i „Judzie“, mieniono Hardyego ateuszem i nazywano bluźniercą, a krytycy literaccy widzieli i potępiali naśladownictwo naturalistycznej powieści francuskiej tam, gdzie jest daleko więcej: Hardy w wielu szczegółach swej techniki jest naturalistą, ale w swej filozofji jest wielkim wieszczem tragicznym, a w swem imaginacyjnem widzeniu rzeczy przenika nawet najpospolitsze nędze życiowe jakąś potężną romantyczną poezją.

Po stworzeniu tak górnych płodów swego tragizmu, jak *Tess* i *Jude*, Hardy stanął tam, gdzie Shakespeare po „Makbecie“ i „Królu Lirze“: u szczytu, ale jakby i u kresu twórczej wędrówki żywota. Trzeba było albo przestać pisać albo znaleźć nową drogę. Shakespeare znalazł ją w czarownych bajkach dramatycznych swych lat ostatnich. Hardy w wieku lat sześćdziesięciu zdumiał świat czytający angielski: począł wydawać tom za tomem wierszy lirycznych, opowiadających i refleksyjnych, i przy wierszu już pozostał przez całe te przeszło ćwierć stulecia starości, jakie jeszcze przeżył. Jedyne zaiste w literaturze zjawisko! Hardy pisał już wiersze w młodości, gdy jeszcze nie był pewny swego właściwego powołania literackiego; ale za wyłączną swą formę obrał wiersz dopiero teraz, na stare lata, i trwał przy niej mimo obojętności, z jaką pierwszy tom jego poezyj był przejęty.

9.

Liryka Hardyego wyraża bezpośrednio ten tragiczny pogląd na świat, który powieści wypowiadały przez fabułę i charakterystykę. Poza nielicznemi opowiadaniami wierszowanemi mówi w jego poezji tylko on sam lub natura; i mówi znowu

o tej samej władczej i bezwzględnej, a dla człowieka ślepej i okrutnej Woli kosmicznej, która czasem i sama ze swych niedostępnych wyżyn, z zasłoniętem obliczem, ironiczne prowadzi z poetą dialogi. Wszędzie, nieprzepartą mocą, górę biorą te same akcenty: nawet w dość licznych wierszach miłosnych mąż i niewiasta zawsze prawie zapatrzeni są w straszliwe tajniki bytu i losu.

Wiersz Hardyego twardy, chropawy, rzadko układa się w zwrotki o tradycyjnej melodji lirycznej: zazwyczaj uderza surowością jakiegoś nieugiętego rytmu i niezłagodzonego poetyckiemi formułkami wysłowienia, a nieraz rozmyślnie jakby zgrzytnie jakiemś okrutnem, realistycznem słowem, prosto z nieozdobnej prozy wyrwanem. Ale doskonała zgodność takiego stylu z treścią myślową nadaje poezjom Hardyego swoisty, nieporównany urok, jakby smak cierpkiego a soczystego owocu. Dziś, gdy wszystko, co Hardy napisał, zdobyło sobie już zapewnione stanowisko wśród rzeczy najwyższych w literaturze angielskiej, nie brak wielbicieli, którzy poezję jego wyżej nawet stawiają od jego prozy powieściowej.

10.

Cokolwiek powie potomność o tych zachwytach, nie będzie mogła nie postawić wśród największych dzieł Hardyego jednego przynajmniej, olbrzymiego rozmiarami dzieła poetyckiego, na które przedziwny w swej żywotności starzec już w późnych latach się zdobył. Jest nim ogromny dramat, a raczej dialogizowana epopeja *The Dynasts* („Dynaści") w trzech częściach (1904—1908), obejmujących 19 aktów i 130 scen [1]. Przedmiotem tej ogromnej wizji historycznej jest całość wojen napoleońskich, pojętych nadewszystko jako długotrwały konflikt Anglji z Korsykaninem. Przewalają się nam przed oczyma tłumy walczących wojsk i cierpiącego ludu, rozprawiają królowie i mężowie stanu wszystkich krajów, upadają i powstają trony... A wszystko tchnie tym samym, co cała twórczość Hardyego, tragicznym fatalizmem. Raz tylko w literaturze dzieje napoleońskie z tym ogromem koncepcji i z tą żywiołowością ujęcia, w tym samym też fatalistycznym duchu, na wielką skalę przedstawione zostały: w monumentalnej powieści Tołstoja „Wojna

[1] O dziele tem posiadamy studjum polskie pióra prof. Wł. H. Tarnawskiego, w jego książce „Z Anglji współczesnej" (Lwów, Ossolineum, 1927, str. 130—221).

i pokój". Tam Rosja, tu Anglja zajmuje front widowni jako największa i naczelna antagonistka Napoleona. Ale gdy obraz Tołstoja równa się gloryfikacji miażdżącej mocy bezwładu rosyjskiego, uosobionej w Kutuzowie, to Hardy swoje widzenie nawskróś przepoił wszechobecnym fluidem swej ironji. Nie żałuje małych słabostek i śmiesznostek Cesarza, jak ich nie żałował Shakespeare w swej charakterystyce Cezara rzymskiego; ale też nie żałuje satyrycznych wycieczek przeciwko Anglikom samym i ich bankierskim sposobom prowadzenia walki: Nelson u niego wprawdzie jest postacią świetlaną, ale epizodyczną, Wellington wprawdzie olbrzymem, ale nie bez skazy. Wiersz znowu chropawy i bez harmonji, wysłowienie czasem nieznośnie prozaiczne; doskonałą, barwną i dosadną jest raczej proza sama, gdy się pojawia na ustach żołnierstwa lub tłumu. Z ust żołnierzy i pospólstwa też rozlegają się czasami pieśni chóralne o rytmach ludowych, rozrzucone, jak w dramatach Shakespeara, po całem dziele. Pozatem w melodyjniejszych strofach lirycznych przemawiają tylko te mgliste uosobienia i duchy, co jak „inteligencje" wizji dantejskiej unoszą się przez cały poemat ponad oceanem wypadków i jak chóry tragedji greckiej wypowiadają rozmyślania poety nad tą burzą dziejową. Dwugłosem „duchów lat" i „duchów litości" kończy się utwór, i tu może raz jedyny w twórczości Hardyego rozlega się słowo jakiejś pociechy i nadziei. Zawsze u niego Wola wszechświatowa ukazywała człowiekowi oblicze kamienne i ślepe, lub szydercze i okrutne: tutaj w duchu jakby hegeljańskiego panteizmu pada zapowiedź, że proces światowy doprowadzi do doskonałego samouświadomienia Ducha Wszechrzeczy, a zatem i do doskonałej harmonji w jego działaniach. Słychać w oddali niezmierzonej radosne rozgwary, bo oto wymazane będą szały wieków, nadejdzie wyzwolenie od wiecznie padających ciosów, oto Świadomość ożywi Wolę, a Wola nada wszystkiemu kształty piękne [1].

---

[1] *But — a stirring thrills the air*
Like to sounds of joyance there

That the rages
Of the ages

Shall be cancelled, and deliverance offered from the darts that were,
Consciousness the Will informing, till It fashion all things fair!

II.

Hardy do najpóźniejszych dni przedłużonego ponad zwykłą miarę ludzką żywota nie ustawał w twórczości: i wojnie światowej towarzyszył pełnemi głębi myślowej wierszami, i po wojnie nieraz jeszcze w krótkim liryku lub sonecie złożył filozoficzny komentarz do jakiegoś głośnego wypadku dnia. A kilka zaledwie lat temu zadziwił raz jeszcze czytelników dramatem poetyckim o prastarym romantycznym i tragicznym temacie Trystana i Izoldy: „Królowa Kornwalji" *(The Queen of Cornwall)*. Otoczony najwyższą czcią wśród elity duchowej swych ziomków, masom obcy, poza Anglją mało był znany. To też przy współzawodnictwie o nagrodę Nobla uległ naszemu Reymontowi, którego arcydzieło „Chłopi", jako obraz odwiecznych zmagań człowieka z żywiołem, ma w sobie coś pokrewnego tragicznemu fatalizmowi Hardyego.

Tem bardziej teraz, gdy skończyły się Hardyego długie lata śmiertelne, a rozpoczęły wieki jego nieśmiertelności, godzi się, by i Polska złożyła swój pokłon jego genjuszowi, by i jej on się nareszcie objawił, by po tylu mniejszych pisarzach i ten Tytan nowszego piśmiennictwa angielskiego znalazł swojego polskiego tłumacza.

VII.

G. K. CHESTERTON

1.

CZEM JEST CHESTERTON?

Chesterton, od trzydziestu blisko lat piszący bez przerwy, szybko i obficie, dziś, w wieku lat pięćdziesięciu trzech, jako pisarz o światowej sławie i znanej całemu światu fizjognomji duchowej, jednak nie przestaje być zjawiskiem literackiem, które w żadną z przyjętych kategoryj się wtłoczyć, w żadnej ideowej formułce zamknąć się nie da. Historycy literatury, dzielącej sobie swój materjał według rodzajów, z rozpaczą stają wobec tej postaci, zmuszeni twórczość Chestertona przy całej silnej jej jednolitości rozwlec po wszystkich rozdziałach swych książek.

P o e t ą jest Chesterton niewątpliwie, i to niepospolitym. Rozpoczął wszak swą karjerę tomikiem „Obłąkany rycerz i inne poezje" (1900). Później w „Balladzie o białym koniu" stworzył jedyny może od czasów Tennysona, Browninga i Swinburna dłuższy poemat opowiadający, który dzisiejszego czytelnika może naprawdę pociągać; wskrzesił, jak może nikt od Scotta, wspaniały galop rytmiczny i krewki furor poetycki starych ballad angielskich i szkockich ludowych. W ciężkich dniach wojny przypomniał się rodakom jako śpiewak przez pełne uroczej spontaniczności rymy „Wino, woda i pieśń" (początkowo ogłoszone jako wstawki w powieści „Latająca gospoda"). Po wojnie w „Balladzie o św. Barbarze i innych wierszach" dał znowu garść liryków o świetnym impecie, wśród nich kilka z najgłębiej pomyślanych i najgłębiej wzruszających nagrobków poetyckich dla „nieznanego żołnierza", tego wielkiego bohatera wojny światowej. Świeżo znów wyszedł zbiór wierszy religijnych o Matce Boskiej p. t. „Królowa Siedmiu Mieczy".

Bezsprzecznie niektóre z najznakomitszych i najtrwalszych

rzeczy, jakie Chesterton napisał, znajdują się wśród jego poezyj. Za sam jeden króciutki wierszyk o osiołku, co wśród wzgardy ludzi przypomina sobie pocichu triumfalną chwilę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, — albo za grzmiącą balladę o zwycięstwie morskiem Don Juana d'Austria nad Turkami pod Lepanto, — należy się poezji Chestertona miejsce w każdej antologji angielskiej.

Mimo to jednak określenie „poeta" z pewnością nie będzie pierwsze, jakie się nam nasunie, gdy go zechcemy zdefinjować. Nietylko dlatego, że lwią część jego dorobku stanowią utwory prozą. Ale przedewszystkiem dlatego, że w samej jego poezji zbyt silny, jak na poezję w zwykłem znaczeniu słowa, jest związek z chwilą, — z okolicznościami społecznemi i politycznemi, co ją natchnęły. Doskonałe wiersze satyryczne przeciwko niedorzecznościom w okólnikach ministerstwa oświecenia, w mowach parlamentarnych lub wiecowych tego czy owego polityka, w artykule tego czy owego dziennika, w manifeście tego czy owego stowarzyszenia, — przewijają się wciąż wśród poezyj o tematach ogólniejszych. Nawet w jednym z wierszy na cześć poległych nie może sobie autor odmówić porównania ich z żywymi, którzy w pętach lichwy i wszelkich innych nieprawości powojennych bardziej są martwi od nich [1]. Do jednego z tych bohaterów woła, by raczej już ze snu swego się nie budził i zapomniał o tej Anglji, która w swej zgniliźnie kramarskiej zapomniała o nim i jemu podobnych [2]. A w najambitniejszym ze swych utworów poetyckich, „Balladzie o białym koniu", Chesterton temat walki króla Alfreda Wielkiego z pogańskimi najezdnikami ze Skandynawji uczynił symbolem walki starych walorów kultury chrześcijańskiej przeciw zalewowi przez pseudonaukowy materjalistyczny dogmatyzm i antyreligijny indyferentyzm (czyli, jak w Anglji mówiono, „agnostycyzm") XIX w.

Jeżeli więc nie poeta, to p o w i e ś c i o p i s a r z, powie przeciętny czytelnik, przyzwyczajony w dzisiejszej literaturze do tej antytezy. Istotnie, do najpoczytniejszych w całym cywilizowanym świecie utworów Chestertona należą jego dzieła w formie powieściowej. Dla „człowieka na ulicy", czy to w Anglji czy poza Anglją, nazwisko Chestertona, o ile mu wogóle

---

[1] *The Ballad of St. Barbara and other Verses* (1922), p. 32: *For a War Memorial.*

[2] Tamże: *To Captain Fryatt* (p. 56).

coś mówi, oznacza tego, co napisał „Napoleona z Notting-Hill“ (o wojnie między dzielnicami londyńskiemi w odległej przyszłości), „Człowieka co był Czwartkiem“ (o klubie anarchistów, po kolei demaskowanych jako detektywowie), „Latająca gospoda“ (o walce ostatniego karczmarza w Anglji przeciw ustawie prohibicyjnej), „Żywego człowieka“ (o ekscentryku, co własną żonę od czasu do czasu uprowadza dla romantycznego urozmaicenia życia), albo wreszcie rozkoszne zbiorki opowiadań o zdumiewających triumfach genjuszu śledczego, co tkwi w skromnym księżynie katolickim *(The Innocence of Father Brown, The Wisdom of Father Brown, The Incredulity of Father Brown).*

Wszystkie te książki tryskają iście dickensowskim humorem i realizmem w przedstawieniu rdzennie angielskiego środowiska. Ale, jak już wynika z powyższych krótkich wzmianek o głównych motywach ich treści, co krok tu z twardego bruku ulic czy gościńców angielskich ulatujemy w krainy nieprawdopodobieństw tak gigantycznie napiętrzonych, jak to tylko w bardzo dziwacznych snach albo w baśniach wschodnich zdarzać się może. T. zw. „powieści“ Chestertona są tak pełne najfantastyczniejszych ekstrawagancyj, satyrycznych alegoryj i polemicznych ekskursów, że jako zwykłej nowoczesnej strawy powieściowej czytelnik dzisiejszy ich tak samo przyjąć nie może, jak — powiedzmy — klasycznych „Podróży Gullivera“ Swifta. I tak samo jak latającą wyspę matematyków czy akademję projektomanów, czy wreszcie same królestwa karłów, olbrzymów lub cnotliwych koni u Swifta, tak i żartobliwe fantasmagorje Chestertona zrozumieć należycie można właściwie tylko, gdy się zna same też zjawiska w bieżącem życiu społecznem Anglji i świata, które autor bierze za tarczę do strzał swego nieporównanego dowcipu.

Jak te powieści nie są właściwemi powieściami, tak właściwą s z t u k ą t e a t r a l n ą nie jest — również z powodu fantastycznej treści i swywolnej struktury — jedyna komedja Chestertona „Czary“ *(Magic),* choć znamienity miała sukces, gdy ją w kilka lat po wojnie wprowadzono na deski teatru. Kawiorem dla tłumu według znanego określenia Hamleta musi jednak dla zwykłego audytorjum teatralnego dzisiejszego pozostać sztuka, której bohaterka wierzy w elfy, a bohater, czarnoksiężnik, przyznaje się do stosunków z djabłem. Znów oczywiście chodzi nie o stworzenie utworu literackiego o pewnym określonym przez tradycję typie, lecz o dowcipną szer-

mierkę przeciw apodyktycznej pewności siebie trzeźwego człowieka nauki czy interesu.

Próbujmy więc wymykającego się definicjom autora uchwycić z innej strony. Jest niezawodnie świetnym krytykiem literackim i napisał długi szereg znakomitych przyczynków do historji literatury. Ulubiony jego okres to w. XIX: jest autorem dwu znakomitych książek o Dickensie, świetnej monografji o Robercie Browningu, studjów o pisarzach tak rozmaitych, jak Carlyle i Tennyson, Thackeray i Matthew Arnold. Wreszcie dał także syntezę swoich poglądów na całą epokę wiktorjańską w tomiku doskonałej serji „Domowa Bibljoteka Uniwersytecka" *(The Home University Library)*.

Ale żałowaćby wypadało tego studenta literatury angielskiej, których z tej i innych jego książek chciał się uczyć do egzaminu. Znowu od pierwszej chwili jest rzeczą oczywistą, że nie o literaturę jako taką, a przynajmniej nie przedewszystkiem o nią, tutaj chodzi. Tezą książek o Dickensie jest twórcza potęga optymizmu i zbawcza mądrość humoru, nawet karykaturalnego. Estetycyzm Williama Morrisa służy jako przykład, by wykazać płytkość i niewystarczalność religji piękna. Konwulsyjna walka tetrycznego Caryla o stworzenie z opornego materjału zwartej konsekwentnej filozofji życia i dziejów daje wyborną sposobność do frontowego ataku humorysty na fanatyzm logiki i bałwochwalstwo konsekwencji. Staroświecka technika powieściopisarzy o romantycznej umysłowości, jak Karolina Brontë lub R. L. Stevenson, doznaje skwapliwej obrony w myśl zasady, że akcesorja mogą podlegać krytyce, ale w istotnych rzeczach romantyk ma słuszność. Tołstoj przydaje się wybornie dla doprowadzenia *ad absurdum* odwiecznego hasła „powrotu do natury". Nawet Byron obok Dickensa wprzęgnięty jest *nolens volens* w rydwan triumfalny optymizmu życiowego: jego melancholja — to „czarna tablica", na której duch jego pisze „białą kredą" wyznanie wiary w życie i w człowieka.

Zainteresowania Chestertona zatem, nawet gdy o literaturze pisze, zawsze wychodzą daleko poza literaturę. Może będziemy bliżsi ujęcia tego lotnego ducha w sieć słowną, gdy go zaliczymy do essayistów. Tylko do essayistyki, tej tak wspaniale od trzech zgórą wieków rozrośniętej gałęzi piśmiennictwa angielskiego, zaliczyć można całą chmarę książek Chestertona o takich wysoce charakterystycznych, a arcy-trudnych

do przetłumaczenia, zawsze żartobliwych tytułach, jak „Obrońca“ *(The Defendant)*, „Proces fantazyj przeciwko modnym dziwactwom“ *(Fancies versus Fads)*, „Zważywszy wszystko“ *(All Things Considered)*, „Potężne drobiazgi“ *(Tremendous Trifles)*, „Hałasy i dywersje“ *(Alarms and Discursions)*, „Pożytki rozmaitości“ *(The Uses of Diversity)*, lub stosunkowo najsystematyczniejsza „Co brakuje światu“ *(What's Wrong with the World)*.

Jak już widać z tych rozkosznych tytułów, są to wszystko rozprawy z zakresu tej wielkiej dziedziny wiedzy, którą Carlyle nazywał „nauka o rzeczach wogóle“ *(the science of things in general)*. Powstałe często z luźnych szkiców i okolicznościowych artykułów, książki te są mozaikowemi obrazami poglądów autora na świat i życie.

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, żeby Chestertona ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologji literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essayistyka — to wszakże nic innego, jak dziennikarstwo wkraczające w literaturę. Normalna droga essayisty prowadzi od feljetonu do książki: essayista — to dziennikarz, piszący o sprawach bieżących z większą niż zwykle dbałością o formę, z szerszym rozmachem w uogólnieniach i głębszą miarą refleksji, — a także z wyższą niż na codzień kolorystyką imaginacyjną i temperaturą uczuciową.

Przypomnijmy sobie teraz, jak zagadnienia aktualne swym fermentem przenikają u Chestertona i poemat i powieść i komedję, i przeinaczają je gatunkowo. I rozważywszy to, miejmy odwagę powiedzieć, co — dobrze pojęte — będzie właściwym dla niego hołdem: że w Chestertonie bodaj po raz pierwszy na same wyżyny piśmiennictwa wchodzi urodzony d z i e n n i k a r z. Dziennikarzami w swem wszechwładnem upodobaniu do dyskusji nad kwestjami dnia są i inni najlepiej światu znani pisarze angielscy naszych czasów: dziennikarzem dramatycznym jest Shaw, dziennikarzem powieściowym Wells, jak dziennikarzem-poetą często był Robert Browning. Ale wszyscy oni co do stylistycznego kształtu swojej twórczości pozostali w granicach wskazanych przez tradycję literacką rodzajów. U Chestertona zaś pod powiewem natchnienia dziennikarskiego nic nie pozostało tem czem było: ani poezja, ani powieść, ani komedja, ani krytyka literacka, ani — jak jeszcze zoba-

czymy — historja. Dziennikarstwo, tę najpospolitszą i najbardziej spospolitowaną dziś formę powszechnej pracy piórem, w osobie Chestertona oglądamy i podziwiamy w stanie najszczytniejszego wyniesienia, w stanie najdoskonalszej kwintesencji, w jakiej je dotychczas może w całem piśmiennictwie świata nowoczesnego widziano. A podstawą tego jedynego fenomenu jest poprostu fakt, że Chesterton wymarzone zalety idealnego dziennikarza posiada w najwyższym stopniu: a więc akrobatyczną iście obrotność dowcipu i słowa, cudowną łatwość znajdywania coraz nowych form dla swych pomysłów, wiecznie żywą wszechstronność zainteresowań, lotną fantazję, co zewsząd jak powój oplata rzeczywistość, wreszcie promienny humor, który ratuje od doktrynerstwa, od niedorzeczności, od nietaktu, jako zaś warunek podstawowy humoru zdolność do uczucia, zmysł społeczny, słowem ludzkość w najlepszem znaczeniu tego wyrazu.

Poza tem wszystkiem zaś i ponad tem: idee, bez których publicysta jest tylko „jako miedź brzęcząca i jako cymbał brzmiący".

Jakaż jest treść ideowa tego posłannictwa, które nasz „dziennikarz na Olimpie" w postaci istnego gradu swych tomików rzuca z tych wysokości współczesnemu światu?

I tu zrazu równie trudno znaleźć odpowiedź, jak przy szukaniu określenia Chestertona jako pisarza.

Trudno przedewszystkiem dlatego, że bezustanna gra barw jego dowcipu często dochodzi do granic bezcelowej zabawy. Niewątpliwie manierą już nazwać trzeba styl takich igraszek, jak owe niedawne *Tales of the Long Bow* (1925), w których żart wciąż na nowo polega na tem, iż przedsięwzięcia przysłowiowo niemożliwe — jak „zjeść swój kapelusz", „podpalić Tamizę", „uczyć świnie latać" — są z całym rozmachem traktowane dosłownie, *ad maiorem gloriam* romantycznej prawdy iluzji przeciw trzeźwemu fałszowi codziennej rzeczywistości.

Ale to tylko wyjątkowe momenty przesady. W rzeczywistości Chesterton jest jako ów żongler-wojownik Taillefer, co śpiewając dumę o Rolandzie i bawiąc się podrzucaniem miecza, jechał w śmiertelny bój pod Hastings. Chesterton we wszystkiem, co tak żartobliwie pisze, niemniej stale poważne ma myśli i cele, jak drugi najniestrudzeńszy kpiarz Bernard Shaw, o którym Chesterton właśnie tak wnikliwą napisał książkę.

Drugiem źródłem trudności — to nie tylko gadki i kuglarstwa Taillefera, ale sama już jego wojowniczość. O co się bić

może, kto tak walczy ze wszystkiem? Nienawidzi socjalizmu, ale przeklina kapitalizm; nienawidzi także imperjalizmu, ale niemniej wstrętne mu są frazesy internacjonalizmu. Czyż nie jest pesymistą z gruntu, kto w swej uprzemysłowionej ojczyźnie tak stanowczo widzi piekło, że nie życzy poległym na wojnie, by mogli z grobów powstać i na nią spoglądać? Czyż może kochać Anglję, kto tak wciąż złorzeczy jej bankiersko-lichwiarskiej cywilizacji? Wszakże to Chesterton w czasie największej popularności szowinistycznych uniesień Kiplinga rozpoczynał swą karjerę pisarską pod znakiem protestu przeciw okrucieństwom popełnianym na Boerach. Wszakże on w pierwszym roku wojny światowej, gdy ze strony niemieckiej rozległo się hasło *Gott strafe England!* — w sensacyjnej książce „Zbrodnie Anglji" *(The crimes of England)* napiętnował imperjalistyczne grzechy Wielkiej Brytanji sam jak najdobitniej, nie szczędząc szczególnie jaskrawych słów potępienia polityce angielskiej w Irlandji.

Ale tego zawziętego czarnowidza znamy przecież skądinąd jako najsłoneczniejszego optymistę, jaki zajaśniał w literaturze angielskiej od czasów Dickensa. Ten wróg imperjalizmu kocha do bałwochwalstwa piękną, zieloną starą Anglję w idyllicznej krasie jej sielskiej przyrody, kocha do zapamiętania jej dzielny lud i śpiewa hymn osobny na cześć milczących bohaterstw jego historji. *Corruptio optimi pessima:* to zasada, co każe mu narzekać na „zniemczenie Anglji" w ostatnich dwóch stuleciach, co każe mu lżyć kupców-hurtowników, fabrykantów, a wielbić stare karczmy, chłopskie folwarki i rzemieślnicze warsztaty.

Chesterton socjalistą nie jest; ale goręcej od niejednego socjalisty ukochał cierpiące, upośledzone masy, i radykalniejsze od socjalistów zaleca środki społecznego zbawienia w tych czasopismach *New Witness* i *G. K.'s Weekly*, których kolejno jest duszą. „Dziś możemy uniknąć socjalizmu tylko przez przemianę równie ogromną, jak sam socjalizm. Jeżeli mamy uratować własność, musimy na nowo rozdzielić własność, prawie tak srogo i doraźnie jak rewolucja francuska". Oto słowa z jednej z typowych jego książek [1].

Chesterton nie jest liberałem starego typu, bo liberalizm wszakże, ze swemi ideałami nieograniczonej wolnej konkurencji, doprowadził do potworności dzisiejszego kapitalizmu. Ale

[1] *What's Wrong with the World,* Tauchnitz Edition (1910), str. 265.

Chesterton ideał liberałów — wolność — kocha goręcej od niejednego liberała, i prawdziwej wolności — a więc przedewszystkiem także wolności gospodarczej — pragnie całem sercem dla tego „małego człowieka", który dziś jest bezwolnem kółkiem w mechanizmie ekonomicznym, jest uniformowanym pionkiem w coraz bardziej „standardyzującym" się świecie społecznym [1].

Chesterton — wielki humorysta, pełen sentymentu i sentymentów, — nie jest i nie może być racjonalistą, boć tyranja racjonalizmu zaczęła wytrawiać ze świata w XIX wieku jego romantyczną duszę. Ale nie jest też Chesterton — mimo wszelkich pozorów — romantycznym fantastą. Przesady fanatyka zawsze jak ognia unika: niczego przecież tak zapalczywym nie jest wrogiem w swej prozie, a także w licznych wierszach, jak — prohibicji. Od popadania w ostateczności chroni go nietylko boski dar humoru, ale przedewszystkiem bezcenne brytyjskie dziedzictwo zdrowego sensu. Ten Don Kiszot jest „Don Kiszotem chłopskiego rozumu", jak go się ośmieliłem kiedyś w jego obecności nazwać.

To też goręcej od liberałów kochając, jak się rzekło, ideał wolności osobistej, z drugiej strony bardziej stanowczo od samych socjalistów wyznaje przekonania o potrzebie wskrzeszenia autorytetu w dobie dzisiejszej. I po wskrzeszony autorytet sięga w głąb historji, do średnich wieków: siłą fundamentalną autorytetu zachwyca go ich kultura. Pisząc krótką historję Anglji, w dziejach jej od renesansu i reformacji widzi niemal już same tylko ekscentryczne aberacje.

Tą drogą, — podobną jak przed nim Newman — dotarł Chesterton. Jak Newman w „Apologji", tak Chesterton wykreślił swoją doń pielgrzymkę w pismach autobiograficznych: w „Heretykach" od strony negatywnej, w formie krytyki typów odmiennych, w „Ortodoksji" od strony pozytywnej, by wreszcie w „Kuli i krzyżu" dać syntezę osiągniętych już wtedy (1910) niemal z zupełną jasnością wyników.

Na łono kościoła katolickiego przeszedł Chesterton formalnie dopiero po wojnie. Ale gdy raz twardo na jego gruncie stanął, okazało się, jak dalece była to zawsze *anima naturaliter Christiana:* okazało się, że religja, jak od początku podświa-

---

[1] Obronie różnych „wolności", których człowieka pozbawia dzisiejszy ustrój społeczny, poświęcona jest najnowsza książka Chestertona *The Outline of Sanity* („Podręcznik normalności"), 1926.

domie była, tak teraz już na zawsze być musi, słońcem jego świata duchowego. Więc w „Świętym Franciszku z Assyżu“ (1924) tworzy najrzewniejszą, może najgłębszą swą książkę. Ale i tu nie opuszcza go dziennikarski zmysł dla aktualności, ta stała cecha jego umysłu: na największym z przykładów historycznych to nadewszystko wykazać usiłuje, że właściwy średniowieczu zmysł społeczny, gdy w swej najczystszej esencji gorzeje w sercu jednostki jako franciszkański ogień miłości, — jako indywidualna cząstka dantejskiego *l'amor chi muove il sol e l'altre stelle,* — jest na dziś i na zawsze dla społeczności zbawieniem, a dla pojedyńczego człowieka prawdziwą wolnością i prawdziwem szczęściem.

Religja teraz dzierży władzę niemal nieograniczoną nad natchnieniami tego pisarza. Gdy w jednej z najnowszych swych książek, „Wiecznotrwały człowiek“ *(The Everlasting Man),* nawiązuje do operetkowego procesu o darwinizm w Dayton w Ameryce i chce poważnie wystąpić przeciw bałwochwalcom teorji ewolucji, widzi w historji nadewszystko dwa wielkie cuda, których żadna ewolucja nie wytłumaczy: pojawienie się człowieka i żywot Chrystusa. Gdy w tej książce głośnemu „Zarysowi historji powszechnej“ Wellsa usiłuje przeciwstawić własną syntezę historjozoficzną, okresy dziejów ludzkości w erze chrześcijańskiej same już mu się układają według wielkich ruchów ideowych, które kolejno, jak fale, i wszystkie jednakowo bezsilnie, biły o wiekuistą opokę chrześcijaństwa: arjanizm, nauka albigensów, sceptycyzm odrodzenia, filozofja encyklopedystów i ewolucjonizm...

Tak to z młodego absolwenta *Slade School,* który w zaraniu naszego stulecia ołówek rysownika zamienił na pióro dziennikarza i rychło obok Hilarego Belloc i Maksa Beerbohm zasłynął jako „jeden z trzech najdowcipniejszych ludzi Londynu“, wyrósł „wesołek“ największej miary w literaturze dni dzisiejszych, dziś już, jak uwielbiany przezeń święty Franciszek, „wesołek Boży“ — *ioculator Dei.*

2.

CHESTERTON JAKO PRZYJACIEL POLSKI

(Z wspomnień osobistych).

Wyjeżdżając w jesieni r. 1922 do Anglji, celem wygłoszenia szeregu odczytów o rzeczach polskich w uniwersytecie lon-

dyńskim i innych instytucjach, wiedziałem, że wśród niewielu szczerych przyjaciół, na których między wybitnymi ludźmi Anglji liczyć możemy, znajduje się jeden z najznakomitszych żyjących pisarzy angielskich — Gilbert Keith Chesterton. Nie śmiałem jednak wówczas pochlebiać sobie nadzieją, że na drogach mojej pracy propagandystycznej spotkam się bezpośrednio z tą niepospolitą postacią.

Tymczasem kilkakrotnie tak się stało, a wszystkie spotkania moje z Chestertonem były zarazem okazjami do jego wystąpień publicznych w charakterze serdecznego i czynnego przyjaciela Polski.

Wiosną roku 1923 wśród wyższych uczelni londyńskich poza Uniwersytetem, które wezwały mnie do wygłoszenia wykładów o Polsce, znalazła się szkoła handlowa, utrzymywana przez kupiectwo londyńskie w samem sercu śródmieścia, nieopodal Banku angielskiego, giełdy i pałacu lorda majora, pod nazwą *City of London College*. Odczytowi o Polsce przypadł w udziale ten zaszczyt, że miał być pierwszym w serji wykładów publicznych o tak zwanych „nowych państwach" wschodniej Europy. Oczywiście wypadło mówić głównie o naszych stosunkach gospodarczych. Była to jedna z pierwszych moich wycieczek z dziedziny literatury i historji w dziedzinę ekonomji, i niemało się nabiedziłem nad zestawieniem materjału statystycznego. Jeszcze bardziej niepokoiła mnie myśl, czy będzie wogóle do kogo mówić — czy temat tak egzotyczny i tak obcy dla przeciętnego Anglika, jak Polaka, zgromadzi jakie takie audytorjum. Jakże miłej ulgi, przyjemnego zdziwienia doznałem, gdy mi pewnego dnia zakomunikowano z naszego poselstwa, że na „chairmana" na moim odczycie udało się pozyskać Chestertona. To było równoznaczne z wielkim sukcesem odczytu. Zapowiedź pojawienia się Chestertona musiała wypełnić salę po brzegi. Tak się też i stało. Przyszło kilkaset osób.

Cóż to jest „chairman" na odczycie?

Jest zwyczajem angielskim, że prelegenta, wyglaszającego odczyt publiczny, ktoś wprowadza, zagajając krótko jego odczyt i opowiadając coś o jego kwalifikacjach, a zarazem zajmując w ciągu odczytu krzesło prezydjalne jakby przewodniczący na wiecu lub obradach. Ten sam „chairman" istotnie przewodniczy po odczycie w dyskusji, o ile się takowa odbywa, a także wypowiada krótki epilog, wyrażając prelegentowi uznanie, ewentualnie wzywając jeszcze kogoś z pośród zgro-

madzonych, by postawił formalny wniosek o uchwalenie prelegentowi uznania przez zebranych. Oczywiście, na „chairmana" poszukuje się zwykle osobistości, której nazwisko coś znaczy, i która stanowi rodzaj reklamy dla odczytu.

Takim „chairmanem" miał być dla mnie Chesterton. Chciałem nie okazać się niegodnym takiego przewodnictwa, i dlatego nie bez pewnego drżenia serca oczekiwałem wśród grona kierowników szkoły pojawienia się znakomitego pisarza. Zjawia się wreszcie olbrzymia postać Chestertona, w charakterystycznym dla niego niedbałym ubiorze, z rozwichrzoną czupryną i z dobrotliwym a pełnym humoru uśmiechem na pucułowatej, rumianej twarzy.

Ten uśmiech rozwiał wszelkie niepokoje.

Witany pełnemi zapału oklaskami Chesterton wstępuje na estradę i wypowiada zagajenie, które musiało zdumieć i ubawić Anglików, ale zdumiało i poniekąd zakłopotało mnie samego. Wśród atmosfery angielskiej, pełnej wtedy (jak i dziś) inwektyw przeciw imperjalizmowi i militaryzmowi nowej Polski, oraz ironicznych uwag na temat jej niesolidnej gospodarki i „romantycznych finansów", Chesterton śmiałym i rycerskim gestem posunął się dalej w rzecznictwie Polski, niż komukolwiek wolno było się spodziewać. Obecny na sali p. minister Skirmunt z pewnością był nie mniej zdziwiony niż ja, gdy usłyszał Chestertona, przemawiającego mniejwięcej w następujące słowa:

„Odczyt dzisiejszy ma być pierwszym z cyklu wykładów o t. zw. nowych państwach Wschodniej Europy. By się przygotować na jego należyte wysłuchanie, musicie Państwo wykonać na sobie samych pewną operację psychologiczną. Mianowicie co do innych krajów europejskich dusza angielska jest w stanie spokojnej i błogiej nieświadomości: co do Polski, rzecz ma się gorzej, bo w świadomości angielskiej jest sporo informacyj o Polsce, ale informacje te — to jad antypolskiej propagandy, systematycznie sączonej w duszę angielską. Ten jad ze swoich mózgów musicie najpierw wyrzucić, zanim autentycznych informacyj o Polsce słuchać zaczniecie.

A więc — by przytoczyć jeden przykład: wszyscyście zapewne wzrośli w przekonaniu, że dawna Polska upadła przez błędy organiczne swego ustroju państwowego i wady charakteru narodowego swej szlachty. Otóż nowsze badania historyczne dowodnie wykazały, że to wszystko kalumniatorskie wymysły historyków niemieckich, którzy w XIX wieku zdołali opanować oświeconą opinję Europy; Polska XVII wieku nie była gorsza od innych państw, które na mapie Europy się ostały, i upadła jedynie dzięki napastliwej zachłanności swych sąsiadów: Prus i Rosji".

Tableau! Śmiać się i płakać chciało się zarazem! Wszakże sam wykarmiony byłem na dawnych teorjach „szkoły krakow-

skiej" o przyczynach upadku Polski. A tu Anglik sprawia się z niemi niegorzej, niżby to uczynił którykolwiek z młodych przedstawicieli „optymizmu", panującego dziś w naszej historjografji. Chesterton, harcujący po kartach historyków niemieckich, doprawdy przypomniał mi patrona Anglji, św. Jerzego w walce ze smokiem. Był w owej chwili istotnie „Don Kiszotem zdrowego rozumu" — *Don Quixote of common sense* — jak z niemałem wzruszeniem i ku widocznemu jego samego ukontentowaniu ośmieliłem się go nazwać w pierwszych słowach mojego odczytu. Po takiem zagajeniu, oczywiście zadanie walki przeciw antypolskim przesądom mojego angielskiego audytorjum znacznie było dla mnie ułatwione: mogłem bez trudności przedstawić niezaprzeczalne niedostatki w gospodarstwie i skarbowości naszego młodego państwa, jako w znacznej mierze dziedzictwo naszej tragicznej przeszłości porozbiorowej.

Nie mogę jeszcze pominąć dowcipnego sposobu, w jaki Chesterton w epilogu do mojego odczytu przeciwieństwa między mojemi filologiczno - literackiemi kwalifikacjami fachowemi a ekonomicznym tematem mojego wykładu zużytkował dla urabiania opinji na korzyść Polski. Powiedział mniej więcej:

„Macie jeszcze jeden dowód, jak tendencyjnie fałszywemi pojęciami o Polsce was karmiono. Słyszeliście zawsze o Polakach, jako o narodzie niepoprawnych marzycieli i romantyczno-sentymentalnych utopistów. A tu polski profesor literatury mówił do Was przez godzinę o polskim handlu, przemyśle, o rolnictwie i walucie, jak ekonomista. Gdyby osoba narodowości angielskiej, zajmująca się w domu zawodowo literaturą, np. ja, miała przed obcem audytorjum mówić o życiu gospodarczem Wielkiej Brytanji, łatwo sobie możecie odmalować tę smutną scenę, którаby nastąpiła".

Tym akordem humoru, witanym salwami śmiechu, zakończyło się moje pierwsze spotkanie z Chestertonem.

Po raz wtóry zetknąłem się z Chestertonem na gruncie propagandy polskiej w Anglji w r. 1924, w gronie bardziej zamkniętem, ale pamiętnem dla mnie ze względu na doborowy zespół osób zebranych.

Nasze poselstwo londyńskie, zauważywszy wówczas pewne symptomy przychylniejszego dla Polski nastroju w opinji angielskiej, pragnęło nastrój ten wyzyskać i utrwalić przez wskrzeszenie angielskiego „Towarzystwa przyjaciół Polski". Towarzystwo takie pod nazwą *Literary Association of the Friends of Poland* powstało w Anglji po r. 1831, z inicjatywy poety Tomasza Campbella, oraz innych przyjaciół Pol-

ski, jak D. Urquhart, C. Fergusson, a nadewszystko niestrudzony lord Dudley Coutts Stuart. Za pośrednie zadanie — obok ideowej propagandy sprawy polskiej — Towarzystwo postawiło sobie pomoc materjalną dla rozbitków z powstania listopadowego, wtedy licznie przybywających do Anglji tak samo, jak do Francji. Towarzystwo miało okres wielkiej popularności w Anglji: udało się mu nawet — o dziwo! — wyjednać przez parlament subwencję rządową 10.000 funtów szterlingów rocznie, którą otrzymywało przez kilka lat z rzędu. Po kilkudziesięcioletniej owocnej działalności Towarzystwo w miarę wzrostu obojętności na Zachodzie wobec sprawy polskiej poczęło zamierać, i próby wskrzeszenia go w czasie wojny nie powiodły się wobec konkurencji innych, podobnych instytucyj (jak np. „Wielka Brytanja w Polsce").

Towarzystwo pod tą nazwą miało teraz wskrzesnąć już nie jako instytucja jałmużnicza — bo żebrakami wśród narodów chwała Bogu już nie jesteśmy! — ale jako narzędzie zainteresowania opinji angiellskiej naszem życiem państwowem i kulturalnem. W tym cellu poseł Skirmunt sprosił na naradę kilka wybitnych osobistości ze świata towarzyskiego, literackiego i naukowego Londynu. Zasiadło tedy w skwarne lipcowe popołudnie do herbaty wkoło długiego stołu jadalnego w poselstwie grono prawdziwych przyjaciół Polski z Anglji. Wyróżniała się wśród nich prawdziwie gentelmańską dystynkcją sympatyczna rycerska postać starego żołnierza, lorda Treowen, zawsze gotowego szermierza o sprawy polskie w debatach izby lordów. Jaśniała urodą i kraśniała zapałem młoda lady Dunedin, co niedawno przedtem jeszcze jako miss Finlay objeżdżała swą rodzinną Szkocję z entuzjastycznemi odczytami o Polsce. Obok niej zjawiła się miss Monica Gardner, autorka znanych książek angielskich o naszych poetach i bohaterach, dalej Mr. L. C. Wharton, urzędnik bibljoteki British Museum i stały docent rzeczy polskich w Instytucie słowiańskim, wreszcie — *last not least* — znowuż sam Chesterton.

Wobec tego szczupłego, ale dostojnego grona, oraz naszego posła i kilku jego urzędników opowiedziałem na podstawie przechowywanych w poselstwie sprawozdań dzieje dawnego Towarzystwa Przyjaciół Polski i zarysowałem plan nowej akcji. W dyskusji, która się rozwinęła, ostatni z rzędu głos zabrał Chesterton i z siłą szczerego przekonania i uczucia zaznaczył, że wskrzeszenie Towarzystwa, o które starają się Polacy, byłoby jego zdaniem dobrą rzeczą, przedewszystkiem dla

samej Anglji, bo przypomniałoby jej najpiękniejsze i najszlachetniejsze tradycje polityki angielskiej XIX wieku. To też nawiązując do mojego referatu, stwierdził, że oprócz stworzenia samego Towarzystwa, pożądanem byłoby napisanie historji ruchu polonofilskiego w Anglji XIX stulecia. Z takiej historji dzisiejsza Anglja, obojętna wobec sprawy Europy Wschodniej i gruntownie jej nieświadoma, ze zdumieniemby się dowiedziała, jak silną w generacjach dziadów i ojców jeszcze była tradycja przyjaźni angielskiej dla aspiracyj polskich, i jak niedawno została zerwana. Tak mówił pisarz, który świeżo przedtem oddał był znamienitą usługę znajomości rzeczy polskich w Anglji, pisząc pełną zapału przedmowę do angielskiego przekładu „Nieboskiej Komedji" — Krasińskiego, dokonanego przez miss Kennedy i p. Z. Umińską. Mimowoli, słuchając słów Chestertona, z których biła wiara w możność wskrzeszenia sympatyj polskich w Anglji, porównywałem tę scenę z inną, która w tych samych tygodniach w temże poselstwie naszem rozegrała się była między Józefem Conradem, naszym posłem a mną. Nazwisko Józefa Conrada byłoby stanowiło nader cenny atut dla wskrzeszonego Towarzystwa Przyjaciół Polski i nazwiska swojego wielki pisarz (było to dwa miesiące przed jego śmiercią) istotnie nie odmówił. Natomiast od udziału czynnego w akcji usilnie się wymawiał, mówiąc o wszelkiej propagandzie z niechęcią subtelnego i wrażliwego artysty-odludka, jako o czemś dobrem dla narodów-dorobkiewiczów, ale niegodnem naszego tysiącletniego dostojeństwa cywilizacyjnego. Dwaj ludzie — dwa temperamenty. Conrad, choć bywalec po wszystkich lądach i morzach, był mimozą i prawdziwie romantyczną naturą; Chesterton, krwisty i czasem rubaszny, przy całem dziwactwie swych romantycznych paradoksów i swego kultu średniowiecza, żyje pełnią realnego demokratycznego życia naszych dni.

Wreszcie obrazek trzeci, dla mego polskiego serca ze wszystkich tych wspomnień najmilszy, bo chodzi o zupełnie samorzutny i najniespodziewańszy w świecie objaw głębokiej sympatji i żywego zrozumienia Chestertona dla duszy i tradycji polskiej.

Lipiec roku 1925. Jestem jedynym delegatem polskim wśród półtoratysięcznego tłumu nauczycieli i profesorów ze wszystkich krajów kuli ziemskiej na światowym kongresie nauczycielskim w romantycznej stolicy starej Szkocji, w Edynburgu. U stóp szkockiego Wawelu — wzgórza z dawnym

zamkiem królewskim — w wielkiej sali Filharmonji edynburskiej zasiada nas sześciuset do uroczystego śniadania, wydanego przez miasto. Na estradzie długi wywyższony stół dla honoracjorów. W pośrodku, między lordem-burmistrzem Edynburga a prezydentem kongresu — przedstawicielka sekretarjatu Ligi Narodów, ks. Radziwiłłówna (która też w przemówieniu na samym kongresie z wielkim naciskiem deklarowała się jako Litwinka); dalej ku lewemu końcowi stołu, wśród różnych dygnitarzy i wystrojonych dam, charakterystyczna postać Chestertona ze zwichrzoną, jak zawsze, czupryną i rozwianą czarną krawatką w stylu złotej Bohemy. Pokazują go sobie i poszeptują, że przybył, by otrzymać honorowy stopień doktorski od uniwersytetu edynburskiego; że kongres skorzystał ze sposobności, by go mieć raz pośród siebie; że może przemówi... Istotnie, wśród różnych, mniej lub więcej nudnych oficjalnych toastów lord Aberdeen, najsympatyczniejszy z mówców, zwraca się z żartobliwą apostrofą na temat starego kontrastu między Szkotami a Anglikami wprost do znakomitego pisarza. Chesterton, wyzwany w ten sposób na języki, dźwiga swój ogromny tułów ponad stół i ku zachwytowi i zabawie sali wypowiada mniej więcej następujące kapitalne przemówienie:

„Wstaję z pewnem zakłopotaniem, nietylko dlatego, iż jestem prawie że jedynym Anglikiem wśród całego morza Szkotów i innych delegatów ze wszystkich krajów kuli ziemskiej, ale i dlatego, że w tem czcigodnem gronie, złożonem z samych pedagogów, ja jeden" —

i tu prezentuje w całej okazałości swój olbrzymi tors —

„jestem tym surowym materjałem, tym niewykształconym człowiekiem, nad którym wy, nauczyciele, pracujecie. Otóż powiem wam jedno. Mało może jest podobieństw między historją takiego kraju jak Anglja, a takiego jak Polska".

(Aż coś drgnęło we mnie, gdy wśród uważnego milczenia sześciuset ludzi padło donośne słowo *Poland!*).

„Ale jedno podobieństwo jest", ciągnie dalej Chesterton. „A tem podobieństwem jest gorące umiłowanie wolności osobistej — wolności, która kiedyś istniała w Anglji, choć teraz mało jej śladów zostało" (wesołość), „a którą zawsze w swych dziejach aż do nadmiaru kochał naród polski. Otóż jeden poeta polski, tem umiłowaniem wolności natchniony, rozpamiętywując krzywdy i nieszczęścia swej ojczyzny w niewoli, użył słów, które sprofanuję prostym przekładem na prozę angielską, a których sens jest taki: Wielki Boże! zetrzyj nas na proch, jeśli taka Twoja wola, ale niech ten proch będzie wolny!"

Grind us to dust, but let the dust be free! — woła z zapałem Chesterton, mimowoli wbrew zapowiedzi podpadając w kadencję białego wiersza angielskiego.

„Z temi właśnie słowy", kończy pisarz z błyskiem dobrodusznej ironji w oku, „zwracamy się do was, nauczyciele: ścierajcie nas na proch najnowszemi, ulepszonemi metodami pedagogicznemi, ale zostawcie temu prochowi ludzkiemu choć odrobinę wolności indywidualnej, o którą, jako o najwyższe dobro człowieka, w całej mej karjerze pisarskiej nigdy walczyć nie przestanę!"

Chóralny śmiech pokrył tak zuchwałą i zdumiewającą pointę. Aplauzom ogólnym nie było końca, ale jeden ze słuchaczy Chestertona poczuwał się do obowiązku podejść do niego osobno po bankiecie i uścisnąć jego dłoń ze słowami gorącej podzięki nie za dobry żart, lecz za pamięć o Polsce.

* * *

Po wszystkich tych przygodnych zetknięciach miałem sposobność uczestniczyć w przyjęciu Chestertona jako miłego naszego gościa w Polsce. W maju r. 1927 spędziłem trzy całe dni w ciągłem prawie jego towarzystwie wśród zabytków naszego starego Krakowa. Nie o tych niezapomnianych dniach jednak będę tu opowiadał, chcę tylko wspomnieć o ich epilogu w Londynie, bo przy tej sposobności serdeczny stosunek znakomitego pisarza do Polski znowu zajaśniał pełnym blaskiem swego ciepłego światła.

W lipcu r. 1927, będąc w Londynie na jubileuszu uniwersytetu, otrzymuję zaproszenie na odczyt Chestertona o Polsce w *Essex Hall* przy ulicy Strand. Organizatorowie odczytu uprzedzają mnie, że kolega po piórze i przyjaciel Chestertona, Hilary Belloc, oraz ja — mamy po samym Chestertonie przemawiać, by w przyjęty na takich angielskich zebraniach sposób postawić wniosek o wyrażenie prelegentowi uznania przez zgromadzonych *(vote of thanks)*. Sala przepełniona wielbicielami i wielbicielkami pisarza, na estradzie nasz poseł Skirmunt (który zagaja i przewodniczy), katolicki prymas Anglji kardynał Bourne (również niedawno przedtem nasz gość w Polsce) i kilka innych znakomitości. Powitany oklaskami, wstaje Chesterton i zaczyna swój odczyt w następujący, zaiste kapitalny sposób:

„Mam mówić o Polsce. Wobec nieznajomości tego tematu w Anglji, trzebaby zacząć od określenia: co to jest Polska. Na takie zapytanie nawet polski prelegent może nie podjąłby się dać wyczerpującej odpowiedzi,

ale ja ośmielę się na wstępie sformułować moją odpowiedź na nie w słowach, że — Polska jest Polską. Takie powiedzenie, gdy pada z moich ust, oczywiście nazywają paradoksem; ja jednak chciałem tylko skonstatować pewien zasadniczy fakt. Oto co mam na myśli. Jeszcze przed wojną Anglik, o ile coś wogóle wiedział o historji i geografji kontynentu europejskiego, słyszał o starem królestwie Bohemji (które według Shakespeara leży nad morzem): obecnie po wojnie słyszymy dużo o jakiejś Czechosłowacji, o której nie wiedzieliśmy przedtem. Dalej: podczas wojny nasi żołnierze wiedzieli, że biją się i giną między innemi także za wolność Serbji, co przetrwała tyle set lat niewoli tureckiej: po wojnie mówią nam wiele o Jugosławji, której nie znaliśmy dawniej. Tymczasem z Polską jest inaczej. Wiemy od ojców i dziadów naszych o Polsce, której walkom o wolność towarzyszyły ich sympatje, a teraz po wojnie mamy przed sobą jako rzeczywistość polityczną znowu tę samą Polskę, a nie co innego. A więc powtarzam: Polska jest Polską, która była zawsze, i da Bóg będzie trwalszą niż niejedno, co nasze burzliwe czasy stworzyły".

Trudno chyba wyobrazić sobie *exordium*, któreby w bardziej dobitny sposób stwierdzało jednolitość i ciągłość naszej tradycji narodowej i kulturalnej, — właśnie ten „podstawowy fakt", o którym Anglikom tak często podoba się zapominać, gdy nas traktują jako jedno z „nowych państw" powojennego autoramentu. Co nastąpiło po tym wstępie u Chestertona, było nie więcej jak miłą i pełną humoru pogawędką o wrażeniach polskich. Ale sam ten wstęp obudził najżywszą wdzięczność znajdujących się w jego audytorjum Polaków, a mnie osobiście znamienicie ułatwił zadanie nietylko o ile chodziło o przemówienie (w którem za zgodą organizatorów odczytu uzupełniłem wywody Chestertona garścią wiadomości o Polsce), ale także wkrótce potem, gdy na zaproszenie redakcji chestertonowskiego tygodnika pisałem dlań dwa artykuły informacyjne o Polsce dawnej i nowej [1].

[1] *Problems of Poland* (G. K.'s Weekly, Londyn, 16 i 23 lipca 1927).

VIII.

SIR JAMES M. BARRIE

I.

Pan Ryszard Ordyński, w krótkiej przerwie swej świetnej wielkoświatowej karjery reżyserskiej na obu półkulach, znalazł czas zajrzeć do starego miasta, w którem spędził młodość, i uszczęśliwić Krakowian na gwiazdkę r. 1925 przepysznem wystawieniem fantazji dramatycznej o „Kopciuszku" i moralitetu *Everyman*. O tem ostatniem dziele, dzięki przeróbce Hofmannsthala i inscenizacji u Reinhardta, dość już jest głośno na całym kontynencie europejskim, natomiast autor „Pocałunku Kopciuszka" mało jest znany poza swą wyspiarską ojczyzną.

James Matthew Barrie, dziś już 65-letni, niedawno odznaczony szlachectwem, a przedtem jeszcze różnemi honorami akademickiemi, ma za sobą długi szereg powieści i sztuk teatralnych. Jest autorem niezmiernie popularnym u ogółu angielskiego, dlatego że reprezentuje w swej twórczości jeden z pierwiastków najdroższych sercu Anglika i w życiu i w sztuce, mianowicie h u m o r, i to humor tego specyficznie angielskiego typu, w którym nigdy nie brak odrobiny melodramatycznego sentymentu, w którym poezja złoci najpospolitsze rzeczy powszednie, a serce wśród słów żartobliwych rozrzewnia się nad takiemi odwiecznemi ludzkiemi sprawami, jak miłość i rodzina, bieda i cnota, dzieciństwo i starość, choroba i miłosierdzie. Jednem słowem, nader płodny ten pisarz, choć do godności genjusza nie może mieć pretensji, jest humorystą w rodzaju Dickensa.

Ale nie bez swoistej odmiany: ten przedstawiciel humoru, który odczuwamy jako *par excellence* angielski, jest Szkotem. Niestrudzenie pracowity naród szkocki, ze swą surową kalwińską religją, uchodzi za plemię twarde i prozaiczne, nie skłonne do rozczuleń i niezdolne do żartów. A jednak z pod nieponętnej powłoki dorobkiewiczowskiej stateczności nieraz wy-

chodzą na jaw ukryte skarby uczucia, właściwego naturze góralskiej, a cierpki humor szkocki właśnie w swej małomówności szczególny nadaje czar najdoskonalszym i najcharakterystyczniejszym szkockim postaciom.

Barrie, jak Dickens, doszedł do literatury przez dziennikarstwo; i jak każdy ambitniejszy Szkot, zapatrzył się wcześnie w ten (jak powiedział Samuel Johnson w XVIII wieku) „najpiękniejszy widok, jaki się dla Szkota w życiu otwiera, t. j. widok na gościniec do Londynu". Jako młody dziennikarz, czterdzieści lat temu, podążył na południe, najpierw do Nottinghamu, a stamtąd rychło do stolicy. Podobnie jak Dickens, przy przejściu od dziennikarstwa do literatury nie odrazu trafił na właściwą dla swego talentu drogę. Pierwsza jego książka „Lepiej umrzeć" *(Better Dead)* jest burleską w rodzaju makabrycznym: młody Szkot w Londynie wstępuje do towarzystwa, które sobie postawiło za zadanie ułatwić śmierć ludziom znużonym życiem. Barrie ma naturę zbyt łagodną i pogodną, by z takiego tematu wydobyć efekt, czy to tragicznej grozy, czy to groteskowego komizmu: starszy od niego o lat dziesięć, a zgasły przedwcześnie inny pisarz szkocki, wyższy odeń skalą talentu, Robert Louis Stevenson, daleko skuteczniej ujął ten sam przedmiot w swym „Klubie samobójców". Ale sam Barrie nie bez powodzenia zabawił się raz jeszcze tematem o podobnym nastroju daleko później, gdy już był sławnym, w jednoaktowym żarcie dramatycznym „Czy przejdziemy do pań?" *(Shall we join the ladies?)* — który oglądałem na scenie londyńskiej dwa lata temu. Towarzystwo kilkunastu osób, które się przypadkowo poznały na Rivierze, bawi od dwóch tygodni w siedzibie wiejskiej jakiegoś bogatego starego dziwaka, i oto w ostatni wieczór przed rozstaniem gospodarz po obiedzie im wyjaśnia, że jest między nimi morderca jego brata, zabitego kiedyś wśród tajemniczych okoliczności w Monte Carlo, i że w ten jeszcze wieczór on, gospodarz, za pomocą jakiegoś niezawodnego środka mordercę — czy morderczynię — pośród nich wykryje! Niezmiernie dowcipnie wyzyskaną jest stworzona w ten sposób sytuacja, w której każda z trzynastu osób z największą trwogą broni się przeciwko posądzeniu i fatalnie się wikła w podejrzenia, choć wiemy, że przecież tylko jedna z nich może być winną zbrodni.

Ale ani w tem późniejszem *jeu d'esprit,* ani we wspomnianej książce początkowej Barrie nie porusza się we właściwej sferze swego talentu. Nie jest też jeszcze właściwie sobą w dru-

giej książce, którą napisał: „Gdy się jest kawalerem“ *(When a Man's Single)*. Książka ta w twórczości jego — by już dalej ciągnąć porównanie — zajmuje to miejsce, co *Sketches by Boz* w twórczości Dickensa: i to są szkice drobne, luźnie związane w całość. Ale jak w „Szkicach“ Dickensa zarodki późniejszych figur i scen w powieściach, tak w tych szkicach spotykamy pierwsze promyki tego humoru, którym miał niebawem zajaśnieć Barrie.

W zenit wchodzi to światło, gdy autor, stanąwszy już dość pewną nogą na gruncie londyńskim, śle wejrzenie nawpół tęskne a nawpół figlarne z powrotem do tego małomieszczańskiego, staroświeckiego, prowincjonalnego środowiska szkockiego, z którego wyszedł. Jego miasteczko rodzinne, Kirriemuir, pod śmieszną nazwą *Thrums*, zyskuje nieśmiertelność literacką. „Sielanki z życia starowierców“ *(Auld Licht Idyls)* z pobłażliwym uśmiechem kreślą zawziętość starych sekciarzy zaściankowych, dla których są „trzy stopnie wiecznego potępienia: kościół państwowy, teatr i kaplica metodystyczna“. „Okno w Thrums“ *(A Window in Thrums)*, to okno, z którego stara sparaliżowana Jess patrzy z nienasyconą nigdy ciekawością na całe codzienne życie miasteczka i wszystkie jego drobne sprawy. „Mały proboszcz“ *(The Little Minister)* i „Plebanja starowierska“ *(An Auld Licht Manse)*, to obrazki z życia duchowieństwa tych ortodoksów sekciarskich: w pierwszej z tych powieści młody nowy duchowny gorszy swą gminę, romansując z tajemniczą cyganką, co jak wróżka z bajki chodzi po ubogich domach czyniąc dobrze; aż się wreszcie okazuje, że pod cygańskiem *incognito* kryje się córka lorda, i wtedy już sama starszyzna gminy przypiera lorda do muru, by się zgodził na małżeństwo ich proboszcza z uroczą cyganką. „Sentymentalny Tomek“ *(Sentimental Tommy)* i „Tomek i Gryzelda“ *(Tommy and Grizel)* — to jakby „Dawid Copperfield“ w dorobku powieściowym Sir Jamesa Barrie: utwory treści autobiograficznej, przedstawiające jego pierwsze kroki we wielkim świecie, różne młodociane odurzenia miłosne, wreszcie powrót do rodzinnej mieściny i do pierwszego kochania... Ale jeszcze ściślej autobiograficzną osnowę ma korona całego tego cyklu — książka o „Małgorzacie Ogilvy“ *(Margaret Ogilvy)*, ten całkiem niezwykły w literaturze utwór powieściowy, którego bohaterką autor zrobił — swoją starą matkę! Matka, prostaczka i parafjanka, ale nie tak bardzo prostaczka znowu, bo i kilka słów z Horacego zgoła do rzeczy zacytować po-

trafi, — i nie tak bardzo parafjanka, bo umie synowi przenikliwie i roztropnie radzić przy doborze tematów literackich i ich opracowaniu. Słoneczny jej temperament roztacza swe promienie po wszystkich kartach książki, a łzy ze śmiechem się mieszają nad takiemi scenami, jak ta oto z lat dziecięcych: matka po śmierci najstarszego dziecka zapada w melancholję; doktor mówi, że tylko przez rozweselenie można ją uleczyć; mały synek wszelakie figle wyprawia, by ją rozśmieszyć, i gdy matka się uśmiechnie, zapisuje potajemnie kreskę na papierze; aż dopiero widok samej tej kartki z jej kroniką uśmiechów doprowadza chorą do pierwszego wybuchu serdecznego śmiechu i ratuje jej zdrowie. „Małgorzata Ogilvy" w hierarchji hymnów na cześć szczęścia rodzinnego stoi tak wysoko, że prawie sąsiaduje z „Opowiastkami wigilijnemi" Dickensa.

2.

Każdy niemal autor, osiągnąwszy pewien stopień powodzenia w jakiejkolwiek dziedzinie prozy czy poezji, pragnie także laurów scenicznych. Często ta ambicja staje się fatalną, bo nerw dramatyczny mało kiedy idzie w parze z wybitnemi zdolnościami w innych rodzajach. Barrie w tym względzie jest dzieckiem szczęścia, bo poświęcając się w drugiej fazie swej karjery głównie teatrowi, głośniejsze jeszcze daleko zdobywa sukcesy, niż przez swe powieści.

Już z powieści samych jedna — *The Little Minister* — w przeróbce dramatycznej cieszy się stałemi względami publiczności, a niedawno doznała nawet honorów filmowych, i niezmiernie mile na ekranie się prezentuje.

Niemniej wiodło się dziełom odrazu dla sceny pisanym. Pamiętamy i ze sceny polskiej „Cudownego Crichtona" *(The Admirable Crichton)*, tego fenomenalnego lokaja, co na odludnej wyspie okazuje się urodzonym władcą ludzi i umie zorganizować życie całej kolonji rozbitków, a po powrocie do Londynu, wbrew demokratycznym rojeniom swojego pana, ze spokojem i godnością powraca znowu do kredensu.

Równie fortunną w swych losach scenicznych, była pisana w tym samym czasie, co *Crichton*, komedja *Quality Street* („Dystyngowana ulica"), która jeszcze za moich lat studenckich należała do stałego repertuaru teatru dworskiego we Wiedniu. Tu dla odmiany mamy romansik dramatyczny na tle epoki biedermaierowskiej. Dzielny żołnierz, posiwiały

w wojnach napoleońskich, olśniony zrazu urokiem młodziutkiej panienki, powraca jednak w końcu do jej ciotki Feby, którą niegdyś kochał pierwszem młodzieńczem uczuciem, a którą teraz po latach szarej pracy nauczycielskiej wierna i niezmieniona miłość dla niego cudownie odmładza. Piękny idealistyczny sentyment tej staroświeckiej historyjki romansowej triumfuje nad różnemi nieprawdopodobieństwami, a styl, znakomicie dostrojony do epoki, dźwięczny romantyczną nutą z panieńskich czasów naszych prababek.

Ale i „Crichtona" i *Quality Street* w cieniu pozostawiła światowa sława „Piotrusia Pana w ogrodach Kensingtońskich" *(Peter Pan in Kensington Gardens),* tej najrozkoszniejszej z feeryj, w której na tle rzeczywistego parku londyńskiego dzieją się dziwy tylko w krainie snów możliwe. *Peter Pan* należy do tej kategorji utworów, które jedna ponoś tylko literatura angielska nam daje, — do dzieł mianowicie jednakowo zabawnych i uroczych w oczach dzieci i w oczach dorosłych. Każda z tych klas widzów i czytelników na swój sposób takiem dziełem się rozkoszuje. Arcydziełem całego tego rodzaju są, jak wiadomo, „Przygody Alicji w kraju cudów" *(Alice in Wonderland),* książka, którą dla zabawy swych małych siostrzeniczek napisał oxfordzki matematyk Charles Lutwidge Dodgson (pseudonim: Lewis Carroll), i która coraz nowe generacje starszych czytelników w zachwyt wprawia przemiłą niedorzecznością swych sennych fantasmagoryj. Tensam czarodziejski kwiat nonsensów fantastycznych w „Piotrusiu Panie" zakwitł na deskach teatru i od dwudziestu z górą lat nie przestaje mienić się barwami wszystkich prawie języków europejskich.

Krewniaczką „Piotrusia Pana" jest ta panna-Kopciuszek z suteren, której już w czasie wojny światowej w noc zimową pod murem jej biednego mieszkania śni się w najcudniejszych kolorach bal dworski z bajki o kopciuszku *(A Kiss for Cinderella).* A królewicz w bajce — zgodnie z jej życzeniem — podobny jest do policjanta, co srogi zrazu, już broń złożył przed jej wdziękiem i dobrocią, i w trzecim akcie zostaje jej szczęśliwym narzeczonym. Połączenie poezji z humorem, romantyzmu bajki z realną i zawsze dotąd w Anglji popularną figurą stróża bezpieczeństwa, głębokiego współczucia społecznego z aktualnym patrjotyczno-filantropijnym apelem do uczuć ludzkich w czasie bied wojennych, — wszystko to razem zjednało temu dziełu równą prawie z „Piotrusiem Panem" popularność i zapewniło mu żywotność, jako arcydoskonałemu „widowisku

gwiazdkowemu“ na długo po wojnie, bo do dnia dzisiejszego.

Obok tych tęczowych baśni, utkanych z rzeczywistych mgieł londyńskich, nie przestał Barrie pisać komedyj realistycznych na tematy z otaczającego życia, ale zawsze zaróżowionych tym serdecznym idealnym optymizmem, tą dziecinną niemal wiarą w dobroć natury ludzkiej, która jest główną cechą jego humoru i główne w nim stanowi podobieństwo do Dickensa. W roku 1925 byłem w Londynie świadkiem entuzjastycznego przyjęcia wznowionej po wielu latach komedji jego „Co każda kobieta wie“ *(What Every Woman Knows)*. Znowu w niej Barrie powrócił do swych ukochanych prowincjonalnych wspomnień szkockich i znowu rozrzewnia nas i bawi naprzemian figurami z tego świata. Student, co w dzień dla zarobku nosi bagaże na kolei, a w nocy się zakrada jak włamywacz do cudzej bibljoteki, by czytać; trzej bracia, co złapawszy go na gorącym uczynku, obiecują go utrzymywać przez lata studjów, byle się ożenił z ich siostrą; wreszcie ta kobieta sama, co umie zdobić jego mowy parlamentarne dowcipami i efektami retorycznemi, i stawszy się w ten sposób niezbędna, odzyskuje serce jego chwilowo stracone, — wszystko to postacie tak przedziwne i nierozerwalnie łączące śmieszność z pierwiastkami wzruszającemi, że trudno nie radować się serdecznie wraz z bohaterką, gdy wreszcie na końcu sztuki poważny jej mąż po raz pierwszy wybucha śmiechem i śmiech ten zwiastuje ostateczne jej zwycięstwo.

Jak niema granicy w tych utworach między śmiechem a wzruszeniem, tak niema jej szczególnie w ostatnich utworach Sir Jamesa pomiędzy prawdą a baśnią. Jego „Snem nocy letniej“ jest powojenna komedja *Dear Brutus* („Kochany Brutusie“) [1]. Tu stary ekscentryk, zgromadziwszy u siebie na wsi grono typowych ludzi nowoczesnych, niezadowolonych z życia i z siebie samych, wyczarowuje na ich benefis pod domem w noc świętojańską tajemniczy las, podobny do ateńskiego lasu czarów u Shakespeara: błądząc po nim w nocy, wszyscy przenoszą się w urojoną sferę takiego życia, jakiemby żyli, gdyby kiedyś, w jakiejś rozstrzygającej chwili, byli poszli inną drogą, niż ta, którą obrali. I oto wszystkich ten ich sen godzi z rzeczywistością, do której o świcie powracają — zdrowsi moralnie i pogodniejsi niż przedtem. Zdrowszymi i pogodniej-

[1] Aluzja do słów w „Juljuszu Cezarze“ Shakespeara (1, 2):
„Nie gwiazdy winne, drogi mój Brutusie,
Żeśmy w niewoli — myśmy sami winni“.

szymi także my wszyscy wracamy do naszego życia powszedniego, gdy skąpiemy duszę w atmosferze poezji i humoru, ufności i dobroci, przenikającej dzieła tego czarodzieja szkockiego. Dzieła to z pewnością nie potężne i wstrząsające, nie największej miary, często nazbyt łatwe w natchnieniu i czasem zdawkowe w sentymencie, ale zawsze pełne nieprzepartego uroku i dobroczynnego pokoju ducha.

IX.

O „ŚWIĘTEJ JOANNIE" BERNARDA SHAW

1.

Gdy się w r. 1923 dowiedziałem, że sędziwy mistrz komedji obyczajowej angielskiej naszych dni zajęty jest pisaniem dramatu historycznego o Dziewicy Orleańskiej, nie zdziwiłem się zbytnio. Przypomniałem sobie jak już przed wojną Bernard Shaw, dramatyzując anegdotę z historji prześladowania chrześcijan w swym utworze „Androkles i lew", i snując wpółżartobliwą analogję między prześladowaniem chrześcijan przez Rzym cesarski, a współczesnem prześladowaniem sufrażystek przez rząd angielski, zadumał się nad tajemnicą siły biernego oporu męczeńskich wyznawców idei przeciwko potędze aparatu państwowego; jak wreszcie z okazji nowego wydania drukiem tej sztuki w ciągu wojny w dłuższej przedmowie opowiedział światu o swej lekturze Nowego Testamentu i dał wyraz gorącemu uwielbieniu aktualnej etyki tej książki, choć przyznał się do organicznej niezdolności przejęcia się jej mistyką [1].

Po takich antecedencjach było rzeczą zupełnie naturalną, że postać Dziewicy, niedawno przez Rzym kanonizowanej, zajęła pisarza, który już takie figury dziejowe jak Napoleona i Cezara wciągnął w krąg swej twórczości. Zdumiewającym był natomiast rezultat zainteresowania. Napoleon (w komedyjce *The Man of Destiny*) był ośmieszony wręcz; nad Cezarem w sztuce *Caesar and Cleopatra*, łatwy triumf odnosi smarkata jeszcze wietrznica, z domu Ptolemejów; zaś w traktowaniu Dziewicy zwykłych u Shawa drwin niema zupełnie. Bohaterska jej postać tak natchnęła siwowłosego kpiarza, że stworzył dzieło o nawskroś podniosłym, jednolicie heroicznym nastroju, i mimo tej tak niezwykłej dla swego talentu weny, dokonał

---

[1] Pisałem o tej przedmowie w miesięczniku „Myśl Narodowa" (Petrograd, 1917) w artykule p. t. „Bernard Shaw rzecznikiem chrześcijaństwa".

wielkiego czynu artystycznego. Dramat historyczny, z długiemi dyskusjami treści religijnej, — a więc w pojęciu przeciętnego dzisiejszego widza teatralnego utwór z góry osądzony jako „piła" — w przeciągu roku obiegł zwycięsko większe sceny europejskie[1], a w Londynie w znakomitej interpretacji Sybilli Thorndike, najszlachetniejszej dziś artystki tragicznej w Anglji, „Joanna" już przez rok z górą nie schodziła z afisza.

2.

Shaw przedstawił Joannę, jak to sam określa, jako średniowieczną poprzedniczkę dwóch wielkich zjawisk świata nowoczesnego, — mianowicie protestantyzmu i nacjonalizmu.

Co do nacjonalizmu, sprawa jest jasna i bezsporna. Dziewica jest istotnie jednem z pierwszych wcieleń idei narodowej jedności Francji, i najzupełniej słusznie prawy odłam dzisiejszych nacjonalistów francuskich czyni z niej swą bohaterkę sztandarową. W dramacie Shawa Joanna, przeciwstawiając się feudalnej dzielnicowości średniowiecznej Francji, czyni to samo co naprawdę czyniła w historji, tylko że my dziś w świetle późniejszych wypadków dziejowych jaśniej rozumiemy, do czego te czyny zdążały, i umiemy ich tendencję nazwać po imieniu naszą nowoczesną terminologją. W dramacie biskup diecezji Beauvais, monseigneur Cauchon, i wódz angielski Ryszard Beauchamp, hrabia Warwick, roztrząsając między sobą w rozmowie sprawę Dziewicy, anachronicznie używają dzisiejszej nazwy „nacjonalizm" na określenie politycznej strony jej herezji, t. j. jej anty-feudalnych poglądów, godzących w uprzywilejowane stanowisko arystokracji zarówno duchowej jak i świeckiej w świecie średniowiecznym. Hrabia Warwick głównie z tego względu uważa ją za niebezpieczną, a biskup podnosi przeciwieństwo między nową doktryną nacjonalizmu a kosmopolitycznym internacjonalizmem Kościoła katolickiego.

Ci sami dwaj dygnitarze, również wyrazem próbnym i nowym, który *ad hoc* tworzą, bo go jeszcze w tym świecie XV stulecia niema, nazywają Joannę „protestantką". Warwick,

---

[1] U nas, jak wiadomo, ukazał się w Warszawie i w Krakowie, a niedawno wyszedł także drukiem w przekładzie p. Florjana Sobieniowskiego, obejmującym także przedmowę (Warszawa, 1925, Wacław Czarski i S-ka. Bibljoteka angielska, tom 2).

wprowadzając ten nowy termin do rozmowy, najzwięźlej wyjaśnia, o co chodzi: postawa Joanny, to protest duszy jednostki przeciwko pośrednictwu „kapłana czy pana“ *(priest or peer)* w stosunku między pojedyńczym człowiekiem a jego Bogiem. Określenie i pojęcie podejmuje w przedmowie sam autor. Dla niego Joanna stoi na tej samej linji rozwoju dziejowego co spalony niedługo przed nią Jan Hus lub jego angielski poprzednik Wycliffe, którego tylko litościwa śmierć naturalna od podobnego losu uchroniła.

3.

Tu już katolik zgodzić się nie będzie mógł. Jeżeli protestantem nazwiemy każdego mistyka, który miał głęboką osobistą religję i dążył ku Bogu, to historja protestantyzmu zaczynałaby się bardzo wcześnie i musiałaby obejmować wielu z największych świętych kościoła katolickiego.

Shaw oczywiście nie popełnia tej niedorzeczności, by chcieć ich wszystkich anektować dla społeczności religijnej protestanckiej, ani Joanny samej tak anektować nie chce. Używając terminu, który w zwykłem zastosowaniu kojarzy się specyficznie z określoną grupą wyznaniową, chce przezeń wyrazić ten ogólniejszy — i według jego poglądu stały i konieczny — fakt, że jednostki o szczególnie wzniosłej moralności osobistej i szczególnie intensywnem natchnieniu religijnem muszą wchodzić w konflikt z dogmatycznym autorytetem i hierarchiczną organizacją kościoła jako instytucji społecznej, obliczonej na bierność szerokiej masy ludzi przeciętnych. W tym sensie słowa „protestantem“ zjawiskiem dla powag kościelnych kłopotliwem — był nawet św. Franciszek z Asyżu, o którym Shaw powiada, że niewiadomo czy z punktu widzenia współczesnego kościoła był heretykiem czy świętym i że jak Wycliffe, byłby doczekał się stosu, gdyby żył dłużej. Kanonizacja Joanny była pięknym i szlachetnym gestem kościoła, ale jej spalenie według tego zapatrywania było logicznym i konsekwentnym aktem polityki kościelnej. Ze śmiałością, której mu nigdy nie brak, Shaw i w dramacie samym i w przedmowie usprawiedliwia sędziów Joanny i przedstawia proces przeciwko niej jako przeprowadzony zupełnie zgodnie z wymaganiami prawa i sumienia. Niema w tej tragedji „czarnych charakterów“, coby ją przyprawiały o zgubę, i w tym względzie Shaw z całą stanowczością przeciwstawia się traktowaniu historji Joanny przez amerykań-

skiego humorystę M a r k a T w a i n a, w jego nawskroś zresztą poważnej i pełnej czci dla Dziewicy książce *Personal Recollections of Joan of Arc*, w której Twain gwałtownie potępia tych duchownych katolickich, co Joannę na śmierć skazali.

4.

Jeżeliby jednak uogólnienie autora było słuszne, jeżeli rzeczywiście święty, chociaż później przez kościół uczczony, dla kościoła swego własnego wieku musi być koniecznie jednostką, wyłamującą się z karbów dyscypliny kościelnej, buntownikiem i heretykiem, to wynikałby stąd logiczny wniosek, że organizacja kościoła jest wadliwą, skoro najlepsze i najcenniejsze jednostki w niej się zmieścić nie mogą. Nie cofa się i przed tym wnioskiem Shaw: wypowiada jako swoje zdanie, że można być przeciwnikiem ustroju kościelnego (czyli „antyklerykałem"), a przytem jednak człowiekiem religijnym (czyli „dobrym katolikiem"): takim byli i wielcy reformatorzy wśród papieży i założyciele zakonów żebraczych w średnich wiekach i nawet Jezuici: wszyscy na swój sposób walczyli z wadami maszynerji organizacyjnej kościoła. Idąc dalej, oświadcza Shaw, że katolicyzm nie jest dość „katolicki" czyli wszechobejmujący, że kościół, w którym niema miejsca dla jednostki samodzielnie myślącej w sprawach religijnych, niema przyszłości w warunkach kultury nowoczesnej, bo sam stawia naukę na stopie antagonizmu z teologją i współzawodnictwa z nią o dusze ludzkie.

Te wywody na korzyść liberalizmu w kościele doznały niespodzianego potwierdzenia ze strony jakiegoś księdza katolickiego w postaci listu, który Shaw od niego po wystawieniu sztuki otrzymał, i na który się powołuje, jako na doskonałe ujęcie własnych swych poglądów. „Widzę w tem dziele" — tak pisał ów ksiądz — „obraz dramatyczny zatargu między władzą królewską, kapłańską i wieszczą, który zgładził Joannę. Według mnie zwycięstwo jednej z tych władz nad innemi nie przyniesie pokoju i panowania świętych w Królestwie Bożem: sprawić to może jedynie ich owocne współdziałanie, niemożliwe bez kosztownego, lecz zarazem wzniosłego stanu naprężenia i napięcia sił".

W sposób, pokrewny rozumowaniom modernistów katolickich, wysnuwał tedy Shaw z nieuchronności konfliktu między wybitną jednostką w kościele a organizacją kościelną kon-

kluzję o potrzebie odpowiedniego rozszerzenia i zreformowania tej organizacji, by w niej takie wybitne jednostki swobodnie oddychać i działać mogły.

5.

Ale zastanawiając się głębiej nad tem zagadnieniem, rozszerzając i uogólniając je na wszelkie w świecie konieczne konflikty między znakomitemi jednostkami a zorganizowanemi instytucjami, tak bystry myśliciel jak Shaw nie mógł nie dojść do dalszego wniosku, który się równa opuszczeniu zajętego poprzednio stanowiska. Taka mianowicie liberalna reforma kościoła, któraby dawała możliwość zupełnie swobodnego działania w jego ramach jednostkom niepospolitym, jest w praktyce niemożliwa, taksamo w kościele jak i w każdym innym ustalonym ustroju prawnym, boby godziła w samą stałość jego podstaw.

Już w kilka stronic po owym postulacie rozszerzenia ścian kościoła dla zmieszczenia w nim jednostek wolnomyślnych, autor ze smutkiem widzi się zmuszonym zawrócić do tezy tylokrotnie przez kościół powtarzanej, tak beznadziejnie brzmiącej w uszach każdego modernisty, że „w rzeczach wiary niema tolerancji".

„Musimy", powiada Shaw, „spojrzeć w oczy faktowi, że wszelki ład społeczny na nietolerancji się opiera". I znowu: „Możemy paplać o tolerancji dowoli, lecz społeczeństwo musi z konieczności zawsze przeprowadzać linję graniczną między postępowaniem uprawnionem i niepoczytalnością lub zbrodnią, mimo narażania się na to, że mylnie uzna mędrców za obłąkanych, a zbawców za bluźnierców". Kościół taksamo musi bezwzględnie tępić wszelką herezję, choćby najwznioślejszą, jak dziś władze sanitarne muszą zwalczać opór przeciw zarządzeniom higjenicznym, choćby one były wartości spornej, albo władze oświatowe muszą zwalczać opór przeciw posyłaniu dzieci do szkoły, choćby ta szkoła nie była wcale idealną.

Tragedja Joanny nie była omyłką średniowiecznej sprawiedliwości kościelnej, lecz była rzeczą nieuniknioną niezależnie od epoki. Taksamo jak Joanna w wieku XV, zginąć musiała w wieku XX angielska siostra miłosierdzia Edyta Cavell, rozstrzelana w czasie wojny światowej w Brukseli z wyroku niemieckiego sądu wojennego za to, że pomagała jeńcom angielskim do ucieczki z niewoli. Jak herezją w oczach sędziów du-

chownych musiał być osobisty stosunek Joanny do Boga, tak herezją w oczach nietylko pruskich sędziów wojskowych, lecz wszystkich zarówno stron wojujących, były w czasie wojny światowej te przedśmiertne słowa Edyty Cavell, które dopiero w kilka lat po zawarciu pokoju, i to po przewlekłych zasadniczych sporach, odważono się wyryć na jej pomniku w Londynie, — słowa: „Patrjotyzm, to nie dosyć: nie wolno mi żywić nienawiści ani złości przeciw nikomu".

Z rozmyślań nad straceniem Joanny d'Arc wychodzimy więc nie z nadzieją, że w przyszłym, doskonalszym ustroju społecznym takie wypadki będą niemożliwe, lecz tylko z tą słabszą pociechą, którą Shaw ujął w wyrazy następujące: „Prześladowanie, nawet śmierć, jest koniecznością nieuniknioną. Dla złagodzenia niebezpieczeństw, połączonych z prześladowaniem, posiadamy dwa środki. Po pierwsze, winniśmy być bardzo ostrożni co do przedmiotu prześladowania; powtóre, powinniśmy pamiętać, że bez szerokiej swobody wstrząsania pojęciami ludzi konwencjonalnych, tudzież bez świadomego i rozumnego poczucia wartości społecznej oryginalności a nawet dziwactwa, skażemy się sami na zastój, zakrywający przed nami tłumienie sił ewolucyjnych, które ostatecznie wybuchną z niezwykłą i prawdopodobnie niszczycielską gwałtownością".

6.

Jako nieunikniona tragedja konfliktu między osobistością genjalną a ładem społecznym przedstawia się tedy historja Joanny d'Arc w tej jej najnowszej interpretacji, o ile chodzi o stronę społeczną i prawną problemu.

Ale obok społecznej i prawnej temat ma przecież także stronę m i s t y c z n ą. Joanna była w dosłownem znaczeniu starego greckiego wyrazu „entuzjastką" — siedział w niej jakiś bóg czy demon, który ją opętał szałem natchnienia. Widziała osoby święte — św. Katarzynę, św. Małgorzatę, św. Michała — i rozmawiała z niemi; słyszała głosy, które jej dyktowały, co ma robić.

Z ciekawością zapytujemy się, jakie stanowisko zajmie Shaw wobec tej legendarnej aureoli, jaką sama bohaterka się otoczyła.

S h a k e s p e a r e — czy ktokolwiek inny napisał „Pierwszą Część Henryka VI", — zrazu pociągnięty heroicznym urokiem postaci, w końcu wobec szowinizmu narodowego i pro-

testanckich dogmatów angielskiej publiczności teatralnej nie znalazł innego wyjścia, jak przedstawić Joannę jako istotę we władzy złych duchów.

Jeszcze bardziej w oczach nowoczesnego człowieka uznał za potrzebne poniżyć jej majestat arcymistrz racjonalizmu w literaturze naszych czasów — Anatole France: przedstawił ją w obszernej monografji historycznej, jako dziewczynę nierozwiniętą fizycznie i nienormalną umysłowo, pozbawioną zdolności wojskowych i politycznych, inspirowaną przez kler z jednej strony, a wyzyskującą strategiczny talent mężów swego otoczenia z drugiej. Do obrony Dziewicy po rycersku porwał się szkocki uczony Andrew Lang w swej pięknej książce *The Maid of France*. Ale nie możemy się spodziewać, by szlakami jego romantycznego zapału poszedł ten wytrawny i bezlitosny burzyciel bożyszcz historycznych i ideowych, jakim jest Bernard Shaw. Wiemy już przecież ze wspomnianej jego przedmowy do „Androklesa i lwa“, że w Nowym Testamencie tylko nauki moralne obudziły oddźwięk w jego duszy, a metafizyka i teologja, mistyka i cudowność pozostały mu obce.

Joanna d'Arc jednak całkowicie podbiła starego pisarza swym urokiem. Ma dla niej szczery i żadnemi wątpliwościami nie zamącony podziw. Jakże więc załatwia się z trudnem zagadnieniem jej nadziemskich widzeń i natchnień? By to uczynić, Shaw przypomniał sobie, że żyje w epoce Henryka Bergsona. W duchu jego intuicjonizmu uderza frontowym atakiem w samoubóstwienie nowoczesnego racjonalizmu. Dowodzi, że średniowieczne wierzenia, wśród których wzrosła Joanna, i któremi żył cały otaczający ją świat, nie były ani trochę mniej cudowne i mistyczne od wielu tych tłumaczeń przyrody, z któremi nas oswoiła dzisiejsza nauka.

„Dlaczego ludzie wierzący w elektrony, mają się uważać za mniej łatwowiernych od tych, którzy wierzyli w aniołów“? Tak samo co do praktyk: chrzest i komunja święta, nie są w oczach Shawa ani o jotę mniej uzasadnione rozumowo, jak szczepienie ospy (którego jest zawziętym przeciwnikiem!) albo wprowadzenie do organizmu różnych ekstraktów z gruczołów w ciele małpy. A opowiadać dzieciom o zwiastowaniu anielskiem zawsze może lepiej, niż modnym dziś sposobem freudystów wywlekać z nich przez psychoanalizę różne podświadome sekrety erotyczne ich natury. W takich zestawieniach średniowiecza z dniem dzisiejszym Shaw najbardziej się zbliża do tak

odmiennego odeń skądinąd drugiego świetnego pisarza dzisiejszej Anglji — do Chestertona i do tej donkiszoterji, z jaką Chesterton na Rosynancie swego dowcipu wciąż harcuje w obronie zdrowego rozumu średnich wieków przeciw różnym pseudonaukowym zabobonom naszych ultra-oświeconych czasów.

7.

Ale nie tylko przez te zestawienia koncepcyj średniowiecznych z dzisiejszemi windykuje Shaw genjusz Joanny przeciw zarzutom, że ulegał obskuranckim zabobonom i egzaltowanym halucynacjom. Zestawia także ze sobą same genjusze i ich sposoby twórcze. Stwierdza (jak to dziś jest powszechnie uznane), że w wielkiem odkryciu naukowem wybitny, twórczy udział ma wyobraźnia — większy może udział od analitycznego rozumu. Newton wielką myśl grawitacji niewątpliwie powziął ostatecznie przez wysiłek imaginacji. Dla Sokratesa wielkie jego natchnienia etyczne nabierały głosu, jako d a j m o n j o n, przemawiając do niego zupełnie jak do Joanny jej święci. Widzenia miewał i Luter, ten *heros eponymos* protestantyzmu. Napoleonowi genjalne pomysły jego strategji ruchów po „linji wewnętrznej" przychodziły jako błyskawice intuicji, taksamo jak Joannie dyktowane przez świętych plany odsieczy Orléans czy koronacji delfina w Rheims.

Jeżeli więc Joanna była fenomenem patologicznym, jakim ją chciał uczynić Anatole France, to patologicznemi zjawiskami taksamo byli wszyscy wymienieni wielcy ludzie, i jeszcze wielu innych. Jeżeli jej widzenia były zabobonnym obłędem, to nie mniej obłąkane od niej były całe średnie wieki od św. Tomasza z Akwinu do Dantego, od bohaterów wojen krzyżowych do świętych pustelników i mnichów.

Z tem wszystkiem jednak niezmienionym pozostaje fakt osobliwej formy natchnień Joanny, ich wizjonerski charakter. Jeżeli nie była anormalną w znaczeniu chorobliwem, to niewątpliwie nie była Joanna normalną w znaczeniu przeciętnej równowagi władz umysłowych. Na front wśród nich wybiła się u niej zdolność imaginacyjnego widzenia: miała, jak to według psychologa Galtona określa Shaw, umysłowość typu „wizualnego", miała „dramatyczną imaginację". W tym kierunku jej psychika odbiegała od psychiki ludzi pospolitych, to była linja, po której jej genjusz zbliżał się do obłędu, jak zresztą doń się zbliża tak czy owak każdy genjusz.

8.

Ale to był jedyny objaw, który zdaniem Bernarda Shaw u Joanny za pokrewny zjawiskom chorobliwym uznać można. Pozatem górującą tendencją w tym najnowszym literackim obrazie Joanny jest staranie o przedstawienie jej jako istoty nawskroś zdrowej i realnej.

Prawda, musimy przyjąć jako dany i niezmienny fakt podstawowy jej zasadniczą skłonność do prowadzenia życia na sposób mężczyzny, a w szczególności do żołnierki. Takich kobiet we wszystkich epokach było dość, i wojna światowa naszych czasów pomnożyła ich galerję licznemi przykładami: wspominany rosyjski kobiecy bataljon Boczkarowej, pamiętamy takie jednostki i z armji polskiej.

„Kobiety", dodaje Shaw (korzystając z okazji do rzucenia dowcipnego paradoksu), „tylko dlatego nie są ogólnie powoływane do służby wojskowej, że społeczeństwa nie mogą się obejść bez wielkiej ilości kobiet. Mężczyzn potrzeba mniej, i dlatego łatwiej się ich poświęca".

Powróćmy jednak od tych żartów do poważnej myśli przewodniej. Jeżeli tedy przyjmiemy męskie skłonności Joanny jako właściwość podstawową jej usposobienia, wszystko inne tłumaczy się w sposób zupełnie naturalny. Nie potrzebujemy wtedy z przerafinowaniem niektórych nowoczesnych krytyków dopatrywać się jakiejś specyficznej perwersji w uporze, z jakim Joanna ubiera się zawsze po męsku i obstaje przy osobistym swym udziale we wszystkich przedsięwzięciach wojskowych. Shaw każe jej nawet (w scenie III) zupełnie po kobiecemu stchórzyć i płakać w pierwszej bitwie: dopiero świeżo nawrócony przez nią samą Dunois, bastard Orleanu, później najwierniejszy jej towarzysz broni, przez swą wiarę w jej nadziemskie powołanie dodaje jej otuchy. Z uśmiechem także rejestruje autor w zeznaniach Joanny przed trybunałem (scena VI) ten drobny rys próżności i kokieterji kobiecej, że jak sama powiada „wystroiła się jak głupia do bitwy w swój kubrak złotem szyty", i przez to dostała się do niewoli.

O ile w ten sposób z jednej strony autor nie dał swej Joannie popaść w karykaturalną i niekobiecą afektację męskości na sposób nowoczesnych feministek, o tyle z drugiej strony w swem realistycznem nawskróś traktowaniu postaci obszedł się bez tych romantycznych ornamentów, jakiemi niektórzy

z nowoczesnych pisarzy obdarzyli Joannę, przypisując jej niezwykłą piękność i momenty uczucia miłosnego. Joanna u Bernarda Shaw, zgodnie z autentyczną tradycją dziejową, celuje raczej zdrową siłą fizyczną niż urodą — podobnie jak Dziewica na obrazie Matejki, a co się tyczy spraw miłosnych, oświadcza trzeźwo i prawie oschle (w scenie III): „Za mąż nigdy nie wyjdę. Był ci chłop jeden, co się ze mną o słowo złamane prawował: przegrał, bom mu żadnego słowa nie dawała. Ja żołnierz jestem, niewiasty we mnie nie szukać. Ja szat niewieścich już nie przyodzieję. Za nic mi wiano, za nic kochanie. Mój sen to atak na wroga i dział burzących rychtunek".

9.

W jaskrawem przeciwieństwie staje tutaj Shaw do tego ze swoich poprzedników, którego najwłaściwiej porównać z nim można, bo on jeden dotąd uczynił był Joannę bohaterką dramatu w wielkim stylu, z Schillerem.

Dla jego Dziewicy Orleańskiej wszakże tragiczną perypetją losów staje się chwila, w której ulega uczuciu miłości i przez to sprzeniewierza się swej misji. Shaw z żadnym z dawniejszych literackich portretów Joanny tak ostro się nie obchodzi jak ze szlachetną tragedją wieszcza niemieckiego. Powiada, że tu Dziewica Orleańska „jest utopiona w kotle czarodziejskim rozszalałego romantyzmu", że schillerowska Joanna „nie ma ani jednego punktu stycznego z Joanną historyczną i wogóle z żadną śmiertelną kobietą, co kiedykolwiek chodziła po ziemi". Dorzuca jeszcze później wzgardliwe słowa „te romantyczne androny" *(romantic nonsense).* Te niesprawiedliwości wobec wzniosłego poematu dramatycznego Schillera doskonale ilustrują głęboką różnicę, jaka panuje między umysłowością, bądź co bądź (mimo irlandzkiego pochodzenia) rdzennie anglosaską, Shawa a typowo niemiecką psychiką Schillera, nawet gdy oba twórcze umysły jednym zajęte są przedmiotem i z jednakowym do niego odnoszą się zapałem.

Schiller istotnie owiał przedmiot swem niemieckiem *Gemüt* i romantycznym sentymentem. Zaś Joanna Bernarda Shaw nawskróś i konsekwentnie jest trzeźwą, realnie rozumującą córką zasobnego francuskiego chłopa — nie jest niczem innem, jak tą właśnie *la bonne Lorraine,* która u najbliższego jej datą poety, co o niej śpiewa, Franciszka Vil-

l o n a tak dosadnie przez to realistyczne określenie się odcina w fantastycznym korowodzie na wpół lub całkowicie legendarnych imion *des belles dames du temps jadis.*

Schiller z sensacyjnym romantycznym efektem zużytkował cudowny skok Joanny z wysokiej wieży. Shaw tego motywu nie przemilczał, ale zaznacza, że Joanna, choć cudem uszła bez szwanku, żałowała później tego szaleństwa i oświadczyła, że postąpiła w tym wypadku wbrew wyraźnemu zakazowi św. Katarzyny. Od samobójczej egzaltacji szukania śmierci i męczeństwa Dziewica w tem przedstawieniu jej losów zupełnie jest wolną. Jeżeli w bitwach zuchwale się narażała na niebezpieczeństwo, toć czynili taksamo dla prestiżu wielcy wodzowie, jak Nelson, co wśród gradu kul chodził po pomoście swego okrętu admiralskiego w całym blasku swych orderów; a nikt go przecież o manję samobójczą nie posądził.

Jeżeli wreszcie Joanna w ostatniej chwili, wykupiwszy się od śmierci na stosie przez podpisanie odwołania, na wiadomość o zamianie kary na dożywotnie uwięzienie rozdziera ten papier i świadomie wybiera straszliwe męki spalenia, to i ten krok Shaw tłumaczy realnym rozumowaniem twardej chłopskiej natury, że lepsza doraźna śmierć, choć najstraszniejsza, niż długoletnie konanie wśród okropności średniowiecznego lochu. Tu już ktoś, co sam rzeczywiście stał, powiedzmy, wobec perspektywy albo rozstrzelania albo bezterminowego więzienia w tiurmie bolszewickiej, nie zgodzi się chyba z autorem, że wybór natychmiastowej śmierci mógł być podyktowany przez rozwagę. Raczej w tym momencie chyba Joanna się nam wydać musi „szaleństwem krzyża szalona", — szczytnym szałem tchną zresztą jej uniesione słowa w tej scenie w samym dramacie, w przeciwieństwie do dowodzeń pisanej *ex post* przedmowy.

Oto ostatnie w dramacie słowa Joanny za życia: „Boże drogi — nie wasze. Przez ogień iść mi każe ku Sobie. Stań się wola Jego, bom ja Jego dziecię, a wyście niegodni, bym wpośród was żyła. To dla was ostatnie słowa moje".

Tu już przemawia czystym, nieziemskim głosem samo mistyczne ukochanie śmierci.

10.

Na ogół atoli przedmowa jest w zgodzie z samem dziełem, i bohatersko-poetycki przedmiot dziejowy istotnie traktowany

jest trzeźwo i realistycznie. Przy takiem traktowaniu Shaw mógł pozwolić sobie na drogą sercu angielskiemu okrasę h u m o r u, której we wzniosłym dramacie Schillera (jak zresztą w samej jego naturze) niema ani śladu. Nietylko w rolach ubocznych, ale w samej roli Joanny w dziele Shawa humor ma swoje miejsce, jak je ma w dramatach królewskich Shakespeara. Szczególnie błyszczy nim Dziewica na samym początku, w scenie pierwszej, gdy przybywszy prosto ze wsi na zamek Vaucouleurs, dziedzica jego swą prostą, nieustraszoną a sprytną chłopską dialektyką w kozi róg zapędza, i oszołomionego do wiary w swe boskie posłannictwo doprowadza. Na każdy jego zarzut ma gotową niechybną odpowiedź, nawet w najtrudniejszej ze wszystkich sprawie głosów niebiańskich, które do niej mówią. Wywiązuje się taki dialog:

Joanna: „Słyszę głosy, które mi mówią co czynić. Te głosy pochodzą od Boga".

Dziedzic: „Pochodzą z twojej wyobraźni".

Joanna (niewzruszona): „Oczywiście. Przecież tą drogą zawsze posłannictwa od Boga do nas dochodzą".

„Szach-mat!" woła na to ucieszony pan de Poulengy (nawrócony już przedtem), i istotnie dziedzic jest splantowany przez wymowę tej dziewuchy wiejskiej. Nadobitek dzieje się dla urozmaicenia mały cud: kury dworskie, co zastrejkowały, po bytności Joanny zaczynają znowu znosić jaja, co pana zamku ostatecznie przekonywa do bohaterki.

Wprowadzając w ten sposób do swego dzieła element humoru, Shaw spotkał się przytem z jednym jeszcze swym poprzednikiem, i to jednym z najdostojniejszych. Wszakże V o l t a i r e, z tematu Dziewicy Orleańskiej zrobił osławioną burleskę epicką *La Pucelle,* której poczytność europejska była tak powszechna, że i nasz Mickiewicz w młodości nie pożałował swego talentu na tłumaczenie jej pierwszej księgi pod znanym tytułem „D a r c z a n k a". Poemat Voltaira Shaw wyklucza odrazu z dyskusji nad utworami traktującemi o Dziewicy, jako pamflet przeciw kościołowi i innym instytucjom, które Voltaire zwalczał w swojej własnej epoce, nie zaś atak na cześć Dziewicy. O zohydzenie jej samej Voltairowi właściwie nie chodziło, i rzeczywiście obszedł się z nią stosunkowo łagodniej niż z innemi figurami poematu, zaś awanturnicza treść utworu jest tak groteskowo-fantastyczna, że o zestawieniu jej z historją na serjo mowy być nie może.

II.

Ale jeżeli siła komiczna voltairowskiej „Darczanki“ płynie głównie z szalonych anachronizmów, to zaznaczyć trzeba, że i w dziele Bernarda Shaw najsilniejsze humorystyczne efekty na świadomych anachronizmach są zbudowane. Orgją takich anachronizmów jest rola kapelana Jana de Stogumber, który jest zwiastunem nowoczesnego nacjonalizmu angielskiego, taksamo jak Joanna jest pierwszą bohaterką francuskiego. W roli tego Anglika Shaw poprostu puścił wodzę swym satyrycznym skłonnościom i nakreślił jedną więcej karykaturę wyspiarskiej arogancji angielskich szowinistów, jak to już uczynił w niejednej ze swych komedyj, głównie w „Drugiej wyspie John Bulla“, gdzie skontrastował Anglików i Irlandczyków. Ksiądz Stogumber popełnia takie kapitalne aforyzmy jak ten: „Jakoż godzi się herezją mienić to, w co Anglik wierzy?“ — albo to naiwne wyznanie imperjalistycznej wiary: „Oczywista rzecz, że Anglja dla Anglików; toć proste prawo przyrodzenia. Aliści niewiasta ona odmawia Anglji jej uprawnionych zdobyczy, danych jej przez Boga dzięki sprawności, z jaką rządzą mniej oświeconemi plemionami dla ich dobra“. (Sc. 4). Najlepiej może udaje mu się w scenie sądu wybuch oburzenia na heretyczkę Joannę za to, że twierdzi, iż osoby świętych, które widziała, mówią do niej po francusku; a przecież jego zdaniem oczywiście powinny były mówić po angielsku! Na to inkwizytor powiada: „Ha, mnie się widzi, że skorośmy tu uznali zgodnie, iż te głosy Dziewicy są głosami duchów nieczystych, kuszących ją na drogę potępienia, nie byłoby zbyt pochlebnem ani dla was, mistrzu de Stogumber, ani dla króla waszego, przyjmować za rzecz pewną, że przyrodzoną mową piekieł jest angielszczyzna“.

Tem potężniej po takich żartach działa na nas potem ponowne pojawienie się tego samego księdza de Stogumber, pełnego rozpaczliwej skruchy i nawet zwichniętego na umyśle na całą resztę życia pod wrażeniem straszliwego widowiska spalenia Joanny. Ale i to z kolei jest właściwie anachronizmem: bo i przecież widok takiego męczeństwa nie mógł dla kapelana przy kardynale winchesterskim w XV wieku być czemś tak wstrząsająco nowem i niezwykłem.

12.

W każdym razie w roli Stogumbera dowcip autora jaśnieje całym swoim dawnym blaskiem. Nie można tego natomiast powiedzieć o nędznej figurze delfina, późniejszego króla Francji, K a r o l a S i ó d m e g o. Przedstawiony jako niesłychanie lichy i marny człowieczek, anemiczny moralnie i fizycznie, jest żałośnie słabą karykaturą zawodowego króla, kreśloną przez doktrynerskiego republikanina. Niema w tym bladym chudzinie ani śladu tej soczystości, którą gdzieindziej celuje satyra Shawa. Jest jakby papierowem świadectwem na to, że idea monarchji w dzisiejszym świecie nawet tyle żywotności już nie ma w sobie, by móc służyć jako przedmiot naprawdę interesującej i aktualnej satyry.

Daleko wyższej jakości humorem, niezmiernie subtelnym, promieniuje jedna z najznakomitszych postaci w utworze — postać wodza angielskiego hrabiego W a r w i c k. Jest to żywa zapowiedź nadchodzącego humanizmu w pośrodku tego średniowiecznego świata. Kontrast między jego humanistyczną umysłowością a średniowieczną psychiką otoczenia wciąż wywołuje najzabawniejsze efekty. Typowy to dyplomata i administrator angielski, pełny najwytworniejszej kurtuazji i najwykwintniejszej kultury, a zarazem stalowo nieugięty, lodowato obojętny, brutalnie bezlitosny zarówno wobec idei jak wobec ludzi, gdy chodzi o rację stanu angielską. Bogate doświadczenie, w służbie publicznej nabyte, czyni go do gruntu cynikiem w sprawach życiowych, do gruntu sceptykiem w sprawach myśli i wiary; ale ten cynizm i ten sceptycyzm pokryty jest nienaganną maską poszanowania dla instytucyj, dla tradycji, dla praw osobistości ludzkiej, dla wymagań przyzwoitości towarzyskiej. Poznajemy go w sytuacji pełnej delikatnego komizmu: w swym namiocie, w obozie, w kulminacyjnym punkcie powodzeń Dziewicy w walkach z Anglikami, jenerał angielski zabawia się oglądaniem kosztownego rękopisu łacińskiego, jednego z tych wspaniałych iluminowanych H o r a r j ó w, które nam pozostawił wiek XIV i XV. Hrabia Warwick wypowiada nad książką typową dla nowoczesnego bibljofila, a najzdrożniejszą w świecie dla średniowiecznego teologa opinję: ubolewa nad tem, że ludzie zamiast patrzyć na takie piękne rękopisy, coraz więcej je czytają! Niemniej zdumiewa w chwilę później biskupa diecezji Beauvais, który przyszedł omówić z nim sytuację, wytworzoną przez

wystąpienie Joanny: sławi wobec niego — Mahometan, których jako pielgrzym na Wschodzie poznał, jako wzór tolerancji religijnej i uprzejmości towarzyskiej.

„Jestem żołnierzem, a nie duchownym. W pielgrzymkach moich poznałem nieco Mahometan, i przekonałem się naocznie, że nie takie to dzikusy, jakimi ich chce mieć wroga im fama. W porównaniu z nami pod niejednym względem nacja ich grzeczniejsza...“

I dalej:

„...Jako człowiek bywały w świecie, świadom jestem głębokiego respektu, żywionego dla Zbawiciela naszego przez Mahometan, którzy pochopniejsi są wybaczyć świętemu Piotrowi ubogi stan rybaka, aniżeli wasza dostojność Mahometowi jego zawód poganiacza wielbłądów“.

Ściera się Warwick niebawem z tym biskupem, a potem z całym trybunałem inkwizycyjnym, przeciwstawiając ich subtelnościom teologicznym prosty pogląd, że Joannę trzeba zgładzić jako szkodnika politycznego. Objawia przytem wprost przerażającą dla dostojników duchownych obojętność wobec kościelno-religijnej strony sprawy: jego obchodzi Joanna tylko jako buntowniczka przeciwko arystokratyczno-feudalnemu porządkowi średniowiecznego świata, jako rodzaj średniowiecznej bolszewiczki. Oświadcza wręcz sądowi duchownemu:

„Nie podzielamy my wcale waszego zbożnego pragnienia ocalenia Dziewicy. Prawdę mówiąc, muszę wam teraz powiedzieć poprostu, że jej śmierć jest koniecznością polityczną, nad którą szczerze ubolewam, której jednak zapobiec nie jest w mojej mocy“.

Tu najwyraźniejszym głosem przemawia nawskróś świecka filozofja państwowa rodzącego się świata renesansowego, oparta na pogańskiej mądrości klasyków starożytnych. Kłania się zdaleka Machiavelli!

Na przykrą konieczność polityczną raz jeszcze się powołuje hrabia Warwick wobec Dziewicy samej, przepraszając ją w najwyszukańszych wyrazach w tem pośmiertnem spotkaniu, w którem autor ją raz jeszcze sztucznie z głównemi osobami dramatu sprowadził, i którem teraz w końcu nam jeszcze zająć się wypadnie.

13.

To walne zebranie osób akcji w fantastycznym e p i l o g u jest najbardziej zdumiewającym pomysłem w tem niepospoli-

tem dziele. Przez cały swój dramat autor stąpał uporczywie po twardym gruncie realizmu, unikając na ogół zarówno mistycznych wzlotów jak romantycznych upiększeń i anachronicznych dygresyj w dziedzinę myśli nowoczesnej. Teraz nagle grunt realny opuszcza, i w sypialni króla Karola Siódmego, w ćwierć wieku po spaleniu Joanny, z okazji rewizji jej procesu, i ogłoszenia jej niewinności, gromadzi korowód widziadeł sennych, — widma umarłych i widma żyjących jeszcze uczestników sprawy. Co więcej, wiek XX ociera się o wiek XV, dowiadujemy się o dalszych dziejach jej sławy, ukazują się cienie jej nowoczesnych pomników na ziemi francuskiej, nawet jej posąg w anglikańskiej katedrze w Winchester. Zjawia się wśród postaci średniowiecznych wysłannik z Rzymu w cylindrze i żakiecie, zwiastujący jej kanonizację w roku 1920. Wita go śmiech zgromadzonych duchów: one uważają jego strój, on uważa ich ubiór za kostjum zabawy maskowej.

Wszystko to, przedstawione w teatrze, ostrym zgrzytem dyssonansu artystycznego wdziera się w duszę słuchacza po skrupulatnie realistycznym stylu tragedji. Skłonni jesteśmy w pierwszej chwili potępić w imię estetyki dramatu ten dziwaczny końcowy wybryk fantazji.

A jednak Shaw ma słuszność, stwierdzając stanowczo w przedmowie wbrew głosom krytycznym, że „epilog musi zostać". Musi zostać, bo jest kwintesencją myśli autora o wielkim problemie stosunku między jednostką świętą a społeczeństwem: wyciąga wyraźny bilans moralny ze sztuki dla tych, coby go sami z jej scen nigdy tak jasno nie wyczytali.

Bilans to gorzki i głębokiem przejmujący nas wzruszeniem. Najrzewniejszą rolę w epilogu odgrywa, i najwięcej uczucia w samym świetlanym duchu Joanny budzi postać niepokaźna, nikczemnej kondycji, rubasznym tchnąca humorem: to ten szeregowiec z eskorty angielskiej, który kiedyś tknięty litością podał jej, idącej na stracenie, prosty krzyżyk, zrobiony z dwóch patyków. Żołnierz dostał się po śmierci do piekła, na które swojemi sprawkami na wojnach francuskich zapewne rzetelnie zasłużył. Ale jeden dzień rocznie ma urlopu z piekła za ów jedyny litościwy czyn swego życia. Joannę przerażeniem i rozpaczą napełnia myśl, że jedyny człowiek, co litował się nad nią, skazany jest na męki wiekuiste. On ją dobrodusznie uspokaja, nie takie to straszne męki, gorszych on zaznał. Jakto, gorszych od piekła? A jużci: piętnaście lat służby na wojnie we Francji! po tem to się „maszerowało do piekła jak na odpust".

Nie znam w całej literaturze powojennej bardziej wstrząsającego wyrazu okropności prawdziwej wojny!

Biedny żołnierz z uderzeniem dwunastej odchodzić musi z żołnierską punktualnością, tłumacząc się uprzejmie, że „służba nie drużba“, rusza z powrotem do piekła.

Ale nie on jeden Joannę opuszcza. Właśnie on, ten gad ludzki, uszlachetniony przez jeden dobry uczynek, ostatni od jej boku odchodzi. Już przedtem opuściły ją cienie wszystkich tych dygnitarzy kościelnych i świeckich, co przed chwilą jeszcze, klęcząc kornie w koło, kolejno jej hołdowali. Spłoszył ich wszystkich jeden jej ekstatyczny okrzyk: „Zali mam zmartwychpowstać i na świat wrócić niewiastą żywą?“

14.

Tej możności wszyscy się ulękli, przed nią wszyscy się cofają. Okazuje się, że dla każdego z nich, co ją teraz wielbi, od króla do kata, śmierć jej była dogodną z tego czy owego powodu, była potrzebną, była jedynem możliwem rozwiązaniem trudnego zagadnienia. Każdemu jej ponowne zjawienie się na ziemi sprawiłoby ciężki kłopot. Nawet zwiastun kanonizacji rzymskiej z r. 1920 stwierdza, że „możliwości zmartwychpowstania nie brano w rachubę podczas procesu kanonizacyjnego“, i że „musi wrócić do Rzymu po dalsze instrukcje“. Wszyscy zaambarasowani, znikają szybko jeden po drugim. Wokoło Joanny pozostaje pustka. Pustka taka powstała wokoło niej już raz w dramacie, w scenie piątej, gdy stanąwszy u szczytu powodzeń, doprowadziwszy swego królewicza do koronacji w Rheims, ujrzała się głęboko niezrozumianą przez całe swe dostojne otoczenie, i po gwałtownej rozprawie z arcybiskupem sama odeszła z grona dygnitarzy z bolesnemi słowy na ustach: „Pójdę ja teraz między lud prostaczy, by pocieszenie znaleźć w miłości, co mu z oczu tak świeci jak zawiść z waszych. Ujrzeć mnie na stosie, to waszych oczu radość! Jeśli mi jednak iść przez ogień, przez ogień pójdę do serc ich na wieki! Byle Bóg był ze mną“.

W Bogu już wtedy szukała Joanna pociechy wobec tej straszliwej samotności, którą nieuchronnie czuła się otoczona:

„Samotna Francja i Bóg jest samotnym! Czemże samotność moja przy samotności Boga i tej ziemi? Samotność Boga, to moc Jego i siła! Czemby się sam On stał gdyby posłuch dał

waszym radom malutkim, zazdrosnym? Tak i mnie siłą będzie samotność moja!".

Teraz na końcu dzieła, duch wielkiej Świętej, samotny znowu, rozpaczliwszym jeszcze głosem woła:

„O Boże, któryś stworzył tę ziemię cudowną, pókiż nam czekać, aż się godną stanie na Świętych Twoich przyjęcie? Pokąd, Panie, pokąd?"

Z tego ostatniego krzyku, jak niegdyś ze straszliwszych jeszcze słów Ukrzyżowanego: „Panie Panie! czemuś mnie opuścił?" — bije cała groza tragicznego osamotnienia jednostki o nadludzkiej strukturze moralnej, cała beznadziejna głębia przeświadczenia, że moralna doskonałość zupełnej samotności równać się musi, że świętość w świecie naszych rzeczywistości ziemskich nigdy nie może być faktem społecznym. Przypomina się nam inny, nowszy obraz tegosamego tragicznego osamotnienia wielkości. Oto sędziwy mędrzec z Jasnej Polany, Lew Tołstoj, wypowiedziawszy do świata tyle rzeczy w swej wzniosłości dziwnych dlań i niepojętych, tyle rzeczy w swej nieziemskości dziwacznych i prawie śmiesznych, w zmierzchu dni swych opuszcza dom własny, by z przedziwnym symbolizmem umrzeć pod przygodnym dachem, na wędrówce. Wspominamy ten przykład obok tylu innych i chylimy czoło ze czcią przed ogromem samotnego cierpienia wszystkich tych wielkich, co światu całemu życiem swem i czynem swym ku lepszemu jutru drogę wskazują, a sami nigdy prostego, ludzkiego szczęścia zaznać nie mogą.

X.

LORD CURZON

(1859—1925).

1.

Jednocząc się na posiedzeniu w dniu 23 marca r. 1925 we wspólnym hołdzie dla zmarłego znakomitego polityka konserwatywnego, przywódcy wszystkich trzech partyj w Parlamencie angielskim zgodnie stwierdzili, że kraj stracił wielkiego męża stanu.

Lord Curzon istotnie był nadewszystko i w każdym calu mężem stanu. Był nim z urodzenia i wychowania w tem znaczeniu, w jakiem jeden tylko dziś na świecie ustrój społeczny angielski mężów stanu hoduje. Przez pochodzenie z arystokratycznej rodziny baronów Scarsdale przeznaczony do karjery politycznej, przysposobiony do niej najpierw w Oxfordzie (gdzie był przewodniczącym sławnego studenckiego klubu dyskusyjnego *Union Society),* potem jako sekretarz prywatny markiza Salisbury, wreszcie jako poseł do Izby Gmin — specjalizuje się wcześnie do tych wielkich zagadnień międzynarodowych, któreześrodkowują się około perły korony brytyjskiej — Indyj. Dalekie podróże i rozległe studja czynią go rychło jednym z najlepszych znawców wszystkich problemów azjatyckich: jego książki *Russia in Central Asia* (1889), *Persia and the Persian Question* (1892) i *Problems of the Far East* (1894) cieszą się zasłużoną powagą, a jeszcze w ostatnich tygodniach życia kończy korektę obszernego dzieła o historji rządów angielskich w Indjach, które obecnie wychodzi pośmiertnie [1].

Tej historji już sam Curzon *pars magna fuit,* bo rychła specjalizacja przyniosła też rychłe a świetne owoce: już w 32

[1] *British Government in India. The Story of the Viceroys and Government House.* 2 tomy, Londyn, Cassell et Co., 1925.

roku życia był podsekretarzem stanu dla Indyj, a od roku 40 do 46 (1899—1905) przez dłuższy okres niż ktokolwiek inny przed nim lub po nim — piastuje godność w kolonjalnej administracji brytyjskiej najwspanialszą i największym otoczoną przepychem reprezentacyjnym: jest wicekrólem Indyj.

Po tym zenicie zawrotnej karjery dalsza droga życia lorda Curzona usłana jest nieprzejrzaną masą zaszczytów i odznaczeń.

Wielki Komandor Orderu Gwiazdy Indyjskiej, Wielki Komandor Orderu Państwa Indyjskiego, Rycerz Orderu Podwiązki, członek Tajnej Rady Królewskiej; doktór honorowy uniwersytetów w Oxfordzie, Cambridge, Manchester, Glasgow, Durham; kanclerz prastarej wszechnicy oxfordzkiej i lord-rektor glasgowskiej; członek dostojnej Akademji Nauk Przyrodniczych, *Royal Society*, i prezydent Królewskiego Towarzystwa Geograficznego; par irlandzki, potem par Anglji, najpierw jako wicehrabia Scarsdale, później jako pierwszy Earl of Kedleston, wreszcie od roku 1921 jako markiz Curzon: oto tylko niektóre z najświetniejszych punktów na drodze jego dostojeństw. Raz jeszcze wstępuje na wyżyny najwyższych stanowisk odpowiedzialnych w Imperjum Wielkobrytańskiem, gdy w r. 1916 zostaje jednym z pięciu ministrów koalicyjnego „gabinetu wojennego", a w r. 1919 obejmuje portfel spraw zagranicznych i piastuje go przez pięć pamiętnych lat powojennej historji świata.

Zaiste bije od takiej biografji majestatem mocarza, co nie raz i nie dwa razy wspólnie z niewielu innymi niemal że o losach ludzkości stanowił. Właściwa Curzonowi od wczesnych lat duma osobista, wydrwiwana już za czasów studenckich w wierszykach i karykaturach przyjaciół[1] miała się zawsze czem karmić. Z rzymską godnością drapuje się w togę „prokonsula" tego światowego Imperium, które w jego oczach jest Rzymem naszych dni, z rzymską uroczystością przemawia w senacie swej ojczyzny staroświeckim nieco stylem minionej, gladstońskiej ery; zaś dla innych narodów, na które spogląda z wysokości swej wielkobrytyjskiej pychy, ma w swych enuncjacjach i notach to, co w Anglji przysłowiowo już nazywają *the Curzon touch* — „dotknięcie curzonowskie"; poznali je i Turcy

---

[1] *I am the lord Nathaniel Curzon.*
I am a most superior person...

w Lozannie i przedtem jeszcze nowa państwowość nasza, gdy jej ta ręka wyniośle zakreślała pamiętną „linję Curzona“.

Posągowy gest i klasyczny styl oratorski Curzona nasuwają porównanie z „wielką manierą“ wieku XVIII, z rzymską prawdziwie figurą Pitta Starszego.

2.

Ale czy historja postawi Curzona obok tej i innych, równych jej wielkością postaci w długiej galerji znakomitych statystów angielskich?

Dwoma wierzchołkami strzela w górę w perspektywie historycznej jego działalność polityczna — i oto oba ukazują się nam dziś jako szczyty wielkich zamysłów raczej niż całkowitego, mężnego, wielkiego dokonania. Za majestatycznym gestem Curzona kryje się ustępliwość wobec potężniejszych od jego woli sił historycznych.

Pierwszy punkt szczytowy, to wicekrólestwo Indyj. Zapatrzony z płomienną miłością w swój ideał indyjskiej i wszechazjatyckiej władzy Wielkiej Brytanji, marząc o ostatecznem złamaniu współzawodnika rosyjskiego na gruncie Azji, Curzon z namiętnym pośpiechem nienasyconej ambicji inscenizuje jedną demonstrację za drugą: to forsuje akcję dyplomatyczną w państwach buforowych na granicy północno-zachodniej, to z teatralną wspaniałością objeżdża wybrzeża zatoki perskiej, to wreszcie wyprawia śmiałą ekspedycję w samo serce Tybetu, do świętego grodu Lhassy. Już wznosi rękę do stanowczego ciosu przeciwko Afganistanowi, ale tu jego fatum dziejowe staje między nim a krańcowym celem jego wielkich poczynań: staje w żelaznej postaci godnego antagonisty — Kitchenera — i zagradza mu drogę. Bo oto na gruncie europejskim, Curzonowi nieznanym, zarysowały się kontury sytuacji, zdala zapowiadającej wojnę światową naszych dni, i w tej sytuacji racja stanu brytyjska nakazuje zapędy przeciwrosyjskie w Azji hamować i łagodzić. Konflikt przybiera postać dramatyczną: ściera się autokratyczny temperament namiestnika z niemniej nieugiętym charakterem naczelnika sił zbrojnych. Żołnierz ma zuchwałość odmówić najwyższemu dygnitarzowi cywilnemu kompetencji w sprawach zarządzeń wojskowych. I Curzon ustępuje. Uczynił dla Indyj niezmiernie wiele: zreorganizował szkolnictwo, system podatkowy, policję; przeprowadził racjonalne nawodnienie kraju, położył kres osławionym, perjo-

dycznym głodom indyjskim, podniósł przemysł i rzemiosło. Ale nie dokonał tego, do czego nadewszystko dążył, i jeżeli prawdziwą jest pogłoska, że wydana ubiegłej jesieni pod pseudonimem sensacyjna i nawskroś pesymistyczna książka o przyszłości rządów brytyjskich w Indjach wyszła z pod jego pióra, to możnaby w niej widzieć tragiczny dokument przyznania się do upadku największej w życiu lorda Curzona koncepcji.

3.

Tragiczniejszą jeszcze jest druga faza szczytowa w życiu politycznem Curzona. On, co ze swobodą mistrza poruszał się w dziedzinie zagadnień wschodnich, ma okazać to samo mistrzostwo na gruncie, który zna mniej: podstarzały, zgryziony niedokonaniem planów azjatyckich, już trawiony okrutną ukrytą chorobą, otrzymuje zaszczytny mandat kierowania polityką zagraniczną Wielkiej Brytanji wśród oszałamiającego chaosu i fermentu powojennej Europy. I jak w Indjach kiedyś ustąpić musiał przed stalową wolą Kitchenera, tak tu, u steru w Europie, ulega raz i drugi naciskowi charakterów bujniejszych i bardziej sprężystych, ludzi młodszych i obrotniejszych.

Pierwszy z tych jego europejskich poskromicieli, to genjalny intrygant i demagog Lloyd-George. Ku niewymownie przykremu zdumieniu całego sztabu jeneralnego dyplomacji brytyjskiej w *Foreign Office* ministrem spraw zagranicznych w powojenyym gabinecie Lloyd-Georgea był to tlko *de nomine* lord Curzon, a *de facto* sam premjer. Ton nadawała wciąż jego awanturnicza i wyzuta z wszelkich ideowych zasad psychika polityczna. Przypominamy sobie, jak Lloyd-George przez bezustanne warcholskie podniecanie imperjalistycznych ambicyj greckich, postawił swój kraj tuż po wojnie światowej wobec widma nowej wielkiej wojny na bliskim wschodzie. W rezultacie doprowadził do straszliwej klęski Greków i do odrodzenia nacjonalizmu tureckiego, co odbiło się jak najfatalniej na stosunku do Wielkiej Brytanji różnych jej muzułmańskich poddanych i wasalów, od Mahometan w Indjach do Arabów.

Cóż w trakcie tego wszystkiego czynił wielki znawca spraw wschodnich, lord Curzon? Nie zapomnę tego ponurego popołudnia sobotniego w Londynie, jesienią r. 1922, gdy nad miastem wisiał groźny cień nowej wojny, a Lloyd-George wydał alarmujący manifest do dominjów o zbrojną pomoc i po kątach sobie opowiadano, że na radzie ministrów, która o tych

najżywotniejszych sprawach państwowych dyskutowała, lorda Curzona brakło, bo nie przybył ze wsi, dokąd na sakramentalny wypoczynek niedzielny *(weekend)* jeszcze w czwartek czy w piątek się udał.

4.

Mimo to powaga Curzona była tak wielka i powszechna, że po upadku Lloyd-Georgea bez wahania jemu oddano tekę spraw zagranicznych w gabinetach konserwatywnych p. Bonar Law i Baldwina. Coraz nieodzowniejszą, po tylu nieudałych powojennych konferencjach, stawała się poważna i stanowcza akcja dyplomatyczna na terenie środkowo- i zachodnio-europejskim. Curzon i w tej dziedzinie, choć mało mu znanej, miał przed oczyma drogę jasno wytkniętą. I tu miał się objawić sławny gest curzonowski — *the Curzon touch.* Raz nawet istotnie pokazał swój lwi pazur, w sensacyjnej ostrej nocie do Francji w sierpniu roku 1923. Ale ostatecznie — znowu uległ. Wzmogły się nanowo wpływy stałego korpusu urzędniczego *Foreign Office,* przeciwstawiające samowoli wybitnych indywidualności ciągłość tradycji w polityce zagranicznej, nadewszystko zaś załamała się znowu linja curzonowska o potęgę jednej osobistości, tym razem osobistości zgoła nieefektownej, daleko mniej imponującej od samego lorda Curzona. Był nią Stanley Baldwin, — ten filisterski niemal przedstawiciel typowego brytyjskiego *common sense,* może właśnie przez uczciwą przeciętność swojego myślenia politycznego tak drogi sercu ogółu angielskiego. On pod dyktandem zdrowego rozumu i brew majestatycznej taktyce curzonowskiej, skierował stosunki z Francją na te tory pojednawczych pogawędek, na których z takim rzetelnym wysiłkiem utrzymywał je potem nawet jego socjalistyczny przeciwnik Mac Donald, gdy z kolei doszedł do władzy.

Maniera osobista Curzona w polityce międzynarodowej należała bezpowrotnie do przeszłości, i mianowanie go w nowym gabinecie Baldwina, jesienią r. 1924, tylko lordem-prezydentem Tajnej Rady, a nie ministrem spraw zagranicznych, było śmiałem i szczerem przypieczętowaniem dokonanego faktu, że lord Curzon zstępował do historji. Przez dziwny zbieg okoliczności przeszedł także do niej wkrótce potem niemniej dostojny jego rówieśnik, przywódca rozbitych liberałów, Her-

bert Henryk Asquith, obdarzony na pożegnanie wspaniałym starym tytułem hrabiego Oxfordu.

5.

Lord Curzon był olbrzymem niepojętej wprost, nieustającej pracowitości: słynął z tego, że na każdy list, jaki otrzymał, odpowiadał własnoręcznie do 24 godzin! Namiętny przytem podróżnik i myśliwy, szalony aż do ciągłych konfliktów z policją automobilista, gorący miłośnik dzikiej przyrody, pod powłoką chłodnego dyplomaty nosił w duszy bogate skarby rozległego oczytania i prawdziwie klasycznego wykształcenia. Z subtelnem znawstwem rozkoszował się czy to zabytkami prastarych cywilizacyj w tych rozlicznych krajach, które zwiedzał, czy to arcydziełami sztuki w londyńskiej Galerji Narodowej, której był kuratorem. Wykwintny stylista, kochał i umiejętnie oceniał poezję, a podobno i sam znajdował chwile dla Muzy. Żonaty dwukrotnie z bogatemi Amerykankami, posiadał środki materjalne, potrzebne do reprezentacyjnego trybu życia; ale miał po temu także zasoby moralne i umysłowe. Ostatni może w dzisiejszej Anglji, obok lorda Balfoura, prawdziwy *grand-seigneur* w nieskażonym starym stylu, nawet z rzadką u Anglosasów znajomością francuzczyzny wytwornie się wyróżniający, nie mógł nie olśniewać jedynym w swoim rodzaju zespołem najlepszych wielkopańskich przymiotów. Oto jak się o tej w najlepszem słowa znaczeniu arystokratycznej naturze wyraża w hołdzie pośmiertnym nawet taki skrajny przeciwnik polityczny, jak zagorzały i gwałtowny radykał Ben Tillett:

„Mam najserdeczniejsze wspomnienia o lordzie Curzonie. W dniach, gdy agitator był parjasem w swym kraju i w całej Europie, lord Curzon obstawał za prawem wolności dla niego. Protestował przeciwko mojemu uwięzieniu w Belgji. Wiedziałem, że nie miał żadnej sympatji dla mojego stanowiska politycznego, ale ponieważ byłem poddanym brytyjskim, stanął w obronie moich praw jako obywatela brytyjskiego przeciw roszczeniom Belgji.

Daleki od tego, by być tylko zwykłym, głupio-pysznym arystokratą, był jedną z najbardziej ludzkich osobistości, jakie kiedykolwiek spotkałem. W stosunkach towarzyskich miał sposób zachowania się jaknajbardziej rycerski i szlachetny, nawet wobec takich politycznych i klasowych przeciwników jak ja.

Jestem pewny, że dla tych, co znali go najlepiej, śmierć jego będzie bolesnem wstrząśnieniem"[1].

A jednak i nad grobem tego przepysznego przedstawiciela kultury rasowej ciśnie się na usta smętne wołanie: „Wielkości, gdzie imię twoje!"

Obfitością dostojeństw, któremi wciąż jest otoczony, wytrawnością bogatego doświadczenia, powagą u współczesnych polityków tak swoich jak i obcych, Curzon Polakowi przypominać musi naszego Bilińskiego. Ale przypomina go i tem, że napoleońskiego rozmachu, właściwego największym w dziejach mężom stanu, w przełomowych momentach mu nie dostało, i nie zapisał się w dziejach swego narodu żadnym z tych decydujących czynów twórczych, co jak gwiazdy jaśnieją w przestworzach stuleci.

---

[1] Słowa przytoczone w londyńskiej gazecie niedzielnej *The Observer* z dnia 22 marca 1925 r.

XI.

LORD MILNER

(1854—1925).

1.

Fatum voluit duorum consularium commisceri favillas — temi rzymskiemi słowy *orator publicus* Uniwersytetu oksfordzkiego na dorocznej uroczystości uniwersyteckiej *(Encaenia)* w dniu 24 czerwca 1925 uczcił zgon dwóch wielkich mężów stanu lorda Curzona i lorda Milnera, — z których drugi, po śmierci pierwszego wybrany na jego miejsce kanclerzem, czyli protektorem starej wszechnicy oksfordzkiej, rychło w ślad za nim do grobu podążył.

Ostatnie symboliczne połączenie tych nazwisk przez jednę i tę samą wysoką godność akademicką i przez bliskość dat śmierci odpowiada pewnym podobieństwom w obliczu duchowem i w obrazie działalności tych dwóch znakomitych przedstawicieli polityki brytyjskiej. Każdy z nich ma dwa punkty kulminacyjne w swej długiej karjerze, — pierwszy w dziedzinie administracji kolonjalnej, drugi w centralnych rządach nad państwem: lord Curzon u szczytu potęgi i świetności staje najpierw jako wicekról Indyj, potem jako minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji po wojnie; tak samo lord Milner upamiętnia się najpierw jako namiestnik Afryki Południowej, potem jako członek gabinetu wojennego. Obaj budzą podziw swą iście olbrzymią, niespożytą pracowitością; obaj od młodości natchnieni wielką ideą światowej państwowości brytyjskiej, służą tej idei z oddaniem, przenikającem całe ich życie osobiste. To bezgraniczne oddanie służbie Imperjum uznał również za główny wspólny rys charakterystyczny obu tych żywotów w podniosłem przemówieniu, wspólny obu zmarłych mężów przyjaciel, Sir Rennell Rodd (były ambasador Wielkiej Brytanji w Rzymie), gdy obydwóch jednym objął hołdem na dorocznem walnem zgromadzeniu *English Association* dnia 12 czerwca r. 1925.

Mimo jednak, że są to dwie typowe postacie brytyjskich mężów stanu na wielką, posągową miarę, i przez swą typowość do siebie podobne, nie możnaby pisać biografij lorda Curzona i lorda Milnera w całej rozciągłości równolegle, jako *bioi paralleloi* na sposób Plutarcha.

Głębokie są różnice i w bilansie historycznym ich dokonań politycznych i w charakterze ich osobowości.

Lord Curzon w wykonaniu swych szeroko zakreślonych zamysłów indyjskich ostatecznie przy zderzeniu z Kitchenerem się załamał, a jako minister spraw zagranicznych po wojnie okazał się bardziej stanowczy w słowach niż czynie.

Lord Milner przeciwnie, jako gubernator Afryki południowej zamiary swoje, może mniej wysoko sięgające od projektów curzonowskich, przez niezłomną wytrwałość ostatecznie urzeczywistnił; zaś jako pełnomocnik gabinetu, w czasie wojny w krytycznej chwili zdobył się szybko i śmiało na ciężką, ale najzbawienniejszą decyzję.

W obu głównych momentach zatem „koniec wieńczy dzieło" w życiu lorda Milnera raczej, niż lorda Curzona.

Możnaby jednak powiedzieć, że pragmatyczne kryterjum powodzenia nie może wyłącznie stanowić o wielkości człowieka; boć przecież powodzenie zależy także od siły i kalibru czynników przeciwdziałających, wreszcie od objektywnego fatum — nieobliczalnych i nieprzewidzianych wypadków. Wielkość mierzy się przymiotami wewnętrznemi, które działanie na zewnątrz jedynie mniej lub więcej doskonale ujawnia.

Wspomnijmy więc i o tem, jakie głębokie różnice w naturze osobistej zachodzą między dwoma wielkimi prokonsulami. Od lorda Curzona bije majestatem, ale także wieje chłodem urodzonego arystokraty, przeznaczonego od kołyski do najwyższych stanowisk w państwie, i starannie do nich przygotowywanego. Lord Milner przeciwnie jest wspaniałym produktem demokracji mieszczańskiej XIX wieku. Syn skromnego lekarza, urodzony i wychowany w małomiasteczkowem zaciszu na emigracji, torował sobie drogę w górę zdolnościami i pracą, najpierw jako dziennikarz, później jako sekretarz prywatny ministra. I stąd w psychice lorda Milnera ta ujmująca i głęboka ludzkość, którą postać jego tchnie nawet wtedy, gdy jest rzecznikiem najwyższych koncepcyj imperjalistycznych. Lord Curzon umiał być czarująco kurtuazyjnym i szlachetnie rycerskim, lorda Milnera stać było na cenniejszą w świecie dzisiejszym cnotę socjalnego współczucia.

2.

W roku 1897 Józef Chamberlain, jeden z twórców nowoczesnej ideologji imperjalistycznej wielko-brytyjskiej, zajmował stanowisko ministra dla kolonij. Właśnie jedna z największych i najbogatszych kolonij, Afryka Południowa ze swem niedawno przedtem ujawnionem bogactwem złota i diamentów, przechodziła chwile dramatyczne i przełomowe. Napięcie między rządem brytyjskim a republikami boerskiemi zbliżało się do punktu ostatecznego: najazd na Transvaal, zorganizowany przez Anglika Jamesona, skończył się katastrofą dla najeźdźców, ale rozdrażnił Holendrów do najwyższego stopnia. W tym momencie Chamberlain na gubernatora Kolonji Przylądkowej i wysokiego komisarza dla Południowej Afryki wybrał Sir Alfreda Milnera.

Milner już wtedy jako minister finansów Egiptu (1890—1892) zdobył sobie był ostrogi rycerskie w administracji kolonjalnej. Książka jego „Anglja w Egipcie“ [1] rozchodziła się w coraz nowych wydaniach — miała doczekać jedenastego w roku 1904 — i zjednywała dla angielskich rządów okupacyjnych w Egipcie to uznanie w opinji Anglji, które potem stało się podstawą powodzenia głównej ich apologji — *Modern Egypt* lorda Cromera (1908).

Ale prawdziwie wielką postacią na widowni światowej polityki brytyjskiej miał się Milner stać dopiero jako wielkorządca Afryki Południowej, na którego z tak szczęśliwą intuicją wybrał go Chamberlain.

Zrazu zadanie wydawało się beznadziejnem, i nic wielkości czynu Milnera nie zapowiadało. Zastał Boerów w angielskiej kolonji Przylądkowej zorganizowanych w Związek Narodowy — *Afrikander-Bond* — pod anty-angielskiem hasłem „Ręce precz od Transvaalu!“ — i bez wielkiego powodzenia pracował nad utworzeniem wśród tych samych Boerów anglofilskiej „partji postępowej“, której duszą stał się sławny imperjalista angielski Cecil Rhodes. „Partja postępowa“ przegrała kampanję wyborczą w roku 1898, i pod wrażeniem powodzenia Boerów w Kolonji Przylądkowej Boerowie w republikach transvaalskiej i orańskiej z większą niż przedtem stanowczością zaznaczali wobec Anglji swą niepodległość. Milner do ostatka usiłował prowadzić akcję drogą dyplomatyczną — wy-

[1] *England in Egypt* (Londyn, Edward Arnold, 1892).

grywając jako atut angielski położenie Anglików w Transvaalu — ale nie znalazł dostatecznego poparcia ani u Cecila Rhodes — który już dogorywał — ani u dowódcy angielskich sił zbrojnych w Afryce Południowej, generała Butlera, który parł do wojny. Wojna ta wreszcie wybuchła po ostatniej, bezowocnej konferencji między Milnerem a prezydentem Krügerem w Bloemfontein, i Milner mężnie znosił cały ciężar odpowiedzialności i ciężar akcji ratunkowej w początkowym okresie klęsk angielskich, aż do zjawienia się na widowni działań wojennych wodzów angielskich tej miary co Roberts i Kitchener.

Ale całą świetnością twórcza rola polityczna lorda Milnera zajaśniała dopiero po wojnie, gdy podniesiony do godności lorda, i zamianowany gubernatorem obu zawojowanych republik, transvaalskiej i orańskiej, stanął wobec ogromu zadań odbudowy. Kraj po walce między wojskami zdobywców a partyzantami boerskimi, był w trzech czwartych zniszczony najstraszliwiej. Ludność boerska jęczała w obozach koncentracyjnych angielskich; potrzebowała nietylko szybkiej repatrjacji na wielką skalę, ale dachu nad głową u siebie w domu i ponownego, zupełnego wyposażenia do wznowionej, produktywnej pracy gospodarczej.

Wtedy to Milner po raz pierwszy okazał tę szerokość wejrzenia i śmiałość postanowień, które nas w nim zdumiewać muszą. Zrozumiał, że ogromne dochody, potrzebne na stałą odbudowę gospodarczego życia kraju, Afryka Południowa zdobyć może jedynie przez potężne, doraźne ożywienie głównego swego przemysłu — kopalń złota. To dało się dokonać tylko przez masy taniego robotnika. Mas takich Afryka na zawołanie dostarczyć nie mogła: daremnie ich Milner szukał od Egiptu do kolonij niemieckich. Odważnie więc sięgnął po nie do największego na świecie rezerwoaru tanich sił roboczych: jął sprowadzać rzesze kulisów chińskich.

Wszczął się krzyk w obozie liberalnym angielskim i podniosło się *odium* na całym świecie przeciw nowemu niewolnictwu. Milner miał sposobność wycofać się w pół drogi, i z honorem: Balfour po śmierci Chamberlaina ofiarował mu tekę ministra kolonij. Dla rządu zakończenie ery milnerowskiej w Południowej Afryce byłoby ulgą, bo spadłaby z porządku dziennego niepopularna sprawa kulisów; a Milnerowi otwierało się ponętnie największe pole działania, o jakiem mógł marzyć. Mimo to propozycję Balfoura bez wahania odrzucił

z miejsca i po długich ponownych naleganiach odrzucił raz jeszcze. Postanowił wbrew wszystkiemu i wszystkiego dokończyć rozpoczęte dzieło w skromniejszym zakresie działania raz obranym sposobem. Balfour, ten rycerz bez skazy w polityce angielskiej, niechętnie i z oporem dał wreszcie przyzwolenie na chiński projekt, i potem już z całą lojalnością akcję Milnera popierał.

Rzeczywistość przyniosła Milnerowi triumf zupełny. W niespełna trzy lata swoją metodą doprowadził kolonje południowo-afrykańskie do stanu kwitnącego. Małostkowości w jego robocie nie było, przeciwnie rozmach szeroki i gest prawdziwie wielki. Na repatrjację Boerów i udotowanie gospodarstw nie żałował, byle tego w interesie uspokojenia kraju dokonać jak najszybciej. Nie żałował też operacyj kredytowych, obciążających kraj na daleką metę: śmiało zaciągnął pożyczkę w wysokości 35 miljonów funtów szterlingów.

I oto w r. 1906 upłata procentów oraz rat amortyzacyjnych tej pożyczki, dzięki wzmożeniu ruchu towarowego przez uruchomienie kopalń, już się dokonywała w całości z dochodów, jakie dawały koleje w nowych kolonjach pod zarządem państwowym! Co więcej, koleje te pobierały mniejsze opłaty przewozowe niżby je były mogły w danych warunkach pobierać, gdyby były prowadzone jako przedsiębiorstwo prywatne. Co jeszcze więcej, dochody z nich po upłacie procentów i rat długu państwowego pozostawiały nadwyżkę — choć niewielką — do dyspozycji rządu na ogólne cele budżetowe.

Od ukończenia wysiłków lorda Milnera nad odbudową gospodarczą kolonij południowo-afrykańskich do stworzenia Stanów Zjednoczonych Afryki Południowej upłynęły trzy lata; i koroną pracy Milnera było, że po tych trzech latach Transvaal, najbardziej niegdyś przez wojnę zniszczony, wstępował do Unji południowo-afrykańskiej z kilku miljonami funtów rezerwy gotówkowej w swym skarbie.

Cały świat podziwiał mądrość polityczną, z jaką Wielka Brytanja zjednała sobie swych niedawnych zawziętych przeciwników boerskich, łącząc ich z dawną Kolonją Przylądkową w jednym wielkim ustroju samorządowym, jako „wolnych z wolnymi i równych z równymi". W samej Anglji nieraz wychwalano wzniosłość myśli, szerokość widnokręgów i szlachetność serca przeciętnego skądinąd polityka sir Henry Campbell-Bannermanna, który zaletami swego taktu i czaru osobistego powstanie tego wielkiego dzieła umożliwił. Ale dziś, nad świeżą

mogiłą lorda Milnera, cała Wielka Brytanja z wdzięcznością wspomina, że właśnie ten twardy imperjalista, z uporem prowadząc do końca nienawistne wszystkim poczynania, położył pod Unję południowo-afrykańską mocne podwaliny dobrobytu materjalnego i zadowolenia ludności ze stosunków gospodarczych; a bez tych podstawowych warunków żadna koncepcja, jednocząca we wspólnym systemie wrogie do niedawna elementy polityczne, nigdy nie byłaby dała się urzeczywistnić. Zaiste ten wielki czyn Milnera daje wszystkim narodom i państwom naukę, której w skłóconym i zniszczonym świecie powojennym dzisiejszym nigdzie dość głośno powtarzać nie można.

3.

Drugą wielką i prawdziwie szczytną chwilę w życiu miał lord Milner kilkanaście lat później, gdy rozszalała się największa burza, jaka od wojen napoleońskich targała światem nowoczesnym.

Lord Milner, jak inni znakomici realiści polityczni, wojnę europejską jako możliwość przewidywał. To też od ukończenia swej działalności w Afryce Południowej bezustannie — po myśli swego dawnego kolegi z nieszczęsnych lat wojny boerskiej, lorda Robertsa, i wspólnie z nim — prowadził usilną propagandę za wprowadzeniem powszechnej służby wojskowej na miejsce systemu werbunkowego. Na ten wyłom w tradycjach brytyjskich i w podstawach dobrobytu gospodarczego Wielkiej Brytanji nawet imperjalistyczna partja unjonistów zdobyć się nie mogła. Lord Milner, któremu służby południowo-afrykańskie zapewniały jedno z pierwszych stanowisk w każdym przyszłym gabinecie unjonistycznym, któremu partja nie szczędziła najświetniejszych w tym względzie obietnic, i tu okazał zwykłą swą niezłomność: wstąpienie do jakiegokolwiek nowego gabinetu uzależnił od przyjęcia przez ten gabinet zasady powszechnej służby wojskowej. I gdy to mu zamykało drogę, spokojnie trwał poza nawiasem wszelkich kombinacyj.

Przyszła wojna, i w niczyich oczach wątpliwem być nie mogło, że lord Milner musi należeć do grona ludzi, kierujących sprawami państwa w tym poważnym okresie. Należy odrazu do pierwszego gabinetu koalicyjnego, który się tworzy w pierwszym roku wojny, a potem do drugiego, któremu przewodni-

czy Lloyd-George. W łonie rządu Lloyd-Georgea poza gronem ministrów resortowych powstaje najściślejsze grono ministrów o nieokreślonych ściśle specjalnych kompetencjach — „gabinet wojenny", z pięciu członków złożony, który kolegjalnie rozstrzyga o wszystkich najważniejszych sprawach. Lord Milner zostaje członkiem „gabinetu wojennego". Występował kiedyś ostro przeciwko Lloyd-Georgeowi, potępiając z punktu widzenia ekonomicznego i zasadniczego jego budżet socjalny z r. 1908. Mimo to bystre oko „organizatora zwycięstwa" dostrzegło odrazu nieocenioną wartość, jaką lord Milner stanowi dla państwa w takim momencie, i przez cały okres wojny Milner współpracuje ze swym dawnym przeciwnikiem na warunkach najzupełniejszego obopólnego zaufania.

Od pierwszej chwili działalność Milnera w rządzie wojennym nacechowana jest tą nieubłaganą jasnością i trzeźwością, z jaką zawsze w swej karjerze politycznej umiał dojrzeć i wskazać rzeczy najistotniejsze, rzeczy najpotrzebniejsze, rzeczy jedynie możliwe i praktyczne. Niestety, są to zarazem zazwyczaj rzeczy najbardziej niepopularne. Dlatego wykonanie pilnych i ważnych zadań, na które Milner nastawał, nieraz się odwlekało lub nie dochodziło do skutku, i wojna się przez to przeciągała.

A więc zaraz w pierwszym rządzie koalicyjnym, długo zanim rozgorzała na dobre wojna podwodna Niemców przeciw zaprowjantowaniu Anglji, Milner już jako przewodniczący komitetu rolniczego, występuje ze śmiałym projektem „rolniczej mobilizacji" zarówno sił roboczych jak ziemi w Anglji. Niebezpieczeństwa nie rozumiano, i lata 1915 i 1916 zostały w Anglji pod względem rolniczym zmarnowane. Dopiero w roku 1917, gdy już odcięcie dowozu żywności silnie się Anglji dawało we znaki, Milner zdołał przeforsować „ustawę zbożową" swego pomysłu na czas przed zasiewami jesiennemi, i w ten sposób zapewnił Anglji na rok 1918 zasób żywności własnej na tygodni czterdzieści, zamiast, jak w poprzednich latach, na dziesięć.

Drugi przykład: o ile przed wojną zespolenie Imperjum mogło być kwestją sporną i partyjną, o tyle w czasie wojny intensywna współpraca wszystkich części Imperjum wielko-brytyjskiego, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, była sprawą życia lub śmierci. Tymczasem perjodyczna konferencja premjerów z Dominjów, której termin według przedwojennego porządku rzeczy przypadał na r. 1915, właśnie „z powodu

wojny" się nie odbyła. Lloyd-George, ująwszy w ręce władzę, stanowczo uznaje, że odbyć się powinna. Milner idzie dalej: staje na stanowisku, że premjerowie Dominjów powinni należeć do „gabinetu wojennego". Lloyd-George — genjusz taktyki politycznej w tem jak we wszystkiem! — myśl przyjmuje, i po raz pierwszy w dziejach Anglji zaprasza na zjazd nawet przedstawicieli Indyj przez pośrednictwo wicekróla. Znowu jednak upływa dłuższy czas, zanim myśl Milnera jest urzeczywistniona z całą należytą stanowczością i w całej pełni. W konferencji premjerów Dominjów Milner, zajęty pracami w „gabinecie wojennym", kierującego udziału nie bierze. Natomiast jest jedną z najpoważniejszych postaci w nowym, szerszym „ogólno-państwowym gabinecie wojennym" *(Imperial War Cabinet),* który składa się z pięciu ministrów „gabinetu wojennego" i z premjerów Dominjów. Ten gabinet, to dopiero właściwa krystalizacja pomysłu Milnera. Odbył szereg posiedzeń w czasie londyńskiej konferencji premjerów Dominjów w roku 1917, ale na nowo i na stałe zebrał się dopiero w roku 1918, by się niebawem przekształcić w delegację brytyjską na konferencji pokojowej. Doniosłości tego faktu, wynikłego z inicjatywy Milnera, przecenić nie można. Sięga ona daleko poza okres wojny i traktatu wersalskiego: znamionuje początek nowej ery w rozwoju światowego Imperjum brytyjskiego. Po raz pierwszy pod naciskiem konieczności wojennych i za światłą radą Milnera Wielka Brytanja śmiało spojrzała w oczy dojrzałej rzeczywistości stosunków w swem państwie: dopuszczając Dominja do udziału w decyzjach wojennych, w układach pokojowych, w podpisaniu traktatu, w jego ratyfikacji, Wielka Brytanja sama się uznała *via facti* za federację wolnych narodów. Położyła fundament pod samodzielną reprezentację Dominjów w Lidze Narodów — zdobycz, która, jak dobrze pamiętamy, szczególnie my Polacy, walnie się przysłużyła interesom brytyjskim na gruncie Europy powojennej. Sam lord Milner w swych pismach powojennych [1], z konieczności wspominając o Lidze Narodów, lubi mówić obok niej o Imperjum jako o „Lidze Narodów Brytyjskich". I to jest słuszne określenie wielkiej przemiany rozwojowej, której z inicjatywy Milnera nadano pod koniec wojny formalną sankcję. A nadanie tej sankcji, to najrozumniejsze ubezpieczenie przed rozpadnię-

---

[1] Np. *The British Commonwealth* (odczyt w Oxfordzie). Londyn, Constable, 1919.

ciem się wielkiego organizmu imperjalnego, najpewniejsza rękojmia wspaniałej i żywotnej dlań przyszłości.

Wyszliśmy poza granice wojny światowej, ale trzeba jeszcze raz powrócić do jej przebiegu, by wspomnieć o czynie, który uwieńczył całą wojenną działalność lorda Milnera, bo był nietylko rozstrzygającym w chwili ostatecznej, ale zarazem może najtrudniejszym dla Anglika, jako akt narodowej rezygnacji.

Milner nie przestawał i w dalszych latach wojny z niezmniejszonem naprężeniem swej przenikliwej intuicji i żelaznej woli wskazywać, co w każdej chwili było zadaniem najpilniejszem, i nalegać na jego spełnienie. On, a nie kto inny, jako przedstawiciel Wielkiej Brytanji, wyruszył na początku roku 1917 z misją między-sprzymierzeńczą do Rosji, by stwierdzić jej potrzeby w zakresie zaopatrzenia wojennego. Stan faktyczny w krótkim czasie zgłębił, plan dostaw opracował, i same dostawy się zaczęły. Rosji to już dla sprawy aljanckiej nie uratowało, bo wkrótce ją zalała fala rewolucji. Ale Milner to, co zrobił, niewątpliwie zrobił ze zwykłą swą solidnością i sprawnością.

Wkrótce atoli samą sprawę aliancką jako całość do spółki z najtęższym z Francuzów ratować mu przyszło. Pomoc Ameryki, mającej zastąpić Rosję w szeregach aljanckich, dojrzewała bardzo a bardzo powoli; tymczasem rok 1918 przyniósł z wiosną piorunującą ofensywę Niemców i przełamanie frontu. Piekielna muzyka wojny doszła do *fortissimo:* do *fortissimo* także doszła praca Milnera. *Res ad triarios venit:* powierzono mu portfel wojny. W chwili ostatecznego, zdawało się, niebezpieczeństwa dla sprawy sprzymierzonych, wyrusza do Francji i z właściwą sobie doraźną stanowczością, w ostatniej godzinie prawie, razem z równie stanowczym partnerem — starym „tygrysem" Clemenceau — przecina ten węzeł gordyjski, nad którym mozolił się szereg polityków i wodzów w poprzednich latach wojny i którego zawiłość udaremniała wszelką decydującą akcję wojenną mocarstw sprzymierzonych. W małym budynku urzędu gminnego w Doullens Milner w imieniu nietylko rządu wielkobrytyjskiego, nietylko Dominjów, ale wszystkich aljantów poza Francją bierze na siebie odpowiedzialność położenia podpisu pod zgodę na oddanie naczelnej władzy wojskowej nad wszystkiemi armjami sprzymierzonemi w ręce jednego francuskiego generała. Był to gest najśmielszy i moralnie najryzykowniejszy w życiu publicznem Milnera od wpro-

wadzenia kulisów chińskich do Afryki. O zjednoczeniu naczelnej komendy mówiono od lat, ale nikt się na czyn nie odważył, nikt ze strony angielskiej na tę abdykację zdobyć się nie mógł. Milner uczynił to jednem pociągnięciem pióra. Szybkość jego postanowienia zbawiła aljantów, a zbawieniu na imię było Foch.

Na powzięciu tej ciężkiej i przykrej decyzji nie kończyły się bynajmniej trudne prace Milnera w czasie wojny. W tych miesiącach największego naprężenia dwoił się i troił, jeżdżąc tam i z powrotem z Anglji do Francji i z Francji do Anglji, i gorączkowo pracując nad zaopatrzeniem armji i nad utrzymaniem frontu. Ponadto przyszło mu jeszcze — najdrażliwsze zadanie ze wszystkich — prowadzić układy z wodzem amerykańskim Pershingiem nad ruszeniem wojsk amerykańskich z tyłów na front, nad transportem większej ich masy z Ameryki do Europy. Milner nie uląkł się żadnych trudności, ani moralnych, ani technicznych; wszystkie problemy atakował od frontu, żadnego nie zostawiał załatwionym do połowy. Jego zręczność i wytrwałość jako negocjatora przyczyniły się wybitnie do rzucenia na szalę całego ciężaru sił amerykańskich, i wreszcie szala przechyliła się na korzyść zwycięstwa aljantów.

Ale wszystko, czego dokonał, i dokonał tak rzetelnie i gruntownie, blednie wobec tej jednej górnej chwili w Doullens, gdy dostojny przedstawiciel najdumniejszego w świecie narodu bez wahania uchylił czoła przed koniecznością oddania wojsk angielskich pod komendę Francuza.

4.

Przedstawiłem powyżej tylko dwa momenty najgłówniejsze i niejako ogniskowe w życiu politycznem lorda Milnera.

Ale te jego najwybitniejsze czyny bynajmniej nie wyczerpują jego wielorakich zasług historycznych dla państwa brytyjskiego.

Zanim jeszcze zwrócił na siebie powszechną uwagę przez książkę o Egipcie, już miał za sobą okres wysoce odpowiedzialnej służby publicznej, a zarazem głębokich studjów nad gospodarstwem państwowem jako generalny dyrektor rachunkowości państwowej w roku 1889 — i już także przez pięć lat jako wiceminister skarbu (1892—97) pracował był twórczo nad reorganizacją angielskiego systemu podatkowego, wówczas przestarzałego i niedostosowanego do wielkich wymagań finan-

sowych nowoczesnej polityki socjalnej. Epokowy w dziejach skarbowości angielskiej system nowych i wysokich podatków spadkowych — dziś niezbędny czynnik równowagi budżetowej — historja zwykle przypisuje ówczesnemu ministrowi skarbu, Sir Williamowi Harcourtowi: właściwym autorem całego projektu był Milner.

Lata między administracją afrykańską a wojną wydawać się mogą okresem względnej bezczynności politycznej Milnera. A jednak w tym czasie właśnie najpełniej dojrzewa i najdobitniej wyraża się na zewnątrz jego ideologja imperjalistyczna. Dwa razy — w latach 1908 i 1912 — objeżdża olbrzymie przestrzenie Kanady, krzewiąc żywem słowem swe ideje zespolenia Imperjum. Potem rzuca je na cały świat brytyjski w książce „Naród a Imperjum“ [1].

Ale największy chyba podziw pośród ubocznych i drugorzędnych okresów w życiu publicznem lorda Milnera musi budzić różnostronna i niestrudzona działalność starego człowieka w ostatnich jego latach, po wojnie. W drodze do siedemdziesiątki nietylko nie myśli ani na chwilę o tem *otium cum dignitate*, które mu się po tak wielkich dokonaniach należy, ale z niepojętą rzutkością przenosi się od jednego doniosłego zagadnienia polityki państwowej do drugiego, zawsze objawiając żywe zrozumienie dla bieżących przemian i nowych perspektyw, zawsze dobywając ze skarbu swych doświadczeń cenne nauki i wskazówki, zawsze wierny wzniosłym ideom i wielkim koncepcjom.

Przedewszystkiem więc nie zakończyła się z wojną jego czynna służba publiczna. Skończył się wprawdzie okres jego jednomyślności politycznej z Lloyd-Georgem: poglądy ich na powojenne problemy zarówno polityki zagranicznej jak wewnętrznej rozchodziły się znacznie, i dlatego Milner w układach pokojowych wersalskich wybitniejszego czynnego udziału nie wziął, prócz kilku narad z przedstawicielami Dominjów nad kwestjami, dotyczącemi Imperjum kolonjalnego.

Ale nie skończył się czynny udział Milnera w rządach Wielkiej Brytanji. Na prośby zarówno samego Lloyd-Georgea, jak i jego konserwatywnego przeciwnika i późniejszego następcy Bonar Lawa, lord Milner przy pierwszej powojennej rekonstrukcji gabinetu koalicyjnego przyjął — jako bezsprzecznie najgodniejszy kandydat — portfel ministra kolonij. Na tem

[1] *The Nation and the Empire* (Londyn, Constable, 1913).

stanowisku, z późniejszym ministrem kolonij, p. Amery, jako głównym swym podwładnym, rozwinął Milner ożywioną działalność organizatorską i projektodawczą w kierunku intensywniejszego wyzyskania bogactw przyrodzonych Imperjum (głównie przez umiejętną akcję emigracyjną), oraz w celu zachowania tej spoistości administracyjnej, którą wytworzyła wojna między dominjami a macierzą.

Ale czekało go w tym zakresie jeszcze jedno aktualniejsze zadanie. Sytuacja w Egipcie stawała się coraz groźniejszą: lorda Milnera wysłano na miejsce i postawiono na czele komisji, która miała wymyśleć nową formę *modus vivendi* między Anglją a Egiptem. Ostateczne wnioski Milnera poszły w kierunku „przymierza" na miejsce proklamowanego w czasie wojny „protektoratu". Gabinet ten śmiały i niepopularny wniosek odrzucił, i Milner tekę ministra kolonij złożył. W rok później, po nowych niepokojach w Egipcie, rzeczywistość przyznała mu słuszność i projekt został urzeczywistniony, ale już bez tych rękojmi politycznych, które Milner uważał za potrzebne, a które w chwili przedstawienia wniosku były jeszcze możliwe.

Najpamiętniejszy wypadek w zbiorowem życiu Imperjum po wojnie, konferencja premjerów Dominjów w r. 1922, już się odbyła bez współudziału tego, który tak wielką rolę w życiu Imperjum przez ostatnie kilkadziesiąt lat odegrał.

Ale zdumiewający starzec raz jeszcze miał zwrócić na siebie powszechną uwagę w dyskusjach nad naczelnemi problemami naszej epoki. Milner, filar imperjalizmu, wśród ludzi podobnie myślących zawsze się wyróżniał radykalizmem swych poglądów socjalnych. Jeszcze w uniwersytecie oksfordzkim kolegował z późniejszym znakomitym działaczem społecznym, Arnoldem Toynbee, twórcą sławnej instytucji oświatowo-kulturalnej *Toynbee Hall* w robotniczej wschodniej dzielnicy Londynu, i gdy Toynbee umarł, Milner, wówczas już pierwszoplanowa postać w administracji kolonjalnej, poświęcił mu obszerne gorące wspomnienie [1].

Po wojnie depresja gospodarcza jak chmura zawisła nad Anglją i zmora bezrobocia rok za rokiem dusi społeczeństwo. Troska o przyszłość handlu i przemysłu narodowego, oraz o przyszłość stosunków społecznych między zorganizowaną klasą robotniczą a kapitałem, zaprząta umysł każdego myślą-

---

[1] *Arnold Toynbee: a reminiscence* (Londyn, Edward Arnold, 1895).

cego obywatela angielskiego i nadaje właściwe zabarwienie jego zapatrywaniom na wszystkie kwestje międzynarodowe, — prawie że na wszystkie wogóle kwestje na niebie i ziemi. W szeregu tych, co dyskutują sposoby wyjścia z tej matni, ku powszechnemu zadziwieniu stanął sędziwy dygnitarz imperjalizmu, i ku większemu jeszcze zadziwieniu w nowej serji studjów politycznych, częściowo ogłoszonych w niedzielnej gazecie *Observer,* a potem zebranych w książce [1], objawił więcej sympatji dla potrzeb i dążeń klasy robotniczej, więcej zrozumienia dla społecznych konieczności rozwojowych, niż niejeden z młodych reformatorów świata. Nie uląkł się widma bolszewickich „komitetów fabrycznych" i zalecał organizację o typie „whitleyowskich rad przemysłowych" jako narzędzie zgody między pracodawcą a robotnikiem. Nie zląkł się powiedzieć, że w dylemacie między własnością prywatną a upaństwowieniem reguły ogólnie obowiązującej być nie może, i że trzeba rozstrzygać od wypadku do wypadku. Przyznał się odważnie do upodobania w ideach syndykalizmu — *Guild Socialism* — i zalecał utworzenie „Parlamentu Przemysłowego", podobnego do tej „Izby Gospodarczej", której tyle z najlepszych u nas głów pragnie dla Polski. Przy tem wszystkiem z niemniejszą niż dawniej gorliwością podnosił, że systematyczne wyzyskanie bogactw naturalnych Imperjum będzie jednym z najważniejszych środków stworzenia lepszego jutra społecznego i gospodarczego dla całej ludności brytyjskiej. On, co 40 lat przedtem rozpoczął był karjerę polityczną jako kandydat do parlamentu pod sztandarem liberalnym, choć już wtedy z silną domieszką patrjotycznych haseł imperjalizmu, — teraz tak bardzo się już oddalił od prawowierności liberalnej, że zamiast naczelnego liberalnego dogmatu wolnego handlu wyznawał wiarę w cła ochronne — przynajmniej w pewnym, umiarkowanym zakresie — jako środek zespolenia Imperjum i uzdrowienia gospodarczego zarazem [2]. Z przeciwnikami liberalnej zasady nieograniczonej wolnej konkurencji i nieskrępowanej osobistej przedsiębiorczości zgadzał się teraz stary Milner także o tyle, że z niecierpliwością urodzonego administratora i organizatora potępiał wszystkie formy marnotrawstwa energji ludzkiej

[1] *Questions of the Hour* (Londyn, Hodder & Stoughton, 1923).

[2] Znamienną jest rzeczą, że przy dyskusji nad budżetem r. 1925, także część Partji Robotniczej, ku ogólnemu zdumieniu, stanęła na gruncie dopuszczalności pewnych ceł ochronnych, jako możliwego środka zaradczego na klęskę bezrobocia.

i dobra materjalnego, czy to wynikające z przerostów ustroju kapitalistycznego czy z rozrzutnej polityki ekonomicznej państwa w zdemoralizowanym i zmąconym świecie powojennym.

Takie to dziwne połączenie socjalizmu z imperjalizmem pozostawił po sobie lord Milner jako swój testament polityczny. Odosobnione i jedyne zaiste zjawisko! Słusznie mógł powiedzieć o sobie w przedmowie do tej swej ostatniej książki:

„Oddzielony od jednego z głównych stronnictw politycznych przez moje postępowe poglądy na sprawy społeczne, oddzielony jeszcze głębiej od drugiego przez moją wiarę w Imperjum i moje przywiązanie do ideałów narodowych raczej niż kosmopolitycznych, często wydaję się sam sobie oraczem na samotnej niwie“.

5.

Przy całem koniecznem odosobnieniu potężnej indywidualności jednak nic niema w postaci lorda Milnera sensacyjnego ani rozmyślnie oryginalnego. Z uzdolnień i powołania był administratorem, a więc politykiem wykonawczym raczej niż ustawodawcą i inicjatorem; a już na wielkiego przywódcę partyjnego nie nadawał się zgoła. Efektownych zalet parlamentarzysty, zdolności demagoga, nie posiadał zupełnie. Nie miał olśniewającej fantazji, błyskotliwego dowcipu, świetnej wymowy Lloyd-Georgea; dopiero wszystkie te przymioty „czarodzieja walijskiego“, tak silnie działające na wyobraźnię i uczucie tłumów, połączyć się musiały ze stateczną rozwagą i wytrwałą wolą lorda Milnera, by wojennemu rządowi Wielkiej Brytanji zapewnić powodzenie w jego wielkiem dziele. Wszystko, co lord Milner myśli, mówi i czyni, na zewnątrz jest prawie banalne — czasem w swym realizmie prawie cyniczne, — ale wewnątrz ma nieubłaganą siłę konieczności, dyktowanych przez ten naczelny pierwiastek genjuszu politycznego rasy brytyjskiej, jakim jest poprostu zdrowy rozum — sławny, i słusznie sławny, *common sense.* Nawet ten płomień wielkiego ideału, jaki nawskroś przenika postać lorda Milnera — ideał imperjalistyczny, — to nie zaziemski blask abstrakcyj myślowych, — jak światło naszego mesjanizmu — lecz ogień domowy, karmiony paliwem codziennego od dwóch z górą wieków praktycznego doświadczenia wielkiego narodu kolonizatorów.

Jeżeli od cech fizjognomji politycznej lorda Milnera usiłu-

jemy dotrzeć do istoty moralnej jego wielkości, to nasuwają się przedewszystkiem dwa uogólnienia.

A więc uderza nas po pierwsze we wszystkiem, co lord Milner czyni, nieustraszona odwaga i uparta konsekwencja w przeprowadzeniu zasadniczych postanowień raz uznanych za celowe, choćby były z poglądami panującemi niezgodne, albo nawet dla własnych uczuć przykre. Nie cofnął się, jak widzieliśmy, przed niepopularnością u obu głównych stronnictw angielskich i w całej opinji publicznej, gdy chodziło o użycie kulisów chińskich do odbudowy Afryki Południowej. A przemógł w samym sobie niewątpliwie poczucie upokorzenia narodowego, gdy oddanie wojsk angielskich pod komendę francuską ukazało mu się jako jedyna droga do ratunku i zwycięstwa.

Zaś cecha druga i może najbardziej godna podziwu, to nieprawdopodobna wprost bezinteresowność tego znakomitego człowieka. Żadnej nagrody za służby dla państwa nigdy nie żąda, a w rozważaniach jego nad tem, jakby w danej chwili temu państwu najskuteczniej się przysłużyć, motyw ambicji osobistej najmniejszej, nawet dodatkowej wagi nigdy nie ma. Po powrocie z Południowej Afryki, uwieńczony laurami powodzenia, potrzebował tylko sięgnąć ręką po hojną pensję nadzwyczajną, by mu ją jednomyślnie przyznano. Mimo jednak, że z Afryki wrócił w gorszem położeniu majątkowem niż to, w jakiem był przed wyjazdem, ręki do państwa nie wyciągnął, tylko poszedł do *City* i jako zwykły *businessman* zarabiał na życie przez szereg lat, między pierwszą a drugą fazą swej karjery urzędowej. W roku 1903, jak już zaznaczyłem, nie znęciła go oferta ministerstwa kolonij, bo uznał za obowiązek przedewszystkiem dokończyć rozpoczęte dzieło w Afryce; a w latach przedwojennych ani na chwilę nie zapaliła jego wyobraźni perspektywa zaszczytów, które mu wciąż ofiarowywano, ale które byłby musiał okupić ustępstwem w sprawie postulatu powszechnej służby wojskowej.

Zasłużoną nagrodą za tę arystydesowską cnotę było bezwzględne zaufanie, z jakiem mu powierzono wysokie, odpowiedzialne stanowisko w chwili dla państwa najpoważniejszej. Zasłużoną nagrodą było to poważanie, którem lord Milner cieszył się zawsze i ze strony wszystkich, choć żadne stronnictwo bezwarunkową jego przynależnością doń pochlubić się nie mogło.

Na pierwszą wieść o jego zgonie inny czcigodny weteran służby publicznej, a wielokrotny jego przeciwnik w różnych

sprawach zasadniczych, lord Oxford (Asquith) powiedział na zebraniu Kolonjalnego Towarzystwa Misjonarskiego: [1]

„Nie było nigdy człowieka, któryby się oddał wielkiemu zadaniu z bardziej zupełnem poświęceniem całej swej osoby, lub któryby pozostawił wyższy przykład służby publicznej i poczucia obowiązków obywatelskich niż lord Milner".

To też jako przykład dla wszystkich, co w szerszym czy skromniejszym zakresie służbę publiczną w naszej wskrzeszonej państwowości pełnią, pozwoliłem sobie postawić ten wizerunek wielkiego syna Anglji przed oczyma rodaków.

[1] Według sprawozdania w *Times* z 14 maja 1925, gdzie także znajduje się obszerny nekrolog lorda Milnera.

XII.

LORD OXFORD (H. H. ASQUITH)

(1852—1928).

1.

„Gdy cesarz Antoninus Pius leżał na łożu śmierci, proszono go, by podał hasło na noc dla straży pałacowej: dał hasło *Aequanimitas*. Lord Oxford ze swego łoża śmierci byłby mógł podać to samo hasło".

Takiem rzymskiem porównaniem czołowy przedstawiciel dzisiejszych liberałów angielskich, Sir Herbert Samuel, złożył w Izbie Gmin hołd pamięci długoletniego przywódcy obozu liberalnego nazajutrz po jego zgonie. Istotnie filozoficzna równowaga ducha i olimpijski spokój postawy były górującemi cechami w usposobieniu politycznem Herberta Henryka Asquitha, w jego taktyce parlamentarnej i nawet w jego wymowie publicznej. One to sprawiają, że karjera człowieka, co sterował państwem z kolei w czasie najgwałtowniejszych walk o reformy społeczne i w pierwszych latach największej z wojen, przedstawia się nam dziś, gdy na nią wstecz spoglądamy, raczej jako majestatyczna panorama, niż jako wstrząsający dramat. Sam Asquith, choć kroczył kolejno po zawrotnych wyżynach niebywałych powodzeń i po nizinach beznadziejnej klęski politycznej, wydaje się nam często raczej dostojnym świadkiem, niż czynnym uczestnikiem tych wielkich wypadków dziejowych, które z jego nazwiskiem się kojarzą. Kształcony w Oxfordzie na filozofa, a w Londynie na prawnika, był także i w polityce więcej myślicielem i sędzią, niż wodzem i działaczem. Każde jego przemówienie tchnie klasyczną harmonją, zwięzłością i trafnością wyrażenia, refleksyjną głębią, powagą i godnością myśli, logiczną jasnością, zwartością i ścisłością rozumowania. To nie były przymioty, któreby mogły porywać zdemokratyzowany parlament: Asquith już za życia był doskonałym przedstawicielem zamkniętego

okresu historji, i stwierdził to ze czcią po jego śmierci przywódca socjalistów Ramsay Mac Donald, mówiąc o nim w Izbie: „Był ostatnim w rzędzie tych, których ludzie epoki wiktorjańskiej nazywali „wielkimi parlamentarzystami" — to znaczy był człowiekiem nie gorączkującym się nigdy, kulturalnym, przestrzegającym form i godności, mężem o uczonej głowie a szerokiem wejrzeniu".

Właśnie dlatego jednak, że Asquith osobą swoją tak niezrównanie reprezentuje dawne tradycje wysokiej kultury duchowej w życiu politycznem angielskiem, że był tak pomnikowym przeżytkiem ery minionej wśród nowych warunków i odmiennych ludzi — warto dziś, gdy zamknął się nad nim cichy grób w uroczej starej wiosce angielskiej, spojrzeć wstecz w głąb tej epoki, z której postać jego wyrosła, i podążając za nicią przewodnią jego losów osobistych, przebiec myślą szereg tych wspaniałych i potężnych obrazów z nowszej historji Anglji, w których on stoi wśród pierwszoplanowych figur.

2.

Asquith dojrzewa na przodownika politycznego jeszcze pod egidą „wielkiego starego człowieka" — Gladstona, tego naczelnego bohatera i patrona liberalizmu angielskiego w XIX wieku. Jak sam Gladstone, pochodził z pracowitego, statecznego mieszczaństwa północnej Anglji, które z twardem i surowem sąsiedniem plemieniem szkockiem wiele ma pokrewieństwa. Ale purytańską powagę i doktrynerską ciasnotę duchową tego środowiska zmoderowała klasyczna kultura formy i filozoficzna swoboda ducha, panujące w starym uniwersytecie oxfordzkim, gdzie mistrzem Asquitha był sławny platonista Jowett. Powagę moralną i nieugiętą prawość, wyniesioną z mieszczańskiego domu, zachował Asquith przez całe życie; ale w dodatku do nich wyniósł z Oxfordu tę lotność poglądów i rozległość widnokręgów, która mu pozwoliła wejść całą duszą w wolnomyślicielskie tradycje obozu liberalnego — wyniósł też wykształconą na starożytnych zdolność do wytrawnej ironji i wykwintnego dowcipu, któremi nieraz okraszał mowy, dochodzące do granicy oschłości w wytwornej prostocie swego prawdziwie akademickiego stylu. Godnym synem swej klasycznej *almae matris* pozostał Asquith zawsze — zawsze go cechował prawdziwie oxfordzki, nieskażony dobry smak w każdem słowie i w każdym geście. To też było myślą szczególnie szczę-

śliwą, że gdy w ostatnich latach życia przeniesiono go między parów królestwa, wkrzeszono na jego użytek dawno już nieużywany tytuł lorda Oxfordu.

Powołanie polityczne odezwało się w nim już za lat uniwersyteckich: zwrócił na siebie uwagę w naczelnym studenckim klubie dyskusyjnym *Union,* którego z czasem został prezesem, jak przed nim Gladstone. Już tam mierzył się w heroicznych debatach ze swym rówieśnikiem, późniejszym wielkim imperjalistą kolonjalnym, lordem Milnerem, i już tam bronił zasad czystego liberalizmu przeciwko pomysłom ściślejszego zespolenia Dominjów z macierzą.

Tak samo wkrótce potem, jako młody adwokat w Londynie, Asquith w głośnym procesie politycznym o rozruchy na wiecu ulicznym londyńskim broni starych liberalnych ideałów wolności słowa i wolności zgromadzeń: jednym z jego klientów w tej sprawie jest działacz robotniczy John Burns, później pierwszy minister-robotnik w gabinecie liberalnym.

Jako liberał lewego skrzydła wchodzi wreszcie 34-letni Asquith w r. 1886 do Parlamentu, wybrany ze szkockiego okręgu *East Fife,* który odtąd przez czterdzieści blisko lat bez przerwy w Izbie Gmin reprezentował. Staje po raz pierwszy do walki wyborczej w pamiętnej chwili sporu o samorząd irlandzki, rozdzierającego na dwoje obóz liberalny: zwycięża starego posła liberalnego, co przystał do buntowników przeciw gladstonowskiemu projektowi *Home Rule,* i sam u boku Gladstona rychło gorąco wojuje w Parlamencie i poza Parlamentem. Wybija się na front hufca liberalnego, gdy Gladstone jest w opozycji, w przełamaniu szyków konserwatywnych w r. 1892 ma już walny udział jako przodowy bojownik, i w czwartem i ostatniem ministerstwie Gladstona otrzymuje tekę ministra spraw wewnętrznych. Jako taki pamiętnie już objawia tę spokojną stałość zasad i woli, która zawsze odtąd, nawet w najburzliwszych momentach, miała znamionować jego postępowanie polityczne: przy całej swej sympatji dla sprawy samorządu irlandzkiego stanowczo odmawia uwolnienia z więzienia czternastu ludzi, co o tę sprawę walczyli zamachami dynamitowemi; z tą samą stanowczością w samej Anglji używa wojska przeciwko niszczycielskim ekscesom strajkujących górników i śmiało stawia czoło burzy, którą ten wypadek rozpętał wśród posłów robotniczych w Parlamencie. Jako uznana już postać frontowa w gabinecie, Asquith a nie kto inny występuje w r. 1894 imieniem rządu z ustawą o zniesieniu przywilejów Kościoła angli-

kańskiego w dyssydenckiej Walji, i wtedy to za zbyt wielkie rzekomo odszkodowania dla duchownych anglikańskich gwałtownie go atakuje młody poseł walijski, Lloyd-George, który później w tak pamiętnych okolicznościach miał najpierw z Asquithem współdziałać, a potem go obalić.

3.

Minął wreszcie zachód słońca gladstońskiego, i po krótkich rządach lorda Rosebery następuje dziesięcioletnia era konserwatywna. Asquith znowu, jak na samym początku swej karjery parlamentarnej, znajduje się na ławach opozycji. I teraz swoiste jego stanowisko w obrębie obozu liberalnego zarysowuje się wyraźnie i ostatecznie. Konserwatyści już od triumfów polityki zagranicznej Disraelego znaleźli źródło siły dla swej partji w wielkich hasłach imperjalistycznych, i tym hasłom teraz potężna indywidualność Józefa Chamberlaina dodaje nowego blasku. Asquith głębiej od innych liberałów zrozumiał, że wobec wspaniałego rozrostu Imperjum tradycyjna anty-imperjalistyczna polityka liberalizmu stała się przestarzałą, że trzeba się z konserwatystami na patrjotyzm imperjalny licytować — i staje na czele zdecydowanie imperjalistycznego skrzydła partji liberalnej. W partji o mało nie dochodzi do zupełnego rozłamu: podczas wojny boerskiej gorętsi doktrynerzy z pośród liberałów głośno domagają się uznania „zupełnej niepodległości“ Transvaalu. Asquith niezachwianym imperjalistą pozostaje już na zawsze: oświadcza stanowczo, że „o przywróceniu republikom boerskim dawnego ich stanowiska politycznego mowy być nie może“ i organizuje liberałów podobnie myślących w osobną Ligę.

Ale i on przy całej swej silnej wierze w mocarstwowe przeznaczenie Anglji nie z każdą formą imperjalizmu się solidaryzował. Jest jedna podstawowa zasada gospodarcza liberalizmu, której Asquith nigdy się nie sprzeniewierzył, a tą jest w o l n y h a n d e l. To też gdy Chamberlain w najpamiętniejszem swem wystąpieniu 15 maja r. 1903 rzucił gromkie hasło światowej unji celnej krajów brytyjskich, Asquith bez wahania jednoczy na nowo cały obóz liberalny pod sztandarem walki o stare liberalne *palladium* wolności handlu. Przez półtora roku krok w krok za Chamberlainem podąża po estradach wiecowych w kraju i zwalcza go całym zasobem swej rozległej wiedzy, całem ostrzem swego logicznego rozumowania. Upadek

tezy Chamberlaina w opinji ogółu narodu jest w znacznej mierze dziełem Asquitha; a upadek ten był tak zupełny, że nigdy odtąd aż po dziś dzień, nawet w opresji przesilenia ekonomicznego po wojnie, cła ochronne w Anglji popularnem i zwycięskiem hasłem stać się już nie zdołały.

4.

Wybiła nareszcie na nowo godzina liberałów, a z nią nadeszło południe w karjerze politycznej Asquitha. Wybory r. 1906 wprowadzają do Izby gmin potężną większość liberalną, ramię przy ramieniu z jej świeżo wyodrębnionym aljantem, Partją Robotniczą. Liberalizm, powracając po długiej przerwie do władzy, po raz pierwszy w historji otwarcie i oficjalnie adoptuje postulaty ustawodawcze sprzymierzonego z nim socjalizmu, a więc kierunku jak najgłębiej odmiennego w zasadniczych swych dogmatach od starych liberalnych poglądów na państwo. Liberalizm w zaraniu XX wieku pod wpływem socjalistycznego sprzymierzeńca przybiera tak gruntownie nową postać, jak sto lat przedtem stary szlachecki whigizm, gdy pod tchnieniem rewolucji francuskiej przekształcił się w klasyczny mieszczański liberalizm XIX stulecia.

I tej nowej, etatystyczno-socjalistycznej fazie historycznej liberalizmu angielskiego sądzonem jest patronować Asquithowi, z przekonań i temperamentu liberałowi najrdzenniejszego starego typu — zupełnie jak niegdyś Gladstonowi, temu wcieleniu ideologji liberalnej, wypadło uczynić pierwsze kroki na polu wyraźnie już kolektywistycznego ustawodawstwa. Tu zaiste po raz pierwszy w tak świetnej i prostolinijnej dotąd karjerze Asquitha poczyna działać czynnik ironji losu. W rządzie Campbell-Bannermanna obdarzony teką skarbu, już w dwa lata później wskutek choroby i śmierci premjera zajmuje po nim miejsce naczelne. W sile wieku i pełni doświadczenia, w 56 roku życia staje u szczytu władzy. Gwiazda jego jest w zenicie. I oto w tym zenicie właśnie gwiazda ta blednąć poczyna przed wschodzącą gwiazdą własnego jego ministra skarbu, Lloyd-Georgea. Lloyd-George staje się rzeczywistym sternikiem, który ostatecznie kieruje nawę państwową pod flagą liberalną na bystre flukta radykalnego ustawodawstwa społecznego; Asquith stoi na pomoście kapitańskim w majestacie formalnej władzy, ale nie on decyduje o kursie okrętu.

5.

Z piorunującą szybkością idą po sobie radykalne reformy Lloyd-Georgea: państwowe ubezpieczenie na starość i od bezrobocia i szereg innych ustaw o opiece społecznej, a w parze z niemi olbrzymie nowe podatki. Wybucha konflikt z Izbą Lordów, która w r. 1909 zdobywa się na krok niesłychany w nowszych dziejach angielskich: odrzuca budżet. Wybory w r. 1910, przeprowadzone wśród niezwykłego roznamiętnienia, sprowadzają większość liberalną do równego poziomu z opozycją konserwatywną i czynią rząd całkowicie zależnym od poparcia sojuszników irlandzkich i robotniczych. Mimo to Asquith w rozpoczętej walce z Izbą Lordów nie ustaje i wśród niebywałego zamieszania konstytucyjnego kończy ją zwycięstwem przez *Parliament Bill* w r. 1911 — najbardziej stanowczą w ostatnich dziesięcioleciach zmianę konstytucji angielskiej. Celem ostatecznego obezwładnienia Izby Lordów Asquith użył tej samej broni, co w r. 1832 lord Grey celem przeprowadzenia pierwszej demokratycznej reformy wyborczej: wyjednał od króla obietnicę zamianowania *ad hoc* tylu lordów, by projekt rządowy zyskał większość w Izbie wyższej. Tej profanacji swego dostojnego zgromadzenia przez zgraję nowych przybyszów uląkł się ogół lordów, i Asquith zwyciężył: ale konserwatywni przeciwnicy, dotąd dla niego osobiście zawsze pełni szacunku i kurtuazji, długo mu osobiście nie mogli przebaczyć wciągnięcia „nowego i niedoświadczonego króla" (Jerzego V) w konflikt konstytucyjny.

Nietylko ta jedna przykrość zresztą dręczy w tych latach premjera Anglji: zatruwają mu życie z dnia na dzień aktami sabotażu i buntu sufrażetki, walczące o prawo wyborcze dla kobiet. Asquith jest mu przeciwny; ale w tej sprawie sam rząd i stronnictwo rządowe w Izbie dzielą się na dwa obozy, i stanowi ona stały a potężny ferment w życiu politycznem ostatnich lat przedwojennych.

Mimo takich trudności Asquith z niezachwianą pewnością siebie kroczy dalej drogą programowych reform liberalnych. Na pierwszy plan wśród nich teraz, gdy rząd po wyborach r. 1910 zależy od 71 głosów irlandzkich w Izbie, wysuwa się nieustająca od czasów Gladstona zmora wewnętrznej polityki angielskiej: zagadnienie samorządu irlandzkiego. Asquith postanawia nareszcie dać parlamentarny samorząd Irlandji jako jednolitej całości. Ale Irlandja jednolitą całością nie jest:

protestanckie i uprzemysłowione hrabstwa ulsterskie, zamieszkałe przez kolonistów angielskich i szkockich, do Irlandji katolickiej, celtyckiej i rolniczej należeć nie chcą. Z ust Edwarda Carsona rozlega się groźne hasło z przed lat trzydziestu: *Ulster will fight, and Ulster will be right.* Asquith jest zdecydowany użyć przemocy celem odłączenia od Anglji ludności, co przy Anglji pozostać pragnie! Armja burzy się przeciw temu pomysłowi: Asquith sam obejmuje portfel spraw wojskowych. Interwencja króla samego okazuje się bezskuteczną, i Anglja zdaje się być w przededniu wojny domowej, gdy wybuchła wojna światowa i jej gromy przygłuszają spory wewnętrzne. Widoki na zaprzątnięcie Anglji wojną domową w Irlandji były jednym z powodów, które skłoniły Niemcy do rozpoczęcia wojny z Francją w r. 1914. Gdyby nie wybuch wojny światowej, byłoby może doszło w Wielkiej Brytanji do katastrofy wewnętrznej. W każdym razie liberalne doktrynerstwo Asquitha byłoby się prawdopodobnie załamało o trudne i zawiłe warunki rzeczywistości irlandzkiej. Ale los, który go minął w dziedzinie polityki wewnętrznej, niebawem go dosiągł z jeszcze tragiczniejszą siłą na arenie polityki światowej: wielka wojna rychło przyniosła ostateczny jego upadek z wyżyny władzy.

6.

Asquith nigdy nie był utopijnym pacyfistą, jak niektórzy z jego najbliższych przyjaciół w obozie liberalnym — filozof Haldane lub literat Morley. Do Niemiec mówił językiem pojednawczym nawet wtedy jeszcze, gdy między obu krajami już panowało silne napięcie dyplomatyczne: ale zbrojeń, szczególnie morskich, przeciwko pacyfistom bronił i do rozluźnienia sojuszu z Francją przez germanofilów angielskich nie dopuszczał. Od roku 1908 przewodniczył w Radzie Obrony Imperjum *(Committee of Imperial Defence)* i układał z nią plany mobilizacji, transportu oraz współpracy wojsk lądowych z flotą. Z myśli o udziale Anglji także w operacjach lądowych w razie wielkiej wojny europejskiej — wbrew fantastycznym projektom rezygnacji z takiego udziału rzucanym przez innych wybitnych liberałów — sam nie rezygnował nigdy. Teraz, gdy do wojny doszło, wziął na siebie ciężar jej prowadzenia z tą samą spokojną stanowczością, z jaką trwał u władzy w czasie gwałtownych burz domowych przez ostatnie lata poprzednie. Zamianowawszy Kitchenera ministrem wojny,

sam z innymi ministrami w pierwszych miesiącach wojny niestrudzenie pracował nad podtrzymaniem ducha kraju, akcją werbunkową i organizacją zaopatrzenia wojsk. Kraj zrazu słuchał go z uznaniem: socjalistyczne głosy protestu przeciwko wojnie rychło ucichły. Ale niebawem widnokrąg zasnuwa się czarnemi chmurami: starzy zawodowi żołnierze armji werbowanej, a u ich boku kwiat młodzieży angielskiej, co wyruszył w pole w charakterze ochotnika, giną ławą w straszliwych bitwach pierwszego roku wojny: coraz częściej odzywają się głosy, że przyczyną tych okropnych strat jest niedostateczne zaopatrzenie armji w amunicję i zdecydowana w tym względzie wyższość Niemiec. Metody pracy rządu Asquitha okazują się zbyt powolnemi wobec straszliwego nacisku wymagań wojennych. Asquith musi się zgodzić na rekonstrukcję gabinetu na zasadzie koalicji wszystkich stronnictw: długoletni jego dostojny antagonista konserwatywny Balfour, szef opozycji, zasiada — rzecz niebywała w praktyce konstytucyjnej angielskiej! — obok premjera na ławie rządowej, a z nim kilku innych konserwatystów, nawet zagorzały przeciwnik Asquitha w sprawie irlandzkiej, Ulsterczyk Edward Carson. W nowym rządzie Lloyd-George zajmuje nowo stworzone stanowisko „ministra uzbrojenia“ *(Minister of Munitions)*, i tu zaczyna się ta jego rola „organizatora zwycięstwa“, która pozostanie może ostatecznym jego tytułem do chwały historycznej. Olbrzymim wysiłkiem tworzy przez przebudowę całego szeregu przemysłów krajowych naprawdę wielki przemysł amunicyjny, i w latach 1916—17 Anglicy na krwawych polach Francji zaczynają nareszcie w tym względzie dorównywać Niemcom. Kolega Lloyd-Georgea, minister wojny lord Derby, wydobywa z kraju coraz nowe zastępy żołnierza ochotniczego, a wreszcie sam Asquith nakładem całej swej powagi, wbrew opozycji Irlandczyków i Partji Robotniczej, przeforsowuje przez Parlament powszechny obowiązek służby wojskowej — rzecz w dziejach Anglji niesłychaną, a w danej strasznej chwili historycznej dla ratunku sprawy koalicyjnej nieodzowną.

Ale i te wielkie gesty nie wystarczają: w r. 1916 padają hekatomby żołnierza nad rzeką Somme, bitwa morska na wodach jutlandzkich nie staje się bynajmniej drugim Trafalgarem, w Dardanelach beznadziejnej ofensywy zaprzestano, w Mezopotamji kapitulowały wojska angielskie, w Irlandji wybuchło zbrojne powstanie przeciwko Anglji, Rumunję zagarniają Niemcy. Komuż opinja narodu przypisze winę ta-

kiego łańcucha niepowodzeń jak nie rządowi? Rozlegają się coraz donośniej narzekania na ociężałość i powolność machiny rządowej: wreszcie Lloyd-George frontowym atakiem i własnem ustąpieniem zmusza Asquitha do rezygnacji, i po kilku dniach zamętu zasiada sam na fotelu premjera, który miał opuścić dopiero w cztery lata po zwycięstwie.

7.

Rezygnacją w r. 1916 przodownicza rola Asquitha w polityce angielskiej właściwie się zakończyła. Zasiadając teraz wraz ze swym dawnym ministrem spraw zagranicznych, lordem Greyem, na ławach opozycji, przez dalsze lata wojny, jak przystało na patrjotę, lojalnie współpracuje z rządem, ale niczem wybitnem do prowadzenia wielkiej polityki wojennej się nie przyczynia. Przy wyborach w r. 1918, przeprowadzonych pod gwiazdą największych powodzeń Lloyd-Georgea, Asquith traci nawet swój mandat z okręgu *East Fife*, piastowany od lat 32. Odzyskał go w roku 1920, ale znowu tylko na czas krótki. Wracał do Parlamentu, w którym już Partja Robotnicza wzięła liczebnie górę nad liberałami, i stare jego stronnictwo po raz pierwszy w historji było zepchnięte do roli czynnika drugorzędnego. Tylko wielkiej powadze osobistej Asquitha liberali mieli do zawdzięczenia, że w tym roku jeszcze on, a nie przywódca Partji Robotniczej, został uznany jako oficjalny szef opozycyjnej strony Izby. Jako taki z całą swą dawną stanowczością prowadzi kampanję przeciwko wszystkim tym oportunistycznym matactwom, przez które Lloyd-George sztucznie przedłuża żywot wojennego rządu koalicyjnego na pierwsze lata powojenne i utrzymuje się przy władzy. W biegunowem przeciwieństwie do demagogicznej taktyki „czarodzieja walijskiego" Asquith przemawia głosem najlepszych tradycyj angielskich, domagając się bezustannie powrotu do zasad w polityce. Ale w końcu nie on, lecz konserwatywny przywódca Bonar Law ostatecznie obala Lloyd-Georgea w imię ideowości moralnej życia politycznego; i nie liberali, lecz konserwatyści obejmują przy wyborach roku 1922 spadek po rządach koalicji. Dekadencja liberalizmu staje się faktem oczywistszym niż kiedykolwiek: naprzeciwko zwycięskiego zastępu konserwatystów stoi potężny hufiec przeszło 150 członków Partji Robotniczej, a liberałów mniej niż stu. Co gorzej, liberali pozostają podzieleni na dwa obozy, jeden

skupiony wkoło Asquitha, drugi wkoło Lloyd-Georgea, i tę obozy mają nawet swoje odrębne organizacje partyjne. Jakby pieczęcią, położoną przez ironicznego ducha historji na losach wielkiego niegdyś stronnictwa liberalnego, jest fakt, że tym razem już Partja Robotnicza bez sprzeciwu i wątpliwości wstępuje w rolę naczelnego stronnictwa opozycyjnego, i Asquith, przyzwyczajony od tylu lat do pierwszego miejsca czy to w „rządzie Jego Królewskiej Mości", czy w „opozycji Jego Królewskiej Mości", musi to miejsce ustąpić wodzowi Partji Robotniczej, młodszemu od siebie Mac Donaldowi.

8.

Zaiste „chwila dziwnie osobliwa" w dziejach partyjnego ustroju Anglji! Jakiś czas zdawać się mogło, że nie oznacza ona degradacji liberalizmu, lecz przeciwnie faktyczne wzmocnienie jego stanowiska w Izbie. Bywały wszakże już okresy, gdy prócz obu głównych stronnictw istniała w Parlamencie jakaś trzecia grupa, niezbędna rządowi jako „języczek u wagi" i przez to właśnie zdolna narzucić mu swą wolę. Taką grupą byli przed laty w Parlamencie Irlandczycy i jako taka niejednokrotnie zmuszali rząd i Izbę do zajmowania się kwestją irlandzką. Taką grupą istotnie stali się teraz liberałowie — ale na czas krótki tylko. Nowy konserwatywny premjer Baldwin — może w nadmiarze tej uczciwości politycznej, która jest zasadniczą cechą jego charakteru — odważył się w jesieni r. 1923 na wybory pod starem hasłem ceł ochronnych jako środka zaradczego przeciw klęsce bezrobocia. Hasło to zawsze niepopularne u mas angielskich, bo zawiera w sobie groźbę podrożenia życia. To też zjednoczyło ono odrazu liberałów z pod znaku Lloyd-Georgea z liberałami z pod znaku Asquitha pod wspólną starą liberalną flagą wolności handlu, i liberali wyszli z wyborów w sile przeszło 150 posłów. Byli teraz, jak publicznie stwierdził Asquith, panami sytuacji politycznej, bo przystąpienie ich do bloku z Partją Robotniczą obalało automatycznie rząd konserwatywny, a z drugiej strony rząd robotniczy bez nich obejść się nie mógł, gdyż sam rozporządzał w Izbie mniejszą ilością głosów niż partja konserwatywna.

Liberali wyzyskali swą korzystną pozycję w całej pełni. Poparli wniosek Partji Robotniczej o votum nieufności dla rządu Baldwina, i stanęli obok nowego robotniczego rządu Mac Donalda jako niezbędni sojusznicy. Odwróciła się w kalejdo-

skopie historycznym w zdumiewający naprawdę sposób sytuacja z r. 1906: wtedy rząd liberalny z nieodzownym socjalistycznym aljantem u boku zmuszony był pod jego naciskiem wstąpić na drogę socjalistycznych reform ustawodawczych, — obecnie pierwszy w historji angielskiej rząd socjalistyczny skrępowany jest w swym rozmachu ustawodawczym przez wzgląd na konieczne w każdym wypadku *placet* liberalnego sprzymierzeńca.

To też rządy Mac Donalda zawiodły wszystkie nadzieje socjalistów w kraju na gruntowną przebudowę ustroju społecznego i czarodziejską odmianę ciężkiej sytuacji gospodarczej, i dni ich mimo niespodzianych sukcesów samego Mac Donalda na trudnym gruncie polityki zagranicznej rychło były policzone.

Ale i triumf taktyczny liberałów nie mógł trwać dłużej niż władza samego rządu, który od ich poparcia zależał. Asquith przez cały czas panowania Mac Donalda dyskretnie, ale wyraźnie dawał mu uczuć tę zależność, popierając go w rzeczach ważnych, a od czasu do czasu dopuszczając umyślnie do głosowania liberałów przeciwko rządowi w sprawach drugorzędnych. Nadeszła jednak wreszcie chwila, w której hufiec liberalny w kwestji zasadniczego znaczenia musiał w imię swej ideologji znaleźć się w opozycji do rządu. Gabinet Mac Donalda pod presją swej skrajnej lewicy przyznał bezkarność rewolucyjnemu redaktorowi komunistycznego dziennika „Tygodnik robotniczy“ *(Workers'Weekly):* w tej rzeczy już liberali sami stawiają wniosek krytyczny, przeciwko rządowi wymierzony, i głosowanie nad nim jednoczy konserwatystów z liberałami przeciwko rządowi socjalistycznemu.

Następuje upadek rządu Mac Donalda, gotujący się zresztą już od miesięcy. Nagromadzone w masach rozczarowanie i zniechęcenie przy wyborach znajduje oczywisty wyraz w przygniatającem zwycięstwie partji konserwatywnej: ale traci na nich nie tyle ich przeciwnik socjalistyczny, ile przedewszystkiem strona trzecia — liberali. Ten sam Asquith, który w roku 1906 był uczestnikiem niebywałego w dziejach zwycięstwa wyborczego swej partji, teraz doczekał się niebywałej w dziejach jej klęski. Stronnictwo liberalne wychodzi z wyborów r. 1924 zredukowane do garstki czterdziestu zaledwie posłów w Izbie Gmin. Sam Asquith traci swój mandat na rzecz kandydata socjalistycznego, i po krótkim namyśle przyjmuje ofiarowane mu przez króla miejsce w Izbie Lordów, czyli prze-

chodzi z honorem w stan spoczynku politycznego. Krótka, wykwintna, spokojna i dobrodusznie żartobliwa mowa, którą wśród ogólnego roznamiętnienia obalił rząd Mac Donalda, była ostatniem jego słowem w tej Izbie Gmin, której przez lat blisko czterdzieści był ozdobą.

9.

Obsypany zasłużonemi zaszczytami, nowy hrabia Oxfordu — *Earl of Oxford and Asquith*, — niebawem rycerz Orderu Podwiązki i honorowy obywatel miasta Londynu, — zajmuje stanowisko przywódcy dostojnego grona lordów liberalnych w Izbie wyższej. Mimo sędziwych lat, i w tem wytwornem zaciszu raz jeszcze z dawną swą energją występuje: gdy naród postawiony jest nad brzegiem przepaści przez strajk jeneralny roku 1926, lord Oxford w Izbie całym swym autorytetem popiera rząd konserwatywny w jego walce z widmem anarchji, a w krótkiej odezwie do rodaków zachęca ogół do wytrwania w tej męskiej postawie, jaką przeciwko tyranji związków robotniczych zajął. I przy tej sposobności znowu, jak już nieraz, w całej plastyce uwydatniła się różnica między dwoma przywódcami liberalizmu: gdy stary Asquith zaniechał w takiej chwili krytyki rządu, by wspólnie z nim bronić fundamentów praworządności, Lloyd-George właśnie w tym momencie wygłaszał dwulicowe oświadczenia i pisał artykuły do amerykańskich gazet, wyzyskując dramat ojczyzny jako efektowny materjał dziennikarski. Asquith jako senjor partji nie zawahał się spełnić moralnego obowiązku udzielenia swemu dawnemu rywalowi surowej nagany. Raz jeszcze rozgorzała walka między ich stronnikami w łonie partji. Szło o samo pojęcie etyki partyjnej i jej stosunku do dobra państwa: ale zwyciężył, jak to bywa, zręczniejszy i obrotniejszy strategik polityczny. Wprawdzie na kongresie partyjnym r. 1926 wyrażono lordowi Oxford pełne zaufanie jako przywódcy partji, ale i Lloyd-George został uwolniony od wszelkich zarzutów i wszelkiej krytyki. Z takiego stanu umysłów we własnym obozie sędziwy wódz liberałów wyciągnął z godnością właściwą konsekwencję, gdy wkrótce potem, w sam dzień ogłoszenia swych pamiętników politycznych [1], 14 października

---

[1] *Fifty Years of Parliament, by the Earl of Oxford and Asquith* (Londyn, Cassell, 1926, 2 tomy).

r. 1926, zrezygnował ze stanowiska przywódcy partji liberalnej. W niewiele miesięcy później, w lipcu r. 1927, grono jego przyjaciół, do którego należało także kilku wybitnych konserwatystów, jak lord Balfour i inni, w uznaniu faktu, że sterał wiek życia na bezinteresownej służbie publicznej i opuścił ją, jak ją rozpoczął, człowiekiem zgoła niebogatym, — złożyło się, by mu przez pokaźny dar pieniężny zapewnić dostatni byt na resztę dni. Z wszystkich honorów, jakie długie życie przyniosło lordowi Oxford, ten podarunek był może najwymowniejszem świadectwem jego arystydesowskiej prawości. Dziś, gdy z nim zstąpił do grobu jeden z ostatnich przedstawicieli starego typu angielskiego męża stanu, jednoczącego wysokie dostojeństwo moralne z klasyczną kulturą umysłową, można tylko gorąco pragnąć, by i w tych nowych formach, jakie z konieczności przybrało życie publiczne angielskie, nigdy ostatecznie góry nie wzięła sama tylko zręczność demagogiczna polityków zawodowych, by Anglja pozostała dla innych narodów wzorem prawdziwej wielkości ducha w polityce.

XIII.

ANGIELSCY MĘŻOWIE STANU NASZYCH DNI

Anglja zawsze była krajem czynu raczej niż refleksji: jest i w polityce ojczyzną znakomitych ludzi raczej niż świetnych programów. Prawie każdy wybitniejszy mąż stanu Anglji nowożytnej w ciągu życia zmienia partję, do której należy; niejeden w przełomowej chwili tragicznym gestem zwraca się przeciwko fundamentalnym zasadom swego stronnictwa: tak Sir Robert Peel, gdy w roku 1846, powstając z ław konserwatywnych, stawia pamiętny wniosek o zniesienie ceł zbożowych, tego muru ochronnego starej Anglji ziemiańskiej; tak samo Benjamin Disraeli w r. 1867, gdy z tych samych ław konserwatywnych czyni, jak się sam wyraził, „skok w ciemność", żądając rozszerzenia prawa wyborczego na masy robotnicze miast przemysłowych. To też przy ocenie męża stanu Anglik nie kieruje się jego konsekwencją w stosunku do jakichś idej, lecz nadewszystko jego konsekwencją w stosunku do samego siebie. Rzec można, że Anglja za naczelne godło postępowania politycznego obrała te słowa, w których u Shakespeara w „Hamlecie" sędziwy Polonjusz streszcza wszystkie nauki, dane synowi na drogę żywota:

„A nadewszystko, bądź wierny sam sobie!" (akt I, sc. 3).

Z postępami w demokratyzacji ustroju parlamentarnego w nowszych czasach poseł staje się coraz więcej mandatarjuszem partji, a coraz mniej wyrazicielem opinij osobistych; wyborca, jak u nas na numer listy, tak i w Anglji głosuje raczej na pewną politykę niż na danego człowieka. Mimo to jednak w tym cudownym mechaniźmie politycznym, jakim jest parlamentaryzm angielski, nadal na czoło wielkich partyj wybijają się ludzie obdarzeni wrodzonym talentem do rządzenia. Zmienił się tylko w tych nowszych warunkach typ angielskiego polityka: indywidualności są po dawnemu silne. Tę zmianę typu człowieka, przodującego w angielskiem życiu politycz-

nem, chcę ilustrować kilku przykładami z pośród żyjących mężów stanu naszej ery [1].

I.

Polityk angielski starego typu, jakim go znała Europa w ubiegłem stuleciu, łączy nieubłaganą stanowczość w przestrzeganiu interesów Imperjum Brytyjskiego z wysoką kulturą towarzyską i oratorską, a zazwyczaj także filozoficzną i literacką. Spokojny, chłodny i wykwintny, gardzi wszelką demagogją. W polityce zagranicznej zawsze jest imperjalistą, wierzy, jak w Boga, w mocarstwową misję Anglji. W polityce wewnętrznej zaś, czy należy do jednego czy drugiego z wielkich historycznych stronnictw, — czy jest konserwatystą, czy liberałem, — zawsze usiłuje taktykę dnia uzasadnić hasłami wyższemi i stałemi; stara się rzucić swe działania na tło tradycyjne, ideowe, kulturalne, skojarzyć je z jakąś filozofją historji.

Najwyższym tego dawnego typu przedstawicielem w dzisiejszej jeszcze Anglji jest nestor brytyjskich mężów stanu i — jak słusznie o nim mówią— największy *gentleman* wśród żykomitego rodu Cecilów, który już za królowej Elżbiety dał Anglji kanclerza. Karjera polityczna Balfoura rozpoczyna się jących polityków, 80-letni lord Balfour. Pochodzi ze znaw głębi historji XIX wieku, na kongresie berlińskim w r. 1878, na którym młody siostrzeniec markiza Salisbury zdobywa ostrogi dyplomatyczne. Doświadczenia administracyjnego nabywa później w ogniowej szkole problemów irlandzkich. W Parlamencie zostaje przywódcą konserwatystów, czyli, jak się już wtedy woleli nazywać, unjonistów. Z początkiem naszego stulecia (1902—5) jest premjerem z ich ramienia, potem znowu ich przywódcą jako „opozycji Jego Królewskiej Mości". Podczas wojny zasiada w gabinecie koalicyjnym Lloyd-Georgea jako minister spraw zagranicznych i pozostaje nim do roku 1919. Laury zbiera jeszcze w sędziwych latach na kongresie washingtońskim w sprawie ograniczenia zbrojeń morskich w r. 1920. Dziś piastuje najwyższą godność honorową w Anglji: jest lordem prezydentem Tajnej Rady Królewskiej. Jest ponadto autorem cenionych dzieł filozoficznych [2] i doktorem

---

[1] Korzystam przytem z doskonałej galerji portretów literackich, jaką dał Rudolf Kircher w książce *Engländer* (Frankfurt a. M., Societäts-Druckerei, 1926).

[2] Por. „Kwartalnik filozoficzny", Kraków 1923 (R. Dyboski, „Balfour jako myśliciel").

honorowym wielu uniwersytetów, wśród nich i Wszechnicy Jagiellońskiej.

Podstawą tej umysłowości, jak wogóle umysłowości angielskiego męża stanu starej szkoły, jest wysoka k u l t u r a k l a s y c z n a. Balfour nabył ją w starem akademickiem Cambridge. Dziś jeszcze słowa Arystotelesa lub Tacyta same się cisną lordowi Balfourowi na usta, gdy ma wyrokować o sprawach bieżących. Pisarze starożytni zrobili go niegdyś z młodzieńca mężem: ich doświadczeniem bogaty, wstępował w życie czynne. W imię ich naczelnego hasła — hasła u m i a r u we wszystkich rzeczach — powstrzymał wielkiego człowieka własnej partji, Józefa Chamberlaina, od narzucenia Anglji ceł ochronnych w r. 1903; w imię tego samego umiaru przyczynił się w czasie wojny do obalenia Asquitha za dążenie do przedwczesnego pokoju; w imię umiaru wreszcie przyłożył rękę po wojnie do obalenia własnego byłego szefa w gabinecie, Lloyd-Georgea, za sztuczne utrzymywanie przy życiu wojennej koalicji stronnictw przez intrygi i niegodne sztuczki polityczne.

Lord Balfour, twórca nowych porozumień powojennych, wychodzących poza ramy dawnej Ententy, od pięćdziesięciu z górą lat swej karjery parlamentarnej pozornie całą, dotąd niesłabnącą siłę ducha wkłada w wielkie kombinacje międzynarodowe i wielkie debaty parlamentarne: w rzeczywistości jest wyniesionym ponad to wszystko filozoficznym obserwatorem, jest mistrzem życia po olimpijsku bezinteresownego i wolnego od namiętności i od uniesień aż do nieludzkości prawie. Ten wielki mąż stanu nie jest politykiem z zawodu i powołania, lecz dla tradycji rodzinnej i z poczucia obowiązku stanowego. Nigdy się też zbytnio nie przejmuje tą polityką, która wypełnia jego egzystencję i absorbuje energję. Przez to beznamiętne traktowanie rzemiosła polityka Balfour staje się wzorem wysubtelnienia i uduchowienia najbrutalniejszych impulsów czynnego życia społecznego; podnosi w ten sposób moralny i kulturalny ton walki politycznej; z wyżyn swojego klasycznego rozumu widzi proste linje i jasne kształty w chaosie i zawiłości dzisiejszego życia, i umie je wskazać; idealnie upraszcza problemy i przez to toruje drogę do ich rozwiązania.

Ale w tej wyższości jest i słabość. Umysł tak wykwintny z konieczności reprezentuje w polityce typ wybitnie arystokratyczny, mało zdolny do prawdziwej sympatji z dążeniami, ożywiającemi masy. Jego najcharakterystyczniejszą postawą duchową pozostaje krytyczny sceptycyzm wobec wartości i sta-

łości głoszonych powszechnie ideałów, wreszcie wobec samej wartości stanowczego czynu. W rezultacie polityk o typie Balfoura jest naogół mało produktywny, choć stanowi wielką siłę moralną w atmosferze swej epoki. Jako wymowny przykład tego „idealizmu bez entuzjazmu" wystarczy przytoczyć cały stosunek Balfoura do sprawy syjonistycznej: szlachetną intuicję dla walorów moralnych syjonizmu, zamanifestowaną w sławnej „deklaracji Balfoura", a potem tak niezdecydowany ciąg dalszy.

I jedno jeszcze: umysł o tej wysokości myślenia zna także dobrze swoje granice; z tym samym krytycznym sceptycyzmem i tą samą wzniosłą ironją, jak do rzeczy otaczającego świata, odnosi się i do samego siebie. Stąd ujmująca skromność, która cechuje zarówno dialektykę parlamentarną Balfoura, jak i jego styl jako pisarza filozoficznego: skromność prawdziwie wielkiego ducha. Ale skromnością się w dzisiejszym świecie politycznym popularności nie zdobywa!

2.

Biegun przeciwny w porównaniu z majestatem i wykwintem polityków o typie akademickim reprezentuje największy demagog dzisiejszej Anglji, Dawid Lloyd-George. Pochodzi z ubogiej rodziny w prowincjonalnym zakątku Walji, nie ma wykształcenia uniwersyteckiego, jest solicytatorem adwokackim z zawodu, a politykiem z powołania. Od 27 roku życia zasiada w Parlamencie bez przerwy już przez lat blisko czterdzieści. W rządzie liberalnym po roku 1905 jest zrazu ministrem handlu, później jako minister skarbu staje się autorem epokowych ustaw o ubezpieczeniu społecznem i łamie opór Izby Lordów przeciwko nim przez zniesienie jej prawa *veto.* Podczas wojny jako minister zbrojeń, a później minister spraw wojskowych organizuje przemysł amunicyjny i przez to kładzie podwaliny pod zwycięstwo. Obaliwszy Asquitha, zostaje premjerem, jako premjer Wielkiej Brytanji uczestniczy w historycznej konferencji wersalskiej i nieprawdopodobnym wprost sposobem utrzymuje się przy władzy aż do roku 1922. Z kolei przechodzi do przewodnictwa liberałów jako opozycji, ale potężna jego indywidualność rozsadza tę upadającą partję. Dziś politycznie odosobniony, niewątpliwie jednak powołany jest odegrać jeszcze rolę znaczną. Genjalny bowiem z niego taktyk parlamentarny i poza-parlamentarny, znako-

mity organizator, a przytem doskonały mowca, zawsze pełny nieocenionego humoru, tak drogiego sercu Anglika. Wymowa jego ma styl wybitnie wiecowy, ale ten właśnie trafia także do zdemokratyzowanej w naszych czasach tak gruntownie Izby Gmin. Ponadto wszystko zawsze żywy jak ogień, ruchliwy umysł Lloyd-Georgea obdarzony jest całą bujną fantazją, właściwą rasie celtyckiej. Wreszcie ujmuje Lloyd-George ludzi czarującym urokiem osobistym w obejściu: nie darmo zowią go „czarodziejem walijskim" — *the Welsh wizard*.

Polityka, jak powiedział ponoś już Arystoteles, jest „sztuką robienia rzeczy możliwych". Polityka angielska w szczególności jest szeregiem urabianych mozolnie kompromisów między zasadami zachowawczemi a reformatorskiemi. W przeciwieństwie do tej stałej kompromisowości działań politycznych angielskich Lloyd-George reprezentuje wybujały egotyzm wybitnej indywidualności. Jeżeli sędzia angielski może mówić: „Prawem jest to, co sąd orzeka", — to tak samo Lloyd-George zdaje się głosić: „Polityką jest to, co ja robię". „Partja liberalna, to ja", mówi przed wojną, narzucając liberałom ustawodawstwo *de facto* socjalistyczne. „Zwycięstwo, to ja" — w tę dewizę każe narodowi wierzyć w czasie wojny. „Koalicja, to ja", dowodzi wciąż na nowo po wojnie. „Liberalizm, to ja", mówi znowu dziś, jak na początku karjery. Jego mowa rektorska, jako honorowego rektora Uniwersytetu w Edynburgu w r. 1923, „o polityku", jest zuchwałą apoteozą samego siebie. Nigdy mu nie chodzi o ideały, o zasady, nawet o partję, — zawsze tylko o to, by stworzyć większość i móc działać. Jest uosobieniem i skrajnym przedstawicielem typowo angielskiej niechęci do wszelkiego doktrynerstwa, wszelkiego abstrakcyjnego rozumowania: to poniekąd tłumaczy jego dawniejszą popularność. Ta niezależność od tradycji politycznej dała mu też siłę w godzinie próby i doświadczenia, w krytycznych latach wojny, gdy trzeba było śmiało wyjść z kręgu dawnych szablonów i wkroczyć na nowe i niebywałe drogi organizatorskie. Jego zwycięstwo nad Asquithem jest wielkim symbolem całego dziejowego procesu odnowienia metod politycznych. Tu szczyt jego karjery, tu zarazem ostateczność, z której już wycofać się nie można na żadną pozycję polityczną równie wzniosłą a zarazem stałą. To też dalsza jego karjera po wojnie, to już samo kluczenie i same matactwa, aż wreszcie moralny zmysł narodu buntuje się przeciw temu cynizmowi i strąca go z wyżyny władzy. Instynkt narodu odróżnił, że w tem stadjum

już chodziło o władzę dla władzy, a nie o władzę dla czynu. Wielki reformator socjalny z przed wojny, „organizator zwycięstwa“ z czasów wojny, pozostał jedynie zawodowym politykiem — bez polityki, jakimś „królem Janem bez ziemi“, i dziś usiłuje sobie na nowo królestwo stworzyć: stara się skonstruować program nowego liberalizmu, rzuca raz wraz różne efektowne hasła, — jak państwowa elektryfikacja całego dobywanego z kopalń węgla [1], jak wskrzeszenie wsi i rolnictwa w Anglji na podstawie upaństwowienia własności ziemskiej. Kreśląc w ostatnich czasach wciąż na nowo rozległe projekty reformy stosunków rolnych, Lloyd-George powraca do natchnień politycznych swej młodości. Może i z sukcesów tej młodości przy niesłabnącym rozmachu swej ambicji coś odzyska [2]; nagromadzonych jednak przeciwko sobie antypatyj — przedewszystkiem u przedwojennych swych przyjaciół, socjalistów — musiałby pokonać bardzo wiele, gdyby miał znowu stać się przodującą postacią w angielskiej polityce wewnętrznej. A na arenie międzynarodowej jego program powojenny — program nam Polakom aż nazbyt boleśnie znany — germanofilstwo i walka dyplomatyczna z Francją — już dziś nie jest, i zapewne nigdy więcej w tej formie stać się nie może, programem Wielkiej Brytanji.

3.

Podobną do Lloyd-Georgea postacią jako potężna, wojująca indywidualność, jako polityk bez skrupułów i karjerowicz, jest Winston Churchill. I on ma w sobie, jak Lloyd-George, coś wulgarnego, choć pochodzi z arystokratycznej rodziny (książąt Marlborough). Wulgarny jest przez to, że nie boi się śmieszności i kompromitacyj, które też były jego udziałem częściej niż któregokolwiek z żyjących polityków. Wulgarny dalej jest przez tę prawie brutalną naturalność, z jaką

[1] Por. „Przegląd Współczesny“, Kraków, sierpień 1924 (R. Dyboski, „Węgiel a polityka“).

[2] Oficjalnie wprawdzie na czele stronnictwa liberalnego stoi obecnie Sir Herbert Samuel (dawny komisarz Palestyny). Ale niewątpliwie potędze osobistego działania Lloyd-Georgea w znacznej części zawdzięczać należy, że nieuchronny, zdawało się, proces upadku partji liberalnej uległ w ostatnich czasach widocznemu wstrzymaniu: z pięciokrotnych wyborów uzupełniających w różnych okręgach kraju w pierwszej połowie r. 1927 wyszło trzech kandydatów liberalnych, a dwóch socjalistycznych. Rząd konserwatywny nie wygrał ani w jednem miejscu.

reprezentuje typ rdzennie angielski, typ krewkiego John Bulla tradycji. Chce się o nim powiedzieć, że jest całe życie „starym chłopcem“ — *an old boy* — jak Mr. Pickwick u Dickensa: zawsze jak chłopiec gotów jest podejmować się rzeczy, na których się zupełnie nie rozumie. I często ma w ich przeprowadzeniu prawdziwie angielskie szczęście. Obecnie naprzykład jako minister skarbu bez większych boleści i wstrząśnień przywrócił funtowi parytet złoty, przetrzymał subsydja dla kopalń i najdłuższy strajk węglowy w historji, i doczekał się lepszej konjunktury w handlu i przemyśle niż kiedykolwiek dotąd panowała od czasów wojny [1]. I to udało się człowiekowi, który nigdy przedtem skarbowością się nie zajmował! Ale Winston Churchill był już prawie we wszystkich ministerstwach, we wszystkich kolonjach i dominjach, i wszędzie umiał zorjentować się szybko. Był na wojnie boerskiej i w niewoli u Boerów, po wyborach r. 1906 był po kolei wiceministrem dla kolonij, ministrem handlu, ministrem spraw wewnętrznych, marynarki, wreszcie podczas wojny ministrem zbrojeń po Lloyd-Georgeu, a po zawarciu pokoju ministrem spraw wojskowych. Cóż dziwnego, że kazawszy sobie wstawić łóżko do biura, po kilku miesiącach był znakomitym ministrem skarbu! Jest ponadto świetnym i płodnym dziennikarzem, w wolnych chwilach maluje, a jako pisarz walorami stylistycznemi swego świeżo ukończonego czterotomowego dzieła o wojnie światowej [2] obudził zdumienie i podziw całej krytyki literackiej angielskiej. Życie to, zaiste pełne rozmaitości doświadczenia, jak mało które, pełne jest także olbrzymiej, żelaznej pracy, której za motor służy impetyczny temperament. Winston Churchill z imponującą odwagą zawsze rusza szturmem na wszystkie

[1] Konjunkturą tą nie zachwiał nawet olbrzymi, 37-miljonowy deficyt w budżecie państwowym na rok bieżący — bo Winston Churchill umiejętnie osłabił wrażenie tego ciosu: prestidigitatorską prawie sztuką potrafił uniknąć i powiększenia podatków bezpośrednich — co najdotkliwiej odczułby przeciętny podatkowiec — i zmniejszenia kwoty na fundusz spłaty długów państwowych, co znowu zaszkodziłoby kredytowi Państwa. Mobilizując wszystkie inne resorty Skarbu i oddając się „zuchwałej ufności w miłosierdzie Boże“ co do perspektyw na dalszą przyszłość, sprawił, że o ogromnym deficycie opinja publiczna po krótkim alarmie zapomniała zupełnie.

[2] *The World Crisis.* Londyn, Thornton Butterworth. Tom I, 1911—1914 (wyd. 5). — Tom II, 1915 (wyd. 4). — Tom III i IV, 1916—1918 (wyszły w r. 1927, pierwsze wydanie wysprzedane w dniu publikacji, obecnie wyszło drugie).

zadania, jakie mu życie nasuwa. Bezskuteczny atak na Antwerpję i rozpaczliwie bezowocne, przewlekłe walki o skaliste wyżyny nad Hellespontem, — to jego dzieła wojenne: dzieła tragiczne swem katastrofalnem niepowodzeniem, ale brawurowe jak wszystkie jego poczynania. Z tą samą brawurą najchętniej porwałby był po wojnie i własny naród i całą Europę do walki z bolszewizmem przy pierwszej okazji. I dziś w gabinecie jest zawsze gorącym rzecznikiem frontowych ataków na wszystkie trudne problemy zarówno zagraniczne jak domowe: nie mogąc organizować krucjaty europejskiej przeciwko bolszewizmowi [1], prowadzi kampanję wiecową przeciwko bolszewikom angielskim i bezustannie głosi potrzebę „zjednoczonego frontu anty-socjalistycznego". Bo Winston Churchill jest nadewszystko indywidualistą do szpiku kości. Jak Lloyd-George, nie jest stworzony do ideowej wierności dla gotowych i ustalonych doktryn partyjnych: przeszedł w trakcie swej karjery od konserwatystów do liberałów i znowu z powrotem do konserwatystów, a właściwie nigdy nie przestał być przedewszystkiem i głównie — sobą samym.

Ta silna indywidualność w ostatnich czasach jakby słabnie — może przez wiek — przekroczył pięćdziesiątkę, — może przez zużycie olbrzymią pracą, może wreszcie przez dostosowanie do bezbarwnej konwencjonalności wysokiego towarzystwa angielskiego. A może jest jeszcze inna przyczyna: może i na nim, jak Lloyd-Georgeu, mści się ostatecznie brak jakiejś wielkiej moralnej idei, którąby jak dusza ożywiała całą tę kipiącą masę energji osobistej.

4.

Podobnym do Churchilla przez swój rdzennie angielski realizm, ale bynajmniej nie tak jaskrawym jako indywidualność jest dzisiejszy rządca Wielkiej Brytanji, premjer Stanley Baldwin. Posiada, jak politycy starego stylu, całą pełnię angielskiej kultury akademickiej: kończył sławną starą szkołę internatową w Harrow i Uniwersytet w Cambridge, i jeszcze jako premjer miał pełne wykwintnej erudycji klasycznej przemówienie na dorocznym zjeździe *Classical Associa-*

[1] Niewątpliwie zresztą najsensacyjniejszy wypadek w polityce zagranicznej brytyjskiej czasów ostatnich — dramatyczne zerwanie z Sowietami po rewizji w „Arcosie" — jest triumfem tego skrzydła gabinetu, któremu przewodzi popędliwy kanclerz skarbu.

tion[1]. Słynie jako wytrawny znawca i kolekcjoner pięknych obrazów. Mimo to daleki jest od typu owych starych akademickich polityków w rodzaju Balfoura lub Asquitha. Różni go od nich głęboko przedewszystkiem to jedno, że ma za sobą długi okres doświadczenia w administracji wielkiego przedsiębiorstwa przemysłowego — rodzinnego koncernu metalurgicznego *Baldwin Limited.* Dopiero podczas wojny wysunął się po raz pierwszy na front partyjnych szeregów konserwatywnych. Jednym z jego tytułów do uznania była olbrzymia ofiara pieniężna na cele państwa w czasie wojennym. Dziś w wieku lat sześćdziesięciu jest po raz drugi premjerem, ma za sobą „murowaną" większość parlamentarną, jakiej mu każdy rząd w Europie może pozazdrościć, jest niezmiernie popularny i coraz bardziej szanowany przez wszystkich[2].

Gdzie tajemnica tego nadzwyczajnego powodzenia? Baldwin meteorem nie jest. Zatriumfowała w jego osobie właśnie siła dobrej przeciętności, siła zbawczego zdrowego rozumu — *common sense* — tej solidnej angielskiej klasy średniej, z której wyszedł. Ta stateczna równowaga była balsamem kojącym dla zwichrzonego i targanego niepokojem powojennym społeczeństwa. „Dość mamy rządów wielkich ludzi", powiedział do mnie pewien uczony angielski w r. 1924, gdy wybory niosły

---

[1] Piękne to przemówienie pod tytułem „Klasycy a zwykły człowiek" ukazało się świeżo po polsku w lwowskim „Kwartalniku klasycznym" (rok 1927, zeszyt II, str. 81—91). Składa się z trzech rozdziałów pod wymownemi nagłówkami: „Polityczne znaczenie studjów klasycznych", „Wychowawcze znaczenie studjów klasycznych" i „Korzyści osobiste". Z wielu mądrych i cennych uwag przytoczmy choćby tylko te głęboko przemyślane i odczute słowa: „Głosy, przemawiające do nas poprzez śmierć i odrodzenie narodów, wzruszają każde pokolenie czasów nowożytnych, jak wzruszały tych, którzy mieli uszy do słuchania w Atenach i Rzymie; ale one dochodzą do nas z tem dostojeństwem i z tą mocą wzruszania, jakie są związane ze słowami tych, którychśmy kochali i utracili. Zagadnienia najgłębsze stawały przed nimi tak, jak stają przed nami. Im bardziej otworzymy dusze nasze na ich wezwanie, tem głębszą stanie się litość nasza dla biednej, potykającej się ludzkości, tem gorliwszy nasz wysiłek, by zacieśnić węzły między rodziną ludów, zamiast je rozluźniać!"

[2] Poczytna gazeta niedzielna *The Observer* w marcu 1927 rozpisała konkurs wśród swych czytelników na sześć najodpowiedniejszych przymiotników na określenie charakteru Mr. Baldwina. Ze zdumiewającą jednomyślnością głosy padły na epitety pełne szczerego szacunku: największą ilość kresek zyskały: *honest, sympathetic, patriotic, sincere, patient, honourable* i szereg im podobnych, wśród nich — *nota bene* — *English* i *British.* Nie brakło, dodajmy, i słowa *fortunate* (Numer z 20 marca 1927, str. 24).

powtórne zwycięstwo Baldwinowi. Po impulsywnym Walijczyku Lloyd-Georgeu, a potem znowu po egzaltowanym szkockim idealiście Mac Donaldzie, Anglicy z ochotą poddali się władzy Anglika, realisty jak oni sami, człowieka myślącego ich codziennemi kategorjami i obliczalnego dla ich psychiki. Baldwin jest prosty, bez śladu pozy deklamatorskiej, bez subtelności myślowych, których zwykły Anglik nie lubi. Prosty jest także w swej nieposzlakowanej prawości moralnej i szczerej uczciwości politycznej: jego ideałem, jak się sam wyraził, jest „polityk, co się stara spełniać wolę Bożą".

Baldwin reprezentuje w polityce owo stare a zawsze nowe hasło „powrotu do natury", tyle razy i w tak różnych już warunkach historycznych i kulturalnych z zapałem witane przez znużone społeczeństwa. O pierwszem po wojnie konserwatywnem ministerstwie złośliwy krytyk, powiedział, że mózgi w tym gabinecie „nie są pierwszej klasy". Bonar Law obronił swych ministrów słowami, że za to są to „charaktery pierwszej klasy". Bonar Law i jego gabinet poniekąd *mutatis mutandis* powtarzają się w Baldwinie i jego rządzie. Określenie, „choć nie mózg pierwszej klasy, ale charakter pierwszej klasy" z pewnością da się zastosować do takiego typowego ministra ery baldwinowskiej jak Sir Austin Chamberlain. Chociaż co do zdolności intelektualnych i politycznych może uchodzić zaledwie za cień swego wielkiego ojca, Józefa Chamberlaina — tak jak jest jego cieniem w swym wyglądzie zewnętrznym! — jednak te same co u Baldwina rzetelne walory charakteru w jego osobie słusznego doznały wynagrodzenia przez takie światowe sukcesy jak Locarno.

Baldwin dobrze rozumie, co stanowi jego siłę. Szwagier Rudyarda Kiplinga, wyznaje w swych mowach i pismach ten sam co tamten w swych poezjach i powieściach, szczery zapał dla starych i uznanych angielskich wartości siły woli i trzeźwej świadomości celów życiowych. Wyznaje także to samo co Kipling ukochanie spokojnej i nieefektownej zgoła, ale właśnie w tej prostocie niewymownie uroczej — sielskiej przyrody angielskiej. Dał tej miłości niejednokrotnie nawet pełny poezji wyraz w swych przemówieniach [1]. Najszczęśliwszy jest w zielonem wiejskiem zaciszu rodzinnego hrabstwa Worcestershire, na swym folwarku, pośród ulubionych... świnek rasowych, które hoduje i z których jest dumny. Wolny od gorączkowej

[1] *On England and other Addresses* (Londyn, Philip Allan, 1926).

ambicji, wolny także od wszelkiego fałszu i wszelkiej intrygi, jest jakby stworzony do zażegnania tych wielkich konfliktów społecznych, których ferment wciąż kipi w łonie wysoce uprzemysłowionego narodu. „Pokój w przemyśle" też za jeden z głównych celów sobie wyraźnie postawił: *Peace in Industry!* Istotnie udało mu się wyprowadzić naród szczęśliwie z wojny domowej w gospodarstwie społecznem: z kataklizmu strajku jeneralnego i z bardziej jeszcze niszczycielskiego, przewlekłego strajku węglowego. Czy mu się powiedzie i dalej, — czy ideał trwałego „pokoju w przemyśle" osiągnie, — to zależy od gry sił, które wychodzą już daleko poza widnokrąg zdrowego rozumu i sięgają daleko poza granice Anglji. Lew Trockij w swej książce „Dokąd zdąża Anglja?" [1] szyderczo polemizuje z prostoduszną mową Baldwina w Leeds dnia 12 marca 1925, zakończoną słowami angielskiej modlitwy kościelnej: „Daj nam, o Panie, pokój w naszych czasach!" *(Peace in our time, o Lord!).*

My Polacy, co mamy wśród arcydzieł naszej literatury „Psalm Dobrej Woli" Krasińskiego, solidaryzujemy się z tą modlitwą [2].

5.

Nie szydził z modlitwy Baldwina jego przeciwnik i rywal w Anglji samej, James Ramsay Mac Donald, co naprzemian z nim był premjerem. Nie szydził, bo i on, w pobożnej prezbiterjańskiej Szkocji urodzony i wychowany, lubi uderzać w ton religijny. Nie szydził przedewszystkiem dlatego, bo i on, socjalista, szczerze dąży do skierowania sporu między kapitałem a pracą na tory pokojowe, bo i on pragnie w tych rzeczach ewolucji, nie rewolucji, bo i on przy całym swym re-

---

[1] L. Trockij: *Kuda idiot Anglja?* (Moskwa i Leningrad, „Gosudarstwiennoje Izdatielstwo", 1925). Rozdział II: *Mr. Baldwin i.... postiepiennost'* (str. 21—38).

[2] My też może lepiej od innych możemy pojąć motywy ustawy antystrajkowej, z którą Baldwin ku niemiłemu zdumieniu wielu swych wielbicieli wystąpił z wiosną r. b., jakgdyby sprzeniewierzając się własnemu hasłu „pokoju w przemyśle". Istotnie ustawa ta, podyktowana względem na groźne niebezpieczeństwo komunizmu i skierowana nietylko przeciw strajkowi jeneralnemu, ale przeciwko wszelkim większym strajkom wogóle, znamienne ma podobieństwo do ustawy Pitta młodszego z r. 1800, natchnionej trwogą przed jakóbinizmem i skierowanej zasadniczo przeciwko związkom robotniczym.

formatorskim idealiźmie nie chciałby nigdy popaść w sprzeczność ze zdrowym rozumem.

Mac Donald, jest, jak Baldwin, naturą nawskróś uczciwą i prawą, jest w politycznych swych manierach zawsze rycerski, cieszy się powszechnym szacunkiem i nie ma wrogów osobistych. Przy tylu cechach podobnych w postępowaniu politycznem jest jednak postacią od Baldwina gruntownie odmienną: naprzeciwko realistycznego Anglika stoi romantyczny Szkot, pochodzący z jednego z wojowniczych starych klanów góralskich, — naprzeciwko urodzonego kapitalisty typowy *self-made man*, co przyszedł na świat w ubogiej chacie rybackiej, kształcił się jako biedny kupczyk londyński na kursach wieczornych i na męża stanu wyrósł z pracownika biurowego w związkach robotniczych. Niemal że rówieśnik Baldwina, już ćwierć wieku temu był wybitną postacią w Partji Robotniczej [1], ale we frontowym szeregu polityków stanął później niż Baldwin, — dopiero po wojnie, bo w czasie wojny jako zdeklarowany pacyfista był wzgardzony, bojkotowany i ścigany policyjnie. Już w pięć lat po zawarciu pokoju jednak ten sam człowiek był pierwszym socjalistycznym premjerem Anglji i pokazał swym zdumionym rodakom, że socjalista może być znakomitym, w duchu najlepszych mocarstwowych tradycyj brytyjskich, ministrem spraw zagranicznych.

Mac Donald bowiem, jako prawdziwy Szkot, syn kraju „żywych kamieni" historycznych i żywych wspomnień o średniowieczu narodowem, ma silny zmysł dla wszelkiej tradycji: będąc premjerem, nie bez upodobania uczestniczył w malowniczych ceremonjach, które są odwieczną szatą parlamentarnego ustroju Wielkiej Brytanji.

Dla socjalisty o takiej psychice socjalizm jest filozoficznym poglądem na świat, przenikającym całe postępowanie, a nie szeregiem krzykliwych haseł i rewolucyjnych gestów. Nowe żywioły społeczne według jego zapatrywania wybuchają z głębi uwarstwienia społecznego i przebijają zwierzchnią skorupę ustalonego porządku tylko po to, by osiadać w nowej harmonji do wspólnego życia z całością ustroju.

Swoją drogą jednak taka filozofja socjalistyczna, właśnie dzięki swej ideowej intensywności, ma coś z religijno-mistycz-

[1] Na długo przed wojną wydał kilka książek o socjalizmie. Najbardziej znana z nich nosi tytuł *The Socialist Movement* i wyszła w serji *Home University Library of Modern Knowledge* (Londyn, Williams i Norgate).

nego uniesienia, coś z upajającego zapamiętania i płomiennego zapału fanatyzmu wyznaniowego. Szkocja zawsze była krajem szczególnie zagorzałego zelotyzmu kalwińskiego, i stąd w wymowie Mac Donalda pewien pierwiastek kaznodziejski. Silniejszy on u niego i niewątpliwie także szczerszy niż u Lloyd-Georgea, który przecież także wyszedł ze środowiska gorąco sekciarskiego — z dyssydenckiej Walji — i także często na trybunie robi wrażenie pastora. Mac Donald, jak Lloyd-George, jest demagogiem, ale w szlachetniejszem bez porównania znaczeniu słowa. Przedewszystkiem nie ma w sobie burzycielskich skłonności demagoga: dla jednodniowych korzyści taktycznych nie będzie niszczył form, zbudowanych przez rozwój pokoleń. Partja Robotnicza w jego zrozumieniu ma być nie kościołem bezwzględnych ortodoksów socjalistycznych, ale twórczem zrzeszeniem najtęższych i najśmielszych sił reformatorskich kraju: jako przeciwwaga konserwatyzmu ma objąć spadek po zamierającem stronnictwie liberalnem. Stara zasadnicza dwubiegunowość polityki angielskiej ma znowu stać się prawem, i w tym układzie *Labour Party* ma być biegunem postępowym.

Osiągnięciu tego celu raczej przeszkodziły niż pomogły jednoroczne rządy Mac Donalda w sojuszu z liberałami przez rok 1924. Pierwszy socjalistyczny premjer Wielkiej Brytanji dbał do tego stopnia o reputację ścisłej praworządności, tak lojalnie się starał o utrzymanie ciągłości w polityce państwowej, że konserwatyści żartowali, iż „lepszego konserwatywnego rządu w Anglji dawno nie było“, a socjaliści narzekali na rozczarowanie, jakie ich spotkało co do realizacji programu partyjnego. Szczególnie towarzysze partyjni z lewego, radykalniejszego skrzydła jęli się skarżyć na skrytość i na autokratyczne metody Mac Donalda, a nawet na te dobre stosunki osobiste, które według najlepszych tradycyj angielskich utrzymywał z przeciwnikami politycznymi, jak Baldwin lub Chamberlain. Nie darowano mu i nieszczęsnego automobilu, który przyjął w podarunku od wielbiciela, zamiast dalej jeździć omnibusem i koleją podziemną, jak przystało na przywódcę socjalistycznego.

Rezultatem roku rządów było, że Mac Donald raczej pogłębił niż wyrównał przepaść między ewolucjonistyczną prawicą a bolszewizującą lewicą swej partji, i wreszcie po dalszych latach tarć wewnętrznych ustąpił z jej kierownictwa, dając pole tym skrajnym żywiołom, które tam wyraźnie poczynają brać górę.

Wobec takiego stanu rzeczy nasuwają się niepokojące zaiste pytania już nietylko o przyszłość socjalizmu angielskiego [1], ale o przyszłość całej polityki angielskiej.

Ufać jednak należy, że na tej wiekowej glebie kultury politycznej będzie trwał dalej ten sam przedziwny stały urodzaj na wybitnych ludzi, co zawsze potrafią być większi od okoliczności historycznych i nietylko płynąć na grzbiecie fali dziejowej, ale regulować jej kierunek i ujmować ją w łożysko.

[1] Zaznaczmy jednak wyraźnie, że jeżeli od takich najbliższych przyjaciół politycznych i dawnych ministrów Mac Donalda, jak J. R. Clynes lub J. H. Thomas, daleko do takiego, popularniejszego dziś w szeregach Partji robotniczej, radykała wiecowego jak J. Wheatley (również zresztą były minister w gabinecie Mac Donalda), to od Wheatleya — bądźcobądź właściciela drukarni, a więc „burżuja" na małą skalę, a przytem religijnego katolika! — zawsze jeszcze znacznie dalej na lewo do p. Cooka, sekretarza Związku Górników, niedawnego gościa Sowietów i otwartego już kandydata na angielskiego Lenina.

XIV.

ROZMOWY MIĘDZY SŁAWĄ A MŁODOŚCIĄ

1.

Trzydzieści lat minęło, jak Max Beerbohm pojawił się na horyzoncie literackim angielskim jako członek grupy młodych, co wydając czasopismo „Żółta księga" (*The Yellow Book*, 1894—97), zrewolucjonizowała niem atmosferę umysłową Londynu. Niejedno świetne dziś w literaturze czy w sztuce angielskiej nazwisko pierwszy rozgłos zyskało przez pośrednictwo tego osobliwego i pamiętnego pisma. Realiści i esteci, mistycy i satyrycy spotykali się na jego kartach we wspólnych usiłowaniach nad odmłodzeniem angielskiej kultury literackiej, zaśniedziałej w moralnem dostojeństwie i mieszczańskiej rozumności wielkiego, dogasającego wieku Tennysona, Dickensa i Darwina. Poeci, jak John Davidson i William Butler Yeats, powieściopisarze, jak Henry James i George Moore, malarze i rysownicy, jak Aubrey Beardsley i William Rothenstein, sławni później jako twórcy „szkół" i „kierunków", na łamach *Yellow Book* najpierw różne nowe drogi młodym umysłom swego pokolenia torować i wskazywać zaczęli.

Max Beerbohm od początku zabłysnął wśród swoich rówieśników przedewszystkiem dowcipem i — o dziwo! — przez trzy dziesięciolecia błyszczeć nim nie przestał. Dziś, przekroczywszy pięćdziesiątkę, jest wciąż jeszcze tem, czem był przez całe ubiegłe ćwierć stulecia: najświetniejszym, a raczej jedynym w swej świetności, karykaturzystą angielskim swego wieku. Pisał fejletony i nowele; olśnił czytelników serją fajerwerków myśli i stylu w powieści *Zuleika Dobson* (1911), przedstawiającej na tle cudownych starych murów akademickiego Oxfordu fantastyczny romans księcia-studenta z czarodziejką-aktorką. Ale mistrzem okazał się Beerbohm nadewszystko w karykaturze, czy to kreślonej ołówkiem rysownika, czy to piórem poety jako parodja (jak w znakomitym zbiorku *A Christmas Garland)*. Najczęściej łączy jedno z drugiem, i pu-

ogół publiczność dzieli swój zachwyt między wyborne rysunki i arcydowcipny tekst.

„Gdy się człowiek robi starszy", lubi z tęsknotą ulatywać myślą ku minionej młodości; z zadumą waży zdobyte w dojrzałym wieku dostatki i sukcesy przeciwko biedom i zapałom lat młodych, i często znajduje, że równie tyle stateczną pracą zyskał, co z drugiej strony przez nieubłagany bieg czasu i przemian stracił. Nieraz go chęć bierze przewartościować na chwilę wszystkie uznane wartości wieku męskiego i spojrzeć na nie oczyma „cielęcego" idealizmu swych złotych czasów akademickich.

Takie refleksje musiały się snuć po posiwiałej głowie angielskiego wesołka, gdy rysował i opatrywał w teksty ten nowy cykl karykatur, który wespół z całym intelektualnym Londynem podziwiałem na wystawie w *Leicester Galleries* na wiosnę roku 1925.

„Rozmowami między Sławą a Młodością" pozwoliłem sobie w nagłówku nazwać całą tę serję, bo taka właśnie głęboka i poważna myśl przewodnia ciągnie się jednolicie przez większą część obrazków. Beerbohm bierze jednę po drugiej najgłośniejsze dziś znakomitości angielskie i stara się wyobrazić sobie, jaki wywiązałby się dialog, gdyby każdy z tych dzisiejszych wielkich ludzi mógł się spotkać oko w oko ze swem własnem dawnem „ja" z przed kilku dziesiątków lat. I oto odbywa się wspaniały zaiste, żartobliwy turniej między wiosennym, a jesiennym na świat poglądem, jakiś satyryczny Sąd ostateczny nad ideałami obu epok życia. Starość melancholijnie sobie drwi z lekkiego bagażu umysłowego młodości, młodość zapalczywie gardzi solidnemi trofeami starości.

2.

Po nawyczce fachowej zacznijmy korowód od literatów, i niech go rozpocznie ten, o którym dziś cały świat mówi najwięcej: Bernard S h a w. Z pełnym kurtuazji gestem siedemdziesięcioletni pan Shaw, autor tylu znakomitych dzieł dramatycznych, wstaje od biurka, by wyciągnąć rękę na powitanie do stojącego przed nim pana Shaw z lat młodych. Pan Shaw starszy ma na sobie wykwintne jasne ubranie od pierwszorzędnej firmy londyńskiej, jego starannie trefiona srebrna broda promienieje arcykapłańskiem dostojeństwem; błękitne oczy z uśmiechem łagodnego zdumienia krytycznie mierzą po-

stać młodego oberwańca z cyganerji literackiej, w kraciastym, źle leżącym, łatanym garniturze, w ekscentrycznych sandałach na nogach, ze zwichrzoną płomienno-rudą brodą i wyzywająco-buntowniczem wejrzeniem. I stary Shaw odzywa się do swego dawnego „ja“: „Rzecz dziwna! Wydajesz mi się lekkomyślny, niereligijny, bezczelny; pełny jesteś śmiesznej wiary w naturę ludzką i w skuteczność propagandy politycznej; jesteś w nieprzyzwoicie nędznych stosunkach materjalnych i ohydnie źle ubrany... A ja cię uważałem kiedyś za doskonałość!“

Niemniej krytycznie odnosi się do swego młodego „ja“ drugi najpoczytniejszy dziś autor, H. G. Wells. Kontrast znowu jest ten sam. Przed literatem-burżujem staje młody, nędznie ubrany, skromny nauczyciel ludowy z prowincji, co w uprawianych z ferworem samouka studjach przyrodniczych widział zbawienie świata, i zapytuje go z całą pychą i powagą entuzjasty naukowego: „Czy udało się Panu kiedy wypreparować szkielet jaszczurki *microglamaphoides?*“ A na to stary Wells, autor „Zarysu historji powszechnej“ i licznych utopij socjologicznych: „Tego nie wiem. Ale wypreparowałem szkielet całej przeszłości rodu ludzkiego na tym planecie — i całej przyszłości także. A ty, zdaje mi się, niewiele wiesz o przeszłości, co? Otóż przeszłość cała jest zupełnie podła, wierz mi. A przyszłość cała będzie zupełnie świetna... po jakimś czasie. Co zaś do teraźniejszości, znajduję, że jest bardzo przyjemna“.

Niemniej powodzenia niż Wells zdobył sobie realistyczny powieściopisarz Arnold Bennett, choć nie stanął na wysokim piedestale wieszcza społecznego. Bennett obok szeregu doskonałych powieści z życia wielkich centrów przemysłu ceramicznego w środkowej Anglji — które jako środowisko odkrył dla literatury i systematycznie eksploatuje — napisał szereg tuzinkowych romansów i komedyj, obliczonych na popularność u mas. Nie jest bynajmniej wolny od rzemieślniczego wyrachowania wprawnego profesjonisty literackiego. To też na obrazku Beerbohma stary Bennett z triumfem mówi do młodego: „Wszystko poszło według planu — widzisz!“ A na to z dumą młody: „Tak, według mojego planu, pamięta Pan?“

Inny koryfeusz powieściopisarstwa realistycznego, siedemdziesięcioletni dziś przeszło Jerzy Moore, ze szczęśliwym tupetem irlandzkiej natury zawsze wierzył w olimpijską wyższość swego cyzelerskiego artyzmu literackiego, wydoskonalonego w szkole wielkich Francuzów. To też rozmowa między jego młodem a starem „ja“ u Beerbohma jest tylko egzaminem

z katechizmu wyznawanej niezmiennie wiary w nowoczesną sztukę i — w siebie samego. Młody Moore: „I czy byli jacy malarze od czasów Maneta?“ — Stary Moore: „Nie“. — „Czy byli jacy kompozytorzy od czasów Wagnera?“ — „Nie“. — „Byli jacy powieściopisarze od Balzaca?“ — „B y ł j e d e n“.

Gdzie tyle bóstw piśmiennictwa angielskiego się zebrało, nie mogło braknąć i naszego wielkiego rodaka, J ó z e f a C o n r a d a. Narysował go do tej serji Beerbohm jeszcze gdy Conrad żył, i nie zawahał się wystawić karykaturę po śmierci pisarza, bo, jak mówi w przedmowie do katalogu, „Conrad sam byłby ją pochwalił i ubawił się nią“. Istotnie, byłby chyba Conrad musiał uznać za najdoskonalsze streszczenie całej swej cudownej, romantycznej karjery ten djalog i ten obrazek. Oto siedzi sobie stary Conrad w wygodnym angielskim fotelu klubowym, i z dobrotliwym uśmiechem z poza swego monoklu patrzy na małego chłopczynę w krótkich spodenkach i granatowej kurtce, co stoi przed nim i nieśmiało kręci czapkę w rękach. Chłopczyk zapytuje (jakimś dziwacznym volapükiem, który pewnie ma wyobrażać polszczyznę), czy pan Conrad naprawdę służył, jak o nim opowiadają, w *British Mercantile Marine?* A stary Conrad łagodnie odpowiada: „*Mais oui, mon enfant* — co więcej, byłem nawet kapitanem! Napisałem też kilka książek — no, ale ty jeszcze jesteś za młody, by je rozumieć“.

3.

Obok tych i kilku innych wielkości literackich — m a l a r z e.

Wiadomo powszechnie w Anglji, a i poza Anglją wiadomo być powinno, że jedną z najbujniejszych indywidualności twórczych w malarstwie angielskiem naszych czasów jest A u g u s t u s J o h n. Od lat zdumiewa swych wielbicieli, przerzucając się jak Prometeusz w coraz nowe fazy stylu, tak, że retrospektywna wystawa jego obrazów dziś musiałaby wyglądać, jak galerja dzieł rozmaitych mistrzów z kilku ostatnich okresów najnowszego malarstwa europejskiego. Dwa czy trzy lata temu ultramodernistyczne, kokietujące z kubizmem a przynajmniej z formizmem, wielkie płótna jego na temat cierpień ludzkich w czasie wojny zawisły (ku zgorszeniu ludzi o staroświeckim guście) na ścianach środkowej sali w tej nieskalanej dotąd świątyni pre-rafaelityzmu i innych kierunków XIX w., jaką jest *Tate Gallery* w Londynie. Uznaną bowiem w sensie aka-

demickim wielkością John jest nie od wczoraj: i jego długa, falująca broda, jak broda Bernarda Shaw, z wichrowatej, cygańskiej, stała się jedwabistą, proroczą, a kruczy jej połysk dobrze już się mieni srebrem. W przeciwieństwie do innych takich znakomitości malarskich naszej doby, jak zmarły niedawno Sargent, jak sir William Orpen lub sir John Lavery — Augustus John niewiele się zajmuje malarstwem portretowem. Być malowanym przez niego, jest więc przywilejem rzadkim i poszukiwanym. To też na rysunku Beerbohma stary John zstępuje majestatycznie po jakichś wspaniałych schodach, wyścielonych szkarłatem, a wkoło niego tłoczy się ciżba ministrów i dyplomatów, biskupów i jenerałów, dostojnych dam i strojnych w gronostaje sędziów, ubiegając się o jego łaski jako portrecisty. U stóp schodów stoi w obszarpanym stroju malarskim z czasów złotej Bohemy młody John, jakby żywcem przeniesiony z *St. John's Wood* (londyńskiego Montmatru) i wzrokiem bolszewika obrzucając to zbiegowisko, zapytuje burkliwie: „Co to za jedni?" — „Ach, to petenci", mówi John *senior* i dodaje: „Słuchajno! Mamy to samo nazwisko, a im przecież tylko o nazwisko chodzi. Możebyś choć kilku z nich wziął na siebie!" Na co młody John odpowiada widocznie zgoła nieparlamentarnie, bo autor zaznacza tylko, że odpowiedź jest „pełna oburzenia" i „sprawia rozczarowanie". Młody kapłan sztuki nie chce się poniżać do malowania konwencjonalnych podobizn dygnitarskich.

Jeżeli tu młodociane poczucie świętego powołania artystycznego triumfuje nad kompromisowym duchem lat późniejszych, co cichszy, ale solidny triumf odnosi znowuż wiek dojrzały nad nieśmiałością młodego adepta w słowach, które inny „znany i ceniony" malarz, p. Walter Sickert, wypowiada do swego dawnego „ja" — na jednym z rysunków tej serji. Mówi mianowicie: „Aha, młokosie, nie myślałeś, że zostaniesz mistrzem i wyrocznią, prawda? Myślałeś, że stary James Whistler będzie ostatnim w szeregu wyroczni i mistrzów, a tymczasem — *hein, p'tit imbécile?*".

Krócej i drastyczniej odprawia niepożądanego gościa w postaci swojego dawnego „ja" czcigodny brodacz i okularnik, profesor Akademji sztuk pięknych, William Rothenstein, zajęty malowaniem portretów miljonerskich na wielką skalę. Do młodego aroganta, co stanął przed nim w aksamitnej kurtce i tradycyjnym szeroko-skrzydłym kapeluszu *à la* Rinaldini, pan profesor mówi bez ogródek: „Przedewszystkiem

zdejm Pan kapelusz, a następnie wynoś się Pan czemprędzej z tego pokoju!"

4.

W galerji znakomitości angielskich doby dzisiejszej obok najbliższych autorowi po fachu — literatów i malarzy — nie mogło oczywiście zabraknąć polityków.

By zacząć znowu od najgłośniejszego: Lloyd-George szczególniejszego natchnienia na dany temat „dawne i nowe ja" budzić nie mógł. Zawsze był tem, czem jest i dzisiaj: genjalnym taktykiem wyborczym, znakomitym mówcą wiecowym, doskonałym typem demagoga. Zmieniały się tylko — hasła, które głosił, i zasady, które wyznawał, a więc rzeczy zupełnie drugorzędne. To też karykaturzysta w ramach tej serji nie mógł z nim zrobić nic innego, jak postawić obok siebie dawne i nowe „ja" Lloyd-Georgea, jako zupełnie identyczne, wygłaszające różne programy, ale z jednakim ferworem.

Daleko wdzięczniejszego i bardziej urozmaiconego tematu dostarczali dzisiejsi weterani wielkiej polityki angielskiej, spoczywający już na laurach w Izbie lordów, a bogatsi od Lloyd-Georgea kulturą i zainteresowaniami duchowemi.

A więc przedewszystkiem czcigodny lord Balfour. Prawda, że filozofją zajmować się zaczął już przed sześćdziesięciu blisko laty, jako akademik w Cambridge, i odtąd w chwilach wolnych od polityki zawsze jej wiernym pozostał; co więcej (jak sam zaznaczył wobec mnie, gdy mu wręczałem dyplom doktora honorowego naszego uniwersytetu) zasadnicze jego idee filozoficzne już w owym odległym czasie się skrystalizowały i odtąd w istocie swej się nie zmieniły. Ale skądinąd — *quantum mutatus ab illo!* Młody Balfour, zamiast — jak każdy dobry akademik — oddawać się głównie sportom, należał w Cambridge do grupy ultra-intelektualistów, pogrążonych w analizie estetycznej i abstrakcjach spekulatywnych. Zaś Balfour dzisiejszy, mimo ósmego krzyżyka, gra jeszcze rzeźwo i gorliwie w tennisa i sam kieruje swoim samochodem. To też na obrazku Beerbohma wychudły i delikatny młody człowiek z fantastyczną czupryną i myślicielską bródką w kwiecistym szlafroku i w dekadenckiej pozie leży na kanapie, przewracając długiemi palcami pieszczonej ręki kartki jakiejś wykwintnej książeczki. A u jego wezgłowia, jak jakieś widmo wyniosłe, staje rosły, muskularny, wygolony, pogodnie uśmiechnięty starszy pan w okrągłych okularach, otwartej koszuli i flanelowych

spodniach, ściskając w żylastem ręku rakietę tennisową. I mimozowaty młody esteta odzywa się do tego dziwnego zjawiska mdłym głosem: „Kto Pan jest? Wygląda Pan trochę, jak wuj Salisbury [1], gdyby się ogolił. I co to za ciekawą rzecz trzyma Pan w ręce? A nie przeziębi się Pan, będąc tak lekko ubranym? Ale niech Pan nic nie odpowiada: naprawdę nie zależy mi na tem. I niech mi Pan nie pozwoli mówić: zdaje mi się, że nie długo już pożyję; a chcę poświęcić resztę czasu myśleniu — nie dlatego, żebym sądził, że moja myśl ma wielką wartość, ale — o! proszę, niech Pan już idzie".

Drugim wybitnym przedstawicielem świetnej humanistycznej kultury dawnego typu był w polityce zmarły niedawno w sędziwym wieku lord Oxford (Asquith). Jak Balfour słynie z myślenia filozoficznego, tak on słynął z erudycji klasycznej, którą umiał zachować przez długie lata czynnego udziału w polityce. Tem bardziej bawić nas musi stary Asquith w karykaturze Beerbohma, gdy młodemu swemu „ja" jako studentowi oxfordzkiemu, już zapalonemu do klasyków, radzi nie zaniedbywać pewnych umiejętności towarzyskich, bardziej potrzebnych, niż gorliwe studja: „O, nagroda uniwersytecka z fundacji Cravena za wiersze łacińskie? Piękna nagroda i mam nadzieję, że ją dostaniesz. Ale pamiętasz, co powiedział Cicero (w liście do Atticusa, zdaje mi się): *In studiis, sicut in allis rebus, aurea quaedam mediocritas tenenda est.* Na twojem miejscu, zeszedłbym teraz na dziedziniec kolegjum i zaprosiłbym sobie trzech przyjaciół na partyjkę — jak to się nazywa ta gra tak ulubiona wśród młodych ludzi twojej epoki? — wist, aha, prawda! — na partyjkę wista".

Wreszcie sam dzisiejszy władca Anglji Mr. Stanley Baldwin. Przywódca konserwatystów zawdzięcza wielką swoją popularność ponoś właśnie rdzennej przeciętności swej natury. Jest to najtypowszy John Bull, jakim go znamy z niezliczonych kartonów „Puncha": okrągławy, rumiany i dobrodusznie uśmiechnięty. Z upodobaniem pali krótką fajeczkę, tak drogą sercu zwykłego obywatela, a tak mało licującą z dostojeństwem jego obecnego stanowiska. Nawet miasteczko rodzinne, Bewlay, mianując go swym obywatelem honorowym, w prezencie ofiarowało mu taką fajeczkę. A „Punch" raz narysował, jak Mr. Baldwin, wychodząc z jakiegoś paradnego

---

[1] Karjerę polityczną rozpoczął Balfour jako sekretarz prywatny swego wuja, markiza Salisbury, na kongresie berlińskim r. 1878.

obiadu, zapala sobie fajeczkę na ulicy, a jakiś rodak *minorum gentium,* nie domyślając się w nim premjera, przystępuje i prosi go o trochę tytoniu do swojej fajki, „bo ten przeklęty rząd Baldwina tak opodatkował tytoń, że dokupić się go nie można".

Na podobny, ale jeszcze charakterystyczniejszy w swej dosadnej wymowie pomysł wpadł Beerbohm, pragnąc w swej serji uwiecznić także „dawne i nowe ja" obecnego premjera. Stoi więc przed nami Baldwin, już nietylko z fajką, ale w czapce dżokejskiej i codziennem ubraniu w wielkie kraty, słowem *Anglus vulgaris,* Anglik pospolity, w najzwyklejszej swej postaci. A naprzeciwko niego jego „ja" z lat szkolnych — chłopczyna w wykładanym kołnierzyku i krótkim fraczku, które stanowią znany mundur starej szkoły internatowej w Harrow. I chłopak woła z bezgranicznem zdumieniem i ze śmiechem: „Pan — prezydentem ministrów! Bójcie się Boga!"

5.

Tak to w roku Pańskim 1925 na dowcipnych obrazkach wielcy ludzie dzisiejszej Anglji gwarzyli sobie z tem, czem byli niegdyś, w dawno minionych latach młodocianych. I tak wkraczający w starsze lata karykaturzysta w zadumie bilansuje wszystkie *pro* i *contra* uniesień i złudzeń młodzieńczych z jednej, a zdobyczy i wyrzeczeń dojrzałego wieku z drugiej strony.

Że zaś większa część znakomitości sztuki i literatury angielskiej, przedstawionych w tej galerji, ukazuje nam się w swej młodocianej postaci w charakterze członków znamienitej ongiś u wszystkich narodów konfraternji, zwanej cyganerją artystyczną, więc trudno i w związku z samem ideowem założeniem całej serji nie przypomnieć sobie czegoś z jednej z najczarowniejszych książek, jakiemi się człowiek rozkoszował w życiu — z wiecznie młodych i wiecznie uroczych *Scènes de la vie de Bohème* Henryka M u r g e r. Na podobną nutę, co karykatury Beerbohma, nastrojone tam jest przedziwne zakończenie całego cyklu przygód cygańskich. Literat Rudolf i malarz Marceli, obaj już uwieńczeni sukcesami materjalnemi w świecie, melancholijnie wspominają tę przeszłość awanturniczą, co do nich nuci słowami piosenki:

„Notre jeunesse est enterrée
Au fond du vieux calendrier.

Ce n'est plus qu'en fouillant la cendre
Des beaux jours qu'il a contenus,
Qu'un souvenir pourra nous rendre
La clef des paradis perdus".

Ale gdy wyłania się projekt, by się wybrać na sposób dawnych dni do dziadowskiej knajpy artystycznej przy *rue de Four* na obiad za dwanaście sous, teraźniejszość odzywa się całą siłą swego rozumnego głosu:

„*Ma foi non... Je veux bien consentir à regarder le passé, mais ce sera au travers d'une bouteille de vrai vin, et assis dans un bon fauteuil. Qu'est-ce que tu veux, je suis un corrompu. Je n'aime plus que ce qui est bon!*"

Tym akcentem zgody z życiem harmonijnie kończy swe dzieło Francuz, z całym klasycznym rozsądkiem swej rasy i tradycji.

U Anglika wolno się nam czego innego domyślać. Naród to nieskończenie bardziej romantyczny od wielkich ludów łacińskich, i choć największe może w nowszych dziełach osiągnął triumfy w praktycznych dziedzinach życia, jednak irracjonalne pierwiastki nieraz niespodzianie biorą górę nad logiką i poruszają do głębi jego uczuciowy w gruncie pod chłodną skorupą temperament. Dlatego nie wiem, czy z oryginałów tej serji karykatur choć jeden — prócz chyba Lloyd-Georgea! — nie powtórzyłby z głębokiem rozrzewnieniem słów Goethego z prologu „Fausta", które i sam Beerbohm snać uznałby za wyraz najgłębszej istoty swych natchnień przy tworzeniu całego cyklu:

„*So gib mir auch die Zeiten wieder,*
Da ich noch selbst im Werden war,
Da sich ein Quell gedrängter Lieder
Ununterbrochen neu gebar,
Da Nebel mir die Welt verhüllten,
Die Knospe Wunder noch versprach,
Da ich die tausend Blumen brach,
Die alle Täler reichlich füllten.
Ich hatte nichts und doch genug:
Den Drang nach Wahrheit und die Lust am Trug.
Gib ungebändigt jene Triebe,
Das tiefe, schmerzenvolle Glück,
Des Hasses Kraft, die Macht der Liebe,
Gib meine Jugend mir zurück!"

XV.

NAJZABAWNIEJSZA KSIĄŻKA O ANGLJI

1.

Czy o Anglji można napisać książkę zabawną? Czy odważy się kto z uśmiechem lub zgoła ze śmiechem mówić o takiej potędze politycznej, ekonomicznej i kulturalnej, jak Wielka Brytanja? Wreszcie czy można obok szczerego podziwu zdobyć się na tyle serdecznej sympatji dla mglistej wyspy i jej dumnych mieszkańców, by o nich pisać z pogodnym humorem i poufałemi drwinami?

Zdawałoby się, że nie. Przysłowiową prawie stała się opinja pewnego Francuza, że „można szanować naród, który potrafi jeść gotowaną baraninę, ale kochać go niepodobna!"

A jednak tego nieprawdopodobieństwa dokonano. Wśród przygnębiającej depresji gospodarczej w całej Europie powojennej, w atmosferze ponurej wzajemnej nieufności między narodami, powstała o Anglji książka tryskająca słonecznym humorem, wolna od wszelkiej zgryźliwości, natchniona prawdziwie ludzkiem, współczującem zrozumieniem dla odpychających wyspiarskich osobliwości i nieprzeniknionych psychicznych dziwactw tego narodu.

Autorem tej książki jest Czech. Znowu niepradopodobieństwo prawdziwie zdumiewające! Kto z nas naprawdę trochę zna naszych słowiańskich sąsiadów zachodnich, — kto ich zna ze źródeł autentyczniejszych niż modne do niedawna demagogiczne inwektywy niektórych naszych dzienników brukowych, — ten uchyla z szacunkiem czoła przed ich pracowitością, gruntownością i rzetelnością umysłową, ale nie będzie skłonny uważać subtelny humor, łagodną ironję albo wnikliwą intuicję psychologiczną za wybitne ich zalety narodowe.

Wszystkie te zalety atoli okazał w niepospolitym stopniu Karol Čapek w swych „Listach z Anglji"[1].

Nazwisko braci Čapek, z których jeden jest głównie malarzem, ale obaj są literatami, ma dzisiaj rozgłos światowy.

---

[1] Mam je przed sobą w wydaniu angielskiem p. t. *Letters from England*, by Karel Čapek, translated by Paul Selver (Londyn, Geoffrey

Wszystkie sceny europejskie obeszła ich sztuka *R. U. R.* („Rossuma Uniwersalni Robotnicy"). Nic dziwnego: nie może nie budzić w dzisiejszym człowieku najgłębszych socjologicznych refleksyj ta fantazja dramatyczna o wydoskonalonych automatach w postaci ludzkiej, co uwalniają swych wynalazców, ludzi, od wszelkiej pracy mechanicznej, ale wreszcie się przeciw nim organizują i buntują, i po wymordowaniu resztek rodzaju ludzkiego, uzyskawszy ludzkie przymioty, same stają się początkiem nowej ludzkości. Jeżeli ta potężna alegorja rewolucji socjalnej przeszła bez szczególniejszego wrażenia po naszych polskich scenach, to chyba nietyle z powodu anty-czeskich uprzedzeń u publiczności, ile z powodu prostego faktu, że zbyt wielu z nas zna z własnego doświadczenia rzeczywistą rewolucję socjalną w Rosji i zbyt blisko siedzimy jej ogniska, by jej teatralny obraz mógł na nas działać tak, jak na narody zachodnio-europejskie, dla których przecież i sama rzeczywistość piekła sowieckiego jest jakąś daleką i nawpół legendarną fantasmagorją. Anglję, z jej olbrzymiem zmechanizowaniem życia przez uprzemysłowienie, z jej chroniczną powojenną klęską bezrobocia i groźnemi pomrukami mas przeciw kolosom kapitalizmu, dzieło Čapka musiało żywo przejąć i głęboko zastanowić. Utwór, jak na poważne dzieło literatury dramatycznej, miał niezwykłe na dzisiejszym teatrze angielskim powodzenie, i słowo r o b o t — nazwa alegorycznego automatu w dramacie — weszło na stałe do potocznego słownictwa angielskiego jako określenie niewolnika ustroju kapitalistycznego.

Powodzenie *R. U. R.* utorowało drogę innym, niemniej do aktualnych rozmyślań pobudzającym dziełom braci Čapek. Razem z tym dramatem pojawił się w sezonie 1922/23 na scenach londyńskich drugi, luźniejszy w budowie, alegoryczny w osnowie: „Sceny z życia owadów". Jest to serja satyrycznych obrazów różnych potworności naszych czasów, od wojny i paskarstwa, do salonowej rozpusty. Jak refren przy tych kolejnych widowiskach różnych utajonych okropności z życia mrówek, chrząszczy, świerszczy, much, — powtarza się refleksja, że „i w tym względzie ludzie od zwierząt wyżej nie stoją". Tu już satyra tchnęła jakąś *saeva indignatio*, zaiste godną porównania

Bles, 1925). Ten przekład angielski od marca do czerwca rozszedł się w pięciu nakładach. Oryginał czeski nosi tytuł *Anglické listy* i wyszedł nakładem firmy *Aventinum* w Pradze (3 wydanie, 1926). Poprzedziły książkę, nawiasem mówiąc, niemniej dowcipne tegoż autora „Listy z Włoch" (*Italské listy*, tamże, 3 wydanie, 1925).

z żółciową mizantropją Swifta, — więc publiczność londyńska znalazła oczywiście, że to jest *disgusting*, i odmówiła dłuższych faworów sztuce, choć ją jej zaprezentował w złagodzonej przeróbce jeden z najznakomitszych dzisiejszych reżyserów angielskich, p. Nigell Playfair [1].

Ale w dalszym ciągu narzucają się uwadze zarówno Anglików jak i innych narodów, jedno za drugiem, coraz nowe dzieła tych satyrycznych krytyków świata powojennego. Często wyzywają do sprzeciwu, ale przejść koło nich obojętnie — niepodobna.

A więc „Afera Makropulosa". W tym dramacie jeden z Čapków, podobnie jak Bernard Shaw w swej znanej fantazji dramatycznej „Nazad do Metuzalema", zajmuje się zarysowaną jeszcze niegdyś przez Miecznikowa, a znowu aktualną dziś po eksperymentach Steinacha i Woronowa, koncepcją naukowej możliwości bezterminowego przedłużenia życia ludzkiego. I wyobraźnia satyryka z rozmachem kreśli obraz tego tragikomicznego zamieszania społecznego, jakieby w naszym dzisiejszym świecie taki fakt wywołać musiał.

Ta myśl o długowieczności widocznie przez reakcję po bezlitosnem przecięciu tylu młodych żywotów ludzkich jakiś szczególny ma urok dla wyobraźni pisarzy powojennych: wszakże i u nas natchnęła Witolda Wandurskiego do nieudolnej może w wykonaniu, ale wysoce oryginalnej w pomyśle baśni dramatycznej „Śmierć na gruszy".

Jeżeli w *R. U. R.* można było widzieć alegorję rewolucji socjalnej, to już całkiem wyraźnie tematem Rosji sowieckiej zajął się Karol Čapek w innem swojem dziele: „Wyspa o wielu nazwach". Eksperyment bolszewicki — jego ideologja i praktyka, ustrój i program (a raczej programy!), nieskończone możliwości i fatalne niemożliwości Sowdepji, — wszystko z całem bogactwem refleksyj autora ukazuje nam swe różne oblicza pod prostą alegorją urojonego państwa, którego nazwa — a z nią i treść! — jest przedmiotem ciągłych dyskusyj, projektów i zmian.

Jeżeli „Sceny z życia owadów" ośmieliłem się zestawić z potężnemi wybuchami mizantropji Swifta, to ten późniejszy

[1] Szczegółowy rozbiór „R. U. R." i „Scen z życia owadów" umieściłem w londyńskim *The Slavonic Review*, tom I, zeszyt 4, czerwiec 1923, str. 194—199. Recenzja ta w swej pierwotnej, nieco obszerniejszej formie wyszła w przekładzie czeskim w czasopiśmie *Apollon* w Pradze, tom II, zeszyt 5, str. 76—78 (r. 1924).

utwór ze swą wszechstronnością wejrzenia, głębokością poznania i ironją w ujęciu tematu zaiste godny jest porównania z dumaniami socjalno-filozoficznemi największego z żyjących ziomków autora — prezydenta Masaryka.

Ale o ile możnaby mówić o pewnem ogólnem ideowem pokrewieństwie z Masarykiem, o tyle już niewątpliwie bliskie literackie pokrewieństwo i co do tematów i co do sposobu ich ujęcia łączy fantazje socjalne braci Čapek ze sławnemi na cały świat utopjami powieściowemi H. G. Wellsa. Pod wyraźnym Wellsa wpływem lubią nawiązywać swe rojenia o przyszłych losach ludzkości do rozmaitych rzeczywistych wynalazków, któremi wciąż na nowo zdumiewa nas technika dzisiejsza. Tak np. nowsze dzieło jednego z nich, wydane w r. 1925, ma za przedmiot historję nowowynalezionego środka wybuchowego o niebywałej sile. Stąd i tytuł powieści: *Krakatit.*

2.

W roku 1924 Karol Čapek na zaproszenie angielskiej centrali międzynarodowego Związku Literatów *P. E. N. Club*, oraz różnych indywidualnych wielbicieli, wybrał się do Anglji. Spotkałem go tam w gościnnym domu czeskim i z ciekawością zapytywałem, co go w danej chwili zajmuje. Na to znakomity pisarz z wyrazem dziecinnej prawie ciekawości życia na swej okrągłej, rumianej twarzy, odpowiedział: „Ach, życie jest takie bogate! Chciałoby się wszystko poznać, wszystko zgłębić, wszystkiem się zająć!“

Z tem nienasyconem pragnieniem doświadczenia Čapek widocznie chłonął w siebie całą obfitość i różnorodność wrażeń, jakie świat angielski dać może. Rezultatem jest książka, na 192 stronicach roztaczająca fenomenalne wprost bogactwo podpatrzonych szczegółów i obejmująca niezwykle rozległe widnokręgi.

Čapek uniknął błędu tych podróżników, co poznawszy stolicę, według niej sądzą i piszą o całem życiu narodu. Choć gorąco kocha swoją złotą Pragę i na każdej prawie karcie „Listów“ z utęsknieniem o jej cudach wspomina, jednak jako syn chłopski zna żywotne wartości zapadłej prowincji i jej podstawowe znaczenie dla dorobku i dla duchowej fizjognomji narodu. To też w Anglji nie pożałował czasu na zwiedzanie starych miast i miasteczek daleko poza Londynem; chodził nietylko po muzeach, pałacach i kościołach, ale po górach, dolinach i lasach; przesiadywał nietylko po salonach, ale nad

brzegami rzek, jezior i morza; był nietylko w klubach i uniwersytetach, ale w domach wiejskich i karczmach przydrożnych; przypatrzył się nietylko panu Wells i panu Galsworthy, Chestertonowi i Bernardowi Shaw (których dowcipnie portretuje), ale także Chińczykom i żydom rosyjskim na „Dalekim Wschodzie“ Londynu, marynarzom na wyspach szkockich i pasterzom w Devonshire, robotnikom portowym w Glasgow i Liverpoolu i babom walijskim w Carnarvon, z któremi po angielsku trudno się dogadać. Sam w jednem miejscu powiada, że chcąc mieć należyte pojęcie, co to jest angielski *gentleman*, trzeba poznać kelnera klubowego, kasjera na stacji, „a nadewszystko policjanta“ (str. 172).

Taki zgoła nie-akademicki sposób studjowania kraju musi oczywiście dać oszałamiające iście bogactwo wrażeń. Čapek jest oszołomiony, a starając się zdać sobie sprawę z głównych przyczyn tego oszołomienia, znajduje naczelne jego źródło w tym potężnym kontraście, który całe życie angielskie nawskróś przenika i przybysza z Europy kontynentalnej nigdy zdumiewać nie przestaje.

Są dwie Anglje, które z jednakową siłą narzucają się cudzoziemskiemu obserwatorowi i jednakowo silne i trwałe pozostawiają wrażenie. Nazwę je Anglją s i e l s k ą i Anglją p r z e m y s ł o w ą.

To przeciwieństwo zasadnicze, to bynajmniej nie to samo, co stary i stały kontrast między wsią a miastem u nas i gdzieindziej na świecie. Ta Anglja, którą nazwałem sielską, to nie wieś w naszem znaczeniu słowa, — bo wieś w Anglji zdawna zamiera; — to nie rozległe uprawne łany, co u nas stanowią typowy wiejski krajobraz; lecz są to obszerne parki z rozsianemi wśród nich dworami, szmaragdowe pastwiska z trzodami wspaniałych rasowych koni, krów i owiec; kwieciste łąki, szumiące lasy, malownicze wzgórza, srebrne jeziora, wreszcie pustkowia, służące dla polowania, sportów lub spacerów Takich przestrzeni w Anglji, jak na kraj niezmiernie gęsto zaludniony, jest nader wiele, i są zadziwiająco wielkie; a czar ich powiększa jeszcze okoliczność, że nie roi się wśród tego krajobrazu od ludzi, uprawiających pola, jak u nas; o ile się nie jest w miejscu szczególnie chętnie nawiedzanem przez turystów, i nie w dniu, w którym turyści z miast wylegają (a więc nie w sobotę po południu, niedzielę, lub święto), to można przechadzać się godzinami w najrozkoszniejszej samotności i w ciszy, przerywanej tylko świegotem ptaków. Nigdzie niema przygnębiającego cie-

nia ciężkiej pracy ludzkiej, wiszącego w rolniczych krajach Europy kontynentalnej nad temi obszarami, które Niemcy tak doskonale określają świetnem słowem *Kulturwüste:* w idylicznej Anglji wszędzie wieje świeżem tchnieniem dziewiczej natury, z którą harmonijnie i bez zatarcia jej charakteru kojarzy się kultura długich wieków pokoju i dobrobytu. Obrazami tej wiekowej kultury prócz dworów, zamków i starych kościołów wiejskich są sędziwe miasta i miasteczka prowincjonalne ze staroświeckiemi domami, zacisznemi ulicami i ogromnemi średniowiecznemi kościołami katedralnemi.

To wszystko Anglja, jak ją nazwałem, sielska, przepiękna Anglja stara, ale dzięki życiu swej pięknej przyrody i pięknu zabytków zawsze młoda urokiem i powabem.

A obok niej, z nią się przeplatająca, Anglja nowa — te „ciemne szatańskie młyny", jak je nazwał poeta Blake: olbrzymie i pełne gorączkowego ruchu miasta portowe, grzmiące tysiącem hałasów i dymiące tysiącami kominów środowiska przemysłu, których już nawet miastami nazwać nie można, bo są to potworne konglomeraty miast, rozdęte rojowiska fabryk i kolonij robotniczych, pokrywające całe powiaty i okręgi, rozrastające się wciąż jeszcze, pożerające wciąż nowe szmaty tamtej Anglji zielonej i cichej, grzebiące je pod sadzą, łoskotem i brzydotą.

Te dwie ostateczności wciąż jedna przez drugą na oczy się rzucają, nic ich nie oddziela, nic też nie łączy; z jednej wszędzie tylko krok do drugiej. Cóż dziwnego, że czeski wędrowiec czuje, iż stanął wobec jakiejś tajemnicy i w zadziwieniu pyta:

„Chciałbym wiedzieć, gdzie jest prawdziwa Anglja? Tam w owych cichych i czystych chatkach wśród tych tak strasznie starych drzew i tradycyj, w domach ludzi, którzy są u szczytu ludzkiej doskonałości, żyją w pokoju i kulturze — czy też tu na tych mętnych falach, w tych zgiełkliwych dokach, w Manchesterze, w Poplar, w glasgowskiem Broomielaw? Muszę przyznać, że tego nie rozumiem; tam, w tamtej Anglji prawie za dużo doskonałości, piękna; a tu — tu prawie za dużo... No, słowem, nie rozumiem: nie wygląda to na ten sam kraj i na ten sam naród" (str. 164).

3.

Jaką przyszłość da odpowiedź na zagadkę tej dwoistości, czy nowa Anglja skojarzy się ze starą, czy też *ceci tuera cela,*

to pożre tamto ku ostatecznej własnej swej zgubie, tego nikt piszący o Anglji dziś nam powiedzieć nie potrafi. Ale każdy powie, że Anglję sielską całem sercem musiał pokochać do zapamiętania — a Anglję przemysłową podziwiać ze czcią, nie bez trwogi i nie bez przygnębienia.

Taka też jest postawa czeskiego autora wobec tego dwoistego, janusowego oblicza Anglji.

Zacznijmy od milszego przedmiotu — od Anglji sielskiej. Książka pełna jest opisów jej scenerji: wędrujemy za malowniczem słowem autora przez góry Szkocji i Walji, przez kraj jezior w Anglji północnej, po skałach Devonshire i lesistych wzgórzach Dartmoor na południu, po zielonych rozłogach Surrey i Essex koło Londynu; siedzimy w cudną noc księżycową nad rozsrebrzonem morzem u stóp latarni morskiej w Plymouth. Wszędzie tak pięknie, że aż dziwnie jakoś nierealnie, jakby w bajce. „Nie wiem dlaczego, ale ta trzeźwa Anglja wydaje mi się najbardziej czarodziejskim i romantycznym krajem, jaki kiedykolwiek widziałem" (str. 16). I wyliczając rozmaite piękności tej feerji, prowadzi nas autor po drogach między żywopłotami i topolami, przez otwarte wrota do parków głębszych niż lasy dziewicze, po łąkach pełnych trzód, koło dworów i kościołów, nad stawy „o aksamitnej wodzie, zdobne w lilje wodne", po czysto wymiecionych ścieżkach przez „jakiś raj, w którym sam Pan Bóg porobił drogi z asfaltu i piasku, posadził stare drzewa i oplótł czerwone domy zasłonami z bluszczu" (str. 79).

Zastanawiając się nad tajemnicą tego czaru, autor chwilami usiłuje go analizować, rozkłada na elementy, dociera do podstaw. Jedną taką podstawą piękności krajobrazu angielskiego, podstawą raczej negatywnej natury, jest, jak się rzekło, zupełny prawie brak rolnictwa. Pisarzowi czeskiemu czasem się zdaje, że przez jego ramię na te cudne sceny spogląda jego wuj, stary, wytrawny gospodarz wiejski z Czech — i dziwuje się i zrzędzi: „Czemuż oni tu nie posiali buraków, a tam znowu mogliby mieć pszenicę, a tu kartofle; a tu zasadziłbym drzewa czereśniowe i krzaki malinowe zamiast tych ozdobnych zarośli, a tu koniczynę, a tu owies, a na tamtym łanie żyto albo rzepak. Popatrz tylko na tę glinianą glebę; tłusta taka, że możnaby nią chleb smarować; a oni to wszystko puścili na pastwiska. A tych krów i owiec nawet nikt nie pilnuje: dziw, że ich kto nie ukradnie. Boże drogi, toć tu wogóle nigdzie żywej duszy nie widać: tylko tam sobie ktoś jedzie na rowerze, a tu

znowu jeden z tych śmierdzących samochodów: mój kochany, czy tu nikt nigdy nie pracuje?" (str. 80—81).

Synowiec rezygnuje z tego, by chłopu z rolniczej Europy wytłumaczyć ustrój gospodarczy Anglji. Zapomina nawet wspomnieć o tem, że właśnie ta wilgotna gleba angielska lepsze rodzi trawy niż zboża, i to było jedną z przyczyn, dla których hodowla bydła wzięła górę nad rolnictwem. Stwierdza tylko dobitnie, że „Anglję karmią jej posiadłości zamorskie"; że „tym ludziom nie warto w polu pracować"; że „to nie rolnicy"; że „ten kraj to rodzaj ogrodu"; że „to ziemia nie na pracę urządzona, tylko na pokaz"; że cała ona „zielona jak park i niepokalana jak raj" (str. 80—81).

A gdy go dziedziczne skłonności do rolnictwa zostawią w spokoju, gdy przejmuje się zupełnie duchem starej Anglji i swobodnie się nią zachwyca, wtedy, jak prawdziwy Anglik, czuje do roślin i do zwierząt miłość tak żywiołową i silną, jak do jakichś ukochanych i bliskich ludzkich istot.

A więc kocha się jak rodowity Anglik w starych angielskich d r z e w a c h. Widzi je wnet po przyjeździe już w Hyde Parku, w Hampton Court, w Richmond, i od nich zaczyna jeden z pierwszych swych listów — list o parkach angielskich: „Drzewa są może najpiękniejszą rzeczą w Anglji. Naturalnie, łąki także są piękne; i policjanci są piękni; ale głównie drzewa — tak wspaniale barczyste, wiekowe, wielkoduszne jakieś, wolne i czcigodne — te ogromne drzewa!" Nasuwają mu nawet refleksje socjologiczne: może one miały wpływ na rozwój konserwatyzmu angielskiego. „One podtrzymują instynkty arystokratyczne, zmysł historyczny, grę w golfa, Izbę lordów i inne rzeczy dziwaczne a staroświeckie". Siedząc pod takiem drzewem, czuje się „wartość rzeczy starych, wszechobejmującą harmonję tradycji, słuszność poszanowania dla wszystkiego, co miało dość siły, by przetrwać wieki" (str. 15—16).

Obok drzew — zwierzęta. Wycieczka do kraju jezior w północnej Anglji staje się pielgrzymką do trzech rzeczy, nie opisanych w przewodniku, a odkrytych i wielbionych przez czeskiego wędrowca: do tamtejszych owiec, do krów i do koni. A więc o w c e, które „pasą się na jedwabistych łąkach i przypominają człowiekowi dusze zbawione w niebiesiech"; owce, „których nikt nie pilnuje i które spędzają czas błogo na karmieniu się, śnie i jakichś boskich rozmyślaniach". Więc k r o w y, co mają „szczególnie łagodny wyraz twarzy", co

chodzą dzień cały jakby po „elizejskich polach“ i gdy leżą, żują swój pokarm powoli i uroczyście jak słowa podzięki. Być krową w tym cudownym kraju jezior, „to łaska boska, która przypada w udziale tylko najświątobliwszym i najgodniejszym ze stworzeń“ (str. 152—153). Gdzieindziej autor posuwa się nawet tak daleko, że woła (na początku rozdziału o Anglikach): „ WAnglji chciałbym być krową albo małem dzieckiem“ (str. 171).

Ale jeszcze więcej czci budzą k o n i e, konie, co „nic innego nie robią, tylko cały dzień się pasą i przechadzają się po pięknych trawnikach“. Może to nie są wogóle konie, tylko owe *Houyhnhnms* (nad-konie z „Podróży Gullivera“ Swifta)— jakiś ród istot wpółboskich i pełnych mądrości, które nie zajmują się handlem, nie biorą udziału w polityce, nie interesują się nawet wyścigami konnemi w Ascot czy Newmarket. „Na człowieka patrzą pobłażliwie i niemal bez odrazy; są dziwnie myślące; czasem medytują, czasem biegają z rozwianemi ogonami, a czasem spoglądają tak majestatycznie i poważnie, że człowiek czuje się przy nich naprawdę jakbv jakiś rodzaj małpy“ (str. 154) — właśnie jak jeden z ohydnych *Yahoos* u Swifta.

4.

Ale pora nam rozstać się z żywemi i nieżywemi wspaniałościami Anglji sielskiej i przenieść się do miasta: od zielonych drzew do okopconych murów, od spokojnych zwierząt do huczących maszyn, od błękitów i gry chmur na niebie do dymów i mgieł.

O ile w przedstawieniu Anglji idylicznej pielgrzym nie mógł znaleźć słów, w któreby zdołał przelać całą swą błogość, o tyle, gdy mu przychodzi mówić o Anglji przemysłowej, trudno mu pohamować potok wyrażeń jaskrawych i gwałtownych, które mu się cisną pod pióro dla określenia całego tego piekła. Odrazu przy wjeździe do Londynu opanowuje go, jak każdego przybysza, to bezdenne przygnębienie, którem wieje zawsze od przedmieść takich ogromnych miast, a szczególnie od przedmieść Londynu z ich tysiącami ulic, złożonych z najzupełniej jednakowych domów. Istotnie nie znam faktu, któryby w bardziej deprymujący sposób przypominał człowiekowi zmechanizowanie naszej cywilizacji, jak ten beznadziejnie jednolity wygląd mnóstwa ulic w zewnętrznych częściach Londynu. Można sobie sto razy tłómaczyć, że budowanie tych

sznurów domów według jednego planu architektonicznego jest rozsądną oszczędnością, a przez to dobrodziejstwem społecznem: pozostaje w duszy tępy jakiś smutek. Wspominałem, że niema w Anglji monotonji rozległych pól uprawnych: aleć stokroć gorszą *Kulturwüste* są te olbrzymie przestrzenie jednakowych domków, jednakowo świadczących o szarzyźnie życia małych urzędników i buchalterów po kantorach i bankach metropolji kapitalizmu. Čapek stara się pokonać bronią humoru czarną melancholję, jaką ten widok budzić musi. Oto jak dopisuje swój dojazd do serca Londynu (str. 12—13):

„Nareszcie pociąg wciska się pomiędzy gromady domów osobliwego rodzaju. Oto jest ich sto, zupełnie podobnych do siebie; potem znowu pełna ulica jednakowych; i znowu, i znowu. To robi wrażenie jakiegoś obłąkania zbiorowego na tle mody! Pociąg przelatuje koło całego miasta, na które padło jakieś straszliwe przekleństwo: nieubłagany Los zawyrokował, że każdy dom ma mieć dwa filary przy drzwiach. Dla innego znowu ogromnego kompleksu budynków Los zarządził żelazne balkony. Następny blok domów jest na wieki skazany na szarą cegłę. Innej ponurej ulicy nieugięte Fatum narzuciło niebieskie werandy. Dalej cała dzielnica na pokutę za jakieś nieznane przewinienie ma po pięć schodków przed każdą bramą. Czułbym niewypowiedzianą ulgę, gdyby choć jeden dom miał tylko trzy schodki; ale dla jakiejś tajemnej przyczyny to nie jest możliwe. A zaraz potem inna ulica jest znowu cała czerwona".

Tak mieszka obsługa Molocha kapitalistycznego. A teraz posłuchajmy, jakim rytmem bije jego serce. Oto apostrofa do Glasgow, przemysłowej stolicy Szkocji:

„O Glasgow, miasto bez piękna, miasto hałasu i handlu, miasto fabryk i składów, porcie dla wszelakich towarów — cóż o tobie powiem? Czyż więc jest jakaś piękność w fabrykach, dokach, magazynach, w żórawiach portowych, wieżach stalowni, gromadach rezerwoarów gazowych, łoskocących po bruku wozach z towarami, w wysokich kominach i grzmiących młotach parowych, w budowlach o stalowych i żelaznych żebrach, w bojach pływających na wodzie i górach węgla na brzegu? Ja, biedny grzeszny człowiek, myślę i widzę, że wszystkie te rzeczy mają swoją piękność, malowniczość, posągowość; ale życie, które się z tego wszystkiego rodzi, nie jest ani piękne, ani malownicze, jest opuszczone przez tchnienie Boże, jest surowe, zakopcone, lepkie, zgiełkliwe, dymiące i ciężkie, bez-

ładne i przygniatające, bardziej przygniatające niż głód i bardziej bezładne niż nędza. I legło na mnie całe znużenie dziesiątków tysięcy ludzi, i uciekłem od ciebie, Glasgowie, bo nie miałem odwagi oglądać i porównywać" (str. 128—129).

Na szczęście są na wyspach brytyjskich także jeszcze miasta inne, spokojniejsze i nie tak nieludzkie, nawet pośród wielkich i ludnych. Nie zamarł jeszcze zupełnie Edynburg, zwykle z Glasgowem kontrastowany. Glasgow jest faktyczną metropolją Szkocji dzisiejszej, środowiskiem jej olbrzymiego życia handlowego i przemysłowego. Edynburg zaś, historyczna stolica kraju, to dziś jeszcze rezydencja władz krajowych i tradycyjna siedziba elity umysłowej. Odpowiednio do tego historycznego i oficjalnego charakteru jest to miasto w bogatszych swych częściach dystyngowane i pełne rezerwy akademickiej i patrycjuszowskiej. Ale obok tych dzielnic jest ciekawszy od nich stary Edynburg, gnieżdżący się w ubogich, ciasnych i stromych ulicach między wysokiemi domami na historycznem wzgórzu zamkowem, pełen romantyzmu swej wielkiej dziejowej tradycji, pełen też wrzawy brudnych dzieci, rozhoworów w otwartych drzwiach małych warsztatów i sklepików, rozwieszonej nad głowami bielizny i wylewanej z okien wody — słowem pełen tego ulicznego folkloru, który przypomina raczej jakie miasto włoskie lub wschodnie niż surową stolicę Północy. Kto wśród sędziwych, szarych, kamiennych domów idzie w dół od zamku starą ulicą *Canongate,* pamiętną z powieści Waltera Scotta, ten istotnie może na chwilę zapomnieć, że jest w sercu jednego z najbardziej uprzemysłowionych krajów świata nowoczesnego.

5.

Po tym kalejdoskopie różnorodnych wrażeń zapytujemy się jeszcze, jak pielgrzym czeski spełnił przeciętne obowiązki zwykłego turysty, co wyniósł z tych męczących wędrówek po muzeach i galerjach, na które przy zwiedzaniu obcego kraju przyzwoitość kulturalna nas skazuje. Wszakże w ogromnych centrach przemysłu i handlu angielskiego znajdują się także bezcenne skarby sztuki; wszak Manchester i Liverpool w ufundowanych przez bogatych obywateli swych galerjach miejskich mają wiele z najwspanialszych obrazów prerafaelitów angielskich; wszak Londyn w takich swych kolekcjach jak Muzeum Brytyjskie i Galerja Narodowa mieści niejedno z naj-

większych arcydzieł rzeźby i malarstwa całego świata i wszystkich wieków.

I na te skarbnice pada jednak, jak na całe te wielkie miasta, potworny cień uprzemysłowienia nowoczesnego życia. Zbiory londyńskie ogromem i obfitością swoją oszałamiają i przytłaczają widza zupełnie tak samo jak jakieś wielkie zakłady przemysłowe. W tym nastroju przebiegał je snać i nasz czeski podróżny, bo choć poświęca im dwa osobne rozdziały, jednak mówi o nich niechętnie i z widocznem znużeniem. Nagromadzenie tak nieprzejrzanej mnogości klejnotów sztuki różnych czasów jako bilans dyktuje mu tylko melancholijny wniosek, że żadnej linji postępowego rozwoju w dziejach sztuki powszechnej dopatrzeć się nie można; a charakterystycznem jest dla rozumującej i logicznej umysłowości czeskiej, że szczególnie pociągają go kryształy, oglądane w Muzeum Historji Naturalnej w South Kensington, te matematyczne arcydzieła natury: wyciąga z nich naukę, że i nasz umysł działać winien matematycznie i geometrycznie, jeżeli chce w swej twórczości dorównać naturze. „Boski płomień rachunku" winien przenikać materję nawet w poezji — tak się wyraża ten literat maszynowego wieku.

Ale zostawmy filozofję na boku.

Do uciążliwych obowiązków każdego, kto był w Londynie w latach 1924—5, należało zwiedzenie wystawy w Wembley. Od sakramentalnego pytania *Have you been to Wembley?* zaczynała się każda angielska rozmowa z obcym przybyszem, zamiast, jak zwykle, od niewyczerpanego tematu pogody angielskiej. I tu dochodzę do punktu, w którym za szczególnie trafne uznać muszę spostrzeżenia czeskiego wędrowca, i szczególnie ściśle się z nim solidaryzować.

Przeszedłem kilkakrotnie wystawę w Wembley wszerz i wzdłuż, jak się patrzy, aż do zupełnego fizycznego wyczerpania. Nie uważałem za swój obowiązek robić jej reklamę przez pisanie o niej dla czytelników polskich, bo całkiem szczerze uważałem, że jest natchniona zbyt wyłącznie duchem imperjalistycznej propagandy brytyjskiej, by móc naprawdę interesować obywatela innego państwa i zasługiwać na wywożenie z Polski znacznych sum pieniężnych dla jej zwiedzania. Zgadzałem się na serjo z żartobliwem powiedzeniem, że ta „imperjalna" wystawa jest w gruncie „anty-imperjalną", bo wykazuje aż nadto dowodnie, że każde z Dominjów z osobna jest kulturalnie rozwiniętą i obfitującą w naturalne bogactwa

społecznością, która może doskonale istnieć samodzielnie, bez łączności z resztą imperjum.

Čapek traktuje o potężnem bogactwie i nieskończonej rozmaitości wystawy z łagodną ironją, zaznaczoną już w tytule rozdziału „Największy jarmark próbek". Słyszymy więc, że „pałac inżynierji na wystawie jest istotnie czemś wspaniałem: najpiękniejsze dzieła angielskiej sztuki plastycznej, to lokomotywy, parowce, kotły, turbiny, transformatory, dziwne jakieś maszyny z dwoma rogami na górze, maszyny dla wszelkiego rodzaju kręcenia, trzęsienia i trzaskania, — potwory daleko fantastyczniejsze i nieskończenie więcej eleganckie niż przedpotopowe jaszczury w Muzeum Historji Naturalnej" (str. 65). I znowu ta sama smutna refleksja, co wśród huku miast przemysłowych i zgiełku portów: — refleksja krytyczna o całej tej uprzemysłowionej kulturze: „Jestem z krwi chłopskiej, i to com widział, zamęt mi w duszy wywołało. Ta doskonałość materji, z której nie rodzi się żadna wyższa doskonałość człowieka, te świetne narzędzia życia uciążliwego i niewyzwolonego — to wszystko jest dla mnie bolesną zagadką. Przy tobie, wspaniała, 250-tonowa lokomotywo, na cóżby wyglądał ten ślepy żebrak, co sprzedawał mi dziś zapałki? Był ślepy i zżarty przez świerzb; był maszyną bardzo lichą, uszkodzoną; poprostu był tylko człowiekiem" (str. 67).

Jeżeli tu słyszymy echo tych rozmyślań ogólnych, co natchnęły dramat *R. U. R.*, to już w specjalnem zastosowaniu do Wembley i w najostrzejszym tonie rozlega się głos krytyczny, gdy mowa o reprezentacji na tej wystawie ogromnych mas różnokolorowej ludności tubylczej w kolonjach angielskich.

„Jest 400 miljonów ludzi różnych ras kolorowych w Imperjum Brytyjskiem, a jedyny ich ślad na wystawie imperjalnej stanowi kilku statystów reklamowych, jeden lub dwóch żółtych czy bronzowych przekupniów, i trochę starych zabytków, które tu sprowadzono dla ciekawości i dla zabawy. I nie wiem, czy to jest znak straszliwego upadku tych ras kolorowych, czy też straszliwe milczenie tych czterystu miljonów; ani też nie wiem, która z tych dwóch rzeczy byłaby bardziej przerażająca. Wystawa Imperjum Brytyjskiego jest olbrzymia i pełna po brzegi; wszystko tu jest, aż do wypchanego lwa i wymarłego zwierzęcia *emu;* tylko ducha tych czterystu miljonów — brak! To jest wystawa przemysłu i handlu angielskiego. Jest przekrojem przez tę słabą warstwę in-

teresów europejskich, która otoczyła cały świat, nie troszcząc się zbytnio o to, co tam jest pod spodem. Wystawa w Wembley pokazuje, co 400 miljonów ludzi czyni dla Europy, a po części także co Europa czyni dla nich..." (str. 71).

A więc nie dowiadujemy się, jak słusznie zaznacza czeski wędrowiec, czem są i co stworzyły te miljony same. „Pod spodem" wierzchniego poloru europejskiego są choćby dzieła ich sztuki ludowej. W Wembley — poza pięknym istotnie pawilonem indyjskim — nie widzimy ich prawie. Jak drwiąco mówi nasz autor, „oto murzyn jakiś wycina małe figurki z zębów słonia, jakby był skończył Akademję Sztuk Pięknych w Monachjum, i jeżeli mu dasz kawał drzewa, wytnie ci z niego wygodne krzesło. Na Boga, ależ on oczywiście przestał być dzikim i stał się — czem? Stał się najemnikiem cywilizowanego przemysłu" (str. 69).

Ironiczną ilustracją tego stosunku jest najkapitalniejszy może z tych licznych rysunków humorystycznych, któremi czeski autor sam ozdobił swoją książkę. Na tym rysunku widzimy cztery wspaniałe fotele klubowe angielskie, podobne do siebie jak cztery krople wody. Różnią się między sobą tylko tem, że według napisu jeden jest zrobiony na wyspach bermudzkich, drugi na wyspach Fidżi, trzeci w południowej Afryce, a czwarty w Guyanie brytyjskiej.

6.

Zatem uderzył słowiański pielgrzym całem ostrzem dowcipu i całą siłą krytyki w tę organiczną właściwość światowego Imperjum Brytyjskiego, która do niedawna stanowiła jego moc i spoistość, a dziś przy rosnącem rozbudzeniu ludów Wschodu zaczyna stanowić jego słabość: w tę wyniosłą obojętność wobec swoistego życia podwładnych ras, którą dziś bolszewicy na gruncie azjatyckim tak umiejętnie wyzyskują, przeciwstawiając jej swoją propagandę pod hasłem „samookreślenia narodów".

Z takiej postawy możnaby sądzić, że ogólny bilans ze spostrzeżeń Čapka nad narodem angielskim jest ostatecznie ujemny, że i jego, jak tylu innych cudzoziemców przed nim, w rezultacie odepchnęła i zniechęciła duma i rezerwa angielska, i że w gruncie niezrozumiałą dlań pozostała wyspiarska odrębność tej dziwnej kultury.

Tak jednak nie jest. Zbyt wiele znakomity pisarz ma w swej

duszy wnikliwości psychologicznej i zdolności do sympatycznego odczucia, by nie uchwycić tego, co w umysłowości angielskiej jest po ludzku zrozumiałe, co w niej jest rdzennie zdrowe i sympatyczne.

Niedarmo przecież wędrowiec czeski niestrudzenie obserwował nietylko krajobraz i zwierzęta, nietylko fabryki i kościoły, ale także przedewszystkiem ludzi samych we wszelakich okolicznościach i środowiskach. Obserwował Anglika na ulicy, gdzie nie rozgląda się, nie gwizda, nie prowadzi rozmów towarzyskich, jak w innych krajach, tylko skupiony w sobie i unikając zetknięcia z innymi, zdąża do swojego celu. Obserwował go w stanie młodym we wspaniałych starych uniwersytetach angielskich, Oxfordzie i Cambridge, gdzie na tle cudownych średniowiecznych budynków i prastarych parków atletyczni studenci wiosłują sobie na rzece lub leżą z książką i fajką na trawie, słowem prowadzą tak rajski żywot, że jak słusznie mówi Čapek, naszym chudzinom-akademikom lepiej o tem nie opowiadać. Obserwował dalej autor Anglika w latach starszych w jego monumentalnych klubach, w tych „świątyniach próżniactwa", jak je słusznie nazwał Tołstoj, gdzie ludzie, rozwaleni w arcywygodnych fotelach i skryci za ogromnemi gazetami, palą i milczą, biorąc sobie jakby za punkt ambicji, maksymę godności osobistej i zarazem warunek zupełnego zadowolenia, żeby na nikogo drugiego najmniejszej uwagi nie zwracać i ile możności z nikim nie mówić. „Gdzieindziej ludzie zaznaczają ważność swej osoby przez gadanie, w Anglji przez milczenie" (str. 59).

Ale i Anglicy będą mówili dużo i długo, i zupełnie samorzutnie, i to do nieznajomych słuchaczy, gdy ich tylko ogarnie zapał sekciarski, gorliwość partyjna, fanatyzm jakiejkolwiek idei lub wreszcie szał jakiegoś dziwactwa. Nie pominął oczywiście Čapek, jak nie pomija żaden turysta w Londynie, tego osobliwego widowiska, jakie przy wejściu do Hyde Parku stanowi galerja kaznodziejów i mowców amatorów pod odkrytem niebem, przemawiających do przechodniów i skupiających koło siebie mniejsze lub większe improwizowane wiece. Opowiada, jak z litości przysłuchiwał się jakiemuś brodatemu entuzjaście religijnemu, którego zresztą nikt słuchać nie chciał, i jak znużony wreszcie jego retoryką, z kolei przysłuchiwał się długo jednej z pasących się w parku owiec, która beczała przewlekle i uroczyście do publiki z poza ogrodzenia; jak po tem wszystkiem odszedł ukojony i oczyszczony na duszy.

Trzeba zresztą zauważyć, że takich, co wolą słuchać owcy niż kaznodziei, jest i wśród samych Anglików coraz więcej. Wycieczki z miasta na łono natury na niedzielę przybierają coraz bardziej masowe rozmiary. Čapek złośliwie twierdzi, że ten gromadny e x o d u s niedzielny, piechotą, pociągami, na rowerach, autach, na łódkach jest poprostu paniczną ucieczką przed straszliwą nudną niedzielą angielską. „W sobotę każdy obywatel brytyjski porwany jest ślepym instynktem uciekania dokądkolwiek, zupełnie jak zwierzę ślepo i instynktownie ucieka przed zbliżającem się trzęsieniem ziemi. Ci, co nie mogą uciekać, przynajmniej szukają schronienia w kościele, starając się przetrwać ten straszliwy dzień przy pomocy modlitwy i pieśni... Nie wiem, za jakie niewymowne przewinienie Bóg skazał Anglję na tę cotygodniową karę niedzieli angielskiej" (str. 184).

Drugim obok niedzieli angielskiej ulubionym przedmiotem narzekań cudzoziemców jest kuchnia angielska. Nie żałuje jej i Čapek; powiada, że dobra kuchnia angielska, to poprostu kuchnia francuska; a przeciętna kuchnia angielska, to coś, „co w znacznej mierze tłumaczy angielską ponurość i małomówność" (str. 185). I wypomina Anglikom wszystkie zimne konserwy mięsne z djabelską musztardą, wszystkie klejaste budynie tapjokowe, farbowane łososie, inne smażone ryby „o melancholijnym smaku", gotowaną na czarno herbatę, jałowe piwo, uniwersalne sosy fabrycznego wyrobu w butelkach, marynowane jarzyny, sztuczny krem *(custard)*, no i oczywiście niezapomnianą baraninę. Ale nie może zaprzeczyć, że przysmażona bułka *(toast)*, pieczony ser i sakramentalna smażona słonina poranna, to dobre dziedzictwo po wesołej starej Anglji; a w innem miejscu przyznaje, że smaczne jest piwo guildfordzkie. Byłby uczynił dobrze, gdyby tę pochwałę był rozszerzył na wspaniały wiejski jabłecznik angielski *(cider)*, szczególnie w hrabstwie Devonshire, i gdyby był zaznaczył, że jeżeli sposób przyrządzania wielu potraw w Anglji (szczególnie jarzyn) grzeszy niewybredną prymitywnością, to wielką zaletą dobrej domowej kuchni angielskiej jest jej nawskróś zdrowa naturalność. Znakomity angielski powieściopisarz realistyczny Jerzy Gissing w swem autobiograficznem dziele „Prywatne notatki Henryka Ryecroft" poświęcił cały rozdział obronie kuchni narodowej angielskiej i jako kwintesencję owej naturalności pod niebiosa wynosi złotą angielską zasadę, że każde mięso (przy należytem przyrządzaniu) wytwarza swój własny sos.

W praktyce zresztą cały świat zgodził się już na to, że mięso po angielsku z jarzynami po francusku dopiero stanowi idealny zespół obiadowy.

Tak samo jak przeciwko krytyce kuchni, tak i przeciwko ryczałtowemu potępieniu niedzieli angielskiej trzeba poczynić poważne zastrzeżenia. Niedziela z konieczności jest dniem ponurym i nudnym dla każdego samotnego cudzoziemca w obcem wielkiem mieście, czy w Anglji czy gdzieindziej. A nieocenionem dobrodziejstwem dla przemęczonych nerwów nowoczesnego człowieka jednak jest ten absolutny wypoczynek, jakiemu się oddają w niedzielę Anglicy. Gdy, przyjechawszy z Anglji do Francji, widzi się tam sklepikarzy ślęczących w swych kramikach nieraz w niedzielę do późnej nocy, żal się ich człowiekowi robi i zamiast podziwiać ich pracowitość, zżyma się na ich nierozsądek. Angielska niedziela, choć spowodowała olbrzymi deficyt wystawy w Wembley (która w niedziele nie była otwartą!), jednak ma bardzo rozumne uzasadnienie społeczno-higjeniczne [1].

Że tego nie uznał i nie podniósł obserwator czeski, temu dziwić się można, zważywszy, jak doskonale potrafił ocenić i wymownie wychwalić dobroczynny spokój i wzorowy ład życia w domu rodzinnym angielskim. Na cześć owego tylokrotnie wielbionego, legendarnego już niemal *home* angielskiego uderza w akcenty niemniej entuzjastyczne niż przedtem na cześć przyrody angielskiej, choć tak samo tu jak i tam nie przestaje dźwięczeć miła nuta żartobliwa. Angielskie *home* istotnie zasługuje na przysłowiowe określenie, że „dom Anglika, to jego zamek warowny". *(An Englishman's house is his castle).* Nawet zewnętrzny wygląd temu odpowiada, bo *home* istotnie, jak twierdza, oddzielone jest od świata zewnętrznego, jak dowcipnie mówi Čapek, „nietylko bramą, nietylko zasłoną w oknie, ale ogródkiem i kratą, powojem, trawnikiem, kołatką na drzwiach i wiekową tradycją" (str. 23). Ale za to gdyś na tyle szczęśliwy, że się dostaniesz jako mile widziany gość do średnio zasobnego angielskiego *home,* jesteś zaiste w raju. „Angielskie *home*", woła w pełnym humoru zapale pisarz czeski, „to tennis i ciepła woda, to gong wzywający cię na śniadanie, to książki, łąki, wygody dobrane, ustalone, po-

[1] Z tego względu pozwoliłem sobie nietylko bronić niedzieli angielskiej, ale nawet wprost ją zalecać jako wzór do naśladowania u nas w mojej broszurce „Czego nas uczy Anglja?" (Lwów, 1924, „Bibljoteka Tęczowa", Nr. 9, str. 25).

błogosławione przez całe stulecia, to swoboda dzieci i patrjarchalne usposobienie rodziców, to gościnność i etykieta, ale etykieta w całym swym formaliźmie tak dogodna, jak szlafrok; koniec końców, angielskie *home* to poprostu angielskie *home*" (str. 83). I na tem lapidarnem określeniu czegoś, co się w całym swym uroku określić nie da, Čapek, jak sam oświadcza, kończy „opowieść o najlepszych rzeczach, jakie są w Anglji".

7.

Dotarłszy w ten sposób z nim do najistotniejszych walorów życia angielskiego, kończmy i my, pytając wreszcie, jak wypada werdykt o narodzie i jego charakterze na podstawie tak różnorodnych spostrzeżeń.

„Najpiękniejsze rzeczy w Anglji", orzeka (nie lękając się powtórzenia) Čapek „to drzewa, trzody i ludzie; a pozatem także okręty. Ale do pięknej, starej Anglji należą także ci rumiani starzy panowie, którzy wiosenną porą noszą popielate cylindry, a w lecie gonią maleńkie piłki po boiskach golfowych i wyglądają tak świeżo i mile, że chciałoby mi się bawić się z nimi, gdybym miał osiem lat; i te starsze panie, co zawsze mają jakąś robótkę w rękach, mają również twarze rumiane, miłe i dobrotliwe, piją gorącą wodę i nigdy nie mówią o swych chorobach. Ogółem biorąc, kraj, który potrafił wydać najpiękniejsze dzieciństwo i najpiękniejszą starość, z pewnością ma w sobie coś z najlepszych rzeczy, jakie istnieją na tym padole płaczu" (str. 170).

Dalej już definicja rzeczy najistotniejszych:

„Co to jest *gentleman* angielski? Jest to pełne umiaru połączenie milczenia, uprzejmości, godności, sportu, gazet i uczciwości. Człowiek, co siedzi naprzeciwko ciebie w pociągu, będzie cię irytował dwie godziny przez to, że cię nie uzna za godnego jednego wejrzenia; potem nagle wstanie i poda ci twoją walizkę, której dostać nie możesz. Tu ludzie zawsze potrafią sobie pomagać, ale nigdy sobie nie mają niczego do powiedzenia, prócz uwag o pogodzie. To jest może przyczyna, dlaczego Anglicy wynaleźli wszystkie gry towarzyskie i dlaczego podczas nich nic nie mówią. To milczące usposobienie dochodzi do tego stopnia, że nie narzekają publicznie nawet na rząd, na pociągi, ani na podatki. Ogółem więc naród mało się weselący i mało mówiący. Na miejsce karczmy, w której się siedzi, pije i gada, wynaleźli bar, gdzie się stoi, pije i milczy.

Gadatliwi ludzie (jak Lloyd-George) idą na polityków albo na literatów" (str. 172—3).

Ale po tem wszystkiem konkluzja, w której przeważają jednak rysy dodatnie:

„Gdy ich jednak poznasz lepiej, okazuje się, że są łagodni i dobroduszni. Nigdy nie mówią wiele, ponieważ nigdy nie mówią o sobie. Umieją się cieszyć jak dzieci, ale czynią to z najuroczystszym, drewnianym wyrazem twarzy. Mają we krwi mnóstwo etykiety, ale zarazem są tak swobodni, jak młode pieski. Twardzi są jak krzemień, niezdolni do zastosowania się, konserwatywni, lojalni, dosyć płytcy i zawsze mało się udzielający. Nie mogą poprostu wyleźć ze swojej własnej skóry, ale skóra to solidna i pod każdym względem doskonała. Nie można się z żadnym z nich wdać w rozmowę, żeby nie być zaproszonym na śniadanie albo na obiad. Są gościnni jak święty Juljan, ale jakoś nigdy nie mogą przekroczyć granicy, dzielącej człowieka od człowieka. Czasem robi ci się nieswojo, gdy się czujesz tak osamotnionym wśród tych dobrotliwych i uprzejmych ludzi; ale gdybyś był małym chłopcem, wiedziałbyś, że możesz im zaufać więcej niż samemu sobie i byłbyś bardziej wolnym i szanowanym tutaj niż gdziekolwiek indziej na świecie. Policjant wydymałby policzki, żeby cię pobudzić do śmiechu, jakiś stary pan bawiłby się z tobą w piłkę, a białowłosa pani odłożyłaby na bok swoją powieść o 400 stronicach, żeby patrzeć na ciebie serdecznie swemi szaremi i zawsze jeszcze młodzieńczemi oczyma" (str. 174—5).

* * *

Nie mogłem się powstrzymać od przytoczenia w całości tych dłuższych ustępów o psychice angielskiej, bo szczerze w nich podziwiam spokojną równowagę oceny, a nadewszystko ten prawdziwie ożywczy humor, którym tchnie każde ich słowo.

Tu też tkwi przyczyna, dla której tak długo i tak poważnie się zająłem tą niewielką książeczką, która jest przecież właściwie igraszką rekreacyjną znakomitego pisarza i nie ma pretensji być ani wszechstronną ani nieomylną. Podziwiając w jej sądach o rzeczach angielskich równowagę i humor jako wybitne zalety umysłowości autora, podziwiam przymioty w naszym histerycznym świecie powojennym wogóle rzadkie,

a w szczególności naszej psychice polskiej niestety obce w stosunku do najważniejszych światowych faktów i zagadnień. Szczególnie naszej opinji o Anglji brakowało zawsze i brakuje właśnie i równowagi i zmysłu dla humoru. Niejednemu z nas, przed wojną zagorzałemu wielbicielowi Anglji, polityka Anglji powojennej, niechętna i nieufna wobec naszych dążeń mocarstwowych, podyktowała zwrot ku najgwałtowniejszej anglofobji, równie nierozsądnej jak bezkrytyczna anglomanja. A opłakany brak realistycznej żyłki dla humoru okazujemy niestety, gdy nas powierzchowne dziwactwa Anglików odpychają i odstręczają zasadniczo, zamiast nas bawić i zaciekawiać. Rezultatem takich uczuciowych niedostatków naszej natury jest czysta strata dla naszej kultury narodowej. Anglja pozostanie jedną z wielkich rzeczy w świecie i w dziejach, czy ją kochamy czy jej nie kochamy, a naród, nie zagłębiający się w jej studjum, sam się pozbawia bogactw duchowych, z których już wiele ludów i krajów, często Anglji wręcz wrogich, najskwapliwiej korzystało. Nie ze ślepem uprzedzeniem, ani też z równie ślepym zachwytem, ale z otwartemi oczyma, z wytężoną i pełną szacunku uwagą winniśmy zgłębiać tę wielką kulturę i czerpać z jej skarbów. Nie czynić tak byłoby rzeczą równie nierozsądną jak przeczyć wiekopomnym wartościom myśli niemieckiej lub piśmiennictwa rosyjskiego jedynie ze względu na nasze polityczne antagonizmy.

Nadewszystko zaś już nietylko od czeskiego pisarza i z jego książki o Anglji, ale od samych tych Anglików, o których pisze, winniśmy uczyć się wprowadzania do wszystkich naszych spostrzeżeń, sądów, postanowień, jak zbawczej szczypty soli, tej domieszki humoru, która dodaje życia każdemu przedmiotowi myśli ludzkiej. Nauczmy się wierzyć, że to odświeżające tchnienie nie szkodzi wierności dla największych idej, nie osłabia stanowczości w służbie najwznioślejszej sprawy. Temu pierwiastkowi rzeźwości i wesołości, którego natura ludzka zawsze łaknie jak kania deszczu, dajmy godne i należne miejsce w naszem odnowionem życiu polskiem. O służbie dla wolnej ojczyzny i jej zadaniach, o sprawach, wśród których żyjemy, nie myślmy i nie mówmy już na ten melodramatyczno-pogrzebowy sposób, do którego nas przyzwyczaił wiek niewoli. Ci, co ze śmiechem na ustach zaśpiewali pospolity kuplet *Tipperary*, bili się z niemniejszem męstwem od tych, co nucili podniosłe rytmy „Marsyljanki". Niechże z pełnią swobodnego

życia narodowego odżyje ten dawny humor duszy polskiej, którym wszakże promieniuje nasz burzliwy wiek XVII, choć pełen tragicznych kataklizmów i najwznioślejszego bohaterstwa, ten sam nasz swojski humor, co nawet w najciemniejszej dobie klęski rozsiał złote swe blaski po nieśmiertelnych kartach „Pana Tadeusza".

XVI.

ZAGADNIENIE SZKOŁY POWSZECHNEJ I SZKOŁY ŚREDNIEJ W ANGLJI

(Odczyt wygłoszony na zebraniu Koła Krakowskiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, dnia 9 kwietnia 1927 r.).

1.

W chwili obecnej cała Polska rozbrzmiewa dyskusją nad projektowaną zmianą ustroju naszych szkół, mającą tak głęboko przekształcić dotychczasowy stosunek szkoły powszechnej do średniej. W momencie dla całego naszego szkolnictwa tak ważnym nie od rzeczy może jest zaznajamiać społeczeństwo z doświadczeniami innych narodów europejskich w tej dziedzinie. Wszędzie wszakże dzisiaj w najbardziej zasadniczych zagadnieniach oświatowych panuje ferment krytyczny i reformatorski, stanowiący część tego ogólnego fermentu społecznego i psychicznego, co ogarnął cały świat cywilizowany po potężnem wstrząśnieniu wielkiej wojny.

Objawy tego fermentu w dziedzinie oświaty wyraźnie wystąpiły także wśród społeczeństwa angielskiego. Z jednej więc strony bolesne doświadczenia śmiertelnego zmagania się z Niemcami, u których nauka tak wybitne oddała usługi dziełu wojny, pouczyły Anglję, że dotychczasowy system wychowawczy angielski, tak podziwiany przez całą Europę, jednak był jednostronny przez to, iż kładł nacisk prawie wyłącznie na wyrabianiu charakteru i rozwoju fizycznym; że dla podniesienia sprawności narodu i jego zdolności do konkurencji z innymi należy znacznie zintelektualizować wychowanie angielskie, przepoić je daleko intensywniej, niż dotąd, pierwiastkami nauki teoretycznej i systematycznej wiedzy. Ta świadomość wyładowała się zarówno przez szukanie nowych dróg na polu oświaty pozaszkolnej, jak i przez próby wprowadzania nowych, bar-

dziej intelektualnych, niż normatywnych, metod nauki w szkołach [1].

Ale jeszcze druga dążność w następstwie wojny wyraźnie się zaznacza. Wojna zmusiła Anglję do powołania pod broń lub do współpracy w dziele obrony najszerszych mas narodu, do stworzenia tej armji narodowej, której Anglja w przeciwieństwie do mocarstw kontynentu europejskiego dotychczas nie posiadała, operując żołnierzem werbowanym. Żądając od szerokiego ogółu tak niebywałych wysiłków i ofiar, rząd musiał działać nań obietnicami, na które przecież zawsze i wszędzie podczas wojny jest wielki urodzaj.

Jednym z najsilniejszych instynktów mas robotniczych angielskich obok różnych ich pragnień materjalnych i politycznych jest już od początku XIX w. „głód oświatowy". I na ten głód, tak samo jak na głód mieszkaniowy i na głód wyższych płac, starano się działać w czasie wojny przez hojne obietnice. Zapowiadano tedy znaczne rozszerzenie zakresu powszechnego wykształcenia po wojnie, jakąś wielką demokratyzację kultury. I tę obietnicę także, jak obietnicę „mieszkań dla bohaterów" *(homes for heroes)*, mimo trudnego położenia gospodarczego ery powojennej wypadło pod naciskiem ogólnego zniecierpliwienia nareszcie spełniać. Fundament pod jej spełnienie położyło w r. 1924 Ministerstwo Oświaty, zwracając się o opinję w sprawie rozszerzenia wykształcenia powszechnego do ukonstytuowanej przy Ministerstwie „Komisji doradczej", złożonej z pierwszorzędnych rzeczoznawców z całego kraju: pedagogów szkolnych, działaczy oświatowych, teoretyków wychowania. Komisja ta wydała już po wojnie kilka obszernych i cennych referatów o zagadnieniach zasadniczego znaczenia: w r. 1924 właśnie ukończyła była elaborat o t. zw. „testach" psychologicznych dla stwierdzania stopnia zdolności uczniów. Nowemu swemu przedmiotowi Komisja poświęciła zgórą dwa lata studjów w plenum i podkomisjach; w ostatecznej redakcji jej wniosków kierującą rolę objął kooptowany na jej członka znakomity badacz na polu pedagogiki, profesor Percy T. N u n n. Sprawozdanie Komisji ukazało się wreszcie w grudniu r. 1926 w postaci sporego tomu o przeszło

---

[1] O usiłowaniach w obu tych kierunkach pisałem w artykułach: „Nauka i oświata pozaszkolna" (Warszawa, 1924, „Oświata Pozaszkolna") i „Nauka języka ojczystego i literatury w angielskich szkołach średnich" (Warszawa, 1924, „Przegląd Humanistyczny").

300 stronicach druku [1], zawierającego sporo ciekawego materjału zarówno historycznego, jak i ankietowego i programowego.

Tą więc publikacją urzędową, jako ważnym przyczynkiem do dyskutowanego u nas obecnie problemu stosunku między szkołą powszechną a szkołą średnią, zamierzam się pokrótce zająć.

2.

Konkretny temat, postawiony Komisji, streszczał się w dwóch zapytaniach: jak jej zdaniem należy zorganizować naukę szkolną dzieci, pozostających w szkole do 15 roku życia, a nie idących do szkoły średniej; powtóre zaś, jak stwierdzać wyniki tej nauki i ułatwiać uczniom wyjątkowo uzdolnionym przejście do szkoły średniej w wieku późniejszym od zwykłego?

Z odpowiedzi Komisji na te pytania przytoczmy przedewszystkiem odrazu to, co nas w dzisiejszej sytuacji w Polsce najbardziej musi interesować.

Otóż, gdy nasze czynniki administracyjne zabierają się do amputacji kilku pierwszych lat szkoły średniej na rzecz jednakowej i obowiązującej dla wszystkich, przedłużonej szkoły powszechnej, eksperci angielscy, zebrani przecież pod hasłem demokratyzacji kultury szkolnej, wprost przeciwnie nie tylko chcą zachować szkołę średnią w dotychczasowych rozmiarach, ale dla tych, którzy do niej nie pójdą, chcą stworzyć jej surogat przez oddzielenie właśnie ostatnich trzech lub czterech lat od szkoły powszechnej i przekształcenie ich na osobną szkołę o poziomie niższej szkoły średniej. Ma więc obok nietkniętych i zachowanych w całości szkół średnich stanąć jako nadbudowa szkoły powszechnej, coś analogicznego do znanej nam starej niemiecko-austrjackiej *Bürgerschule*, czyli „szkoły wydziałowej", ale coś gatunkowo znacznie wyższego.

Wobec tak biegunowego przeciwieństwa między propozycjami ekspertów angielskich a planami dzisiejszej administracji oświatowej polskiej warto zaiste przekonać się, jaką drogą doszli Anglicy do swych konkluzyj.

Przedewszystkiem więc, jak na Anglików przystało, do tych

---

[1] *Board of Education: Report of the Consultative Committee on the Education of the Adolescent.* Londyn, *His Majesty's Stationery Office,* 1926. Str. XXIV i 340, małej 8-ki. Cena 2 szylingi.

konkluzyj prowadzi Komisję przegląd rozwoju historycznego całej kwestji wyższych studjów nauki w szkole powszechnej. Sięgają wstecz do początku XIX w., do owych tak zamierzchłych w oczach dzisiejszego oświatowca czasów, gdy dzieci klasy robotniczej angielskiej przeciętnie nie więcej, jak dwa lub trzy lata życia spędzały w szkole. Dopiero pierwsza w długim rzędzie ustaw o ochronie pracy, które miał przynieść wiek XIX, ustawa „o zdrowiu i moralności robotników" z r. 1802, przyniosła zasadę, że pracodawca ma się starać o to, aby młodociany kandydat na robotnika przez pierwsze cztery z przepisanych siedmiu lat swego terminu oprócz swej roboty uczył się także czytania, pisania i rachunków. Potężniejszy impuls do rozwoju regularnego szkolnictwa elementarnego dała jednak, jak zwykle w Anglji, inicjatywa nie państwowa, lecz prywatna, mianowicie powstawanie i rozrost „szkółek niedzielnych" *(Sunday Schools)*, tworzonych pierwotnie przez różne organizacje wyznaniowe z celem nauki religji przedewszystkiem, ale obok niej i w związku z nią także różnych przedmiotów szkoły powszechnej.

Poza temi szkółkami niedzielnemi w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku szkoły elementarne dla dzieci ubogich, tworzone przez różne organizacje, wszystkie w myśl panujących wtedy doktryn filozofji utylitarystycznej miały na oku przedewszystkiem zaprawianie dzieci do różnych zajęć praktycznych, a właściwą naukę stawiały na drugim planie; często nawet zarobki dzieci przez pracę ręczną w godzinach szkolnych były motywem, dla którego ubożsi rodzice posyłali swoje dzieci wogóle do szkół.

Ale wcześnie ujawniają się tendencje do rozszerzenia czysto naukowej strony programu: już około r. 1820 słyszymy o nauce geometrji, a nawet trygonometrji, języka francuskiego, śpiewu i rysunków w wyższych klasach niektórych szkół elementarnych angielskich. Rychło też pod nazwą *Middle Schools*, a więc „szkół średnich" (w odmiennem nieco znaczeniu, niż używamy tego słowa dzisiaj) ukazują się szkoły elementarne o przedłużonym do lat sześciu czasie nauki i o znacznie rozszerzonym programie, obejmującym nawet łacinę. Niektóre z nich nazywają się „szkołami handlowemi" i uczą także języków· francuskiego i niemieckiego. Są to pierwsze odosobnione eksperymenty w tym kierunku, w którym dzisiaj grono rzeczoznawców angielskich pragnie systematycznie poprowadzić całe szkolnictwo państwowe. Szczególnie szkoły utrzymywane

przez sektę metodystów, i zgodnie z przeważającym składem społecznym tej sekty, przeznaczone głównie dla dzieci drobnomieszczaństwa, jeszcze przed połową wieku XIX osiągnęły stosunkowo wysoki poziom nauki w takich przedmiotach, jak geografja, historja i nauki przyrodnicze, i nawet specjalizowały swoje programy zależnie od środowiska raczej rolniczego lub raczej przemysłowego. Rychło też ukazują się wnioski, by szkoły o wyższej strukturze, obszerniejszym programie i dłuższem trwaniu nauki istniały w każdym okręgu, jako centrale, dla starszych i zdolniejszych dzieci z niżej zorganizowanych miejscowych szkół elementarnych. Takie szkoły nazywano *Central Schools* („szkołami centralnemi") i tendencja do ich tworzenia przetrwała nawet reakcyjną ustawę szkolną z r. 1862, która miała za cel ograniczyć szkolnictwo powszechne do *minimum* jego zadań. Komisja dla zbadania zagadnień oświatowych, czynna w latach 1864—8, w swem sprawozdaniu stanowczo odróżnia takie szkoły o typie *Central-Schools* od szkół średnich właściwych, jako odrębną instytucję.

3.

Na rozwój szkolnictwa państwowego w Anglji XIX wieku wpływ potężny i decydujący mają wielkie wypadki polityczne. Epokowa reforma wyborcza roku 1832, dająca reprezentację parlamentarną wielkim miastom przemysłowym, położyła pieczęć ostateczną na przemianie starej Anglji ziemiańskiej i rolniczej na nowoczesną Anglję mieszczańską i przemysłową. W zakresie szkolnictwa reforma miała to bezpośrednie następstwo, że zaraz w rok po niej w budżecie państwowym po raz pierwszy występuje pozycja na cele szkolne Ł 20.000 na budowę szkół. Do tego czasu wszelkiego rodzaju szkoły w Anglji musiały utrzymywać się całkowicie z dobrowolnych datków i z opłat szkolnych.

Niemniejsze znaczenie dla szkolnictwa ma druga reforma wyborcza roku 1867, która rozszerzyła prawo głosowania na masy robotnicze. W trzy lata po niej pamiętna Ustawa Edukacyjna r. 1870 kładzie właściwe podwaliny pod ogólno-państwową organizację całego szkolnictwa elementarnego. Od tego czasu też zaczyna się usilny ruch na polu wszelkich zagadnień, związanych ze szkolnictwem w szybszem, niż dotąd tempie. Następują po sobie reformy, i wciąż przez Komisje eks-

pertów badane są z ramienia rządu różne zasadnicze problemy ustroju szkolnego.

Ożywiony ten rozwój dotyczył także wspomnianych już wyższych szkół elementarnych, które nazywały się teraz nie *Central Schools,* lecz *Higher Grade Schools* („szkołami wyższego stopnia") i coraz bardziej zyskiwały na popularności i rozpowszechnieniu, a także na wartości materjału naukowego, jaki dawały swym uczniom. Wzrost ich prestiżu ujawnia się już w tem, że zasiadająca w r. 1894 i 1895 specjalna Komisja dla spraw szkolnictwa średniego traktuje je, jako osobną kategorję szkół już nie elementarnych, lecz średnich, żąda ich podporządkowania władzom administracyjnym dla szkół średnich i ich koordynacji organicznej z innemi i pełniejszemi typami szkoły średniej. Do tego wprawdzie nie doszło, ale zreorganizowane, a raczej ostatecznie zorganizowane w r. 1899 angielskiej Ministerstwo Oświaty zaraz w roku następnym nadało „wyższym szkołom elementarnym", tak teraz nazwanym *(Higher Elementary Shools),* oficjalny status i wyższe wyposażenie, oraz unormowało dla nich rozszerzony, czteroletni program naukowy o charakterze przeważająco przyrodniczym, z jednym językiem obcym. Wiele jednak dawnych „wyższych szkół elementarnych" tymczasem rozwinęło się już było w formalne szkoły średnie i do tej nowej kategorji nie weszło, tak, że nowoustanowionych i wyższych szkół elementarnych było stosunkowo niewiele. Wogóle zresztą bujny rozrost angielskiego szkolnictwa średniego po Ustawie Edukacyjnej konserwatywnego rządu Balfoura z roku 1902 usunął nieco w cień kwestję wyższych szkół elementarnych.

Ale problem zaopatrzenia oświatowego tej młodzieży, która do szkół średnich nie szła, całkowicie, oczywiście, usunąć się z pola nie dawał, bo wciąż na nowo stawiało go samo życie. Dość bezpłodnie zajmowała się tem zagadnieniem ponownie osobna Komisja w r. 1905. Cenniejszą okazała się praktyczna inicjatywa Londynu, który, stanowiąc wraz z przedmiejskiemi gminami osobny okrąg administracyjny, przoduje w XX wieku całemu krajowi przez postępową organizację swego szkolnictwa. Londyn w r. 1911 definitywnie zorganizował na swem terytorjum system wyższych szkół elementarnych pod starą nazwą *Central Schools,* szkół, jasno i wyraźnie odgraniczonych od niższej szkoły elementarnej z jednej i od szkoły średniej z drugiej strony. Ten przykład starano się rozciągnąć na całe państwo w wielkiej powojennej Ustawie Szkolnej z roku

1918, zalecając ciałom samorządowym tworzenie takich *Central Schools* lub przynajmniej kursów, jako ich surogatów, w każdym większym ośrodku.

W takim stanie zastała zagadnienie Komisja z r. 1924. Dla uzupełnienia swej orjentacji w danych faktycznych zastanowiła się jeszcze nad traktowaniem tego samego problemu w innych krajach. Stwierdziła: że i w Ameryce (pod nazwą *Junior High Schools*), we Francji pod nazwą *écoles primaires supérieures*, w powojennej Austrji i Niemczech pod nazwą *allgemeine* lub *deutsche Mittelschule*, także w Belgji pod nazwą *quatrième degré primitaire*, w Szwajcarji pod nazwą *Sekundarschule*, w Czechach pod nazwą *obcanska skola*, wreszcie w Szwecji pod nazwą „wyższych szkół elementarnych" i „szkół pośrednich" istnieją instytucje analogiczne do tych szkół angielskich, które stoją w pośrodku pomiędzy szkołą powszechną a średnią.

Przedewszystkiem jednak przekonała się Komisja, że daleko bliżej, bo pod jej bokiem, w Szkocji, która ma swoją odrębną organizację szkolnictwa, osobne szkoły pośredniego typu między powszechną a średnią już od r. 1902 pod nazwą *Intermediate Schools* są w pełni rozkwitu, a w r. 1918 to stadjum nauki pod nazwą *Advanced Division* zostało jednolicie zorganizowane; kończy się ono w Szkocji osobnym egzaminem i osobnem świadectwem o charakterze dyplomu. Co do planu nauki i kwalifikacyj nauczycieli, *Advanced Division* odpowiada niższym klasom szkoły średniej, i ewentualne przejście po jego ukończeniu do wyższych klas szkoły średniej jest umożliwione. Szkocja zdąża do tego, by nie tylko zdolniejsze, ale wszystkie dzieci ukończyły przynajmniej *Advanced Division:* ustawa r. 1918 zaprowadza w zasadzie rozciągnięcie przymusu szkolnego do ukończonego 15 roku życia. W tym względzie, jak zresztą w niejednym szczególe swego rozwoju oświatowego, Szkocja prześcignęła Anglję.

4.

Obok faktów historycznych i danych organizacyjnych sprawozdanie ekspertów angielskich ilustruje swój temat także wyborem niezmiernie interesujących danych statystycznych. Dowiadujemy się więc, że w roku szkolnym 1922/23 w Anglji (razem z Walją) z $3^1/_2$ miljona dzieci w wieku od 11 do 16 lat zaledwie coś ponad $^1/_4$ miljona uczęszczało do szkół średnich,

a przeszło 2 miljony do wyższych klas szkół elementarnych. Z młodzieży znowuż, która z ukończonym 14 rokiem wyszła ze szkół elementarnych w roku szkolnym 1923/24, trzy czwarte (75%) szło prosto w życie do pracy zarobkowej, a zaledwie 12% dla dalszego wykształcenia do szkół wyższych kategoryj.

Cyfry to swoją drogą ryczałtowe, a wahania zależne od warunków miejscowych są znaczne: w niektórych ośrodkach zaledwie $4^1/_2$% ogółu młodzieży przechodzi ze szkoły powszechnej do średniej, w innych cyfra ta dochodzi do $45^1/_2$%. Różnice między rozmaitemi okolicami Anglji w tym względzie zatem są istotnie ogromne. Ustawa Oświatowa roku 1918 dawała w tych rzeczach wielką swobodę władzom miejscowym. Londyn, przodujący w szkolnictwie teraz stale, okazał największą ruchliwość organizacyjną, okręgi czysto wiejskie — najmniejszą. W pośrodku stoją większe przemysłowe miasta prowincjonalne: naogół daje się w nich po roku 1918 zauważyć dość ożywiony ruch w kierunku dostarczania młodzieży powyżej lat czternastu możliwości systematycznego kształcenia się poza ramami szkolnictwa średniego. Na terytorjum każdego większego miasta na prowincji powstało w tych ostatnich latach po kilka nowych wyższych szkół elementarnych, do których idą albo wybrane najzdolniejsze dzieci z całej grupy szkół niższych, albo wszystkie dzieci powyżej lat 11, nie idące do innych szkół. Zależnie od tego doboru uczniów szkoły są zróżniczkowane między sobą, ponadto różnią się kierunkami: niektóre mają charakter bardziej przemysłowy, inne — bardziej handlowy, wreszcie inne — ogólnokształcący.

Na podstawie postępu, osiągniętego już w ten sposób z inicjatywy władz miejscowych, autorowie sprawozdania starają się nakreślić linję pożądanych p o s t ę p ó w d a l s z y c h. Naczelnem ich dążeniem, jak już na wstępie zaznaczyłem, jest zmienić istniejący system, w którym *gros* dzieci, nie idących do szkoły średniej, uczęszcza do 14 roku życia do szkoły elementarnej, a potem przeważnie niczego dalej się nie uczy. Chcą go zastąpić systemem, w którymby dzieci, które do szkoły średniej nie idą, już w tym wieku, w którym inne wstępują do szkoły średniej, a więc w 11 roku, przechodziły do osobnej i odrębnie zorganizowanej wyższej szkoły elementarnej i pozostawały w niej do 15 lub 16 roku, a nawet ewentualnie i dłużej. W rezultacie więc chodziłoby o przedłużenie nauki szkolnej dla ogółu młodzieży, ale nie drogą rozciągnięcia szkoły powszechnej na dalszy okres życia, lecz drogą wyodręb-

nienia wyższych klas szkoły powszechnej w osobną instytucję o charakterze szkoły średniej raczej, niż elementarnej. Dla wyraźnego zaznaczenia ich odrębności te szkoły mają także nosić osobną, nową nazwę: *Modern Schools.*

Na dowód, że te zasady przewodnie są zarazem popularnemi postulatami opinji publicznej, eksperci powołują się na rezolucję zupełnie podobnej treści, uchwaloną, jako dyrektywa dla administracji oświatowej, przez Izbę Gmin w kwietniu roku 1925. Pogląd, że około 11 roku życia w każdym razie, czy dziecko idzie do szkoły średniej, czy nie, powinna się rozpoczynać nowa i odmienna faza jego wychowania, zastosowana w swych metodach do krytycznego wieku dojrzewania, ten pogląd wyznawały prawie jednomyślnie wszystkie zapytywane przez Komisję osoby. Jednolitość do roku 11, potem rozmaite równoległe możliwości, to hasło powtarza się w zeznaniach przed komisją wciąż nanowo w różnych formach. Nawet przedstawiciele Związku Nauczycieli Szkół Powszechnych wypowiedzieli się za tem, by dzieci, nie idące do szkoły średniej, od 11 roku otrzymywały odmienne od dotychczasowego wykształcenie „o charakterze średniego“ [1]; a Związek Nauczycielek nawet jeszcze wyraźniej powiedział, że szkoły dla dzieci powyżej roku 11 „powinny być ściśle pokrewne szkołom średnim co do urządzeń i co do sił nauczycielskich“. O „jakiejś formie szkół średnich albo centralnych“ mówi w swem orzeczeniu także delegacja Rady Naczelnej Zawodowych Związków Robotniczych, jako przedstawicielstwo głównej masy zainteresowanych rodziców. Tę zgodność opinji wyczuło snać jeszcze przed wydaniem sprawozdania samo angielskie Ministerstwo Oświaty: bo okólnikiem w początkach roku 1925 przypomniało prowincjonalnym władzom szkolnym obowiązek urządzania tego nowego typu szkół, obowiązek, włożony na nie zresztą już przez ostatnią Ustawę Oświatową z r. 1918.

Autorowie sprawozdania nie mają żadnych złudzeń co do technicznej trudności przeprowadzenia tej zmiany, którą projektują; jak słusznie i w prawdziwie mądrych słowach powiadają, zdają sobie sprawę, że „w sprawach wychowania, tak samo jak w innych dziedzinach polityki socjalnej, żadne pokolenie nie ma przed sobą prostej *tabula rasa*, na której może pisać dowolnie“; przeciwnie, „każde musi budować gmach

---

[1] *Secondary in character* (str. 73 sprawozdania).

z materjałów, odziedziczonych od poprzedników, albo nie będzie mogło budować wcale"; że wreszcie „kontury wszelkich ideałów wychowawczych przy ich zastosowaniu w życiu muszą się nieco zacierać wskutek konieczności zawierania kompromisów z wymaganiami praktycznemi". Wymaganiom tego rozsądnego oportunizmu sprawozdawcy pragną zadość uczynić przedewszystkiem w tej drodze, że kładą nacisk na potrzebie jak największej rozmaitości typów nowej szkoły, zależnie zarówno od wieku, do którego uczeń będzie mógł wogóle do szkoły chodzić, jak i od różnorodności zainteresowań i uzdolnień wśród dorastającej młodzieży. Wszak nie chodzi, jak mówią autorowie sprawozdania, już o to, czy pewne wybrane dzieci mają otrzymać wykształcenie wyższe od elementarnego, ale o to, by je otrzymały wszystkie, tylko w formach umiejętnie zróżniczkowanych. „Selekcja przez dyferencjację zamiast selekcji przez eliminację" to zdaniem Anglików właściwe hasło prawdziwie demokratycznej polityki oświatowej. A więc w żadnym razie nie należy ich zdaniem dążyć do przekreślenia selekcji przez ryczałtową amplifikację.

5.

Różnemi typami nowych szkół, jakie przy tych założeniach będą potrzebne, zajmuje się rozdział następny. Całą rozmaitość potrzebnych typów ujawni, zdaniem autorów, dopiero doświadczenie. Narazie zalecają oni obok niższych szkół przemysłowych i handlowych, oraz obok istniejących szkół średnich dwa zasadnicze typy, również już reprezentowane wśród szkół istniejących, mianowicie typ „selekcyjny" dla wybranych dzieci zdolniejszych i typ „nieselekcyjny" dla ogółu młodzieży, przekraczającej rok jedenasty. Oba te typy, ich zdaniem, mogą istnieć obok siebie na tem samem terytorjum. Poza tem zaś autorowie dopuszczają istnienie klas uzupełniających przy zwykłych szkołach powszechnych w takich wypadkach, gdzie warunki miejscowe nie dają możności kształcenia młodzieży w osobnych szkołach o opisanych typach. Jest nawet do przewidzenia, jak zaznaczają, że takie warunki w wielu miejscach będą zachodziły jeszcze przez dłuższy czas; ale za ostateczny cel bezwarunkowo uważają wydzielenie tych wyższych klas w osobną instytucję, z odrębnem gronem nauczycielskiem, osobnemi budynkami i o odmiennym charakterze. Ta nowa instytucja zresztą, jak autorowie wyraźnie podnoszą,

nie ma być rywalką szkoły średniej i odciągać od niej uczniów. Chodzi przecież właśnie o dalsze systematyczne kształcenie takiej młodzieży, którąby w żadnym razie nie poszła do szkoły średniej. To też w samych zasadniczych postulatach co do nowych typów szkół zaakcentowana jest konieczność, by w ostatnich dwóch latach ich przeciętnie czteroletniego kursu uwzględnione były w programie potrzeby życia praktycznego, bo w to życie mają wstępować ich wychowankowie prosto ze szkoły. Ten nieakademicki i raczej praktyczny kierunek zresztą — tak twierdzą autorowie sprawozdania — odpowiada rzeczywistym potrzebom psychicznym znacznej większości młodzieży angielskiej.

Szczegółowemu p r o g r a m o w i n a u k w projektowanych nowych szkołach poświęcony jest rozdział następny. Program ten ma łączyć pewien zakres wykształcenia ogólnego na sposób niższej szkoły średniej ze sporą dozą umiejętności praktycznych i pracy wytwórczej. Wśród przedmiotów zatem figurują z jednej strony jeden język obcy, dalej język ojczysty i jego literatura, historja ojczysta i powszechna, geografja, matematyka, nauki przyrodnicze, z drugiej strony — rysunki i sztuka stosowana, roboty ręczne z dziedziny różnych rzemiosł dla chłopców, z dziedziny gospodarstwa domowego dla dziewcząt, ogrodnictwo, śpiew, muzyka i gimnastyka rytmiczna, ćwiczenia cielesne i gry ruchowe z włączeniem starych tańców narodowych, które dziś zmartwychwstają w Anglji, wreszcie organizacja różnych zbiorowych zajęć pozaszkolnych i pracy społecznej w stowarzyszeniach.

W latach wyższych w ramach tego programu ma być miejsce na pewną s p e c j a l i z a c j ę: szkoły londyńskie tego typu, najwzorowiej dotychczas rozwinięte, wszystkie wprowadzają specjalizację w kierunku h a n d l o w y m lub p r z e m y s ł o w y m po pierwszych dwóch latach. A więc uczy się na wyższych latach czy to stenografji i buchalterji, czy to technologji i rysunków inżynieryjnych, kosztem skreślenia takich przedmiotów, jak roboty ręczne lub muzyka. Ponadto rozszerza się odpowiednio naukę pewnych przedmiotów, już objętych normalnym programem, a więc np. naukę geografji w kierunku geografji handlowej, albo naukę matematyki w kierunku obliczeń bankowych czy technicznych. W szkołach dla dziewcząt często specjalizacja w ostatnich dwóch latach idzie w kierunku nauki gospodarstwa domowego i pielęgniarstwa, albo krawiectwa. Niektóre szkoły pozostawiają uczniowi w wyższych klasach

wybór pomiędzy programem ogólnokształcącym a wyspecjalizowanym. Pozatem szkoły stosują się co do kierunku specjalizacji do warunków miejscowych, a więc np. szkoły w okolicach nadmorskich uczą zasad nawigacji i budowy okrętów, szkoły w okręgach rolniczych — hodowli roślin, zwierząt i mechaniki rolniczej. W wielu wypadkach kierownicy szkół weszli w porozumienie z wybitniejszymi pracodawcami miejscowymi, by zastosować program szkolny do potrzeb lokalnego rynku pracy: dalsze rozszerzenie tego kontaktu, zdaniem autorów sprawozdania, jest pożądane. To także podziała ożywczo na zainteresowanie uczniów, wytwarzając ściślejszy związek między nauką szkolną a życiem otaczającem. Z drugiej strony jednak trzeba się liczyć z ruchliwością ludności w nowożytnem uprzemysłowionem społeczeństwie i w przeludnionym kraju, a więc możliwością emigracji czy to do okręgu o innym charakterze gospodarczym, czy też za morze. Ponadto i ze względów indywidualnych nie można już w wieku 13 lub 14 lat przesądzać bezpowrotnie kwestji wyboru zawodu przez ucznia. Wszystkie te argumenty przemawiają za pewną ostrożnością w sprawie specjalizacji i nakazują nie zacierać zupełnie ogólnokształcącego charakteru szkoły, nawet w latach ostatnich bezpośrednio przed wstąpieniem w życie czynne.

6.

Od kwestyj ideowych i naukowych przechodzimy do technicznych i organizacyjnych.

A więc przedewszystkiem sprawy personelu nauczycielskiego i wyposażenia szkoły.

W sprawie doboru nauczycieli eksperci angielscy więcej kładą nacisku na doświadczeniu pedagogicznem, niż na cenzusie naukowym. Zasadnicza w naszych warunkach kwestja, czy nauczycielami w tych szkołach mają być ludzie z wykształceniem uniwersyteckiem, czy bez niego, w stosunkach angielskich tego zasadniczego znaczenia nie ma. Klasa nauczycieli szkół powszechnych i klasa nauczycieli szkół średnich są tam socjalnie bardziej do siebie zbliżone, niż w krajach Europy kontynentalnej. Autorowie sprawozdania uznają za rzecz pożądaną, by jak największa liczba nauczycieli w szkołach nowego typu rekrutowała się z pośród wychowanków uniwersyteckich, ale sądzą, że także wielu z czynnych nauczycieli szkół powszechnych bez dyplomu uniwersyteckiego nadawałoby się

do udzielania nauki w *Modern Schools*, szczególnie przy odpowiedniem uzupełnieniu ich wykształcenia.

W zakresie rzeczowego wyposażenia tych szkół kładą nacisk głównie na urządzeniach do zajęć praktycznych i doświadczalnych i wypowiadają ogólną opinję, że szkoły te — jeżeli nie odrazu, to w przyszłości — powinny co do urządzeń stanąć na poziomie szkół średnich.

Sprawą niemniej ważną od doboru nauczycieli jest rekrutowanie uczniów do nowych szkół. Ukończenie roku 11 postawione jest jako termin, bo w tym wieku także dzieci w Anglji zazwyczaj przechodzą ze szkoły powszechnej do średniej. Egzamin wstępny do szkoły średniej obecnie jest zarazem egzaminem wstępnym do *Modern Schools* o typie selekcyjnym, gdzie szkoły takie istnieją, i rozdział uczniów między obie kategorje szkół odbywa się według natury ich uzdolnień, z uwzględnieniem życzeń kandydatów, względnie ich rodziców, i zależnie od liczby miejsc, która w obu rodzajach szkół jest ściśle ograniczona, by zapobiec przepełnieniu. Niema przy tym procederze mowy o traktowaniu *Modern Schools*, jako czegoś zasadniczo niższego lub gorszego od właściwej szkoły średniej; zresztą w wielu wypadkach jest dana — a zdaniem Komisji powinna być dana we wszystkich — możność przejścia z jednej kategorji szkoły do drugiej w momencie późniejszym w razie potrzeby zmiany powziętej pierwotnie decyzji.

Nowy typ szkoły, mający stać obok szkoły średniej, jako jej surogat, swoje funkcje kształcące będzie mógł tylko w tym wypadku pełnić naprawdę skutecznie, jeżeli będzie na to miał dosyć czasu. To też osobny rozdział sprawozdania angielskiego poświęcony jest sprawie przedłużenia lat szkolnych poza rok czternasty, w którym w Anglji dziś ogół dzieci z klas pracujących kończy swą naukę szkolną. Przymus szkolny w Anglji mocą Ustawy z roku 1870 był zasadniczo rozciągnięty do roku trzynastego, a Ustawą w roku 1900 przedłużono ten termin do roku czternastego. Jednak wielka swoboda, pozostawiona miejscowym władzom szkolnym, i możność uwolnień, zastrzeżona przez Ustawę w licznych wypadkach, sprawiały, że przeszło 40% dzieci opuszczało szkołę przed wiekiem ustawowym. Dopiero Ustawa powojenna, z r. 1918, zniosła ostatecznie wszystkie uwolnienia przed rokiem czternastym, a władzom miejscowym pozwoliła przesuwać termin nawet do roku piętnastego. Zresztą i wśród samej ludności dał się zauważyć

samorzutny ruch w kierunku dłuższego przebywania dzieci w szkole: liczba dzieci powyżej lat 15 w szkołach powszechnych między ostatnim rokiem szkolnym przed wojną a piątym rokiem po wojnie (1922/23) potroiła się. Kwestja dalszego ustawowego przedłużenia powszechnego przymusu szkolnego do ukończonego roku piętnastego staje się aktualna. Dyskutowano ten projekt już dawniej, jako środek ochrony młodzieży przed demoralizacją, wynikającą ze zbyt wczesnego wstępowania w szeregi pracowników przemysłowych. Obecnie zrealizowanie go w niedalekiej przyszłości będzie ułatwione, jak stwierdza sprawozdanie, przez znaczne w ostatnich dwóch dziesięcioleciach w Anglji zmniejszenie się liczby urodzeń; w lipcu r. 1926 Minister Oświaty stwierdził w Izbie Gmin, że w najbliższych trzech latach z tego właśnie powodu należy się liczyć z upadkiem ogólnej frekwencji w szkołach powszechnych o 20%.

Oczywiście, nawet przy tej uldze, jaką w rozwiązaniu problemu sprawia w Anglji neomaltuzjanizm, wyznawany przez szerokie warstwy ludności, zagadnienie nie przestaje być gospodarczo i społecznie bardzo ciężkie: chodzi o powstrzymanie półmiljonowej falangi młodych sił od pracy zarobkowej i o dostarczenie im miejsca na naukę, środków naukowych i nauczycieli. Ale korzyści moralne i intelektualne dla wielkiej masy młodych obywateli byłyby tak widoczne i tak wielkie, że prawdopodobnie trudności materjalne pod naciskiem opinji zostaną pokonane i przedłużenie lat szkolnych dojdzie do skutku.

Autorowie sprawozdania poświęcili jeszcze jeden, osobny rozdział formie z a k o ń c z e n i a s t u d j ó w w tej szkole nowego typu. Czy ma ona, jako surogat szkoły średniej, kończyć się czemś w rodzaju egzaminu dojrzałości? Większość rzeczoznawców, jak się okazuje, sprzeciwiła się idei takiego egzaminu, z tem charakterystycznem dla umysłowości angielskiej uzasadnieniem, że wzgląd na taki egzamin nadałby charakter zbyt stereotypowy samemu nauczaniu, że zatarłby indywidualną fizjognomję szkoły, pozbawił jej program świeżości i elastyczności, że wreszcie o stwierdzeniu jakiejkolwiek „dojrzałości“ w wieku poniżej lat szesnastu mowy być nie może.

Mimo to wszystko jednak autorowie sprawozdania domagają się zorganizowania jakiegoś egzaminu ze względu na pożytek, jaki posiadanie określonego dyplomu może przynieść uczniowi w jego karjerze zarobkowej. Egzamin taki odbywałby się, według powszechnego zresztą zwyczaju angielskiego, przed jakiemś ciałem, poza samą szkołą stojącem i z obcych

egzaminatorów złożonem. Egzamin ten wartością życiową odpowiadałby egzaminowi z ukończonej niższej szkoły średniej, *First School Examination*, który uczeń angielskiej szkoły średniej zdaje po pierwszych czterech lub pięciu jej latach.

Ostatni rozdział sprawozdania — bardzo obszerny — poświęcony jest zawiłym zagadnieniom administracyjnym, któreby się wywiązywały z projektowanej reorganizacji. Chodzi nadewszystko o zagadnienie, czy nowe szkoły mają pod względem administracyjnym być zaliczone do szkół powszechnych, czy do szkół średnich, t. j. czy mają podlegać władzom zarządzającym pierwszemi czy drugiemi. W angielskiem Ministerstwie Oświaty istnieją wprawdzie oddzielne Departamenty Szkół Powszechnych, Szkół Średnich i Szkół Zawodowych, ale istnieje z drugiej strony dążność do unifikacji administracji i do jej rozczłonkowania według terytorjów, a nie według kategoryj szkół. Ta dążność nawet już wyraźnie wzięła górę w dziedzinie wizytacji szkół: a więc inspekcji tych szkół, o które nam tu chodzi, dokonywują łącznie inspektorowie szkół powszechnych i średnich.

O ile tedy u góry ustroju administracyjnego panują tendencje unifikacyjne, o tyle u dołu nierzadkie są starcia i spory o kompetencję, bo w systemie samorządu lokalnego są osobne władze dla szkolnictwa powszechnego w okręgach mniejszych, a osobne znowu dla szkolnictwa średniego, ogarniające większe terytorja.

Ustawa Oświatowa z r. 1918, znowelizowana w r. 1921, i w tej dziedzinie przygotowała grunt do zespolenia i współdziałania. Mimo to, pewna niepożądana konkurencja między szkołami nowego typu a staremi szkołami średniemi istnieje i jest przedmiotem skarg ze strony szkół średnich. Najwłaściwszem wyjściem z tych trudności, zdaniem autorów sprawozdania, jest traktowanie wszelkiego wykształcenia powyżej lat jedenastu pod względem administracyjnym, jako wykształcenia średniego, a więc poddanie szkół nowego typu władzom dla szkół średnich, a nie władzom dla szkół powszechnych. Takie zasadnicze rozstrzygnięcie sprawy będzie jeszcze wymagało szeregu umów między Państwem a grupami wyznaniowemi i innemi, prowadzącemi na własny koszt szkoły powszechne, które sięgają często aż do 14 roku. Wobec znacznej liczby, siły finansowej i często wysokiego poziomu tych, przeważnie wyznaniowych szkół prywatnych nagięcie ich do schematu projektowanej organizacji zapewne nie będzie rzeczą łatwą; to też

sprawozdanie kończy się apelem do grup, utrzymujących te szkoły, by dla podniesienia oświaty ogółu młodzieży angielskiej zgodziły się na pewne ustępstwa.

7.

Poznawszy w ten sposób choć w zarysie bogatą treść sprawozdania angielskiego, stajemy wobec zagadnienia: jakie zeń można wyciągnąć nauki dla szkolnictwa polskiego.

W oczy bije naturalnie przedewszystkiem ogromna różnica między stosunkami angielskiemi a naszemi. Tam od kilkudziesięciu lat ogół dzieci do roku czternastego uczęszcza regularnie do szkoły, u nas jest to jeszcze narazie nieosiągniętym celem dążeń. Tam skupienie znacznej części ludności po wielkich centrach przemysłowych ułatwia organizację okręgowych szkół wyższego typu, u nas, przeciwnie, utrudnia je rozproszenie mas ludowych po wsiach. Tam spadek liczby urodzin już sprawia znaczną ulgę w traktowaniu zagadnień szkolnych, u nas wzrastające wciąż przeludnienie wielkich części kraju, ubóstwo wielogłowych a małorolnych rodzin chłopskich, napór coraz większych mas młodzieży na szkoły powszechne, na szkoły średnie, na uniwersytety, stanowi jeden z najpoważniejszych problematów społecznych. W Anglji przytem analfabetów oddawna niema, u nas są ich miljony. W Anglji, a szczególnie w Szkocji, w wielu szkołach powszechnych już uczą osoby ze stopniem akademickim; u nas w pewnych połaciach kraju sporo jest jeszcze po szkołach średnich sił nauczycielskich bez wykształcenia uniwersyteckiego.

Przy tak znacznym odstępie, jaki dzisiejszą Polskę w dziedzinie szkolnictwa dzieli od Anglji, jednak wobec podstawowego problemu, omawianego w streszczonem przeze mnie sprawozdaniu, pozostajemy w warunkach zupełnie równych. Dziś, jako wolny naród u siebie w domu, mamy tę samą co Anglicy możność reorganizowania naszego szkolnictwa, jak i kiedy nam się podoba. Nieszczęście w tem właśnie, że zbyt obcesowo z tej możności korzystamy. W ciągu ośmiu lat istnienia szkoła w wolnej Polsce wskutek ciągłych reorganizacyj i eksperymentów nie zaznała prawie ani chwili spokojnej, twórczej pracy. Eksperci angielscy w całem swem sprawozdaniu ani jednem słowem nie napomknęli o naruszeniu istniejącego ustroju szkoły średniej. Nie tylko nie powstała im nawet w głowie ta myśl,

ale przeciwnie, na każdym kroku usilnie się bronią przeciw jakiemukolwiek posądzeniu o to, by chcieli szkole średniej przynieść uszczerbek, rozwój szkolnictwa średniego zatamować lub ograniczyć. Szacunek ich dla szkoły średniej, jako urobionej przez doświadczenia wielu pokoleń formie życia kulturalnego, jest tak wielki, że, pragnąc stworzyć coś dla tej młodzieży, która nie idzie do szkoły średniej, instynktownie projektują coś do szkoły średniej pod wielu względami analogicznego i organizacyjnie równoległego.

Zdając tu sprawę z ich projektu, nie chcę go bynajmniej zalecać, jako wzoru do ślepego naśladowania. Samo angielskie Ministerstwo Oświaty, wydając drukiem sprawozdanie Komisji, zaznaczyło w urzędowym komentarzu, że do pośpiesznego wykonania jej zleceń w całej ich objętości teraz przystąpić nie może, ani nawet zamierza [1]. U nas tem bardziej tworzenie jeszcze jednego nowego typu szkoły, i to o tak wysokim względnie gatunku, byłoby w obecnej chwili z pewnością utopją.

Chodziło mi raczej o zalecenie do naśladowania w miarę sił i możności tej postawy duchowej Anglików, która bije z całego szacownego ich dokumentu.

Gdy u nich jest mowa o budowie nowej szkoły obok starych, u nas rozbudowa szkolnictwa powszechnego ma się zacząć od burzenia jednej kondygnacji gmachu szkolnictwa średniego, i to kondygnacji podstawowej. Nawet u narodu, materjalnie i duchowo daleko bogatszego od nas, takie burzycielstwo byłoby szkodliwą swawolą; a my przecież nie tylko pod względem budżetowym, ale i pod względem kulturalnym zaiste bogaczami nie jesteśmy i po nieopatrznej rozrzutności naszych pierwszych lat państwowych powinniśmy nareszcie uczyć się oszczędności. Anglicy w szkolnictwie, jak w innych dziedzinach pracy społecznej nigdy nie stoją w miejscu; zawsze na gmachu ich kultury państwowej są jakieś rusztowania; ale zawsze się tam słyszy o przebudowie czy przybudowie, nie o odbudowie. Nie zyskało tam nigdy zabójczej popularności słowo l i k w i d a c j a, które w Rosji od lat dziesięciu szerzy spustoszenia. Tworząc rzeczy nowe, Anglik zawsze rozsądnie korzysta ze starych; i ta domieszka rozumnego konserwatyzmu nadaje wszelkim jego poczynaniom reformatorskim trwałość

[1] Nieco później, coprawda, (w r. 1928) ministerjum zdecydowało się na realizację projektów Komisji, i zapowiedziało ją osobnym okólnikiem.

i realną powagę. Jeżeli cząstkę tego ducha przyjmiemy w siebie także w prowadzeniu naszych spraw szkolnych, wtedy dopiero okażemy się w nowem życiu państwowem w całej pełni godnymi dziedzicami naszej wieloletniej, nieprzerwanej przez niewolę, własnej tradycji kulturalnej.

XVII.

STULECIE UNIWERSYTETU LONDYŃSKIEGO

(Odczyt wygłoszony w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na uroczystej inauguracji roku akademickiego 1927/28).

1.

Dwa były zasadnicze typy zrzeszeń naukowych średniowiecznych, z których rozwinęły się Uniwersytety nowoczesnej Europy. Pierwszy z nich, to „cech uczonych" na obraz i podobieństwo cechów rzemieślniczych, a więc zespół mistrzów, których głównym zajęciem było wykonywanie pewnej umiejętności, a ubocznem — zaprawianie do niej uczniów. Taką korporacją uczonych, stopniowo się uzupełniającą i odmładzającą przez coraz nowe zastępy uczniów, był pierwotnie stary Uniwersytet paryski. Uniwersytetami tego typu są w założeniu do dziś dnia sędziwe wszechnice angielskie, Oxford i Cambridge, złożone z narosłych w ciągu stuleci wspaniałych fundacyj internatowych czyli „kolegjów", które zamieszkuje starszyzna akademicka wraz z gronem młodzieży. Stąd wiele zadziwiających cudzoziemca właściwości w ustroju i życiu tych starych Uniwersytetów: stąd więc fakt, że same o sobie publicznie mówią jako o „towarzystwach akademickich", że tytuł „członka Uniwersytetu" przysługuje tam zarówno profesorowi jak uczniowi, że profesorowie mało zajmują się wykładami, a studenci w zasadzie specjalnych fachowych studjów przeważnie nie uprawiają, tylko otrzymują pewne wykształcenie ogólne, przysposabiające ich raczej do zajęcia pozycji społecznej wśród elity narodu, niż do określonej pracy zawodowej [1].

Drugi, biegunowo przeciwny stary typ Uniwersytetu, to

---

[1] Opis starych Uniwersytetów angielskich dałem w broszurze „O życiu akademickiem na Uniwersytetach angielskich" (Warszawa, Wende, 1909).

zespół uczących się, co sobie najmują płatnych nauczycieli. Tę kategorję w osnowie reprezentowały najdawniejsze Uniwersytety włoskie — jak Bologna — ze swą szeroką autonomją żywiołu studenckiego i z wybieralnym rektorem z pośród studentów (jak nasz Jan Zamoyski w Padwie). Na wyspach brytyjskich ten rodzaj Uniwersytetu stał się wzorem przedewszystkiem dla Uniwersytetów szkockich, założonych przeważnie w XV i z początkiem XVI wieku [1]. W przeciwieństwie zatem do prastarych angielskich wszechnic, szkockie od początku mają na widoku jako cel główny zawodowe wykształcenie młodzieży, a nie zbiorowe pożycie wyznawców nauki. To też nie gromadzą nauczycieli i uczniów w pięknych starych kolegjach, które stały się tak ważnym czynnikiem wychowania moralnego klas wyższych w Anglji. Uniwersytet szkocki, zaludniony z dawien dawna młodzieżą uboższą, nie jest zbiorowiskiem internatów, lecz scentralizowanym zespołem katedr naukowych, jak nasze Uniwersytety dzisiejsze; studenci jego mieszkają na mieście lub w bursach, i Uniwersytet poza nauką fachową ich życiem zbiorowem ani wychowaniem osobistem oficjalnie się nie zajmuje.

Takie dwie głęboko odmienne formy ustroju akademickiego miała w swem historycznem doświadczeniu Wielka Brytanja, gdy około sto lat temu aktualnym stał się projekt stworzenia Uniwersytetu w samej stolicy Zjednoczonego Królestwa. Pomysł taki pojawił się był już w pierwszej erze potęgi i bogactwa nowoczesnej Anglji, za świetnego renesansowego panowania królowej Elżbiety, której dwór niebywałym blaskiem opromienił Londyn. Z planem Akademji w Londynie wystąpił wtedy śmiały żeglarz i wielkoduszny humanista, Sir Humphrey Gilbert, nieodrodny (choć tylko przyrodni) brat nieśmiertelnego Waltera Raleigh. Jeszcze przed nim sławny ekonomista, założyciel Giełdy londyńskiej, Sir Thomas Gresham, przy swej, istniejącej po dziś dzień jako szkoła handlowa, fundacji *Gresham College,* udotował był siedem katedr o charakterze akademickim (teologję, muzykę, astronomję, geometrję, prawo, fizykę i retorykę), i zapis jego dotychczas służy na opłacanie dorocznych cyklów wykładów przez zapraszanych *ad hoc* znakomitych prelegentów.

Ale ani z fundacji Greshama, ani z późniejszego projektu Gilberta nie wyrósł jeszcze Uniwersytet: na przeszkodzie sta-

---

[1] St. Andrews, 1411; Glasgow, 1451; Aberdeen, 1494; Edinburgh, 1583.

nęła zazdrość starych wszechnic angielskich — Oxfordu i Cambridge — oraz spory o to, czy wykłady miałyby się odbywać po angielsku, czy po łacinie. Narazie Anglja przez kilka stuleci jeszcze pozostała krajem, w którym nauka akademicka kwitła w prawdziwie akademickim spokoju swych dostojnych a zacisznych przybytków po miastach prowincjonalnych, zdala od hałasów bieżącej polityki i od gorączki życia stołecznego.

2.

Ale nadeszły czasy, w których stosunek nauki do współczesnych zagadnień społecznych musiał stać się żywszym, i arystokratyczne odosobnienie gajów akademickich stało się anachronizmem.

Wiek XVIII, w Anglji jak gdzieindziej, był okresem dziwnego jakiegoś upadku i zastoju starych Uniwersytetów. Zarazem z olbrzymiemi w tem stuleciu postępami w uprzemysłowieniu kraju mieszczaństwo, wybijające się na front społeczeństwa, jęło sięgać po dawne przywileje szlachty ziemskiej nie tylko w dziedzinie życia towarzyskiego, a z czasem i politycznego, ale także w dziedzinie wychowania. Tchnienie ideowe wielkiej mieszczańskiej Rewolucji we Francji ostatecznie rozbudziło do pełnej świadomości te aspiracje socjalne angielskiego stanu średniego i przyśpieszyło ich urzeczywistnienie. Z posiewu myśli francuskiej zrodziło się nowe stronnictwo liberalne, a z fermentu poprzedzającego przełomową liberalną reformę wyborczą z r. 1832 wyłoniła się — wśród innych — idea Uniwersytetu w Londynie.

Stare wszechnice w Oxfordzie i Cambridge nietylko przez znaczny koszt życia w swych ekskluzywnych internatach odstręczały oszczędne mieszczaństwo; nie zadowalniały także jego głodu wiedzy możliwie wszechstronnej i żywotnej. Zastygając w jednostronnym kulcie klasyków, ignorowały w początkach wieku XIX prawie zupełnie doświadczalne nauki przyrodnicze, oraz języki i literatury nowożytne. Nadewszystko zaś wrota Oxfordu i Cambridge szczelnie naonczas jeszcze były zawarte dla studentów, nie należących do Kościoła państwowego, i wobec zupełnej autonomji, jaką te dwa Uniwersytety zdawna posiadały, nie było widoków, że nawet gotująca się właśnie ustawowa emancypacja innowierców (która się niebawem dokonała w r. 1829 przez zniesienie *Test Act)* sytuację w tym względzie zmieni. Istotnie dopiero w kilkadziesiąt lat

później Oxford i Cambridge stały się dostępnemi dla nieanglikanów. Tymczasem główne siły nowej partji liberalnej rekrutowały się z pośród sekt dyssydenckich, do których lwia część mieszczaństwa angielskiego zdawna należy, a po części także z innych mniejszości wyznaniowych, jak katolicy i żydzi.

Takie warunki społeczne i takie dążenia podyktowały hasło stworzenia nowego Uniwersytetu w Londynie. Londyn był wtedy jedyną stolicą w Europie, która Uniwersytetu jeszcze nie posiadała: miała Uniwersytet wszakże i nasza Warszawa od r. 1816, a na opinję angielską szczególnie silnie oddziałał fakt, że sprzymierzeniec Anglji z wojen napoleońskich, wzrastające w potęgę królestwo pruskie, założyło sobie stołeczny Uniwersytet w Berlinie w r. 1809.

Przy tworzeniu Uniwersytetu w Londynie działały, jak widzieliśmy, nastroje polityczno-społeczne, które nakazywały założyć Uniwersytet zasadniczo przeciwstawiony obu starym wszechnicom angielskim, a więc Uniwersytet o typie raczej zbliżonym do szkockich. Nic więc dziwnego, że samo hasło ostatecznie padło z ust Szkota. Rzucił je poeta Tomasz Campbell, umieszczając 9 lutego r. 1825 na łamach *Times* list otwarty w tej sprawie do innego znakomitego Szkota, lorda Henryka Brougham, honorowego rektora starego szkockiego Uniwersytetu w Glasgowie. Dziś, gdy słowo Campbella przyoblekło się w olbrzymie kształty największego z Uniwersytetów brytyjskich, my Polacy z okazji setnej rocznicy początków tego Uniwersytetu ze szczególnem wzruszeniem wspominamy, iż twórca jego Campbell był zarazem jednym z najgorętszych wówczas na ziemiach brytyjskich przyjaciół naszego narodu. Dał on tym sympatjom polskim wyraz nietylko słowem poetyckiem, ale i czynem, gdy w kilka lat po założeniu Uniwersytetu londyńskiego stał się jednym z głównych organizatorów londyńskiego „Towarzystwa Przyjaciół Polski“ *(Literary Association of the Friends of Poland)* dla niesienia pomocy wygnańcom po klęsce r. 1831 [1]. Z pełną słusznością Uniwersytety nasze, Jagielloński i lwowski, w swych adresach gratulacyjnych mogły w r. 1927 przypomnieć Uniwersytetowi londyńskiemu, że Campbell (którego w swoim czasie nasze Wilno zapraszało na katedrę) jedną i tą samą, typowo anglosaską, szlachetną miłością wolności i sprawiedliwości się powodował,

---

[1] O tych usiłowaniach Campbella pisałem w książce zbiorowej „Odgłosy“, wydanej przez Polaków w Moskwie w r. 1916.

występując jako rzecznik praw Polski do wolnego bytu i jako rzecznik praw mieszczaństwa angielskiego do nauki akademickiej.

Apel Campbella zjednoczył dyssydentów z katolikami, jak książę Norfolk, i z żydami, jak kapitalista Goldsmid; znalazła się w okamgnieniu niemal, suma 160.000 funtów szterlingów jako kapitał spółki akcyjnej, tworzącej nowy Uniwersytet; ideę Uniwersytetu londyńskiego poparł całym swym autorytetem wielki filozof prawa i reformatorski publicysta Jeremi Bentham; i tak doszło w r. 1827 do położenia na *Gower Street*, niedaleko *British Museum*, kamienia węgielnego pod Uniwersytet londyński, który z jesienią r. 1828 rozpoczął swe kursa narazie w trzech fakultetach: prawa, medycyny i sztuk wyzwolonych, z udziałem 557 zapisanych studentów.

Ale z tą krystalizacją myśli rozpoczął się zarazem okres trudności, walk i sporów, z których dopiero po wielu nawrotach i kompromisach miał wyjść dzisiejszy Uniwersytet londyński, znacznie odmienny ustrojem i nieporównanie większy rozmiarami od pierwotnej instytucji z r. 1827.

3.

Uniwersytet, powstały z inicjatywy prywatnej, musiał przedewszystkiem zdążać do uznania przez Państwo, a więc do tego, by otrzymał tytuł wszechnicy, statut organizacyjny i prawo nadawania stopni akademickich. Przeciwko tym wszystkim postulatom podniosły się odrazu protesty: nadawaniu stopni przez nową instytucję i jej pretensjom do godności Uniwersytetu sprzeciwiały się stare wszechnice Oxford i Cambridge, zazdrosne o swe przywileje; sprzeciwiała się z drugiej strony bardzo poważna grupa instytucyj w samym Londynie, mianowicie stare szkoły medyczne, istniejące zdawna przy kilku głównych szpitalach londyńskich, i stanowiące właściwe fakultety lekarskie Anglji. Wreszcie powstanie liberalnej i międzywyznaniowej fundacji uniwersyteckiej, która żadnego wydziału teologicznego w swych planach nie przewidywała, jako naturalną reakcję po stronie konserwatywnej wywołało dążenie do założenia w Londynie Uniwersytetu na starą modłę angielską, a więc przeznaczonego wyłącznie dla młodzieży anglikańskiej, ześrodkowanego około anglikańskiego fakultetu teologicznego i zorganizowanego na sposób kollegjów Oxfordu

i Cambridge. Jako urzeczywistnienie tych tendencyj powstało niebawem pod patronatem wielkiego przywódcy konserwatystów, księcia Wellington, „K o l l e g j u m K r ó l e w s k i e“ *(King's College)*, i z niem właściwie drugi z rzędu, zamknięty w sobie Uniwersytet w Londynie (1828). Nie mogła ta nowa fundacja w sercu stolicy całkowicie i we wszystkiem naśladować wzorów Oxfordu i Cambridge; nie mogła przedewszystkiem w warunkach stołecznych powstać jako kollegjum internatowe. W każdym razie jednakże *King's College*, którego bardzo ważną częścią zawsze pozostał anglikański fakultet teologiczny, jest i dotąd w systemie instytucyj uniwersyteckich w Londynie twierdzą starej angielskiej kollegjalnej koncepcji Uniwersytetu i jeszcze dziś wszelkim dążeniom do ściślejszej centralizacji całego Uniwersytetu konsekwentnie się przeciwstawia. Uczyniło to za naszych dni z całą stanowczością, gdy po wojnie Uniwersytet londyński otrzymał w darze od Rządu wspaniały szmat niezabudowanej ziemi w samym środku miasta, w dzielnicy *Bloomsbury*, tuż za *British Museum*, i powstał projekt, by *King's College* ze swego ciasnego budynku nad rzeką — tam, w sąsiedztwo *University College* i centralnych władz uniwersyteckich się przeniosło. Przeprowadzka nie dojdzie do skutku: tereny w *Bloomsbury* zajęte będą wyłącznie przez instytucje ogólno-uniwersyteckie, *King's College* zaś zachowa całą swą odrębność zarówno lokalną jak organizacyjną.

Samo istnienie *King's College* pozbawiało dawniejszą fundację na *Gower Street* możności dalszego wyłącznego noszenia swego pierwotnego miana „Uniwersytetu londyńskiego“: była ona już tylko jednym z zakładów naukowych o charakterze uniwersyteckim w Londynie i niebawem też ustawowo otrzymała swą ustaloną odtąd nazwę *University College*, pod którą w r. 1927 setną rocznicę swego istnienia obchodzi. Tak na wytworze ideologji uniwersyteckiej szkockiej wyciśniętą została pieczęć tradycji akademickiej angielskiej.

Torami tej tradycji angielskiej też poszła organizacja Uniwersytetu londyńskiego jako całości, gdy wreszcie po kilku dalszych latach istniejące odrębne fundacje ustawowo zespolono. Karta konstytucyjna Uniwersytetu londyńskiego z r. 1836, nadająca mu prawo udzielania stopni akademickich i tytuł wszechnicy, określa go jako ciało zbiorowe, analogicznie do Oxfordu i Cambridge złożone z kollegjów i innych oddzielnych zakładów. W zespół ten, oprócz *University College* i *King's College*, wchodzą wszystkie owe wspomniane już londyńskie

szkoły medyczne przy głównych starych szpitalach, oraz przeróżne inne instytucje, służące specjalnemu wykształceniu w rozmaitych dziedzinach, po części niezupełnie na poziomie uniwersyteckim stojące, ale w coraz większej liczbie w następnych dziesięcioleciach przez „afiljację" w skład wielkiego Uniwersytetu włączane. Naczelną zasadą Uniwersytetu londyńskiego bowiem od pierwszej chwili były „drzwi otwarte" nietylko dla uczniów wszelkiego pochodzenia, ale także dla instytucyj akademickich wszelakiego autoramentu.

Przy takim ustroju pojęcie „Uniwersytetu", jako czegoś łączącego wszystkie zakłady, które stanowią jego części składowe, ucieleśniało się, jak w Oxfordzie i Cambridge, jedynie w centralnem ciele zarządzającem i w ogólno-uniwersyteckich komisjach egzaminacyjnych. Istotnie stanowisko i kompetencja Senatu Uniwersytetu londyńskiego zostały określone ustawą z r. 1836 ściśle według wzoru Senatu w Cambridge; nawet czysto zewnętrzne symbole nowej organizacji uniwersyteckiej — togi profesorskie i studenckie, ich kolor i krój — wzorowano na Cambridge.

4.

Takim, jakim go stworzono w r. 1836, szkielet administracyjny Uniwersytetu londyńskiego odtąd pozostał. I dziś „Uniwersytetem" jako takim, stojącym poza autonomicznemi zakładami ponad niemi, jest przedewszystkiem S e n a t. Ale wewnętrzny skład tego Senatu uległ w ciągu stulecia jeszcze kilku głębokim i doniosłym zmianom, a z nim zmienił się stosunek zasadniczy Uniwersytetu jako całości do kollegjów jako części składowych; zmienił się, rzec można, do gruntu cały charakter instytucji.

W starych wszechnicach angielskich, Oxfordzie i Cambridge, obok naczelnych władz administracyjnych, złożonych z najwyższych dygnitarzy uniwersyteckich, ważne uprawnienia posiada „sejm uniwersytecki", że go tak nazwiemy, mianowicie ogół byłych studentów, posiadających stopnie akademickie. Kompetencje tego ciała, to bodaj najwyraźniejszy ślad wspomnianego na wstępie ustroju cechowego średniowiecznych Uniwersytetów angielskich. Sejm uniwersytecki, zwoływany *ad hoc* do rozstrzygania o zasadniczych zagadnieniach polityki ogólnouniwersyteckiej, decydował np. w naszych czasach w Oxfordzie i Cambridge przez głosowanie o takich sprawach, jak

dopuszczenie kobiet do stopni i przywilejów akademickich, lub wykluczenie greki z programu egzaminów wstępnych. W praktyce oczywiście sejm ten obesłany bywa zazwyczaj prawie tylko przez takich byłych studentów, którzy w tym czy owym charakterze dalej w Uniwersytecie lub gdzieś w jego bliskości się znajdują; ale gdy chodzi o kwestje większej ideowej doniosłości, niejeden nie żałuje trudu, czasu i kosztów, by przybyć nawet z dalszych stron i wziąć udział w decyzjach, dotyczących dalszych losów ukochanej *Alma Mater.* Właśnie przy tych sposobnościach szczególnie żywo się przejawia ten zmysł korporacyjny, który był wytworem starego cechowego ustroju, i który dziś jeszcze każdego Anglika, co był w Oxfordzie albo Cambridge, już przez całe życie ściśle łączy z jego dawną wszechnicą.

W Londynie przy zgoła odmiennych warunkach, w jakich działa Uniwersytet stołeczny, w szczególności przy braku urządzeń internatowych, o stworzeniu „sejmu uniwersyteckiego" na początek nawet nie myślano. Dopiero w kilkadziesiąt lat później (1858) pewne prawa zbiorowe zostały nadane wszystkim byłym studentom, posiadającym stopnie akademickie — nadewszystko (analogicznie do Oxfordu i Cambridge) prawo zbierania się perjodycznie w charakterze „sejmu uniwersyteckiego" *(Convocation),* oraz prawo wyboru jednego posła do parlamentu jako „posła od Uniwersytetu" (1867); i wybory tego posła istotnie w czasach obecnych są zawsze wielkim wypadkiem wśród inteligencji londyńskiej. W roku 1836 natomiast, przy nadawaniu Uniwersytetowi londyńskiemu jego pierwszej konstytucji, nietylko demokratycznej reprezentacji byłych studentów nie stworzono, ale przeciwnie, posunięto się dość daleko w kierunku urządzeń autokratycznych: Senat akademicki nie był ciałem wybieralnem, lecz mianowanem przez króla na wniosek rządu i w rezultacie przez długie dziesięciolecia składał się we wzrastającej mierze z ludzi, którzy z wewnętrznem życiem Uniwersytetu mało mieli wspólnego, a raczej reprezentowali pewne potęgi społeczne z zewnątrz, pragnące zużytkować Uniwersytet na swoje cele, a więc przedewszystkiem potęgę rządzącej chwilowo partji politycznej, oraz stałą a wielką potęgę kapitału handlowo-przemysłowego. Takie ciała zarządzające, złożone z kapitalistów i dygnitarzy pozauniwersyteckich, posiadają dziś różne młodsze Uniwersytety angielskie po miastach przemysłowych, a także liczne prywatne Uniwersytety amerykańskie. O ile ta forma ustroju z jednej

strony przyczynia się do ciągłego pobudzania bogaczy do ofiarności na cele nauki, o tyle z drugiej zawiera w sobie niebezpieczeństwo, że rozwój Uniwersytetu podlegnie wpływom natury zgoła nie naukowej. Istotnie szczególnie z Ameryki często nas dochodzą skargi na nie-naukowe i czasem dość zabawne dyrektywy, dawane Uniwersytetom w sprawach naukowych przez ich dobroczyńców i zarządców.

W Londynie poza-uniwersytecki skład pierwotnego Senatu spowodował przedewszystkiem brak koordynacji między tą głową ciała uniwersyteckiego a jego członkami, któremi były kollegja. Drugą przyczyną nieskładności rychło okazał się mechanizm samej nauki uniwersyteckiej. Uniwersytet londyński przyjmował w swój skład coraz nowe kollegja i podstawą dopuszczenia do końcowych egzaminów uniwersyteckich było świadectwo z ukończonych studjów w kollegjum. Z drugiej strony jednak pełna autonomja kollegjów była skrupulatnie zastrzeżona w ustawie, i centralne władze uniwersyteckie nie miały ani prawa inspekcji, ani kontroli w żadnej innej formie nad nauką w kollegjach. W tych warunkach każde z kollegjów szło swoją drogą, urabiając swą tradycję w myśl założeń, które kierowały jego fundacją; a założenia te były często raczej praktycznej niż naukowo-akademickiej natury. Uniwersytet londyński stawał się pstrą kolekcją różnorodnych zakładów, niczego wspólnego między sobą nie mających prócz łącznej nazwy Uniwersytetu, i w wielu wypadkach swym charakterem i poziomem do tej nazwy niedostrojonych.

Konsekwentnym dalszym etapem na drodze takiego rozwoju była reorganizacja w r. 1858 — druga z rzędu pamiętna data w dziejach Uniwersytetu w ciągu pierwszych stu lat jego bytu. W tym roku nadano Uniwersytetowi już i formalnie ten charakter, którego *via facti* stopniowo był nabierał: określono go ustawowo jako ciało czysto egzaminacyjne i udzielono mu prawa egzaminowania i obdarzania stopniami wszelkich kandydatów, jacy do jego wrót zastukają, bez względu na ich poprzednie studja, a zatem także bez względu na to, czy należeli do któregoś z kollegjów, dotąd w skład Uniwersytetu wchodzących.

5.

Zaczął się nowy szereg dziesięcioleci, w ciągu których Uniwersytet londyński istnieje li tylko jako Komisja egzaminacyjna. Z naszemi tradycjami uniwersyteckiemi na kontynencie

Europy wydawać się nam musi, że jest to *reductio ad minimum*, a zarazem nawet poniekąd *reductio ad absurdum* funkcyj Uniwersytetu. Cóż to za Uniwersytet, zawołamy, co sam niczego nie uczy i tylko, jak maszyna, rejestruje stan wiedzy ludzi, o których przygotowanie się nie troszczył.

A jednak okres ten z dwóch względów staje się okresem wzrastającej powagi Uniwersytetu londyńskiego i potężnego jego oddziaływania na całą kulturę narodową angielską. Po pierwsze, demokratyzująca się szybko Anglja, w której masy robotnicze przez pamiętną reformę wyborczą r. 1867 zyskały prawa polityczne, posiada teraz w Uniwersytecie londyńskim pierwszą do gruntu i w najszerszem słowa znaczeniu demokratyczną instytucję naukową. Po raz pierwszy emblematy i przywileje wyższego wykształcenia stają się dostępne naprawdę dla każdego bez wyjątku obywatela, nawet dla tych, którym ich warunki życiowe do żadnej wyższej szkoły uczęszczać nie pozwoliły. Koniecznym wynikiem nowego stanu rzeczy staje się stworzenie tak niebywałych dawniej urządzeń jak Kollegjum prowadzące naukę uniwersytecką wyłącznie wieczorami *(Birkbeck College)*, lub drugie, prowadzące ją wyłącznie w drodze korespondencji *(University Correspondence College)*: pierwsze istniało już od r. 1823, ale teraz nabrało nowego znaczenia; drugie zakłada w r. 1887 niejaki Dr. Briggs, a Uniwersytet od początku gorliwie mu patronuje. Patronuje zresztą także innym usiłowaniom na polu o ś w i a t y p o z a s z k o l n e j, i wzorowy dla reszty świata rozwój „Uniwersytetów ludowych" w Anglji z tą fazą dziejów Uniwersytetu londyńskiego ściśle się kojarzy. Formalnym aktem uznania dla jego roli w tym względzie stał się ostatecznie fakt, że „Londyńskie Towarzystwo Uniwersytetu ludowego" *(London University Extension Society)* po 25 latach istnienia oddaje swe funkcje w r. 1902 Uniwersytetowi samemu, który ustanawia osobną komisję dla prowadzenia tej nowej części swych agend. Ponadto zaś podobne organizacje poza Uniwersytetem rozwijają się pod jego wpływem i za jego wzorem. Olbrzymio dziś rozrośnięta po całym kraju działalność *Workers' Educational Association* z Albertem Mansbridge na czele; powołane niedawno do życia a intensywnie pracujące *Boards of Extra-Mural Studies w* Oxfordzie i Cambridge [1]): to owoce przykładu, da-

---

[1] O tych instytucjach pisałem w broszurze „Nauka a oświata pozaszkolna" (Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1924).

nego przez Uniwersytet londyński w czasie, gdy wcale nie był Uniwersytetem w ściślejszem znaczeniu słowa.

Owocami tego przykładu zresztą są także liczne nowe Uniwersytety w większych prowincjonalnych miastach przemysłowych Anglji, powstające szybko na obraz i podobieństwo Uniwersytetu londyńskiego. Leeds (1831), Durham i Newcastle (1832, 1871), Southampton (1850), Manchester (1851), Exeter (1865), Bristol (1876), Birmingham (1880), Nottingham (1881), Liverpool (1881), Reading (1892), Sheffield (1897), — zjednoczone Uniwersytety walijskie (Aberystwyth, 1872; Cardiff, 1883; Bangor, 1885; Swansea, 1920), — wszystkie one mają te same demokratyczne ambicje co Londyn, i wszystkie na kulturę mas robotniczych po dziś dzień wysoce dodatnio oddziałują, choć z czasem stały się Uniwersytetami w bardziej tradycyjnem i akademickiem znaczeniu tego wyrazu.

Londyn zatem w tych czasach staje się prawdziwą *Alma Mater* już nietylko dla pojedynczych swych wychowanków, ale dla całych zakładów, które za jego wzorem wyrastają z ziemi. Jeszcze w innym sensie jednak ten wyłącznie tylko egzaminujący Londyn działa jako *Alma Mater:* oto tulą się pod jego skrzydła różne wyższe szkoły i na prowincji i nawet w kolonjach i dominjach zamorskich Anglji — szkoły, które, same jeszcze nie stojąc na właściwym poziomie uniwersyteckim, stawiają sobie narazie za cel przygotowanie swych uczniów do egzaminów londyńskich i przez to właśnie podciągają się same do wysokości szkół akademickich. W okresie, w którym Londyn tylko egzaminuje, proces kojarzenia z nim Uniwersytetów zamiejscowych przez „afiljację" przybiera rozmiary najszersze. Londyn naprawdę staje się tem, czem i dziś w innem jeszcze i dostojniejszem znaczeniu słowa ma prawo się mianować — centralnym Uniwersytetem całego Imperjum Brytyjskiego.

A poza ściśle uniwersytecką sferę działania sięga Londyn w tym okresie przez swój wpływ na szkoły średnie: wyrabia się bowiem zwyczaj, że te z nich, które aspirują do wyższego poziomu, poddają się inspekcji przez przedstawicieli Uniwersytetu londyńskiego, w zamian za co ich egzamina końcowe są uznane za równoznaczne z egzaminami wstępnemi na Uniwersytet. I w tym względzie Uniwersytety prowincjonalne poszły drogą przez Londyn wskazaną, i dzięki temu dziś Uniwersytety angielskie stale i żywo oddziałują w sposób kontrolujący i kierujący na inne kategorje szkół w kraju.

6.

Zapatrzeni w tak rozległe horyzonty działalności Londynu jako „Uniwersytetu egzaminującego", nie zapominajmy jednak także o stronach ujemnych tej fazy jego bytu. Przy całym rozroście sfery działań na zewnątrz, stosunek wewnętrzny Uniwersytetu do kollegjów i w tym okresie bolączką pozostał, co więcej, bolączka ta dojrzała do stadjum wręcz krytycznego. Uniwersytet jako instytucja egzaminacyjna zupełnie samodzielnie układa sobie skalę swych wymagań: kollegja w ich zestawieniu żadnego głosu nie mają, a jednak muszą swe plany i programy do nich naginać, często ze szkodą dla własnej tradycji naukowej i duchowej fizjognomji. Jedynie szkoły medyczne zdołały zachować ściślejszą łączność z centralą, tak, że do egzaminów uniwersyteckich z medycyny nie dopuszczano nikogo, kto nie przeszedł przez kursa kliniczne w jednej z kilku ściśle określonych instytucyj. Poza medycyną jednak nastąpił zupełny rozbrat między rzeczami, które w normalnym porządku spraw uniwersyteckich tak ściśle ze sobą skojarzone być winny, jak przygotowanie naukowe z jednej strony, a egzamina i stopień z drugiej.

Medytowały nad tym dylematem w ciągu dziesięcioleci kilkakrotnie poważne komisje ankietowe, aż wreszcie rok 1898 przyniósł nową reformę ustrojową i stał się trzecim z rzędu kamieniem granicznym w rozwoju Uniwersytetu. Ta ponowna reorganizacja była częściowym nawrotem ku starej angielskiej tradycji kollegjalnej, a zarazem wynikiem usiłowań, by Uniwersytet jako całość stał się znowu ciałem nietylko egzaminującem, lecz także uczącem. W tym celu dokonano r e k o n s t r u k c j i S e n a t u: wprowadzono doń znaczną ilość członków już nie mianowanych przez rząd, lecz częścią delegowanych przez kollegja, częścią wysyłanych z pośród grona profesorów, a częścią nawet wybieranych przez ogół byłych studentów. Obok tych nowych pozostała część dawnych członków z mianowania, reprezentujących interesy poza-uniwersyteckie. W ten sposób aparat naukowy uniwersytecki wchodził w ściślejsze niż kiedykolwiek zetknięcie, i to w centrum całej maszynerji, z przedstawicielstwem życia praktycznego. Uniwersytet w swej odrodzonej postaci, jak wiele z najznakomitszych tworów ducha angielskiego, jest kompromisem — kompromisem pomiędzy różnemi koncepcjami Uniwersytetu, kompromisem pomiędzy teorją a doświadczeniem. Uniwersytet londyń-

ski nadal pozostał otwarty dla kandydatów, co nie mogli się kształcić systematycznie w murach wyższej uczelni: nadaje dwa rodzaje stopni — stopnie dla „internistów" i dla „eksternistów". Ale wymagania w obu wypadkach są dziś prawie zupełnie zrównane i właściwe życie uniwersyteckie roztacza się dziś bujniej niż kiedykolwiek wśród studentów rzeczywiście uczęszczających na wykłady i do pracowni [1]. Twórcze współdziałanie między centralną administracją Uniwersytetu a kollegjami, zainaugurowane przez reformę r. 1898, wpłynęło na same kollegja nader ożywczo i stale po dziś dzień podnosi zarówno systematyczność nauki, jakiej udzielają, jakoteż poziom pracy badawczej, która się we wzrastającej mierze w ich murach dokonywa.

7.

Za „kollegja" w pełnem znaczeniu tego słowa, t. j. za zamknięte w sobie jednostki, stanowiące właściwie kompletne Uniwersytety dla siebie, uznano w r. 1898 dwie najstarsze i największe fundacje akademickie londyńskie, t. j. *University College* i *King's College.* Inne części składowe Uniwersytetu, nie mogące mieć tak encyklopedycznych ambicyj i służące raczej specjalnemu wykształceniu w jednym lub kilku kierunkach, noszą skromniejszą nazwę „Szkół" *(Schools).* Ale są wśród tych *Schools* zakłady tak rozrośnięte, jak np. całkowita politechnika *(Imperial College of Science and Technology),* założona w r. 1851 po wielkiej londyńskiej wystawie przemysłowej. Są inne, taką dziś powagą w całym świecie się cieszące, jak sławna „Londyńska Szkoła Nauk Ekonomicznych i Politycznych" *(London School of Economics and Political Science),* założona w r. 1894 za wzorem paryskiej *École libre des sciences politiques* przez pp. S. i B. W e b b, autorów pomnikowych dzieł o samorządzie lokalnym w Anglji i o związkach zawodowych. Z pośród nowszych jeszcze „Szkół" specjalnych, po części ze starych fundacyj powstałych, szczególnem uznaniem cieszy się dziś w świecie naukowym „Szkoła Orjentalistyczna" *(Shool of Oriental Studies),* zreorganizowana w czasie wojny — i „Szkoła medycyny podzwrotnikowej" *(London School of Tropical Medicine),* założona w r. 1899. Na drodze do wyodręb-

[1] Takich studentów liczy Uniwersytet obecnie przeciętnie około 10.000, zaś „eksternistów", zgłaszających się tylko do egzaminów, zawsze jeszcze przeszło 15.000. Liczba profesorów i docentów Uniwersytetu wynosi przeszło 800.

nienia w osobny instytut znajduje się powstała w czasie wojny „Szkoła nauk słowiańskich“ *(School of Slavonic Studies)*, dotychczas organizacyjnie połączona z *King's College*. Wszystkie te trzy instytucje, jak zresztą niejedna inna w ramach Uniwersytetu londyńskiego, są żywemi ilustracjami wspomnianej już dwukrotnie zasady „otwartych drzwi“, która jest naczelnem hasłem Uniwersytetu londyńskiego. Zasada ta bowiem rozciąga się nie tylko na uczniów, nietylko na zakłady, ale także na przedmioty naukowe gdzieindziej nie uznawane. Uniwersytet londyński nie tylko na szeroką skalę wprowadził do swojego programu doświadczalne nauki przyrodnicze w czasie, gdy one w Oxfordzie i Cambridge były zaniedbane, ale on także pierwszy nadał godne stanowisko nauce języka i literatury angielskiej, historji średniowiecznej i nowszej, oraz językom i piśmiennictwom Francji, Niemiec, Włoch [1], Hiszpanji, Skandynawji. We wszystkich tych rzeczach Oxford i Cambridge — dawniej w dziedzinie nauk humanistycznych uprawiające prawie wyłącznie tylko filologję klasyczną i historję starożytną — poszły w ostatnich dziesięcioleciach za przykładem Londynu: jest rzeczą znaczącą, że najznakomitszy w naszych czasach w Anglji znawca romantycznych literatur średniowiecza, zmarły w r. 1923 wielki szkocki uczony W. P. Ker, długoletni profesor literatury angielskiej w londyńskiem *University College*, na starość doczekał się zaszczytnego wyboru na honorowe stanowisko profesora poezji w klasycznym Oxfordzie.

Londyn także — by przeskoczyć do dyscyplin zgoła odmiennych — jest nietylko zdawna jednym z głównych ośrodków nauk technicznych w Anglji, ale on również pierwszy w ostatnich latach miał śmiałość wprowadzić stopień akademicki z nauk handlowych, — stopień „bakałarza“, względnie „magistra“ handlu *(B. Com., M. Com.)*. Tą innowacją, jak wielu innemi, chlubić się może wspomniana już Szkoła Nauk Ekonomicznych; ona wszakże też pierwsza w Anglji nadała *status* akademicki socjologji i etnologji, wykładanym tam dziś przez naszego znakomitego rodaka, prof. B. Malinowskiego z Krakowa.

Ogółem Uniwersytet londyński nadaje dziś 22 rodzaje różnych stopni akademickich, podzielonych na ośm kategoryj we-

---

[1] Pierwszym profesorem literatury włoskiej był emigrant Gabrjel Rossetti, ojciec wielkiego poety i malarza Dantego Gabrjela.

dług fakultetów (teologja, sztuki wyzwolone, prawo, muzyka, medycyna, nauki przyrodnicze, technika, nauki ekonomiczne i polityczne [1].

Jeszcze o jednym, bodaj najdonioślejszym w swych następstwach geście akademickim Londynu w imię przewodniej zasady „drzwi otwartych" trzeba wspomnieć osobno. Londyn mianowicie pierwszy wśród uniwersytetów brytyjskich otworzył na oścież swe wrota dla kobiet. Obok *King's College* i *University College* już w dwadzieścia lat po nich stanęło pierwsze i dotąd największe kollegjum kobiece, *Bedford College*, które dziś zajmuje wspaniały kompleks budynków pośród rozkosznej zieleni *Regent's Park*. Po niem poszły inne, niemniej bogato przez prywatnych fundatorów i fundatorki uposażone — jak *Royal Holloway College* z internatem dla 200 studentek, jak osobne *King's College for Women* z r. 1881, połączone administracyjnie ze starem *King's College* w czasie wojny, jak *Westfield College* z r. 1881, jak nadewszystko głośna „Londyńska Szkoła Medycyny dla kobiet" (*London School of Medicine for Women*) przy założonym w początkach XIX wieku z prywatnej inicjatywy szpitalu kobiecym. W roku 1867 Uniwersytet londyński jako całość otrzymał ustawowe prawo urządzania egzaminów dla kobiet, ale dopiero od r. 1878 ich stopnie akademickie zrównano w zupełności ze stopniami nadawanemi mężczyznom. Był to pierwszy wyłom, uczyniony przez feminizm w tradycji akademickiej angielskiej: Oxford i Cambridge dopiero po wojnie światowej kobiety do wszystkich stopni akademickich dopuściły, a Cambridge dziś jeszcze im odmawia pewnych przywilejów, ze stopniami połączonych.

W r. 1874 tylko dwie kobiety w całej Anglji — Miss E. Blackwell i Mrs. Garret Anderson — posiadały stopnie lekarskie. Żyjąca jeszcze nestorka kobiet-lekarek angielskich, Dr. Marja Scharlieb, obsypana dziś tytułami i honorami, otrzymała swój stopień w Londynie w r. 1882. Pierwsza kobieta w Anglji, co została znakomitym chirurgiem, pani Luiza Aldrich-Blake, zmarła w r. 1925, w samych dniach jubileuszowych Uniwersytetu londyńskiego, otrzymała piękny pomnik na Tavistock Square. Przy odsłonięciu tego pomnika przemawiała jej następczyni na stanowisku dziekana

---

[1] *The Yearbook of the Universities of the Empire*, edited by Walter H. Dawson, 1927, Londyn, G. Bell & Sons, Ltd.

Londyńskiej Szkoły Medycznej dla kobiet, lady Barrett, ceniona jako specjalistka na polu ginekologji.

Medycyna jest tylko najwybitniejszym i najdawniejszym z przykładów. Tak samo jednak jak na medycynie, roi się dziś w Londynie i na innych wydziałach po wszystkich kollegjach od studentek z całego Imperjum Brytyjskiego — nie wyjmując licznych Hindusek w malowniczych strojach narodowych i Murzynek różnych odcieni. Przybywają także coraz liczniej studentki z innych krajów świata, szczególnie ze Skandynawji. To też na uroczystościach jubileuszowych *University College* wśród chmary delegatów od Uniwersytetów całej kuli ziemskiej składało życzenia i adresy sporo przedstawicielek zarówno profesury jak i studenterji kobiecej w niemniej wspaniałych od mężczyzn, różnobarwnych togach i beretach.

8.

Wymieniłem zaledwie kilka z tych 37 wyższych zakładów naukowych, które wylicza i opisuje historyk Uniwersytetu londyńskiego [1] jako wchodzące dziś w jego skład. Nie mogę nie wspomnieć jeszcze po imieniu o wzmiankowanych już sławnych szkołach medycznych, które na długo przed właściwem powstaniem Uniwersytetu londyńskiego były właściwemi ogniskami życia akademickiego w Londynie. Nazywają się według starych szpitali londyńskich, z któremi są połączone; a więc „św. Bartłomieja“ *(St. Bartholomew's*, a popularnie *Bart's*, szpital założony w r. 1123 przez mnicha augustjańskiego Rahere); Guy's (1722, założyciel kupiec londyński Tomasz Guy); *St. Thomas'* (1553); *Westminster* (1715); *St. George's* (1733); *London Hospital* (1740); *Middlesex* (1745); *Charing Cross* (1818); *St. Mary's* (1845); dalej szkoła medycyny wojskowej, założona w r. 1857 po wojnie krymskiej, i szkoła medycyny dla floty w Greenwich z r. 1873. Kilkanaście fakultetów medycznych! Tem chyba żadne miasto uniwersyteckie na kuli ziemskiej poszczycić się nie może. A w ich poczet wliczyć jeszcze trzeba wspaniale dziś

---

[1] Rev. S. Gordon Wilson: *The University of London and Its Colleges*. Londyn, W. B. Clive, 1923. — Wiele z podanych powyżej danych o historji Uniwersytetu zawdzięczam znakomitej przedmowie do tego dzieła, którą napisał profesor medycyny Sir Sydney Russell-Wells, były wicekanclerz Uniwersytetu i poseł uniwersytecki do Parlamentu.

rozwinięte wydziały lekarskie, które powstały przy *University College* i *King's College* w samych ich początkach (1828 i 1839). Pierwszy z nich niedawno jako prawdziwie królewski dar otrzymał od fundacji Rockefellera ogromny nowy teatr anatomiczny, zbudowany kosztem przeszło sześciu miljonów dolarów i uroczyście otwarty przez króla w r 1923.

Wspaniały ten dar nie jest bynajmniej zjawiskiem odosobnionem w dziejach Uniwersytetu londyńskiego. Przerzucając karty jego historji, natrafiamy na każdym kroku, jako na kamienie graniczne w rozwoju wszystkich kollegjów i szkół, na hojne zapisy bogatych dobroczyńców, które umożliwiły powstanie i wciąż jeszcze umożliwiają dalszą rozbudowę wszystkich tych instytucyj. Ofiary te płyną przedewszystkiem z jednego źródła, mianowicie z kieszeni wielkich kupców, przemysłowców i bankierów przesławnej *City* londyńskiej, którzy zdawien dawna pokładali ambicje w tej formie filantropji oświatowej, zanim jeszcze ta sama piękna tradycja ustaliła się jako obowiązek społeczny wśród bogaczy amerykańskich. Dziś Uniwersytet londyński pobiera także znaczne dotacje rządowe — blisko pół miljona funtów szterlingów w roku szkolnym 1925/6 — ale żywotnym warunkiem jego rozrostu jest inicjatywa i ofiarność prywatna, ta największa chluba kultury angielskiej. Nie żałują grosza na fundacje dla Uniwersytetu szczególnie dawni jego uczniowie: drogą składki pośród nich *University College* w roku swego jubileuszu zebrało 30.000 f. szt. na budowę nowej auli. Otworzył tę aulę w pierwszym dniu uroczystości jubileuszowych i poświęcił ją pamięci poległych studentów sam król Jerzy V, który przytem w mowie swej — inspirowanej oczywiście przez rząd Baldwina — wprawdzie napomknął o zmienionych czasach i zwiększonych dziś pretensjach społeczeństwa do rządu i do skarbu także w sprawach oświatowych, ale zarazem w gorących słowach nawoływał do podtrzymania imponującej, rdzennie angielskiej tradycji twórczego wysiłku prywatnego w dziedzinie samopomocy społecznej.

Do tych słów królewskich pozwoliłem sobie nawiązać w mowie, którą imieniem wszystkich delegatów Uniwersytetów zagranicznych miałem zaszczyt wygłosić na bankiecie, wydanym dla uczczenia jubileuszu Uniwersytetu przez jeden z bogatych i dostojnych starych cechów londyńskich — cech sukienników *(The Honourable Company of Drapers).*

Cech ten — dzisiaj zresztą, jak wszystkie stare cechy lon-

dyńskie, bynajmniej nie składający się z mistrzów danego zawodu, lecz z przedstawicieli kapitału handlowo-przemysłowego wogóle [1] — zaznaczył się w dziejach Uniwersytetu przez swą szczególną hojność: w chwili przejścia *University College* pod zarząd ogólno-uniwersytecki po reorganizacji r. 1898 wziął na siebie 30.000 funtów szterlingów długów kollegjum do zapłacenia, a ponadto zebrał około 200.000 funtów drogą składek pośród swych członków i innych ofiarodawców, „z których dwaj najhojniejsi życzyli sobie pozostać bezimiennymi" [2].

Wychwalając tak hojnych gospodarzy, skontrastowałem potężny udział tych ośrodków kapitału prywatnego, jakiemi są cechy londyńskie, w powstawaniu i rozwoju najdemokratyczniejszego, a zarazem największego Uniwersytetu angielskiego — z nikłemi owocami, jakie w republice sowieckiej przyniósł skrajny etatyzm i biurokratyczna hodowla szumnie reklamowanej „proletarskiej kultury". Uniwersytety angielskie rosną powoli od wieków, jak dęby, na krzepkiej glebie zdrowego zmysłu społecznego ofiarnych obywateli. Uniwersytety w Rosji rosną dziś, jak grzyby po krwawym deszczu, na grząskim gruncie bolszewickiej państwowości, ale mają też konsystencję grzybów, i to często grzybów jadowitych.

9.

Obok ciągłego rozszerzania i doskonalenia instytucyj uniwersyteckich, służących kształceniu uczniów, hojność dobroczyńców Uniwersytetu londyńskiego wydaje także obfite owoce w postaci coraz intensywniejszych i coraz lepiej zorganizowanych prac naukowo-badawczych, prowadzonych w Uniwersytecie. Jak to słusznie zaznaczył w swej mowie na uroczystościach jubileuszowych w *University College* były minister oświaty A. H. L. Fisher. Uniwersytet stołeczny z samej natury swego położenia szczególnie ważne ma zadania w dziedzinie badań źródłowych: w stolicy wszakże zebrane są wszystkie najważniejsze dokumenty do dziejów Państwa i jego

[1] Starszym cechu, który przewodniczył przy stole, jest wprawdzie obecnie sukiennik, Mr. Boyd, ale jest on zarazem, jak się dowiedziałem, jedynym sukiennikiem w całym cechu! — Cech, nawiasem mówiąc, otrzymał swą pierwszą kartę przywilejów z rąk króla Edwarda III w r. 1364, a więc w samym roku założenia naszego Uniwersytetu Jagiellońskiego — fakt, z którego w mojej mowie nie omieszkałem skorzystać.

[2] *University of London: the Historical Record, 1836—1912.* Londyn, University of London Press, 1912, str. 23.

kultury; w Londynie z jego wspaniałemi bibljotekami, galerjami i muzeami, student zarówno przedmiotów humanistycznych jak przyrodniczych najbogatszy znajdzie dla siebie materjał; w Londynie, największym porcie świata i jednem z jego największych centrów bankowych, przemysłowych i handlowych, ekonomista i socjolog naprawdę trzyma rękę na samym pulsie życia gospodarczego i społecznego; tutaj zdawna ześrodkowuje się prasa i publicystyka, tutaj bije najwyższem tętnem ruch artystyczny, tu jest także naturalne miejsce objawienia i popularyzacji wielkich idej, co z Anglji mają rozejść się po świecie. Londyn, to nietylko największa w Starym Świecie giełda walorów materjalnych, ale także wielka giełda myśli ludzkiej.

Świadomość tej misji i tej odpowiedzialności swojej Uniwersytet londyński zawsze posiadał i okazywał. Dla przykładu wystarczy wyszczególnić zasługi tej wielkiej szkoły doświadczalnej nauk przyrodniczych, którą stworzyło w swoich murach najstarsze z jego kollegjów, jubilujące dziś *University College.* Do jego uczniów należał wszakże Graham B e l l, wynalazca telefonu; a wśród nazwisk jego profesorów jaśnieje na cały świat blaskiem niespożytym nazwisko Sir Williama R a m s a y, którego uczniowie i u nas w Polsce zajmują katedry uniwersyteckie. Ze znakomitych nazwisk w innych dziedzinach nauki wymieńmy choćby takich profesorów Uniwersytetu londyńskiego, jak lord L i s t e r (medycyna); John A u s t i n (prawo); Stanley J e v o n s (ekonomja polityczna); de M o r g a n i W. K. C l i f f o r d (matematyka); Sir William B a y l i s s (fizjologja); Karol P e a r s o n (teorja dziedziczności), — a wystarczy chyba tych kilku, z pośród wielu innych [1], jako dowodów na to, że Uniwersytet londyński już posiada wspaniałą tradycję naukową. Tradycję tę godnie dziś podtrzymuje szereg instytutów, całkowicie pracy badawczej poświęconych i zawsze zapełnionych pracownikami ze wszystkich części Imperjum Brytyjskiego i z wielu innych krajów świata. Wymieńby choćby tylko instytut higjeny i patologji imienia Listera *(The Lister Institute of Preventive Medicine),* istniejący od z r. 1901 i wzorowany na *Institut Pasteur* w Paryżu —

[1] Niektóre z przytoczonych i długi szereg innych świetnych nazwisk wylicza S i r G r e g o r y F o s t e r, głowa *University College,* w zakończeniu swoich dwóch odczytów *The University of London: History, Present Resources and Future Possibilities.* Londyn, University of London Press, 1922.

wymieńmy młody, ale nader płodny instytut dla badań historycznych *(Institute of Historical Research)*, wymieńmy stworzoną niedawno „Szkołę bibljotekarstwa“ *(School of Librarianship)* w *University College* pod kierownictwem E. A. Bakera, i w temże kollegjum głośny dziś w całym świecie instytut fonetyki eksperymentalnej *(Department of Phonetics)* profesora D. Jonesa. Wymieńmy wreszcie raz jeszcze Londyńską Szkołę Ekonomiczną, której długa serja publikacyj monograficznych dobrze dziś jest znana pracownikom na polu ekonomji politycznej we wszystkich krajach, której uczniowie (jak stwierdzono na jubileuszu) w wielu państwach zasiadają w ministerjach, i której dyrektor Sir William Beveridge piastuje obecnie wysoką godność wicekanclerza Uniwersytetu londyńskiego.

10.

W poczuciu pełni twórczego życia zatem mógł Uniwersytet w r. 1927 obchodzić setną rocznicę założenia swego najstarszego kollegjum, *University College*, jako setne urodziny całego Uniwersytetu. Rocznica taka z natury rzeczy nasuwa refleksje, osnute na zestawieniu chwil z przed stu lat z chwilą dziejową dzisiejszą. Oczywiście nie brakło takich zestawień w przemowach tych wybitnych mężów, co w tych dniach uroczystych Uniwersytetowi hołdowali.

Najciekawszą może ilustracją wielkich zmian, jakie czasy przyniosły, było uroczyste nabożeństwo uniwersyteckie w opactwie westminsterskiem i wygłoszone na tem nabożeństwie, pełne głębokich myśli kazanie biskupa manchesterskiego, Dra Temple. Wszakże *University College* w r. 1827 powstało jako fundacja wykluczająca wszelką naukę teologji, wszak do jego twórców należeli okrzyczani „radykałowie filozoficzni“ racjonalistyczno-utylitarnego pokroju, jak Bentham i Mill starszy, wszak jeszcze w późniejszych dziesięcioleciach profesorowie londyńscy, jak Huxley i Tyndall, staczali sensacyjne boje z ortodoksją kościelną anglikańską o wolność myśli naukowej. A dziś najdostojniejsza świątynia anglikańska otwiera swe wrota dla nabożeństwa jubileuszowego, a kaznodzieja na tem nabożeństwie w pełnych uniesienia i zachwytu słowach wielbi wielkość reformatorskiej myśli społecznej Benthama i stwierdza, że jego humanitarna koncepcja państwa, streszczona w nieśmiertelnej formule „największe szczęście największej ilości ludzi“, zawiera w sobie całą istotę

chrześcijańskiej filozofji socjalno-politycznej. Tak to ów duch liberalizmu, co przenikał założycieli Uniwersytetu londyńskiego, oddziałał w ciągu stu lat jego istnienia na Kościół państwowy angielski. Ale, jak słusznie zauważył w tem samem kazaniu Dr. Temple, oddziaływanie tu było wzajemne: nauka ze swej strony dziś daleką jest od wojowniczego dogmatyzmu, co cechował okres heroiczny doktryn ewolucyjnych: z pokorą chyli czoło przed tajnikami ostatecznych zagadnień i uznaje, że prawda może mieć różne postaci, że każda nasza formuła jest samowolnem uproszczeniem bogactwa rzeczywistości, i że absolut leży poza granicami naszego doświadczenia.

Niemniej poważnym i znamiennym refleksjom na temat zmian dziejowych dał wyraz w swej wspaniałej, wspomnianej już mowie jubileuszowej były minister oświaty H. A. L. Fisher, zestawiając Uniwersytet londyński ze starszemi wszechnicami angielskiemi. Uniwersytet ten wszakże powstał z buntu przeciwko tradycjom i ideologji Oxfordu i Cambridge. A oto w setną jego rocznicę sam mowca właśnie jako przedstawiciel starego Oxfordu ze czcią i wdzięcznością stwierdza, iż przykład Londynu tamte stare wszechnice z ich sennej rutyny przebudził i cały szereg najżywotniejszych nowoczesnych dyscyplin w nich do życia powołał. Ale i tutaj znowu wpływ był wzajemny: w Londynie uczyli od dziesięcioleci i uczą dzisiaj profesorowie z Oxfordu i Cambridge sprowadzani, i Londyn dziś niemniej wysoko od tych starych Uniwersytetów dzierży sztandar dawnych fundamentalnych przedmiotów wykształcenia formalnego: a więc filozofji we wszystkich jej odmianach, filologji klasycznej i historji starożytnej, matematyki czystej.

Pod innym jeszcze względem Londyn, w założeniu tak odmienny, we wzrastającej mierze wpływowi starych urządzeń akademickich w Oxfordzie i Cambridge podlega. Coraz więcej się w nim mianowicie objawia tęsknoty do tego znakomitego środka uspołecznienia i wychowania charakteru, jakim jest współżycie internatowe w przepięknych starych gmachach kollegjalnych obu dawnych wszechnic. W Londynie oba główne kollegja — *University College* i *King's College* — jak były w chwili założenia, tak i dotąd z konieczności pozostać musiały nie-internatowemi; natomiast najpoważniejsze ze starych szkół medycznych i niektóre bogato udotowane kollegja nowsze — szczególnie kobiece — posiadają internaty i w nich mają ogniska akademickiego *esprit de corps.* Ponadto

zaś wzrastającą rolę w życiu studentów Uniwersytetu londyńskiego, jako demokratyczny surogat kollegjów Oxfordu i Cambridge zaczynają odgrywać skromniejsze *hostels*, podobne do naszych „Domów Akademickich". Takich dotychczas w różnych częściach Londynu jest pod kontrolą Senatu Akademickiego pięć. Gorącym apelem do ofiarodawców prywatnych, by ich tworzyli więcej, zakończył swą piękną, kilkakrotnie już cytowaną mowę jubileuszową Fisher. Oby i u nas w Polsce inicjatywa prywatna w dziedzinie tworzenia Domów Akademickich jeszcze się kiedyś odezwała, i oby przykład niezapomnianego syna kresów naszych, ś. p. Konstantego Wołodkowicza, twórcy pierwszego Domu Akademickiego w Krakowie, znalazł naśladowców! Kto zna Oxford i Cambridge, ten wie dobrze, jak potężnym czynnikiem wychowania obywatelskiego jest współżycie internatowe w latach uniwersyteckich.

Nader ważnym tego wychowania czynnikiem są także k l u b y studenckie w tych starych wszechnicach, nadewszystko kluby dyskusyjne pod nazwą *Union Societies*. I w tej dziedzinie Londyn coraz energiczniej kroczy śladami Uniwersytetów starszych: każde z ważniejszych kollegjów ma już swoją *Union*, a także *Union* ogólno-uniwersytecka istnieje od kilku lat i pomyślnie się rozwija. Uczestnicząc w wielkiej debacie o socjalizmie na publicznem posiedzeniu *Union Society* przy *King's College* w r. 1925, ze wzruszeniem słuchałem zagajenia obrad przez sędziwego lorda U l l s w a t e r, byłego długoletniego „speakera" Izby gmin, który wspominał, jak za swych lat studenckich w *King's College* przewodniczył temu towarzystwu, wówczas z dwunastu zaledwie członków złożonemu, i jak do tego szczupłego grona wtedy należał późniejszy wielki angielski administrator kolonjalny, lord M i l n e r

Last not least trzeba wspomnieć i o s p o r t a c h, które w życiu akademickiem Oxfordu i Cambridge tak poczesne zajmują miejsce. W Londynie zarówno pojedyncze kollegja, jak cały Uniwersytet coraz więcej boisk sportowych pod miastem w darze otrzymują, ambicja sportowa wśród młodzieży rośnie, i doroczne zawody sportowe w każdej instytucji stały się ważnym wypadkiem roku akademickiego. Że i na tem polu wyrabiać się poczyna na sposób Oxfordu i Cambridge „kollegjalny patrjotyzm", tego zabawny dowód miałem na uroczystym obiedzie na zakończenie roku szkolnego 1924/5 w *School of Economics*, gdy wśród ogólnego entuzjazmu ochrzczono winem na imię *Felix* drewnianą figurę bobra, która

odtąd ma służyć jako talizman czyli *mascot* dla zrzeszeń sportowych kollegjum. A w roku poprzednim walki o inną drewnianą figurę, przestawiającą górala szkockiego i zwaną *Phineas*, toczyły się przez kilka dni między studentami *University College*, którym ona służyła jako godło [1], a napastnikami z *King's College*, którzy im ją chwilowo odbili.

* * *

Tak to Londyn pod tchnieniem wiekowych zwyczajów i urządzeń Oxfordu i Cambridge, choć na zgoła innych fundamentach budowany, staje się jako Uniwersytet coraz bardziej do nich podobnym — coraz bardziej „akademickim" w tradycyjnem angielskiem tego słowa znaczeniu. Dalekim dziś jest od tego, czem był w abstrakcyjnie-racjonalistycznych rozumowaniach swych twórców, — staje się czemś wszechstronniejszem, poetyczniejszem i bardziej ludzkiem. Dokonała nad nim swej magji nagromadzona w owych dawnych gajach akademickich mądrość stuleci, sprawdziły się i nad nim władne słowa, co widnieją w godle wszechnicy w Cambridge:

Hinc lucem et pocula sacra!

Przemawiając zaś z tego miejsca, nie mogę nie zakończyć życzeniem, by podobnie jak ten stosunek wzajemny między Uniwersytetem londyńskim a staremi wszechnicami w Oxfordzie i Cambridge, kształtowały się w wolnej Polsce stosunki między młodszemi uniwersytetami naszemi (nie wyłączając wszechnicy stołecznej) a prastarą macierzą Jagiellońską, która dziś wstępuje w nowy rok swego zawsze twórczego żywota.

---

[1] Figura Szkota obrana była za emblemat Kollegjum zapewne dla uczczenia pamięci jego szkockich założycieli, Campbella i Broughama.

XVIII.

PRZESILENIE JĘZYKOWE A PRZESILENIE KULTURALNE

1.

Na zebraniu Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego w Krakowie dnia 9 listopada r. 1924 profesor filologji romańskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, dr. Stanisław Wędkiewicz, ze zwykłą sobie swadą i temperamentem mówił o tak zwanym „kryzysie językowym" we Francji. Ilustrując swój przedmiot obfitością zajmujących przykładów z bogatej jego literatury, przedstawił te alarmy, które coraz częściej i głośniej rozlegają się we Francji z powodu wzrastającego zachwaszczenia języka niepotrzebnemi zapożyczaniami z języków obcych — szczególnie angielskiego — z powodu rozpanoszonego niedbalstwa w składni i frazeologji, rozpowszechnionego nieuctwa w dziedzinie gramatyki szkolnej i stylistyki normatywnej, wreszcie z powodu zalewu mowy ludzi wykształconych i języka literackiego falą słów z żargonu ulicy i proletarjatu wielkomiejskiego, a więc wiekuiście zmiennego paryskiego „argot". Ukazał prelegent łączność, jaka panuje między dążnościami do przywrócenia autorytetów i norm w języku a reakcją w dziedzinie społecznej i politycznej przeciwko wybujałościom dzisiejszej demokratyzacji, grożącym anarchją obyczajową i bolszewickiem schamieniem kultury narodowej. Uwydatnił też ten jeden walny argument patrjotycznych bojowników o przywrócenie językowi francuskiemu dawnej czystości i logicznej regularności, że mianowicie język ten, już i tak obecnie zagrożony na swem stanowisku języka międzynarodowego przez rywalizację języka Anglji i Ameryki, przy postępujących tak szybko demokratycznych zmianach w swem słownictwie i swej składni, żadną miarą na owem świetnem i tak długo z chlubą zajmowanem stanowisku utrzymać się nie zdoła. Bo język, mający się cieszyć uznaniem międzynarodowem, a być

przedmiotem nauki elementarnej na całym świecie, nie może być zbyt zmiennym i płynnym, musi być ujętym w pewne normy, któreby cały świat mógł sobie przyswajać, musi być — rzucono i to słowo we Francji! — do pewnego słowa językiem martwym, jak owa nieoceniona łacina, co wiekom średnim i Odrodzeniu oddała tak wielkie kulturalne usługi.

2.

W dyskusji nad tym, głęboko zastanawiającym odczytem, miałem sposobność podnieść, że właśnie u owego rywala za kanałem La Manche i za Atlantykiem, na którego światowe postępy patrjoci językowi francuscy z takim niepokojem patrzą, dziś na tle ogólnej sytuacji kulturalnej odzywają się głosy zupełnie podobnej trwogi i zupełnie analogiczne napomnienia. — Wymowny dał im wyraz tegoroczny prezydent Towarzystwa Miłośników Języka Angielskiego, którym jest nie kto inny, jak jeden z najznakomitszych żyjących tego języka mistrzów, powieściopisarz John Galsworthy. W swoim odczycie na dorocznem walnem zgromadzeniu Towarzystwa [1] i on, jak wspomniani Francuzi, stara się obudzić w swoich słuchaczach poczucie odpowiedzialności za język, który jego i ich zdaniem jest powołany stać się międzynarodowym językiem całego świata. Takie przeznaczenie nie pozwala na „pantoflowe i szlafrokowe" niedbalstwo w używaniu mowy ojczystej; to byłoby dobre dla mowy, która zawsze „siedzi w domu"; ale mowa, która jest „na oczach świata", jak żadna inna, musi być „pozapinana na wszystkie guziki i wyszczotkowana", żeby się móc „wszystkim pokazać". Trzeba więc odnosić się do niej z tą pełną szacunku starannością i uwagą, z jaką Anglik odnosi się do wymagań etykietalnych — powiedzmy — co do stroju, gdy idzie w towarzystwo między obcych.

Admonicja taka, zdaniem czcigodnego autora, w obecnej chwili szczególnie jest na czasie, i tu dochodzimy do najbardziej uderzającego podobieństwa między sytuacją angielską a francuską, podobieństwa, które już nie filologowi, lecz socjologowi musi dawać do myślenia.

---

[1] *On Expression*, by John Galsworthy. *Presidential Address to the English Association. July, 1924. The English Association Pamphlet Nr. 59.*

3.

Otóż prawdą jest, że Anglicy, ze swą narodową tradycją indywidualizmu, taksamo w rzeczach językowych, jak w sprawach państwowych, zdawna nie znosili nadmiernej opieki autorytetów. Znamiennem jest, że nigdy nie powstała w Anglji instytucja, coby na sposób Akademji Francuskiej perjodycznie normowała język literacki, i młodej Akademji Brytyjskiej, istniejącej zaledwie od początku XX wieku, nigdy się nie śniło o takich funkcjach. Ale z drugiej strony, równie znaną cechą charakteru angielskiego, jak indywidualizm, jest szczególne poszanowanie dla konwenansów, form zwyczajowych i ustalonych symbolów. Dzięki tej właściwości język angielski na ustach ogółu wykształconego, trzymał się pewnych, ściśle określonych przez tradycję sposobów, prawideł i granic wyrażenia. Miał dokładniej usystemizowany zasób przyjętych zwrotów, taksamo jak dokładniej usystemizowany, niż u innych narodów, był w Anglji kodeks form i zwyczajów towarzyskich. Unikał język angielski cech narzeczowych, prowincjonalnych, unikał wszelkich wyrażeń specjalnych z zakresu pewnych stanów, zawodów lub klas społecznych; unikał słów książkowych i wolał utarte do bezbarwności potoczne; unikał nadewszystko aż do snobizmu wszystkiego, co trąciło wulgarnym żargonem ulicy, czyli tak zwanym s l a n g, i unikał wszelakiej ekstrawagancji i oryginalności w wysłowieniu. Jeszcze w roku 1905 piszący te słowa, gdy po ukończeniu studjów przybył do Anglji, nieraz słyszał od angielskich przyjaciół dobre rady, by się ograniczył w mowie do kilkuset powszechnie używanych słów, a nie używał wielu innych, które znał z literatury.

Ta surowa konwencjonalność wyrażenia uległa z biegiem naszego stulecia charakterystycznej zmianie, równolegle z temi wielkiemi społecznemi zmianami, jakie się w Anglji dokonywują. Z emancypacją polityczną coraz szerszych mas nowych obywateli, w parze idzie emancypacja od starych obyczajów. Taksamo jak powszechne chodzenie do kościoła i czytanie Biblji, przestało być w Anglji obowiązujące, taksamo jak przestała cechować powieść angielską ta pruderja purytańska w rzeczach erotycznych, która ją dawniej tak zasadniczo odróżniała od francuskiej, taksamo i w języku osłabiły się ogro-

dzenia i tamy dawnych konwenansów, i w szczególności niedopuszczany dawniej slang falą począł do języka literackiego napływać.

4.

Zaczęło się to już przed wojną, ale wojna niewątpliwie przyśpieszyła i ten proces społeczny, taksamo jak pod tylu innemi względami przyśpieszyła ogólną demokratyzację. — Oficer, który w okopach dopiero naprawdę zrozumiał się i zbratał z człowiekiem innej klasy społecznej, swobodnie potem wśród własnej swej warstwy towarzyskiej posługiwał się temi dogodnemi wulgaryzmami, które mu służyły w rozmowie z żołnierzem na wojnie. — Taksamo panienka, co w służbie po szpitalach, kantynach, biurach wojskowych i fabrykach amunicji nabyła zasobu przekleństw i drastyczności językowych żołnierskich i uważała za ostatni wyraz tężyzny popisywanie się niemi, popisy te dalej prowadzi w salonie, przeniósłszy doń stamtąd i inne nałogi tego rodzaju co — powiedzmy dla przykładu — palenie papierosów lub picie „cocktails".

Jedną szczególną formą wpływu wojny na mowę potoczną, jest obfitość skróceń, które weszły w powszechne użycie. Nietylko w Anglji, taksamo jak w Bolszewji i u nas, wyrosły, jak grzyby po deszczu, różne skrócone do inicjałów lub pojedyńczych zgłosek, nazwy urzędów i instytucyj, ale do takich dawnych skrótów, jak bus na „omnibus automobilowy", lub tram na „tramwaj", czy taxi na dorożkę samochodową z taksametrem, przybyło mnóstwo nowych: nikt już prawie dziś inaczej nie mówi, jak 'phone zamiast telephone, flu zamiast influenza, p. c. („pi si") zamiast post-card (karta pocztowa), oraz ad zamiast advertisement („ogłoszenie").

Obok ogólnego pośpiechu życia w wysoce uprzemysłowionym kraju, i przyśpieszającego wpływu wojny na rozwój społeczeństwa, drugim czynnikiem, który wpłynął na pozbawienie języka angielskiego ścisłości formalnej, był pewien stały moment psychiczny, specjalnie Anglikom właściwy i głęboko ich różniący od Francuzów. O ile Francuz zawsze był retoryczny z natury — urodzonymi mowcami i adwokatami już Cezar i Juvenal nazywali Gallów! — o tyle Anglik, od czasu, gdy rewolucja purytańska XVII wieku wyrobiła w nim powściągliwość jako główną cechę, powściągliwy jest i w mówieniu.

Przysłowiowa rezerwa angielska nietylko w lodowatości manier i w unikaniu wszelkiej gestykulacji, ale nadewszystko w stylu mowy się wyraża. — Gdy Francuz na widok — powiedzmy — wspaniałych, ogromnych płócien Pawła Veronese w londyńskiej *National Gallery* nie pożałowałby brzmiących epitetów, jak *superbe, magnifique* i *grandiose*, Anglik woli ze śmiesznym niedostatkiem emfazy powiedzieć o nich, że są *not half bad* — „wcale nie złe" (a raczej „ani do połowy złe"). A banalne *lovely* („kochane, miłe") jako zdawkowy wyraz zachwytu sentymentalnych starych panien nad krajobrazem, książką lub przedstawieniem zdawna już jest przedmiotem drwin ze strony wszystkich narodów.

Ta rezerwa, zachowywana nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach życia i często połączona z lekkim humorem i ironją, jest niewątpliwie sympatyczną i szlachetną cechą męskości w charakterze wielkiego narodu, i ślamazarnie lirycznym Słowianom szczególnie do naśladowania poleconą być powinna: ale dla języka zawiera w sobie to niebezpieczeństwo, że godzi w samą jego istotę jako narzędzia wymowy. Tracąc wszelkie cechy uroczystej elokwencji, język banalnieje i staje się nieartykułowanym. A właśnie, jako język międzynarodowy, winienby zachować i nawet rozwijać zdolność do akcentów odświętnych i solennych. Wszak rozlegałby się przy tylu okazjach reprezentacyjnych, — rozlega się już na tylu kongresach, — rozlegał się przecież niedawno i u nas w auli uniwersyteckiej na powitaniu międzynarodowej konferencji studentów.

5.

Uroczyście starają się mówić o potocznych rzeczach g a z e t y, i im niższy ich poziom — a obniża się powszechnie w interesie jaknajszerszej cyrkulacji, — tem gorzej im się to udaje. Pośmiewiskiem osób o kulturze literackiej jest to, co nazywają wzgardliwie *journalese* — językiem dziennikarskim. Wadą jego jest właśnie sadzenie się na pompatyczne wyrazy łacińskiego pochodzenia na najprostsze codzienne pojęcia, np. ośmieszone wielokrotnie używanie słowa *transpire* na oznaczenie czegoś, co się zdarzyło całkiem otwarcie i nie potrzebowało dopiero tajemniczemi drogami przedostawać się do publicznej wiadomości, — albo powszechne używanie słowa *scenes*, na jakieś wypadki, które wcale dramatycznego charakteru „scen" nie miały. *Journalese* często staje się komicznie

podobnem do *Johnsonese*, to jest do tej dykcji naszpikowanej ciężkiemi łacińskiemi wyrazami, którą posługiwał się w XVIII wieku wielki krytyk i dyktator literacki Dr Samuel Johnson, i którą przez swój słownik — jedyny w dziejach Anglji słownik o autorytecie podobnym do słownika Akademji Francuskiej! — na dłuższy czas narodowi narzucił.

6.

Ale bodaj częściej jeszcze w ostatnich czasach popada gwara dziennikarska w ostateczność przeciwległą. Lubi mianowicie — szczególnie w nagłówkach! — posługiwać się krótkiemi i prostemi, ale sensacyjnie silnemi, dramatycznie dobitnemi wyrazami. Tu działa przedewszystkiem przykład efektownej techniki dziennikarskiej, jaka się wyrobiła w A m e r y c e. Anglicy lubią narzekać na Amerykanów, jako winowajców barbarzyńskiego skażenia języka angielskiego. Nie da się istotnie zaprzeczyć, że ten młody naród, nie obarczony dziedzictwem wieków historji, w używaniu języka także się często nie liczy z tą mgławicą sentymentu i wspomnień, która się około każdego starego słowa nagromadziła, i przez to w śmieszny sposób wykraczają przeciw temu, co my nazwalibyśmy „taktem językowym“ lub nawet dobrym smakiem. Galsworthy w mowie swej przytacza kilka zabawnych przykładów tego amerykańskiego stylu nagłówków. Nie dadzą się one niestety przetłómaczyć na nasz rozlewniejszy język, tembardziej, że częścią ich efektu jest okoliczność, iż składają się prawie zawsze z samych jednozgłoskowych wyrazów, oszałamiających jak uderzenia młotkiem po głowie. Wszakże takim jednozgłoskowym wyrazem jest samo słowo *stunt*, dziś już w Anglji niemniej rozpowszechnione jak przedtem w Ameryce, a oznaczające jakiś silny efekt reklamowy, oratorski, literacki, teatralny, filmowy, polityczny czy prasowy.

Amerykanizacja życia angielskiego, mimo awersji Anglików do wszystkiego co amerykańskie, jest faktem rzucającym się w oczy każdemu obserwatorowi dzisiejszych stosunków angielskich. Jak we wszystkich dziedzinach, tak i tu podziałała przyśpieszająco wojna, zbliżając do siebie masy Anglików i Amerykanów na polach wspólnych bitew, w kantynach amerykańskiej Y. M. C. A. i na urlopach, spędzanych w Anglji. Po wojnie do postępów tego samego procesu przyczynia się międzynarodowa sytuacja polityczna, w której nadzieja utrzy-

mania potęgi i powagi imperjum brytyjskiego przeciw siłom odśrodkowym wewnątrz i rywalom mocarstwowym zewnątrz, opierać się musi przedewszystkiem na ścisłej solidarności z Ameryką: a że w tem przymierzu bujny temperament młodszego wspólnika wyciska swoje piętno na naturze starszego, to nieuniknione.

Najwyraźniejszym wskaźnikiem tej przemiany w Anglji, jak wogóle wszystkich przemian w dzisiejszym świecie, jest oczywiście prasa. Jednoczenie całych grup gazet w rękach wielkich trustów, zapoczątkowane przez lorda Northcliffe, a dziś prowadzone dalej przez lordów Beaverbrook i Rothermere, jest znamiennem naśladowaniem metod amerykańskich. — Naśladuje się te metody i w technice ogłoszeń, i w redagowaniu części informacyjnej, naśladuje się je i w języku.

7.

Jeżeli jednak amerykanizację języka angielskiego jako fakt niewątpliwy można obserwować w gazetach, a w dalszym ciągu i w całem życiu mowy literackiej, jeżeli z subjektywnego punktu widzenia miłośnika historycznych walorów języka można na nią narzekać jako na wulgaryzację czy nawet zbolszewizowanie kultury językowej, to nie wolno, jak to często czynią Anglicy, obarczać Amerykanów wyłączną odpowiedzialnością za tego rodzaju objawy.

Bo już bez śladu jakiegokolwiek wpływu amerykańskiego, poprostu tylko jako wynik ryczałtowej demokratyzacji społecznej i psychicznej naszych czasów, dokonał się formalny zalew języka najdosadniejszemi, nieraz zupełnie niezrozumiałemi i przeważnie efemerycznemi, wyrazami i zwrotami z potocznego żargonu mętów społecznych ulicy w takiem prawdziwie potwornem dziele, jak ultra-naturalistyczna książka *Ulysses*, w której James J o y c e na 700 stronicach *in quarto* w brawurowych kaskadach tego rodzaju wulgarnej retoryki opisał poprostu 24 godzin z życia przeciętnego mieszkańca miasta Dublinu. Podobnie — i dawniej już — jeden z najzdolniejszych poetów dzisiejszej Anglji, John M a s e f i e l d, lubuje się w obfitem zabarwianiu swego języka słownictwem wszelakich wagabundów. Tu już mamy do czynienia z tem samem ogólnoświatowem zjawiskiem, które dostrzegamy i u nas w takich dziełach, jak powieść ś. p. Jana Ż y z n o w s k i e g o „Kamienie ugorne", gdzie — jak to podniósł p. Szukiewicz w dyskusji

nad wspomnianym odczytem prof. Wędkiewicza — język koniokradów i prostytutek bez ceremonji i w całej rozciągłości wprowadzony jest do mowy literackiej.

8.

Powstaje pytanie, czy rozwój takiego powszechnego zjawiska można przez krytykę i dobre rady zatamować, ograniczyć, lub skierować na inne tory? Czy wogóle jest pożądane, by usiłowano to uczynić? Wszakże niejednokrotnie już ożywienie zastygających w formalistycznej poprawności języków literackich dopływem elementów, czy to z gwary miejscowej czy ze stanowej mowy wulgarnej, triumfująco się usprawiedliwiało, gdy go dokonywał wielki genjusz pisarski, i ogólne sobie zyskiwało uznanie i przyjęcie. Wszakże tak samo za pożądany uważamy dokonywujący się obecnie dopływ niezużytych i zdrowych elementów chłopskich do naszej inteligencji, choć nie wnoszą odrazu ze sobą wersalskich manier.

Jedno jest pewne: biadania purystów nad „zepsuciem" języka nigdy nie unikną zarzutu nienaukowego mentorstwa z jednej, a — co ważniejsza, nie ujdą klęsce śmieszności z drugiej strony. Reformatorami społecznymi nie zostaną gramatycy, a poruszone tu zjawiska językowe właśnie tylko w ramach ogólnej reformy społecznej i akcji kulturalnej skutecznie traktowane być mogą.

Z tego zaś ogólniejszego punktu widzenia jedynem lekarstwem na przeróżne przerosty i ekscesy demokratyzacji jest wskrzeszenie podupadłych we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych, a żywotnych dla ich pełnego, wszechstronnego i zrównoważonego bytu pierwiastków autorytetu i tradycji. Te pierwiastki ciągłości rozwoju i stałości zdobyczy kulturalnych znowuż naprawdę do nowego życia powołać i do nowej godności podnieść może tylko i n t e l i g e n c j a, gdy sama do nowej godności powstanie ze swego obecnego ucisku ekonomicznego i poniżenia moralnego, gdy się stanie na nowo tą jedyną arystokracją możliwą i potrzebną w demokratycznym świecie — prawdziwą arystokracją ducha.

XIX.

JOHN GALSWORTHY O MŁODEJ ANGLJI POWOJENNEJ

1.

W swej wielkiej trylogji powieściowej *The Forsyte Saga* („Kronika rodu Forsytów") John Galsworthy wystawił wspaniały pomnik grobowy tej liberalnej, mieszczańskiej Anglji XIX wieku, co pod hasłem wolnego handlu i pozaeuropejskiej ekspanzji kolonjalnej dokonała wielkich dzieł ekonomicznych i politycznych. Przedstawiając — z nużącą nieraz monotonją — wymieranie licznej i tęgiej, długowiecznej rodziny bogatych dorobkiewiczów, co niedarmo noszą swe nazwisko rodowe Forsyte (które znaczy „przezorność" — *foresight),* ukazał zarazem, jak w nowym wieku XX, w nowym świecie (jeszcze przedwojennym) wszystkie dogmaty gospodarcze i moralne, na których jak na filarach granitowych stał ich dorobek i duma, z automatyczną koniecznością rozwojową poczynają chwiać się i kruszyć. Ich idee przewodnie spełniły swą służbę i pędzą prosto do zgubnego absurdu: najjaśniejsza gwiazda na niebie ich myśli — pojęcie własności — zamiast rozświecać, jak dawniej, równomiernym i statecznym blaskiem wszystkie dziedziny życia osobistego i społecznego, gospodarczego i rodzinnego, wszędzie teraz swem światłem wznieca tylko płomienie ślepego, tragicznego buntu.

Idą wielkie zmiany przez świat — idą po wojnie przyśpieszonym gorączkowo krokiem. Ale ku czemu zdążają, co czeka młodzież naszych dni, co w niej tkwi, co przyjdzie jej przecierpieć i co uda się dokonać? Nad temi zapytaniami zadumał się mistrz w epilogu, którym na koniec roku 1924, blisko w ćwierć wieku po jej rozpoczęciu, uwieńczył swą trylogję. Powieść „Biała małpa" *(The White Monkey)* prawie w całości wypełniona jest przedstawicielami tej młodej generacji, co w kwiecie lat przeżyła wielką burzę światową i jako ci, co nie-

gdyś ocaleli z potopu, odgrodzona jest tem wielkiem przeżyciem raz na zawsze od przedwojennego świata. Ten świat, to dla niej już w pełnem znaczeniu tego słowa historja. Jeden tylko jego poważny i silny przedstawiciel porusza się w tej powieści jako pierwszoplanowa postać pośród młodych: 66-letni Soames Forsyte, ojciec bohaterki, — i on także dla młodych jest kawałkiem historji. On wie, czego chce i czem zawsze żył, ale jego cele nie są ich celami, jego wiara ich wiarą. Czegoż oni pragną, w co wierzą, czem żyją?

2.

Odpowiedź, jaką daje ta powieść, to odpowiedź pełna smutnego rozczarowania, niejasnego fermentu — szum, w którym ucho żadnej stałej melodji uchwycić jeszcze nie może. Negacja wszystkiego, co było kiedyś żywotne, niewiara we wszystko co było przydatne, niepewność wszystkiego, co uchodziło za niewzruszone — oto jedyne nuty wyraźne i świadome w duchowej muzyce młodych. Ale właśnie przez beznadziejną stanowczość tej treści ujemnej, a rozpaczliwą tajemniczość kotłujących w tem nowem życiu możliwości dodatnich i twórczych ta powieść jest wiernym w swej przygnębiającej śmiałości obrazem tego, co się po wojnie dzieje ze społeczeństwem zwycięskiem. potężnem, któremu wojna nie przyniosła ani nowych form bytu, jak nam, ani wstrząsającego do posad przewrotu, jak Rosjanom. W pierwszych latach po wojnie Bernard Shaw w jednem z najgłębszych swych dzieł — dramacie *Heartbreak House* — poprostu dobitnie stwierdził, że stara Europa, ten wygodny choć niesprawiedliwy układ ustalonego przez przyzwyczajenie bytu pokoleń ludzkich, odeszła bezpowrotnie między rzeczy minione, że ludzie nowej ery, to wszystko „ludzie bezdomni". Czyż nie znaczącą jest rzeczą, że dziś w sześć lat po wojnie, oko pisarza-myśliciela, może mniej bystrego i lotnego, ale napewno niemniej głębokiego i może bardziej serdecznie ludzkiego niż Bernard Shaw, wciąż jeszcze zrębów nowego domu dostrzec nie może? Zaiste wielkie chyba nadchodzą zmiany, skoro tak powoli się krystalizują.

O treści powieściowej „Białej Małpy" mówić tu wiele nie potrzeba. Trójkąt małżeński powieści angielskiej XIX wieku był równie nieznany, jak w powieści francuskiej tego wieku stał się pospolitym. W wieku XX, a szczególnie teraz, w epoce powojennej, jest zgoła inaczej: w tej powieści Jana Galsworthy

spotykamy trójkąt, — a pod koniec rodzaj czworoboku — już jako przyjęty niemal konwenans literacki nowszego romansu angielskiego, i dojrzały mistrz tem chyba jedynie się różni od swoich młodszych kolegów, że nie wchodzi w fizyczne szczegóły stosunku miłosnego z tą drobiazgowością, która, jak sam w jednem miejscu ironicznie powiada, dziś jest w powieści angielskiej tak samo obowiązującą, jak dawniej była niesłychaną.

3.

Ale posłuchajmy lepiej, co o sobie myślą, jak się obserwatorowi przedstawiają ci młodzi dnia dzisiejszego, kreśleni w tej powieści.

Jaskrawe światło swego mistrzowsko-małomównego stylu rzuca na nich sam autor, gdy takie notuje urywki z rozmowy na proszonym obiedzie między sławnym starszym powieściopisarzem panem Gurdon Minho (zapewne mającym wyobrażać Jerzego Moore) a młodą panią z inteligencji:

„Młodzież czuje... główny prąd życia ...nie daje jej tego czego jej trzeba. Przeszłość i przyszłość otacza się aureolą... Tak! a życie współczesne w chwili obecnej — na nic... Na nic... Jedyna dla nas pociecha, że będziemy kiedyś przestarzali, jak wielcy dawni humoryści: William Congreve, Laurence Sterne, Daniel Defoe — wtedy nasza chwila nadejdzie... — Dlaczego? Co ich wypycha z głównego prądu żywota? O! prawdopodobnie przesyt... gazety... fotografje. Nie widzą życia samego, tylko sprawozdania... reprodukcje; wszystko wydaje się tandetnem, podłem, tuzinkowem... Młodzież mówi: precz z tem wszystkiem, dajcie nam za to przeszłość albo przyszłość".

A oto już portret *plein pied* młodzieńca powojennego. Jest nim młody poeta („ten trzeci" w romansie) Wilfrid Desert. Był na wojnie: bił się dzielnie. Nie lubi o niej mówić, ani o tem, co z niego zrobiła. Ale to, co mógłby powiedzieć — autor streszcza za niego tak:

„Żyłem tak długo pośród okropności i w obliczu śmierci; widziałem ludzi na surowo; nadzieję na cośkolwiek w świecie wyrzuciłem ze swej duszy tak całkowicie, że nigdy więcej nie mogę mieć ani odrobiny szacunku dla jakichś teoryj, obietnic, konwenansów, doktryn etycznych czy zasad moralnych. Zbyt nienawidziłem ludzi, którzy pławili się w tem wszystkiem, gdy ja się pławiłem w błocie i krwi. Wszelkie złudzenie jest usunięte. Żadna religja, żadna filozofja mnie nie zadowolni — to słowa,

słowa. Mam jeszcze swoje zmysły — nie im za to dziękuję; znajduję, że jestem jeszcze zdolny do namiętnych uniesień; mogę zgrzytać zębami lub szczerzyć je w sardonicznym uśmiechu; mam jeszcze jakieś poczucie kamrackiej wierności, wyhodowane w okopach, ale czy to rzeczywistość moralna, czy tylko psychoza wojenna, tego jeszcze nie wiem. Jestem niebezpieczny, ale nie tak niebezpieczny jak ci, co zawodowo puszczają w obieg słowa, zasady, teorje i wszelki taki kram fanatycznego idjotyzmu, który prawdą życia ma się stawać z krwi i potu innych ludzi. Wojna jedną rzecz ze mną zrobiła: zmieniła mi życie w komedję. Śmiać się zeń! — nic innego robić nie można".

4.

Jakże ci ludzie, coby sami sobie postawili tak straszliwą diagnozę, zachowują się w tych wielkich przesileniach moralnych, których nieubłagane życie bieżące nikomu nie oszczędza, czy przeszedł takie czy inne rzeczy.

Dwa przykłady.

Pierwszy — to zetknięcie nowego świata z dawnym. Poeta przyszedł prosić starego szefa wielkiej firmy nakładowej o litość dla funkcjonarjusza firmy, co kradł egzemplarze dzieł poety i sprzedawał na własny rachunek, by mieć czem żywić chorą żonę. Stary nakładca bez wahania odmawia: „złodziej musi stracić służbę". Poeta mówi: „Panie Danby! Pańskie pokolenie może lubiło rzeczy miękkie w literaturze, ale jesteście djablo twardzi w życiu. Moje pokolenie patrzeć nie chce na miękkość w literaturze, ale jesteśmy daleko mniej twardzi w życiu". — Księgarz: „To co robię nie jest twarde, tylko sprawiedliwe". — „A pan może osądzić, co jest sprawiedliwe?" — „Spodziewam się".

„No, to pokosztuj pan przez cztery lata piekła, a potem próbuj na nowo". — „Nie rozumiem, co to ma do tamtego. To co pan przeżył, panie Desert, musiało mieć wpływ wypaczający". — „Przepraszam, ale siedzieć tu i bawić się w sprawiedliwego, to jeszcze bardziej wypacza. Życie jest niezłym czyśćcem, dla wszystkich prócz jakich trzydziestu procent dorosłych ludzi". „Mój kochany młody panie! poprostu nie moglibyśmy prowadzić interesu bez skrupulatnej uczciwości u wszystkich. Nie robić różnicy między uczciwością a nieuczciwością byłoby nielojalnie. Pan to wie doskonale". — „Ja ni-

czego wogóle doskonale nie wiem, panie Danby; i nie mam zaufania do ludzi, którzy twierdzą, że wiedzą". — „No, więc dobrze, powiedzmy, że są pewne reguły gry, które przestrzegane być muszą, jeżeli społeczeństwo ma wogóle funkcjonować". — „Ach, do djabła z temi regułami! Zrób pan to jako łaskę dla mnie osobiście. Ja przecież tę zatraconą książkę napisałem". — „Byłbym bardzo rad, ale to rzecz — no, sumienia, jeżeli pan chce. Ja tego człowieka w ręce sprawiedliwości nie oddaję. Musi pójść odemnie, i tyle". — „Ha, trudno! — więc do widzenia!"

A drugi, daleko bardziej zdumiewający przykład, to niesłychana i w powieści przedwojennej i w życiu przedwojennem rozmowa dwóch ludzi z tego młodego świata. Zaprzyjaźnili się w okopach, a co to znaczy, to wie tylko ten, kto był na wojnie. Teraz jeden z nich (właśnie poeta), po długiej walce z sobą poprostu oświadcza przyjacielowi, że — kocha jego żonę, i ostrzega go przed sobą samym!

„Co się z tobą stało?" — „Słuchaj, Michał, musisz o tem wiedzieć: kocham się w twojej żonie". — „Co!" — „Nie będę się bawił w węża. Więc wiedz, że masz ze mną do czynienia. Przykro mi, ale tak jest. No, możesz się rzucić na mnie?" — Pauza. — „Czy ona — wie?" — „Tak. Nie wie tylko, że ja ci o tem mówię — nie pozwoliłaby mi. Przeciwko niej żadnych danych nie masz — jeszcze!" — Po pauzie: „Nie mogłem na to nic poradzić". — Mąż: „Przyzwoicie z twojej strony, żeś mi powiedział; ale teraz — czy masz zamiar zniknąć z widowni?" — „Myślałem, że tak; ale zdaje się, że nie". — „Jak to, zdaje się? Nie rozumiem". — „Zniknąłbym, gdybym wiedział napewno, że nie mam żadnych widoków. Ale tego nie wiem. Słuchaj: nie będziemy się boksowali w rękawiczkach. Jestem doprowadzony do rozpaczy, jestem gotów na wszystko, odbiorę ci ją, jeżeli będę mógł". — „Boże wielki! To już koniec wszystkiego!" — „Tak! Możesz mi na ten temat prawić kazania. Ale powiadam ci, jak pomyślę, że ty teraz pojedziesz z nią do domu, a ja... Nie radzę ci prawić mi kazań". — „Dobrze. Wobec tego, że to nie powieść Dostojewskiego, przypuszczam, że niema nic więcej do powiedzenia".

Bezprzykładna rozmowa ma bezprzykładne następstwa. Mąż powtarza jej treść żonie, ale w pełnej lojalności dla jej ludzkiego prawa do stanowienia o samej sobie czeka na dalsze wypadki, i z zaciśniętemi zębami i ściśniętem sercem ani żony

nie śledzi, ani nie indaguje. Raz jej nawet mówi wyraźnie: „Wszystko w porządku. Musisz mieć wolność robienia, co zechcesz".

5.

Że to „nie powieść Dostojewskiego" powtarza sam od siebie autor w innem miejscu, dodając: „ani Czechowa" — i objaśniając, że zatem spodziewać się nie należy nieskończonych, bezpłodnych dyskusyj nad powstałą sytuacją, w których osoby akcji wywracały przed sobą własne dusze aż do dna.

Rzeczywiście. Mówią cały czas w tych krótkich, telegraficznych zdaniach, typowo angielskich, a jeszcze ponadto obficie przeplatanych barbarzyńskiemi skróceniami i dziwacznemi wulgaryzmami czasów wojennych. Stary Forsyte, któremu także te nowotwory po języku się plączą, przeklina je, gdy się na nich wyłapuje, i narzeka na upadek dawnej kultury słowa towarzyskiego. Opłakuje ją może czasem i sam Galsworthy, zeszłoroczny prezydent Towarzystwa miłośników języka angielskiego.

Ale te lakonizmy i pospolitości są celowe, i śmiem powiedzieć, cel swój osiągają. Dają nam ujrzeć w całej nagości stan moralny młodych dusz po wojnie. Nie osłaniają go w formułki — choćby najpiękniejsze — ale przedwojenne, więc dziś nieprzydatne na nic, przestarzałe, drażniące tylko dla ludzi rozważnych.

Ta droga — droga nieozdobna, nieponętna — to jedyna droga do społecznego czynu literatury w dzisiejszym stanie świata. Tylko po takiej, zupełnie bezlitosnej, z wszelkich złudzeń oczyszczonej diagnozie myślenie nad straszliwem zapytaniem, c o n a m c z y n i ć — może mieć jakąkolwiek rzeczową wartość. Tylko po takiej diagnozie dojść potrafimy, czy jest jaki sposób wpłynięcia wolą i wysiłkiem na kierunek wypadków.

Diagnozę taką samą w odniesieniu do naszych polskich stosunków powojennych postawić chciał Żeromski w „Przedwiośniu". Postawił ją z tem samem okrucieństwem gorącej miłości i śmiertelnego niepokoju, z tem samem niecierpliwem i rozpacznem lekceważeniem starej przyzwoitości stylu literackiego. Ale postawił na sposób polski i słowiański, nie po angielsku — więc z wybuchami uczuć aż do zatraty równowagi artystycznej, z potokami argumentacji i kontr-argumentacji aż do nihilizmu myślowego.

Wszystko jedno. Niech to krytykuje kto może — kogo w tej chwili naszych dziejów stać na taki chłodny spokój ducha. Mnie huczy w uszach wergiljańskie *Tua res agitur.* Ja mogę tylko pragnąć, by wszyscy ludzie umysłowo i moralnie rzetelni przyjmowali takie głosy nie jako literaturę. Mija lat dziesięć, jak zmartwychwstaliśmy politycznie. Czas, czas wielki wspomnieć gniewy Słowackiego, nie dać się „łudzić błyskotkami", choćby najdroższemi sercu — czas z odwagą większą niż kiedykolwiek stanąć oko w oko z zapytaniem: Zmartwychwstaliśmy — do jakiego życia? Tylko ta ostateczna odwaga da nam siłę to życie naprawdę tworzyć.

Niedarmo Galsworthy na czele swej powieści jako *motto* ośmielił się postawić słowa — z operetki, ze sławnej „Opery żebraczej" Jana Gay z XVIII wieku, — słowa jednak wstrząsające jak grom w tem ich zastosowaniu:

„Niemasz odwrotu, niemasz odwrotu!
Zwyciężyć muszą lub zginąć
Ci, co nie mają odwrotu!"

XX.

DWA GŁOSY O PRZYSZŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANJI

(Alfred Zimmern, *The British Commonwealth in the Post-War World.* London, Oxford University Press, 1926. — F. C. S. Schiller, *Cassandra or the Future of the British Empire.* „To-day and To-morrow“ Series, London, Kegan Paul, Trench, Trübner, et Co. 1926).

Oxford jest w Londynie podobnie niepopularny, jak Kraków w Warszawie. „Ojczyzną spraw straconych“ nazwał swą ukochaną *alma mater* jeszcze w XIX wieku świetny krytyk i poeta Matthew Arnold. Szczególnie od czasów wielkich reform społecznych Lloyd-Georgea na kilka lat przed wojną niejednokrotnie rozlegały się z Oxfordu głosy rozwagi i przestrogi. Takim głosem jeszcze nad grobem przemówił wielki prawnik A. V. Dicey w nowem wydaniu swego pomnikowego dzieła *Law and Public Opinion in England* (1914). Z drugiej strony właśnie Oxford z właściwą mu rozległością widnokręgów historycznych i głębokością myśli filozoficznej umie wybiegać poza oportunistyczne, jednodniowe kombinacje, na których upływa życie wielkim praktykom politycznym w stolicy. Tak to miasto akademickie raz się naraża na oskarżenie o starcze wstecznictwo, innym razem znowu o utopijną postępowość.

Te dwa zarzuty prawdopodobnie bez trudności, jak gotowe etykiety, rozdzielą się między wspomniane w nagłówku dwie publikacje. Obie one traktują o położeniu Imperjum brytyjskiego w świecie powojennym; obie mają być ostrzeżeniami przeciw niebezpieczeństwom, tkwiącym w obecnem stanowisku W. Brytanji. Ale profesor Zimmern, niegdyś docent oxfordzki, dziś pracownik stworzonej przez Ligę Narodów *Commission de coopération intellectuelle* w Paryżu, pragnie otworzyć oczy rodakom na prawdziwe znaczenie Ligi, wierzy w Locarno i przepowiada trwałość tej duchowej spójni Imperjum, jaką stanowi wspólna kultura anglosaska: nie uniknie więc

uwag o „ślepym optymizmie idealisty“ i „marzycielskim internacjonalizmie doktrynera“. Wręcz odwrotnie stary oxfordzki profesor filozofji S c h i l l e r (autor znanego dzieła *Humanism)* Lidze ani traktatom locarneńskim przyszłości nie wróży, politykę izolacji Wielkiej Brytanji wobec zawikłań europejskich wznowić zaleca, a na trudności gospodarcze i polityczne Imperjum jedyny ratunek widzi w ścisłym związku z Ameryką. Nazwą go więc niechybnie „stetryczałym reakcjonerem“, „cynikiem“ i „szowinistą“. W tem się jednak zgadzają obaj skądinąd tak biegunowo sobie przeciwni myśliciele, że chwilę obecną w dziejach swej ojczyzny uznają za „dziwnie osobliwą“, za wielce poważną i przełomową, że nawołują swe społeczeństwo do zastanowienia i do przewartościowania wielu konwencjonalnie przyjętych wartości.

1.

Głębszego przytem z nich obydwóch wysiłku myślowego, grutowniejszej przemiany w ocenach wymaga od swego narodu bezsprzecznie profesor Z i m m e r n. Powołuje się na samym wstępie na słowa zmarłego niedawno wielkiego administratora kolonjalnego, lorda Milnera, który jeszcze przed wielu laty, w odczycie o naukach wojny boerskiej, wypowiedział maksymę, że „te zalety c z y n u, któremi Wielka Brytanja zdawna celowała, już nie wystarczają“, że „wiek wymaga od niej nie czynu, lecz m y ś l i“.

Anglja na konyntencie europejskim uchodziła za kraj najgorętszych i najpowszechniejszych sympatyj dla Ligi Narodów: stała się wszakże kolebką Towarzystwa Przyjaciół Ligi, dziś posiadającego swe ogniska po wszystkich krajach. Wszędzie sobie tłumaczono, że Anglja urabia sobie Ligę na podatne narzędzie swej polityki. Tymczasem ta sama Anglja ostatecznie odmówiła ratyfikacji protokółu genewskiego, który przecież nie był niczem innem jak konsekwentnem zastosowaniem praktycznem pewnych naczelnych zasad Paktu Ligi. To wywołało ogólną w Europie dezorjentację co do stanowiska Anglji wobec Ligi, a wzmocniła tę dezorjentację jeszcze obstrukcyjna taktyka przedstawicieli Anglji na wrześniowej sesji Ligi w r. 1925.

Profesor Zimmern stara się przekonać swych rodaków, że idea Ligi jest ostatecznym wykwitem właściwego kontynentowi europejskiemu myślenia w sprawach międzynarodowych, i że

oni tej idei w całej jej osnowie dotąd nie rozumieli. Protestanckiemu mistycyzmowi pacyfistów anglosaskich, którego doskonałym przedstawicielem jest lord Robert Cecil, profesor Zimmern na podstawie długoletniego pożycia z myślicielami Europy kontynentalnej przeciwstawia ich trzeźwą psychikę prawniczą, dążącą nie do stworzenia w Lidze organizacji misjonarskiej dla propagandy wiecznego pokoju i braterstwa, lecz raczej do skonstruowania w niej jak najbardziej precyzyjnego aparatu do polubownego załatwiania nieuniknionych i wciąż na nowo wynikających konfliktów.

I dopiero na podstawie wykazanej w ten sposób kardynalnej różnicy w poglądach na cel i zadanie Ligi, prelegent przystąpił do najdrażliwszej części swojego zadania: starał się mianowicie uzasadnić, dlaczego Anglja jego zdaniem we własnym interesie musi stanąć całkowicie i bez zastrzeżeń na gruncie kontynentalno-europejskiej koncepcji Ligi, a więc wziąć na siebie ściśle określone prawne zobowiązania na wypadek pewnych ewentualności międzynarodowych.

Argumentów nie brak, i mają siłę przymusu. Kontynent Europy mimo całego roznamiętnienia nacjonalizmów coraz bardziej się zbliża do zrozumienia solidarności swych interesów ekonomicznych. Przeciwnie, gospodarcze i wszelkie inne interesa Dominjów brytyjskich mimo usilnej propagandy imperjalistycznej okazują się coraz gruntowniej różnemi, często rozbieżnemi, czasem nawet wprost przeciwstawnemi. Uprzywilejowanie towarów brytyjskich, narzucone od roku 1919 tym kolonjom, co nie posiadają samorządu, drażni resztę świata jako objaw imperjalizmu ekonomicznego.

Przytem Brytanja nietylko nie jest już pierwszą potęgą morską, ale przedewszystkiem przez rozwój lotnictwa pozbawioną została korzyści strategicznych położenia wyspiarskiego, a w zbrojeniach powietrznych daleko pozostała w tyle za Francją. Zaś jeszcze dalej w tyle pozostaje za Ameryką w sprawności i postępowości swego aparatu przemysłowego. W Ameryce każdy szeregowiec armji przemysłowej nosi swą buławę marszałkowską w tornistrze: w Anglji panująca wciąż jeszcze kastowość ustroju społecznego wyklucza 91 prc. szarej masy zasadniczo od dostępu do miejsc przewodnich w przemyśle.

Nasuwającą się wobec tej wyższości Ameryki myśl amerykanizacji Anglji w drodze coraz ściślejszego z Ameryką współdziałania i przymierza Zimmern, zwolennik wszechobejmującej Ligi Narodów, odrzuca ze stanowczością, która ostro

odbija od powtarzanych dzisiaj wciąż aż do przesytu frazesów o anglo-amerykańskiem zbrataniu. Nietylko nie będzie jego zdaniem idea federacji anglo-amerykańskiej popularną w Ameryce samej, której ludność staje się coraz mniej anglosaską wskutek liczebnego rozrostu nie-angielskich domieszek, ale przedewszystkiem taka Unja musiałaby się reszcie światu wydać sojuszem skierowanym przeciwko rasom kolorowym i rozpętałaby niebezpieczną burzę w tych olbrzymich posiadłościach J. Królewskiej Mości Jerzego V, w których „tylko co siódmy poddany ma białą twarz".

Jeżeli jednak istotnie stałe skojarzenie losów Anglji z losami Ameryki byłoby wyjściem niepewnem i ryzykownem, jeżeli nie pozostaje Imperjum brytyjskiemu nic innego jak szczerze stanąć na gruncie Ligi i dążyć do jej wzmocnienia, to czy ten proces historyczny nie skończy się tem, że Liga pochłonie Imperjum, że w jej łonie zatraci swą odrębną fizjognomję ta federacja wolnych narodów, którą dziś jest Wielka Brytanja? Czy nie zwycięży ostatecznie abstrakcja internacjonalizmu nad nacjonalizmem, nawet tak szeroko ujętym?

Nie — odpowiada profesor Zimmern, i tu, na końcu swych wywodów, on sam, co przedtem trzeźwiejsze pojmowanie Ligi przeciwstawiał mistycyzmowi jej anglosaskich apostołów, nagle na skrzydłach mistycznego natchnienia unosi się w przestworza mesjanizmu brytyjskiego: Wielka Brytanja pozostanie zwartą *malgré tout,* bo wciela pewne ideały polityczne, których powinna w najbliższej przyszłości cały świat nauczyć. Temi tak wielce aktualnemi ideałami mają być: równość wszystkich ras przed prawem, współpraca ekonomiczna całego świata, wreszcie przekształcenie pojęcia narodowości, mianowicie napełnienie go głębszą treścią duchowo-kulturalną w miejsce panującej dziś powszechnie namiętności politycznej.

Gorąco zwłaszcza my Polacy przyklaśniemy punktowi trzeciemu: ale czyżby trzeba, żeby dopiero Wielka Brytanja uczyła tego (między innemi narodami) nas, cośmy przez stulecie niewoli nienaruszoną przenieść umieli naszą „arkę przymierza", nasz skarb tradycji narodowej i nasz odrębny typ kulturalny?

A już zgoła zdumieni stajemy wobec punktu pierwszego. Krzewicielką idei równości ras wobec prawa byłabyż powołaną stać się Wielka Brytanja, — dotychczas ostoja dumnego odosobnienia panującego białego człowieka od wszelakich cywilizowanych przezeń, ale podwładnych mu *natives?* Istotnie tutaj, „mistrz jak gdyby sam swojej dziwił się piosence", za-

znacza wyraźnie, że chodzi o postulat, który w samej psychice brytyjskiej dopiero w całej pełni skrystalizować się musi. I odrazu dla uniknięcia nieporozumień oświadcza, że równość wobec prawa nie znaczy równej swobody immigracji: wyklucza zatem główny przedmiot sporów tej kategorji z ostatnich lat zarówno na terenie Imperjum brytyjskiego (Indje i Afryka południowa), jak i na terenie światowym (Japonja i Ameryka).

Pozostaje jako najrealniejszy w moich oczach punkt drugi: światowa kooperacja ekonomiczna. Istotnie drażniący naszych nacjonalistów pacyfizm anglosaski jest przedewszystkiem (czego uporczywie zrozumieć nie chcą!) pacyfizmem kupieckim, pacyfizmem wolnego handlu, pacyfizmem gospodarczym. Jeżeli gdziekolwiek, to rzeczywiście w tej dziedzinie może leżeć misja kulturalna Wielkiej Brytanji. Na nadchodzącej prędzej czy później, i niezbędnie dla świata potrzebnej, europejskiej konferencji ekonomicznej „naród sklepikarzy", jak go wzgardliwie nazwał Napoleon, przez swe wiekowe doświadczenie w zakresie organizacji gospodarczej uprawniony będzie do przewodnictwa. Cokolwiek by mu właśni jego myśliciele za błędy i wady zarzucali w jego polityce ekonomicznej, szczególnie z czasów ostatnich, zawsze jeszcze dużo się u niego w sferze myślenia ekonomicznego nauczyć mogą te narody, u których ta żywotna funkcja zdrowego bytu społecznego nie jest jeszcze należycie rozwiniętą. A nauczyć się mogą przedewszystkiem dzięki temu, że Anglicy sami zawsze na nowo uczyć się z doświadczeń życia są gotowi.

2.

Profesor Zimmern przez długie lata wędrówek po świecie i działalności poza Anglją zyskał psychiczną możność patrzenia na swój naród niejako z zewnątrz i, poniekąd sam w sobie już przekształcił pewne cechy umysłowości angielskiej na cechy obywatela świata. Inaczej S c h i l l e r, ten mimo niemieckiego nazwiska rdzenny Anglik nie opuszcza gajów filozoficznych swego umiłowanego Oxfordu. W ich błogiem zaciszu może z pogodnym spokojem, a nawet z humorem rozprawiać o najczarniejszych perspektywach, jakie się dzisiaj roztaczają przed wzrokiem duchowym Anglika, zadumanego o najbliższej przyszłości swej ojczyzny. I może z prawdziwie oxfordzkim tradycjonalizmem doradzać do nawrotu ku wypróbowanym szlakom dawnej, wielkiej polityki brytyjskiej.

Widzi on jednak, że na niektóre z tych szlaków już dziś ponownie wkroczyć nie można, i stąd silniejszy niż u profesora Zimmerna pesymizm w zabarwieniu jego przewidywań. Tamten niebezpieczeństwo widział w znienawidzeniu Anglji przez różne narody kontynentalne wskutek jej polityki powojennej, oraz w tępocie Anglików, nie rozumiejących istoty tego, co się na kontyngencie Europy dzieje. Schiller zaś widzi zarodki zguby w samym rdzeniu pnia brytyjskiego. Nietylko przewaga morska Wielkiej Brytanji przestała istnieć jako fundament jej bezpieczeństwa, nietylko niema dziś na kontyngencie Europy tej równowagi sił, co dawniej stanowiła drugą główną rękojmię potęgi brytyjskiej; nietylko szybko uprzemysłowiają się narody, co dawniej były wielkimi odbiorcami wyrobów przemysłowych angielskich; nietylko centrum bankierskie świata z Londynu przesunęło się do Nowego Yorku [1] — ale, co gorsza, Wielka Brytanja przez ciągłe błędy jeszcze przyśpiesza różne groźne dla siebie procesy rozwojowe. Tak np. sprzedając węgiel po lichwiarsku w czasie wojny tym narodom sprzymierzonym i neutralnym, które go potrzebowały, sama wepchnęła niektóre z nich (jak Norwegję) na drogę usilnego rozwijania siły wodnej swych rzek dla zastąpienia węgla.

Najfatalniejsze zaślepienie naród brytyjski w swych czynach zbiorowych zdaniem oxfordzkiego krytyka objawia właśnie w tej dziedzinie, w której zawsze przodował: w dziedzinie ekonomicznej. Demokratyzacja, doprowadzona do ostateczności, okazała się zgubną dla wiekowych zdobyczy doświadczenia ekonomicznego. Uświęcone najwyższym autorytetem wiedzy „prawa ekonomiczne" padają ofiarą jakiejś szalenie naciągniętej „teorji względności", która jest w powietrzu powojennem. „Prawem ekonomicznem" może zostać każde prawo, byle je uchwaliła większość w parlamencie. Masa wyborców robotniczych w niedorzecznym uporze nie pozwala na ratunek od bezrobocia drogą potanienia produkcji; ta sama masa, nie dopuszczając do racjonalnego rozprawienia się z przesileniem węglowem, z tego głównego niegdyś przemysłu Wielkiej Brytanji zrobiła jakiegoś wampira, co ssie krew żywotną organizmu społecznego. Wyolbrzymiony etatystyczny system

[1] Czego może najjaskrawszym dowodem jest, że niedawno nawet brytyjska Australja z potrzebnych jej dwudziestu miljonów funtów tylko jedną czwartą zdołała pożyczyć w Londynie, a resztę dostała na rynku pieniężnym nowojorskim!

opieki społecznej przez coraz nowe formy zapomóg państwowych coraz szersze kręgi społeczeństwa pauperyzuje: Schiller już w obecnym stanie widzi analogję do karmienia motłochu rozdawanem zbożem w starym Rzymie, a na końcu takiego rozwoju widzi otchłań nędzy, taką właśnie, jakiej przerażającym obrazem jest sowiecka Rosja.

Temu rozumowaniu na temat panujących dziś wszędzie tendencyj społecznych niestety żadnego rzeczowego argumentu ekonomicznego przeciwstawić nie można prócz czysto uczuciowego przeświadczenia, że „jakoś to będzie", że żywotność gospodarcza ludzkości — może drogą ciężkich doświadczeń — znajdzie sposób dostosowania się i do tego nastającego porządku. W każdym razie przyznać trzeba, że ukazane wymownie przez profesora Schillera niebezpieczeństwa i gdzieindziej bardzo realnie istnieją. Pisał o nich niedawno w Polsce bez ogródek Roman Dmowski, pisze się o nich ciągle, szczególnie w Krakowie, dyskutując reformę rolną.

Bardziej spornemi natomiast z naszego punktu widzenia wydać się muszą wywody oxfordzkiego myśliciela co do niebezpieczeństw, grożących Anglji na tle po-wersalskiego układu politycznego Europy. Profesor Schiller — w tem szczególnie typowy Anglik — ma głowę nastawioną wyłącznie na koncepcje wielkomocarstwowe. Europa w jego oczach istnieć może trwale tylko jako federacja złożona z możliwie małych jednostek („kantonów"), o możliwie szerokim samorządzie, a zespolona zupełną wolnością handlu na wewnątrz. Antytezą takiego ustroju jest obecny podział na państwa, zdążające do ideału państw narodowych i odgraniczające się od siebie murami chińskiemi. Popieranie takiego systemu przez Wielką Brytanję w oczach tradycjonalisty angielskiego jest błędem i musi się mścić. Mści się zdaniem profesora Schillera szczególnie przez zaostrzenie stosunku do Rosji i przez wzmożoną propagandę bolszewicką. To odwet Rosji za odcięcie jej od Bałtyku przez te różne drobnoustroje, które są właściwie protektoratami brytyjskiemi. Potępiając ich utworzenie, Schiller musi potępiać także zamknięcie wielkiej Polsce dostępu do morza przez Wolne miasto Gdańsk, co też zupełnie konsekwentnie czyni. Rezultatów propagandy bolszewickiej na gruncie angielskim się nie obawia, tak samo jak nie obawia się ich ogół Anglików, motywując to tem, że najlepszą propagandą anty-bolszewicką jest rozpaczliwy stan samej Bolszewji. Natomiast na niepokojące sukcesy propagandy bolszewickiej wśród

ludów azjatyckich filozof oxfordzki ma oczy lepiej może otwarte niż niejeden administrator kolonjalny angielski.

Czynny udział Anglji w utrzymaniu po-wersalskiego systemu europejskiego mści się zresztą zdaniem oxfordzkiego obserwatora nietylko przez zepsucie stosunku do Rosji (który przecież na gruncie azjatyckim nigdy dobry nie był), ale także przez zepsucie stosunku do dominjów brytyjskich. Dominjom waśnie kontynentalnej Europy są z natury rzeczy obojętne i muszą się wydawać małostkowe w porównaniu z takiemi światowemi zagadnieniami, jak choćby kwestja władzy nad Pacyfikiem. Imperjum, by wobec sprzeczności między interesami dominjów a kraju macierzystego nie rozleciało się zupełnie, musiałoby ulec jakiejś reorganizacji konstytucyjnej; tymczasem żaden z projektowanych dotychczas sposobów tej reorganizacji nie ma w danych warunkach widoków powodzenia. Nie ma go przedewszystkiem projekt przekształcenia Imperjum w brytyjską Unję cłową, nietylko dlatego, że obudziłaby (jak zaznaczył i Zimmern) animozję całej reszty świata, ale i dlatego, że niektóre dominja już teraz z innemi krajami ściślej są gospodarczo związane niż z Anglją samą — tak np. Kanada ze Stanami Zjednoczonemi.

Gdzież więc wyjście? Profesor Schiller, tak samo jak profesor Zimmern, w końcu swych wywodów zwraca się ku myśli o jakimś szerszym od Imperjum brytyjskiego, ogólno-światowym ustroju. Różnica tylko w tem, że w przyszłość obecnej Ligi Narodów nie wierzy. Stwierdza jednak, że koncepcja „państwa światowego" wobec potężnego zmniejszenia wszystkich odległości w naszych czasach przez lotnictwo, telegraf bez drutu i radjofon przestała być utopją i stała się ideałem osiągalnym. Takie idealne państwo może przybrać realne kształty pod finansową, a co za tem pójść musi i polityczną hegemonją Ameryki. Wszak już dziś jesteśmy świadkami, jak najbardziej nieprzejednani w Europie przeciwnicy godzą się dlatego tylko, że taka zgoda jest warunkiem osiągnięcia amerykańskich pożyczek, jednakowo wszystkim potrzebnych. (Tak Schiller interpretuje Locarno!) [1] Stąd jasna dla Schillera (a biegunowo przeciwna myślom Zimmerna) wskazówka dla Wielkiej Brytanji na najbliższą metę: ścisła łączność z Ameryką

[1] Warto przypomnieć tę ocenę dziś, po zgodnem podpisaniu paktu Kelloga i masowych doń akcesach państw, należących przecież do Ligi Narodów.

i łączna z nią *splendid isolation* wobec zamętu europejskiego. I tu oglądamy najosobliwsze ze wszystkich widowisk: profesor filozofji ze spokojem patrzy na perspektywę rządów bankierskich nad światem! Bo takiemi byłyby te rządy Ameryki. Schiller wręcz dowodzi, że władza w rękach bankierów byłaby ostatecznie lepszą od władzy czy to zawodowych polityków (którzy są krótkowzrocznymi oportunistami), czy to uczonych (którzy popadają w doktrynerskie ekstremy), czy też fabrykantów lub robotników, jednakowo pełnych sobkostwa stanowego i nienawiści klasowej. Bankierzy wielkiego, międzynarodowego kalibru — dowodzi — mają szerokie światowe horyzonty i widzą wzajemną od siebie zależność krajów i narodów; muszą być w miarę ostrożni i w miarę przedsiębiorczy; nie mogą wynosić swych planów na rynek i robić je przedmiotem dyskusji niekompetentnej tłuszczy; wreszcie są pacyfistami i nigdy nie działają przez otwarty gwałt. Obce im są nie tylko histrjońskie ambicje polityków, ale też i dramatyczne gesty wodzów naczelnych.

Dużo tu jednostronności, zgoła mijającej się z prawdą życia, znaną nam z dziejów Rockefellerów, Morganów i Stinnesów. Złośliwy krytyk mógłby powiedzieć, że oto na sam koniec mądry prorok popadł w szał i jął obłędnie wraz z resztą tłumu tańczyć wokoło złotego cielca [1]. My jednak, patrząc na całokształt dowodzeń autora i wnikając w najistotniejsze jego intencje, uznajmy to za rzecz ważną, znamienną i pouczającą, że drogi myślowe dwóch świetnych przedstawicieli Oxfordu, jakkolwiek rozbieżne, jednak spotykają się w tym jednym punkcie: że obaj głoszą całemu światu konieczność myślenia o wszystkich swych wielkich i bolesnych zagadnieniach — nadewszystko w kategorjach ekonomicznych.

* * *

Tu także leży główna nauka z tych specyficznie brytyjskich refleksyj dla czytelnika polskiego. Maluczkiemi i zaściankowemi wydać nam się muszą nasze stosunki w Rzeczypospolitej, gdy do nich z tych światowych widnokręgów myśli brytyjskiej powracamy; i małostkowemi zdają się przedmioty naszych gwałtownych sporów o orjentacje międzynarodowe

[1] Jeszcze dziwniejszem widowiskiem — powiedzmy nawiasem — jest gorący socjalista H. G. Wells, gdy w podobny sposób przepowiada rządy wielkich finansistów nad światem w swej powieści *The World of William Clissold.*

czy kierunki partyjne. Ale i na tej niewielkiej, niespełna trzydziestomiljonowej arenie mają zastosowanie te same prawdy, któremi dziś przejmować się muszą setki miljonów poddanych króla Jerzego V po wszystkich pięciu częściach świata. Jeżeli mamy nareszcie zacząć żyć normalnie — jeżeli mamy żyć wogóle! — musimy wraz z całym światem, choćby nam to przychodziło bardzo trudno i boleśnie, przyswoić sobie zasadę myślenia o wszystkich zagadnieniach politycznych i połecznych naszej bieżącej egzystencji przedewszystkiem w kategorjach ekonomicznych. I postęp w tym sposobie myślenia, postęp zamanifestowany choćby zgodnym entuzjazmem całego narodu dla wielkiego dzieła budowy Gdyni, jest może jednem z najdodatniejszych zjawisk w tej nowej fazie życia odrodzonej Polski, w jaką wstąpiliśmy od maja roku 1926.